

# LEE CHILD

## ZMUŚ MNIE





# O książce

**Jedna z najbardziej niezwykłych powieści  
w serii z Jackiem Reacherem!  
Zaskoczy nawet jego fanów!**

Właściwie jedzie do Chicago, ale wcale nie musi tam dotrzeć. Więc dlaczego nie miałby wysiąść w miéscinie na pustkowiu w Oklahomie? Choćby po to, by się dowiedzieć, skąd ta dziwna nazwa – Matczyny Spoczynek.

Ale za sprawą pewnej kobiety Reacher następnego dnia nie wsiada do pociągu.

Michelle Chang, była agentka FBI, obecnie prywatny detektyw, szuka wspólnika, który przyjechał do Oklahomy zniknął, a ona nie ma pojęcia, co właściwie tu załatwiał. Boi się jednak, że przytrafiło mu się coś bardzo, bardzo złego.

Zachowanie miejscowych tylko potwierdza obawy Chang.

I umacnia Reachera w decyzji, by jej pomóc. Nawet jeśli będzie musiał w tym celu przemierzyć całą Amerykę i szukać tam, gdzie nigdy dotąd się nie zapuszczał – w internetowej Głębokiej Sieci. Nawet jeśli będzie musiał zostawić za sobą kilka uszkodzonych ciał. Niektórych tak na amen.

# LEE CHILD

## ZMUŚ MNIE

Z angielskiego przełożył

JAN KRAŚKO

Wydanie elektroniczne



## LEE CHILD

Brytyjski pisarz, od 1998 r. mieszkający w Nowym Jorku. W 2009 r. wybrany na prezesa stowarzyszenia Mystery Writers of America. Studiował prawo, potem pracował w teatrze i telewizji Granada. Zwolniony po 18 latach w wyniku restrukturyzacji, zainwestował w karierę literacką. W 1997 r. ukazała się jego pierwsza powieść - **Poziom śmierci**. Książka zdobyła Anthony Award za najlepszy debiut kryminalny i zapoczątkowała serię thrillerów ze wspólnym bohaterem, byłym żandarmem wojskowym Jackiem Reacherem, m.in.: **Echo w płomieniach**, **Siła perswazji**, **Jednym strzałem** (powieść zekranizowana jako *Jack Reacher* z Tomem Cruise'em w roli tytułowej), **Elita zabójców**, **Jutro możesz zniknąć**, **61 godzin**, **Czasami warto umrzeć**, **Ostatnia sprawa**, **Poszukiwany**, **Nigdy nie wracaj**, **Sprawa osobista**. Książki Lee Childa publikowane są w 43 krajach. Tom Cruise ponownie wcielił się w Reachera w adaptacji **Nigdy nie wracaj** (premiera planowana na jesień 2016 r.).

*Tego autora*

**Jack Reacher**

POZIOM ŚMIERCI  
UPROWADZONY  
WRÓG BEZ TWARZY  
PODEJRZANY  
ECHO W PŁOMIENIACH  
W TAJNEJ SŁUŻBIE  
SIŁA PERSWAZJI  
NIEPRZYJACIEL  
JEDNYM STRZAŁEM  
BEZ LITOŚCI  
ELITA ZABÓJCÓW  
NIC DO STRACENIA  
JUTRO MOŻESZ ZNIKNAĆ  
61 GODZIN  
CZASAMI WARTO UMRZEĆ  
OSTATNIA SPRAWA  
POSZUKIWANY  
NIGDY NIE WRACAJ  
SPRAWA OSOBISTA  
ZMUŚ MNIE

oraz

NAJLEPSZE AMERYKAŃSKIE OPOWIADANIA KRYMINALNE 2010  
(współautor)

Tytuł oryginału:  
MAKE ME

Copyright © Lee Child 2015  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2016

Polish translation copyright © Jan Kraśko 2016

Redakcja: Monika Strzelczyk

Zdjęcie na okładce: Stuart Monk/Shutterstock

Projekt graficzny okładki i serii: Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-7985-294-9

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz*

*przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [88em](#)



## Jack Reacher: CV

**Imiona i nazwisko:** Jack Reacher

**Narodowość:** amerykańska

**Urodzony:** 29 października 1960 roku w Berlinie

**Charakterystyczne dane:** 195 cm; 99–110 kg; 127 cm w klatce piersiowej

**Kolor włosów:** ciemny blond

**Kolor oczu:** niebieski

**Ubranie:** kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

**Wykształcenie:** szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie; Akademia Wojskowa West Point

**Przebieg służby:** 13 lat w żandarmerii armii Stanów Zjednoczonych; w 1990 zdegradowany z majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w 1997 roku

**Odznaczenia służbowe:** Srebrna Gwiazda, Medal za wzorową służbę, Medal żołnierza, Legia Zasługi, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce

**Ostatni adres:** nieznany

**Czego nie ma:** prawa jazdy; dokumentu ze zdjęciem; osób na utrzymaniu

*Darleyowi Andersonowi,  
mojemu agentowi literackiemu  
od dwudziestu lat – z podziękowaniami*

Więcej na: [www.ebook4all.pl](http://www.ebook4all.pl)

# 1

Przenieść faceta tak dużego jak Keever nie było łatwo. Jakby próbowali ściągnąć materac z podwójnego łóżka wodnego, aż tak ich to wykończyło. Dlatego pochowali go blisko domu. Co w sumie miało sens. Żniwa rozpoczynały się dopiero za miesiąc i ślad na polu byłby widoczny z góry. A kogoś takiego jak on na pewno szukaliby z powietrza. Samolotami, śmigłowcami, może nawet dronami.

Zaczęli o północy, bo uznali, że tak będzie najbezpieczniej. Wokoło mieli ponad cztery tysiące hektarów pustkowia, a jedyną stworzoną przez człowieka konstrukcją po tej stronie horyzontu były tory kolejowe na wschód od nich, ale wieczorny pociąg przejeżdżał o siódmej wieczorem, a poranny dopiero o siódmej rano. Cisza i spokój, żadnych wścibskich oczu. Koparka miała cztery reflektory na pręcie nad kabiną, jak w podpicowanym pick-upie nastolatka, i cztery smugi światła tworzyły szeroką plamę halogenowej jasności. Dlatego na widoczność też nie narzekali. Kopali w zagrodzie dla świń, a zagroda to syf sam w sobie. Każdy tucznik waży ponad dziewięćdziesiąt kilo, każdy ma cztery nogi. Ziemia jest zawsze rozmiękła, zryta i grząska. Z powietrza nikt by nic nie zobaczył, nawet przez kamerę termowizyjną. Obraz natychmiast by się rozjaśnił i zamazał, od temperatury ciała samych zwierząt, od ich gnoju i kałuż moczu.

A więc bezpiecznie.

Świnie lubią ryc, dlatego musieli kopać głęboko. Z czym też nie mieli problemu. Błyszczące w świetle wysięgniki hydrauliczne, to ryczący na pełnych obrotach, to cichnący silnik – długie ramię koparki pracowało rytmicznie, płynnymi przegubowymi ruchami, za każdym razem wybierając z dołu dwie dziesiąte metra sześciennego ziemi. Kiedy skończyli, maszyna odjechała, zawróciła i przednim lemieszem zepchnęła Keevera do grobu, przesuwając go, turlając, tytlając go w błocie, aż w końcu znalazł się na brzegu dziury i z głuchym plaśnięciem spadł w pełzające po dnie elektryczne cienie.

Tylko jedno poszło nie tak, właśnie wtedy.

Wieczorny pociąg miał pięciogodzinne opóźnienie. Rano włączyli radio i okazało się, że sto dziewięćdziesiąt kilometrów na południe od nich zepsuta lokomotywa zablokowała tory. Ale wtedy jeszcze tego nie wiedzieli. Usłyszeli tylko posepny gwizd na odległym przejeździe i mogli jedynie odwrócić się i popatrzeć na długi rząd oświetlonych wagonów, które jeden po drugim – przez całą wieczność, jak we śnie – przetaczały się z łoskotem w oddali. Ale w końcu przejechały. Szyny śpiewały jeszcze przez chwilę, a potem, gdy tylne światła pozycyjne zniknęły w ciemności, wrócili do pracy.

...

Trzydzieści dwa kilometry dalej na północ pociąg zaczął zwalniać. Zwalniał i zwalniał, a gdy wreszcie zatrzymał się z sykiem, cmoknęły drzwi i na betonową rampę przed wielkim jak apartamentowiec elewatorium wysiadł Jack Reacher. Na lewo od niego stały kolejne cztery elewatory, wszystkie większe niż ten na wprost, a po prawej – olbrzymi blaszany magazyn wielkości hangaru lotniczego. Na ustawionych w regularnych odstępach słupach płonęły rtęciówki, wycinając w ciemności żółte stożki światła. W nocnym powietrzu wisiała lekka mgła, jak krótka notatka w kalendarzu. Lato miało się ku końcowi. Nadchodziła jesień.

Reacher stał nieruchomo. Pociąg ruszył, z wysiłkiem napinając stalowe mięśnie, ze zgrzytem mieląc kołami, wpadając w powolny rytm – rata-tat, rata-tat – stopniowo przyspieszając, w narastającym pędzie szarpiąc jego ubraniem. Wysiadł tylko on. Nic dziwnego. Nie był to raczej wielki węzeł komunikacyjny. Wokoło nic, tylko pola, rolnictwo. Jedynym obiektem wzniesionym tu ku wygodzie pasażerów był niewielki budynek wciśnięty między elewatory i magazyn, mieszczący pewnie kasę i poczekalnię. Zbudowany w tradycyjnym kolejowym stylu, wyglądał jak dziecięca zabawka ustawiona tymczasowo między dwiema błyszczącymi beczkami na rope.

Ale na wiszącej na nim, długiej na całą ścianę tablicy widniał napis, z powodu którego Reacher wysiadł z pociągu: „Maczyny Spoczynek”. Zobaczył tę nazwę na mapie i pomyślał, że jest fajna. Że tory przecina tam pewnie stary szlak, którym dawno temu ciągnęły wozy, i coś się tam stało. Może jakaś młoda kobieta zaczęła nagle rodzić. Wstrząsy na pewno nie pomogły. Może wóz zatrzymał się tu na parę dni albo tygodni. Czy nawet na miesiąc. I może wiele lat później ktoś sobie o tym

przypomniał. Jej potomek. Tak powstają legendy rodzinne. Niewykluczone, że mieli tu nawet małe muzeum.

A mogło istnieć smutniejsze wytłumaczenie. Może po prostu pochowano tu jakąś kobietę. Była za stara i nie dała rady. W takim razie musiałby tu gdzieś być kamień pamiątkowy.

Tak czy inaczej, zawsze mógł się rozejrzeć i czegoś dowiedzieć. Nigdzie nie jechał i miał na tę podróż całe życie, więc objazdy nic go nie kosztowały. Dlatego wysiadł z pociągu. Początkowo ogarnęło go rozczarowanie. Nie tego się spodziewał. Myślał, że zobaczy, ot, parę zakurzonych domów i samotną zagrodę dla jednego konia. Do tego z rzadka otwarte malutkie muzeum, prowadzone przez ochotnika na ćwierć etatu. Może mieszkającego w pobliżu staruszka. Albo chociaż marmurowy nagrobek za ogrodzeniem z kutego żelaza.

Na pewno nie spodziewał się tej gigantycznej infrastruktury rolniczej. A chyba powinien. Trzeba było gdzieś wyładowywać to zboże. Miliardy kilogramów, tysiące ton rocznie. Zrobił krok w lewo i spojrzał w przestrzeń między elewatorami. Zobaczył ciemność, wyczuł jednak, że są tam zabudowania tworzące wystrzępiony łuk. Domy. Oczywiście. Miejscowych robotników. I światła, oby motelu czy jadalni, najlepiej jednego i drugiego.

Ruszył w stronę wyjścia, z nawyku omijając plamy światła na ziemi, jednak ostatnia lampa była nie do ominięcia, ponieważ zamontowano ją dokładnie nad drzwiami. Dlatego postanowił zaoszczędzić sobie dalszego kluczenia i przedostatnią płamę pokonał z marszu, idąc przez sam środek.

Wtedy z cienia wyszła jakaś kobieta.

Ruszyła ku niemu z nagłym przypiływem energii, jakby ucieszyła się na jego widok. W mowie jej ciała widać było wyraźną ulgę.

Było, ale po dwóch krokach przestało. Bo wtedy ulga przerodziła się w zawód. Kobieta zatrzymała się jak wryta i powiedziała:

– Och.

Azjatka. Ale wcale nie drobna. Co najmniej metr siedemdziesiąt trzy, może nawet metr siedemdziesiąt pięć. I stosownie do tego zbudowana. Nigdzie ani śladu kości. Żadna tam wiotka chudzina. Jakieś czterdzieści lat, długie czarne włosy, dżinsy, podkoszulek i krótka bawełniana kurtka. Sznurowane buty.

– Dobry wieczór pani.

Patrzyła ponad jego ramieniem.

– Nikogo tam nie ma – rzucił.

Spojrzała mu w oczy.

– Wysiadłem tylko ja – dodał. – Więc znajomy pewnie nie przyjechał.

– Znajomy? – Mówiła z neutralnym akcentem. Normalną amerykańszczyzną.

Taką, jaką słyszał wszędzie.

– Czekala pani na kogoś, inaczej po co miałaby pani tu przychodzić? Bez sensu.

Wątpię, żeby o północy było tu coś do oglądania.

Kobieta milczała.

– Ale chyba nie czeka pani od siódmej.

– Nie wiedziałam, że pociąg się spóźni – odparła. – Tu nie ma zasięgu... w komórce. I nikogo, kto by coś wiedział. Ci z Pony Express są pewnie na chorobowym.

– Nie było go w moim wagonie. Ani w dwóch następnych.

– Kogo?

– Pani znajomego.

– Nie wie pan, jak on wygląda.

– To wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Dlatego wyszła pani z cienia. Myślała pani, że to on. Przynajmniej przez chwilę. A w moim wagonie takich nie było. Ani w dwóch następnych.

– O której jest najbliższy pociąg?

– O siódmej rano.

– Kim pan jest i po co pan tu przyjechał?

– Nikim. Po prostu tędy przejeżdżałem.

– Pociąg przejeżdżał. Pan nie. Pan wysiadł.

– Zna pani to miasteczko?

– Ani trochę.

– Widziała tu pani muzeum albo kamień nagrobny?

– Po co pan tu przyjechał?

– A kto pyta?

Zawahała się.

– Nikt.

– Jest tu jakiś motel?

– Ten, w którym mieszkam.

– I jak tam jest?

– Jak w motelu.

– Coś dla mnie. Mają wolne pokoje?

– Zdziwiłabym się, gdyby nie mieli.

– Dobra, wskaże mi pani drogę. Niech pani nie czeka tu całą noc. Wstaję o świcie. Zapukam do pani przed wyjściem. Miejmy nadzieję, że pani znajomy przyjedzie rano.

Kobieta nie odpowiedziała. Jeszcze raz zerknęła na milczące tory, potem odwróciła się i ruszyła do wyjścia.



Motel był większy, niż się spodziewał. Piętrowy, w kształcie podkowy, trzydzieści pokoi i od groma miejsc na parkingu. W tym tylko kilka zajętych. Słowem – puchy. Pomalowane na beżowo, zdobione sztukaterią pustaki, pokryte brązową farbą żelazne schody i poręcze. Nic specjalnego. Ale robił wrażenie czystego i zadbanego. Paliły się wszystkie żarówki. Reacher bywał w gorszych.

Biuro mieściło się na parterze, za pierwszymi drzwiami po lewej stronie. Za biurkiem siedział kierownik. Niski, starszy gość z wielkim brzuchem i szklanym okiem. Podał kobiecie klucz do pokoju 214. Ta wzięła go i bez słowa wyszła. Reacher spytał o cenę.

- Sześć dych – odparł jednooki.
- Za tydzień? – upewnił się Reacher.
- Za noc.
- Sporo jeźdź.
- To znaczy?
- Nocowałem w wielu motelach.
- No i?
- No i nie widzę tu nic, co byłoby warte sześćdziesiąt dolarów. Może dwadzieścia, ale na pewno nie sześćdziesiąt.
- Nic z tego. To drogie pokoje.
- Które?
- Te na górze.
- Mogę spać na dole.
- Nie chce pan mieszkać obok niej?
- Obok kogo?
- Pana przyjaciółki.
- Nie – odparł Reacher. – Nie muszę.
- Te na dole kosztują czterdzieści.
- Dwadzieścia. Puchy tu u was. Jeszcze trochę i wypadniecie z interesu. Lepiej zarobić dwadzieścia niż nic.

– Trzydzieści.  
– Dwadzieścia.  
– Dwadzieścia pięć.  
– Niech będzie. – Reacher wyjął z kieszeni zwitek banknotów, odliczył dziesiątkę, dwie piątki i pięć jednodolarówek. Położył pieniądze na ladzie, a jednooki wymienił je na opatrzony drewnianym brelokiem klucz do pokoju 106, który z triumfem wyjął z szuflady.

– Na końcu korytarza, w rogu – powiedział. – Koło schodów.

Jak się okazało metalowych, co znaczyło, że będą głośno szczękały pod nogami chodzących w górę i dół ludzi. Nie najlepszy pokój. Małostkowa zemsta. Ale Reacherowi było wszystko jedno. I tak zaśnie jako ostatni z gości. Nie przypuszczał, żeby ktoś wrócił do pokoju po nim. Czuł, że prześpi spokojnie całą tę cichą równinną noc.

– Dziękuję – powiedział. Wziął klucz i wyszedł.

•••

Jednooki odczekał pół minuty, podniósł słuchawkę i wybrał numer.

– Spotkała kogoś na dworcu – zameldował. – Pociąg się spóźnił. Sterczała tam pięć godzin. Przeprowadziła faceta tutaj i wynajęła pokój.

W słuchawce sucho zatrzeszczało i jednooki odparł:

– Też duży. Kawał wrednego sukinsyna. Złapał mnie za jaja z ceną za pokój. Dałem mu sto sześć, ten w rogu.

Kolejne pytanie i kolejna odpowiedź.

– Stąd nie. Jestem w biurze.

Znowu suchy trzask, pytanie tym razem zadane innym tonem i w innej kadencji. Brzmiało bardziej jak rozkaz.

– Dobra – zgodził się jednooki.

Odłożył słuchawkę, z trudem wstał, wyszedł z biura, wziął krzesło ogrodowe z wolnej sto dwójki i zawlókł je na asfaltową ścieżkę, skąd widział swoje drzwi i te do pokoju 106. „Widzisz je?” – tak brzmiało pytanie. „No to rusz dupę i usiądź tam, skąd będziesz mógł obserwować go przez całą noc” – a tak rozkaz. Jednooki zawsze słuchał rozkazów, choć bywało, że niechętnie, jak choćby teraz, gdy ustawiwszy krzesło, zwałił się ciężko na niewygodny plastik. Noc na dworze. Wolałyby robić coś innego.

...

Reacher słyszał szuranie plastiku po asfalcie, lecz nie zwrócił na to uwagi. Ot, przypadkowy nocny odgłos, nic groźnego, ani szcęk zamka strzelby wprowadzającego nabój do komory, ani syk wyjmowanego z pochwy noża, nic, co mogłoby zaniepokoić jaszczurczą część jego umysłu. Natomiast ta niejaszczurcza spodziewała się jedynie kroków obutych w sznurowane buty nóg, bo wyglądało na to, że spotkana na stacji kobieta ma mnóstwo pytań i szuka odpowiedzi. „Kim pan jest i po co pan przyjechał?”

Ale to było tylko zwykłe szur-szur po asfalcie, ani kroki, ani pukanie, dlatego nie zwrócił na to uwagi. Zdjął spodnie, ułożył je równo pod materacem, zmył pod prysznicem brud dnia i położył się. Nastawił swój biologiczny budzik na szóstą rano, przeciągnął się, ziewnął i zasnął.

...

Świt był doskonale złocisty, bez domieszki różu czy fioletu. Niebo miało kolor odbarwionego błękitu, jak stara koszula po tysięcznym praniu. Reacher wziął prysznic, ubrał się i wyszedł w nowy dzień. Zobaczył krzesło ogrodowe, puste i, co trochę dziwne, stojące na asfaltowej ścieżce, lecz nie przywiązał do tego wagi. Szedł metalowymi schodami najciszej, jak umiał, ostrożnie stawiając nogi, tak że zamiast głośno szcękać, stopnie głucho dudniły. Znalazł pokój 214 i zapukał do drzwi, stanowczo, lecz dyskretnie, jak boy w dobrym hotelu. „Budzenie, proszę pani”. Miała około czterdziestu minut. Dziesięć na przebudzenie, dziesięć na prysznic, dziesięć na dojscie. Będzie na stacji na długo przed przyjazdem porannego pociągu.

Po cichu zszedł na dół i znalazł się na ulicy, w tym miejscu na tyle szerokiej, że mogła uchodzić za plac. Dla farmerskich ciężarówek, pomyślał, powolnych i niezdarnych, zawracających i manewrujących, by ustawiać się w kolejce do wielkich wag zbożowych, punktu odbiorczego i samych elewatorów. W asfalcie odcisnęły się bieżniki opon. Duża rzecz. Coś w rodzaju ośrodka rolniczego służącego miejscowej społeczności, która w tej części Ameryki mogła mieszkać w promieniu ponad trzystu kilometrów od miasteczka. Co wyjaśniałoby obecność sporego motelu. Farmerzy zjeżdżali się ze wszystkich stron i spędzali tu noc przed podróżą pociągiem do jakiegoś wielkiego miasta albo w drodze powrotnej. Może

w określonych porach roku wszyscy przyjeżdżali tego samego dnia. Gdy w odległym Chicago zawierano kontrakty na przyszłe dostawy. Stąd trzydzieści pokoi.

Plac, szeroka droga manewrowa czy cokolwiek to było, biegła z południa na północ, od wschodu, czyli od prawej strony, ograniczona przez tory i błyszczącą infrastrukturę elewatorów, a od zachodu, czyli od strony lewej, przez coś, co wyglądało na główną ulicę miasta. Stał przy niej motel, była tam również jadłodajnia i sklep wielobranżowy. Dalej na zachód luźnym półokręgiem rozciągało się miasto. Słabo zaludnione. Rozległe, w wiejskim stylu. Tysiąc mieszkańców, może mniej.

Główną ulicą ruszył na północ, szukając szlaku, którym kiedyś ciągnęły wozy. Założył, że przecina ulicę od wschodu na zachód, inaczej nie miałoby to sensu. „Jedź na zachód, młody człowieku”. Podniecające czasy. Pięćdziesiąt metrów dalej, za ostatnim elewatozem, zobaczył przejazd kolejowy. I prostopadłą do ulicy drogę biegnącą dokładnie ze wschodu na zachód. Po prawej stronie świeciło poranne słońce, po lewej snuły się długie cienie.

Na przejeździe nie było szlabanu. Tylko czerwone światła. Stanął na torach i spojrzął na południe, skąd przyszedł. Na odcinku długości półtora kilometra – w tym bladym świetle dalej nie widział – nie dostrzegł żadnego innego przejazdu. Półtora kilometra na północ też nie. Co znaczyło, że jeśli miasteczko rościło sobie prawa do własnej arterii komunikacyjnej wschód–zachód, właśnie na niej stał.

Droga była dość szeroka, trochę wyboista, zbudowana z ziemi wybranej z płytkich rowów na poboczach. Pokryta poszarzałym ze starości grubym asfaltem, miejscami spękany na brzegach, jak zastygła lava. Idealnie prosta, od horyzontu po horyzont.

No tak. Mogąc jechać prosto, wozy jechały prosto. Dlaczego miałyby kluczyć? Nikt nie nadkłada drogi tylko dla zabawy. Prowadzący karawanę kierował się odległym punktem orientacyjnym, a pozostali jechali za nim. Rok później inny konwój znalazł ich koleiny, a dwa lata później ktoś naniósł szlak na mapę. W końcu, po stu latach tej zabawy, pojawili się robotnicy ze Stanowego Wydziału Budownictwa, a z nimi wywrotki z asfaltem.

Na wschodzie nie było nic do oglądania. Ani małego muzeum, ani marmurowego nagrobka. Tylko droga przecinająca bezkresne łąny prawie dojrzałego zboża. Lecz w przeciwnym kierunku, na zachód od torów, droga biegła przez miasto – sześć przecznic niskiej zabudowy – prawie dokładnie przez środek.

Narożna działka po prawej stronie wydłużyła się sto metrów na północ. Jak boisko futbolowe. Przedstawicielstwo firmy sprzedającej sprzęt rolniczy. Dziwaczne traktory i wielkie maszyny, wszystko nowiutkie i błyszczące. Po lewej, w małym budynku, kiedyś najpewniej zwykłym domu mieszkalnym, był sklep z artykułami weterynaryjnymi.

Reacher zawrócił i czując na plecach ciepło letnich promieni porannego słońca, ruszył starym szlakiem przez miasto na zachód.

•••

Jednooki kierownik motelu wybrał numer i zameldował:

– Znowu tam poszła. Czeka na poranny pociąg. Ilu oni jeszcze przyślą?

Odpowiedział mu długi plastikowy trzask w słuchawce, tym razem ani pytanie, ani rozkaz. Kilka słów wypowiedzianych łagodniejszym głosem. Dla zachęty. Albo dla wsparcia.

– Dobra, jasne – mruknął jednooki i rozłączył się.

•••

Reacher przeszedł sześć przecznic tam i z powrotem i zobaczył dużo rzeczy. Widział domy mieszkalne i domy przerobione na biura, centrale nasienne, centrale handlu nawozami sztucznymi i przychodnię weterynaryjną dla dużych zwierząt. Widział jednopokojową kancelarię prawniczą. Stację benzynową na skrzyżowaniu ulic, lokal do gry w bilard, sklep z piwem i lodem, sklep, w którym sprzedawano tylko gumowe kalosze i gumowe fartuchy. Widział pralnię samoobsługową, zakład wulkanizacyjny i sklep z podeszwami samoprzylepnymi.

Nie zobaczył muzeum ani pomnika.

Co jeszcze nic nie znaczyło. Ani jednego, ani drugiego nie zbudowano by przy głównej ulicy. Jeśli już, to trochę dalej, w głębi miasta, z szacunku i żeby dłużej stało.

Skręcił w boczną uliczkę, schodząc ze szlaku. Chociaż miasto rozrosło się w półokrąg, ulice krzyżowały się pod kątem prostym. Niektóre działki były cenniejsze od pozostałych. Jakby gigantyczne elewatory wytwarzały własną siłę grawitacyjną. Najdalsze zakątki były niezagospodarowane. Natomiast bliżej centrum domy stały jeden obok drugiego. Na pierwszej ulicy za szlakiem zobaczył

jednopokojowe domki, przerobione najpewniej z dawnych szop czy garaży, i rozkładane stragany dla tych, którzy poświęcili część działki na uprawę warzyw i owoców. Był tam również skład pocztowy z oddziałem Western Union, MoneyGram, FedExu, UPS-u i DHL-u, a także z faksem i punktem kserograficznym. Tuż obok mieściło się biuro dyplomowanego księgowego, lecz robiło wrażenie opuszczonego.

Ani muzeum, ani pomnika.

Mijając po drodze niskie budy, zakład naprawy silników wysokoprężnych i niezabudowane działki porośnięte cienkim jak włos zielskiem, obejrzał wszystkie posesje, jedną po drugiej. Wyszedł na drugim końcu głównej ulicy. Zwiedził pół miasta. Wciąż ani muzeum, ani pomnika.

Wtedy zobaczył poranny pociąg. Zgrzany, zniecierpliwiony i strapiony, że musi się zatrzymać. Reacher nie widział, czy ktoś wysiadł. Za dużo zabudowań.

Był głodny.

Poszedł prosto przed siebie, przeciął drogę manewrową, minął sklep wielobranżowy i doszedłszy do miejsca, z którego wyruszył, wstąpił do jadłodajni.

•••

A wówczas dwunastoletni wnuczek kierownika motelu wpadł chyłkiem do sklepu i podbiegł do automatu telefonicznego tuż za drzwiami. Wrzucił monetę, wybrał numer i powiedział:

– Przeczesał miasto. Śledziłem go. Czegoś szuka. Ulica po ulicy.

Jadłodajnia, choć czysta, przytulna i ładnie urządzona, była przede wszystkim miejscem pracy, gdzie z maksymalną prędkością wymieniano pieniądze na kalorie. Reacher usiadł przy dwuosobowym stoliku w prawym rogu, plecami do zbiegających się ścian, żeby widzieć całą salę. Mniej więcej połowa miejsc była zajęta, głównie przez ludzi, którzy posilali się przed długim dniem pracy fizycznej. Nadeszła kelnerka, zabiegana, lecz profesjonalnie cierpliwa, i zamówił standardowe śniadanie, to znaczy pankejki i jajka na bekonie, lecz przede wszystkim kawę, jak zawsze i wszędzie.

Kelnerka poinformowała go, że w jadłodajni obowiązuje zasada „kubka bez dna”.

Powitał tę wiadomość z radością.

Pił właśnie drugi, gdy weszła kobieta ze stacji. Sama.

Przystanęła w progu i jakby się zawahała, ale potem rozejrzała się, zobaczyła go i ruszyła w jego stronę. Usiadła na wolnym krześle naprzeciwko. Z bliska i w świetle dnia wyglądała jeszcze lepiej niż nocą. Ciemne żywe oczy, inteligencja i poczucie celu na twarzy. To i niepokój.

- Dziękuję, że pan zapukał – powiedziała.
- Cała przyjemność po mojej stronie.
- Mój znajomy nie przyjechał.
- Dlaczego pani mi to mówi?
- Bo pan coś wie.
- Tak?
- Po co innego wysiadałby pan z pociągu?
- Może tu mieszkam.
- Nieprawda.
- Może jestem farmerem.
- Nie.
- Nie?
- Nie sądzę.

– Dlaczego?

– Nie miał pan bagażu. Co znaczy, że nie jest pan od pokoleń przywiązany do tego samego skrawka ziemi. Przeciwnie.

Reacher milczał przez chwilę, w końcu spytał:

– Kim pani właściwie jest?

– Nieważne. Ważne jest to, kim jest pan.

– Zwykłym przejeźdnym.

– Nie uwierzę, dopóki nie dowiem się czegoś więcej.

– A ja nic nie powiem, dopóki nie dowiem się, kto pyta.

Kobieta nie odpowiedziała. Kelnerka przyniosła śniadanie. Pankejki i jajka na bekonie. Syrop stał na stole. Kelnerka dołąła mu kawy. Reacher sięgnął po sztucce.

Kobieta ze stacji położyła wizytówkę na stole. Przesunęła ją po lepkim drewnie. Na wizytówce widniała rządowa pieczęć. Niebiesko-złota.

Federalne Biuro Śledcze. Agentka specjalna Michelle Chang.

– To pani? – spytał.

– Tak – odparła.

– Miło mi panią poznać.

– Mnie pana również. Chyba.

– Dlaczego interesuje się mną agentka specjalna FBI?

– Była.

– Słucham?

– Była agentka. Już tam nie pracuję. To stara wizytówka. Wzięłam kilka na odchodne.

– Tak można?

– Chyba nie.

– Mimo to pokazała mi ją pani.

– Żeby zwrócić pana uwagę. I dla większej wiarygodności. Teraz jestem prywatnym detektywem. Ale nie takim, który pstryka zdjęcia w hotelach. Chcę, żeby pan to zrozumiał.

– Dlaczego?

– Muszę wiedzieć, dlaczego pan tu przyjechał.

– Traci pani czas. Nie wiem, o co chodzi, ale to zupełny przypadek.

– Nie przyjechał pan do pracy? Może jesteśmy po tej samej stronie. I obydwoje tracimy czas.



– Nie, nie przyjechałem do pracy. I nie jestem po niczyjej stronie. Jestem zwykłym przejezdny.

– Na pewno?

– Na sto procent.

– Dlaczego mam panu wierzyć?

– A kto pani każe?

– Niech pan spojrzy na to z mojego punktu widzenia.

– Co pani robiła przed wstąpieniem do FBI?

– Byłam policjantką w Connecticut. Patrolowałam ulice.

– Świetnie. Bo ja służyłem w żandarmerii. Tak się złożyło. A więc pokrewne z nas dusze. Tak jakby. Daję pani słowo dżentelmena. Jestem tu przypadkiem.

– W jakiej żandarmerii pan służył? – spytała.

– Wojskowej.

– Czym się pan zajmował?

– Głównie tym, czym musiałem. Wszystkim po trochu. Oszustwami, kradzieżami, zabójstwami, zdradą stanu. Tym, co ludzie robią, jeśli im się na to pozwoli. Byłem śledczym. Najczęściej.

– Jak się pan nazywa?

– Jack Reacher. Emerytowany major. Ze Sto Dziesiątej Specjalnej Jednostki Dochodzeniowej. Ja też straciłem pracę.

Chang powoli skinęła głową i chyba trochę się odprężyła. Ale nie do końca.

– Na pewno pan tu nie pracuje? – spytała, tym razem łagodniej.

– Na pewno – odparł.

– Co pan teraz robi?

– Nic.

– Jak to?

– Po prostu. Podróżuję. Jeżdżę tu i tam. Oglądam. Chodzę, gdzie chcę.

– Cały czas?

– Mnie to pasuje.

– Gdzie pan mieszka?

– Nigdzie. Na świecie. Dzisiaj w Matczynym Spoczynku.

– Nie ma pan domu?

– Po co? Nigdy by mnie tam nie było.

– A tutaj? Był pan tu kiedyś?

– Nie.

– Więc dlaczego przyjechał pan akurat teraz? Przecież mówi pan, że nie do pracy.

– Zwykły przypadek. Wysiadłem dla kaprysu, zaintrygowała mnie ta nazwa.

Chang milczała przez chwilę, a potem uśmiechnęła się, niespodziewanie i trochę rzewnie.

– Wiem – powiedziała. – Jakbym widziała ten film. Końcowe ujęcie: duże zbliżenie przekrzywionego krzyża z dwóch zbitych gwoździami desek, napis wypalony rozgrzanym w ognisku pogrzebaczem, a w tle turkot kół odjeżdżającego wozu. Turkot stopniowo cichnie i pojawiają się napisy końcowe.

– Myśli pani, że umarła tu jakaś staruszka?

– Dla mnie tak.

– Ciekawe.

– A dla pana?

– Nie wiem. Mogła zatrzymać się tu, na przykład, młoda kobieta w ciąży. Urodziła, miesiąc odpoczywała i pojechała dalej. A dziecko zostało senatorem albo kimś takim.

– Ciekawe – powiedziała Chang.

Reacher przekłuł żółtko, nabił kawałek bekonu na ociekający widelec i włożył go do ust.

•••

Dziewięć metrów dalej bufetowy wybrał numer na ściennym automacie telefonicznym.

– Wróciła sama – zameldował. – Od razu podeszła do tego z wczoraj i teraz gadają. Oni coś knują, kombinują, wspomnisz moje słowa.

W jadalni ubyłoby gości. Śniadaniowa nawałnica przetaczała się tu najwidoczniej o świcie. Rolnictwo. Ciężki chleb, tak jak wojsko. Nadeszła kelnerka. Chang zamówiła kawę i drożdżówkę, a Reacher dokończył śniadanie.

– Więc czym zajmuje się prywatny detektyw, kiedy nie robi zdjęć w hotelach? – spytał.

– Oferujemy szeroki wachlarz wyspecjalizowanych usług – odparła Chang. – Zbieramy materiały dla korporacji, no i oczywiście siedzimy w zabezpieczeniach sieciowych, zwłaszcza ostatnio, ale zapewniamy również bezpieczeństwo osobiste. Ochronę bezpośrednią. Bogaci się bogacą, a biedni biednieją, to dla nas dobrze. Chronimy także budynki. Udzielamy porad, sprawdzamy dane osobowe, robimy ocenę zagrożeń, prowadzimy dochodzenia w sprawach ogólnych.

– Po co pani tu przyjechała?

– Prowadzimy operację na tym terenie.

– Jaką?

– Nie mogę powiedzieć.

– Dużą?

– Mamy tu swojego człowieka. Przynajmniej myślałam, że mamy. Przysłano mnie jako wsparcie.

– Kiedy?

– Przyjechałam wczoraj. Pracuję teraz w Seattle. Doleciałam samolotem najdalej, jak mogłam, potem wynajęłam samochód. To była koszmarna podróż. Te drogi nie mają końca.

– I pani znajomego już nie było.

– Nie. Nie było.

– Myśli pani, że gdzieś wyjechał i wróci pociągiem?

– Oby. Mam nadzieję, że tak.

– A niby co miałyby się z nim dziać? Dziki Zachód to już przeszłość.

– Wiem. Pewnie nic mu nie jest. Pracuje w Oklahoma City. Mógł wrócić, żeby coś załatwić. Pociągiem, ze względu na te drogi. Skoro wyjechał pociągiem, to

przyjedzie pociągiem. Musi. Wiem, że nie ma tu samochodu.

– Próbowwała pani się do niego dodzwonić?

Chang kiwnęła głową.

– W sklepie wielobranżowym jest automat. Ale nikt u niego nie odbiera, a komórka nie odpowiada.

– Brak zasięgu. Co znaczy, że w Oklahoma City go nie ma.

– Pojechaliby gdzieś dalej? Tutaj? Bez samochodu?

– Mnie pani pyta? To pani operacja, nie moja.

Chang umilkła. Znowu nadeszła kelnerka i Reacher rozpoczął wczesny lunch, zamawiając kawałek ciasta brzoskwiniowego. I jeszcze trochę kawy. Kelnerka miała zrezygnowaną minę. Wprowadzona przez szefa zasada „kubka bez dna” w tym przypadku została poddana próbie.

– Miał mnie wprowadzić – powiedziała Chang.

– Kto? Ten znajomy?

– Tak.

– Wprowadzić w sprawę?

– Powiedzmy.

– Co pani wie?

– Nazywa się Keever. Pracuje w biurze w Oklahoma City. Ale jesteśmy w tej samej sieci. Dlatego widzę, co robi. Prowadzi parę dużych spraw. Ale żadnej tutaj. Przynajmniej tak wynika z komputera.

– Dlaczego to akurat pani miała udzielić mu wsparcia?

– Byłam wolna. Sam do mnie zadzwonił.

– Stąd?

– Na pewno. Powiedział mi dokładnie, jak się tu dostać. I że tu aktualnie przebywa.

– To była rutynowa prośba?

– W sumie tak. Zgodna z procedurą.

– A więc nie złamał procedury, tylko niczego nie odnotował w komputerze?

– Tak.

– Co znaczy...

– Że to jakaś drobnostka. Przysługa dla znajomego, coś za tak marne grosze, że nie zawiadomił szefa. Na pewno nie chodziło o pieniądze. Bo jeśli nie ma pieniędzy, nie ma i sprawy. Ale potem z drobnostki musiało zrobić się coś większego. Na tyle dużego, że poprosił o wsparcie.

– A więc z małej sprawy zrobiła się duża, tak? Na przykład jaka?  
– Nie mam pojęcia. Miał mnie dopiero wprowadzić.  
– Nie domyśla się pani?  
– Czego pan właściwie nie rozumie? Robił to hobbystycznie, prywatnie, w tajemnicy, i miał mi o tym opowiedzieć, kiedy przyjadę.

– Jak brzmiał przez telefon?  
– Mówił swobodnym głosem. Prawie przez cały czas. Ale chyba mu się tu nie podobało.

– Tak powiedział?  
– Nie, takie odniosłam wrażenie. Kiedy tłumaczył, jak tu trafić, brzmiało to tak, jakby mnie przepraszał, że muszę jechać do jakiegoś dziwnego, ponurego miasta.

Reacher tego nie skomentował.

– Wy, wojskowi, za bardzo kierujecie się chyba ścisłymi danymi, żeby myśleć tym torem.

– Nie, właśnie miałem się z tym zgodzić – powiedział. – Nie podobał mi się na przykład sklep z gumowymi fartuchami i łąził za mną jakiś dziwny dzieciak. Dziś rano, dziesięć, dwanaście lat. Chłopiec. Pewnie opóźniony w rozwoju, bardzo nieśmiały. Zaciekał go obcy. Ilekroć się oglądałem, próbował się kryć.

– Nie wiem, czy to dziwne, czy smutne.  
– I nie ma pani absolutnie żadnych informacji?  
– Nie, czekam na Keevera.  
– Co znaczy, że musi pani chodzić na stację.  
– Dwa razy dziennie.  
– Długo pani tak wytrzyma?  
– Bardzo pan obcesowy.  
– Żartowałem. Przez coś takiego przydarzały mi się same najgorsze rzeczy, pani chyba też, patrolowała pani ulice. Brak łączności. Nieodebrana wiadomość. Tak myślę. Pewnie dlatego, że komórki nie mają tu zasięgu. Ludzie już sobie bez nich nie radzą.

– Dam mu dwadzieścia cztery godziny – zdecydowała Chang.

– Mnie już chyba nie będzie – powiedział. – Wyjadę wieczornym pociągiem.

Zostawił ją w jadłodajni i wrócił na stary szlak, żeby zwiedzić resztę miasta. Przed sklepem z artykułami weterynaryjnymi odwrócił się, jeszcze raz sprawdził lewą stronę ulicy, wszystkie sześć przecznic, i nie dostrzegł nic interesującego. Dziwny dzieciak zniknął. Reacher poszedł dalej, sto, dwieście metrów w głąb prerii, na wypadek gdyby tory przesunęły centrum miasta na wschód, pozostawiając za sobą ewentualne zabytki. Jeśli Chang miała rację i rzeczywiście umarła tu jakaś staruszka, jej grób mógł być zupełnie niewidoczny, tym bardziej z oddali. Niski nagrobek, kamienna płyta, żelazne ogrodzenie wysokości trzydziestu, czterdziestu pięciu centymetrów, a wszystko to w morzu zielska, co najwyżej z wyciętą w chaszczech ścieżynką.

Ale nie znalazł ani ścieżynki, ani nagrobka, ani żelaznego ogrodzenia. Niczego większego też tam nie było. Choćby muzeum. Czy tablicy z informacją, że jest to miejsce o znaczeniu kulturowym i historycznym. Zawrócił i zaczął przeczesywać południową ćwiartkę miasta, ulicę po ulicy, poczynając od tej biegnącej ze wschodu na zachód wzdłuż starego szlaku. Wyglądała prawie tak samo jak jej północny odpowiednik, z tym że było tam chyba więcej małych domków przerobionych z szop i garaży, a mniej straganów z owocami. I wciąż nic, ani kamiennego pomnika, ani muzeum. Przynajmniej nie tam, gdzie dyktowałyby to logika. Miejsce „matczynego spoczynku” nie zawsze leżało na skrzyżowaniu szlaków. Znalazło się tam dopiero wtedy, kiedy zbudowano tory. Przedtem było tylko małą kropką na poboczu ciągnących się bez końca, prostych jak strzała kolein na prerii. To nagrobek lub legenda stworzyły miasto. Które rozrosło się wokół nich jak perła wokół ziarnka piasku.

Z tym że nie mógł nic takiego znaleźć. Ani kamienia nagrobnego, ani muzeum. Przynajmniej tam, gdzie powinny być, to znaczy, w przyzwoitej odległości od starego szlaku. Takiej, żeby idąc tam, miało się poczucie, że jest to wycieczka albo pielgrzymka. Dzisiaj byłaby to mniej więcej długość jednej przecznicy, ale nic tam nie znalazł.

Poszedł dalej, przeczesując miasteczko kwartał po kwartale, tak jak przedtem. Widział rzeczy podobne do tych w północnej części miasta i powoli zaczynał je rozumieć. Przecznica po przecznicy, stopniowo otwierała się przed nim cała okolica. Był to ośrodek handlowy obsługujący liczną i rozproszoną społeczność rolniczą. Sprowadzano tu różne maszyny i wysyłano olbrzymie ilości produktów. Głównie zboża. Ale były tu także pastwiska. Najwyraźniej. Stąd firmy zaopatrzeniowe i przychodnia weterynaryjna dla dużych zwierząt. Sklep

z gumowymi fartuchami pewnie też. Niektórym wiodło się dobrze i ci kupowali błyszczące nowe traktory, innym wiodło się gorzej, więc naprawiali stare diesle i przyklejali nowe podeszwy do butów.

Ot, zwykłe miasto, jak wiele innych.

Lato miało się ku końcowi, dzień wciąż był złocisty, słońce ciepłe, lecz nie gorące, więc ciesząc się spacerem, szedł dalej, aż stwierdził, że wszędzie był już po dwa razy i po dwa razy wszystko widział.

Oprócz pomnika i muzeum.

I tego dziwnego chłopaka.

Zobaczył za to kogoś, kto dziwnie na niego spojrział.

Było to dwa kwartały od starego szlaku, na równoległej do niego bocznej ulicy, od której po jednej stronie odchodziło pięć zabudowanych przecznic, a po drugiej cztery. W miejscu, gdzie kraniec miasta zaczynał się zaokrąglać. Mieścił się tam bank i spółdzielcza kasa pożyczkowa. Były tam małe wolno stojące warsztaty, wszystkie prowadzone przez właścicieli, zakład ostrzenia narzędzi, zakład naprawczy skrzyń biegów, a nawet zakład fryzjerski z podświetlanym słupem reklamowym. Ale uwagę Reachera zwrócił sprzedawca ze sklepu z częściami zamiennymi do urządzeń irygacyjnych różnych marek. Nie był chuchrem i siedział za kasą w tym malutkim sklepie jak sardynka w puszcze. Nie należał do ułomków. Patrzył na ulicę i na widok przechodzącego nieznanego dziwnie błysnął oczami i wyciągnął rękę do góry i za siebie. Reacher nie widział, po co. Siłą rozpędu poszedł dalej. Przednia część jego mózgu nie zwróciła na to uwagi. Ale tylna zaczęła marudzić. Dlaczego sprzedawca tak zareagował?

To proste. Zobaczył nową twarz. Kogoś obcego. Kogoś, kto tu nie pasował.

Ale po co wyciągnął rękę? Po broń?

E tam! Przypadkowy przechodzień. Nie stanowi bezpośredniego zagrożenia. Poza tym nikt nie wie, na ścianie kija baseballowego czy starej czterdziestki piątki. Nie na widoku. Pod ladą to co innego. Zresztą czy praca w sklepie z częściami zamiennymi do urządzeń irygacyjnych jest aż tak niebezpieczna? Kijów baseballowych i rewolwerów używa się w barach, sklepach spożywczych i aptekach.

Więc po co sięgał?

Najprawdopodobniej po słuchawkę. Starego ściennego telefonu. Dla wygody zamontowanego na wysokości ramienia. Sięgnął przez ramię, bo za kasą było zbyt ciasno, żeby się odwrócić.

Ale po co miałby gdzieś dzwonić? Czy widok obcego jest wydarzeniem tak niezwykłym, że trzeba natychmiast się tym podzielić?

Może nagle coś mu się przypomniało? Może musiał zadzwonić gdzieś służbowo? W sprawie jakiejś przesyłki.



Albo kazano mu meldować, kiedy kogoś zobaczy.

Na przykład kogo?

Kogoś obcego.

Niby kto mu kazał?

Może ten dziwny dzieciak też miał z tym coś wspólnego. Może była to próba inwigilacji. Między demonstracyjną nieśmiałością i czystą niekompetencją jest cienka granica.

Reacher przystanął na szerokiej drodze i obrócił się wokoło.

Nikogo. Żywego ducha.

•••

Doszedł do wniosku, że dobrze by mu zrobił kubek kawy i wrócił do jadłodajni. Chang wciąż tam była, przy tym samym stoliku. Od rana prawie do południa. Zmieniła tylko krzesło i siedziała teraz oparta o zbiegające się ściany. Tak jak on z rana. Przeszedł przez salę i usiadł przy sąsiednim stoliku, bokiem do niej, przodem do wejścia. Głównie z nawyku.

– Miły poranek? – spytał.

– Czuję się jak w niedzielę na pierwszym roku studiów. Nie mam komórki, nie mam nic do roboty.

– Ten znajomy skontaktował się przynajmniej z biurem?

Zacząła coś mówić, ale urwała. Rozejrzała się i popatrzyła na siedzących w sali gości, jakby liczyła potencjalnych świadków czegoś, co mogło okazać się wstydliwym wyznaniem. Potem uśmiechnęła się szeroko, po trosze zuchwale, po trosze smutno i konspiracyjnie.

– Chyba trochę to upiększyłam

– Ale co? – Reacher nie rozumiał.

– Nasze biuro w Oklahoma City mieści się w pokoju gościnnym Keevera. Tak jak moje w Seattle. Na naszej stronie internetowej można przeczytać, że mamy przedstawicielstwa w całym kraju. Co jest prawdą. Bo wszędzie znajdzie pan byłego agenta FBI z pokojem gościnnym i niezapłaconymi rachunkami. Jesteśmy organizacją o niezbyt rozbudowanej strukturze. Innymi słowy, nie mamy personelu wsparcia. A Keever nie musi się nikomu meldować.

– Mimo to prowadzi duże sprawy.

Chang kiwnęła głową.

– Jesteśmy uczciwi i robimy dobrą robotę. Ale interes to interes. Niskie koszty stałe to klucz do wszystkiego. Niskie koszty i porządna strona internetowa. Nikt nie wie, jak duzi czy mali jesteśmy.

– Jakiej sprawy mógłby się podjąć hobbystycznie?

– Tak, też o tym myślałam. Na pewno nie robi niczego dla korporacji. W korporacji nie ma czegoś takiego jak mała sprawa. Niektóre są jak maszynka do robienia pieniędzy. Nic, tylko kręcić, proszę mi wierzyć. To tak, jak przyznać sobie złoty medal. Więc nie, ten klient musi być prywatny. Płaci gotówką albo czekiem. Za coś niekoniecznie mętnego, ale pewnie nudnego, możliwe, że dokumentnie pokręconego.

– Tylko że Keever prosił o wsparcie.

– Tak jak mówiłam, zaczęło się od czegoś małego, a potem to go przerosło.

– Albo pokręcona sprawa przestała być pokręcona.

– Albo jeszcze bardziej się pokręciła.

Nadeszła kelnerka z drugim tego dnia kubkiem bez dna. Reacher zapłacił z góry, cztery razy więcej, niż zażądała. Kawa była dobra, kelnerka miła.

– A pan? – spytała Chang. – Jak pan spędził poranek?

– Nie znalazłem ani grobu staruszki, ani nic o dziecku.

– Myśli pan, że ten grób wciąż tu jest?

– Na pewno. Mają tu dużo miejsca. Przecież nie zalaliby go asfaltem. A miejsce na pamiątkową tablicę zawsze się znajdzie. Są wszędzie. Robią je chyba z żeliwa i malują na brązowo. Nie wiem kto. Może ci z Departamentu Spraw Wewnętrznych. Ale tu takiej nie ma.

– Rozmawiał pan z miejscowymi?

– To następny punkt na liście.

– Niech pan zacznie od kelnerki.

– Jest zawodowo zobowiązana do szerzenia propagandy. Żeby wieść się rozniosła i lokal stał się atrakcją turystyczną.

– Jak dotąd, chyba się nie rozniosła.

– Myśli pani, że wielu ludzi o to pyta?

– Pewnie pięciu na dziesięciu turystów. Z tym że tylu przyjeżdża tu w ciągu jedenastu lat. Wysoki procent, niska częstotliwość. Zależy, co pan rozumie przez „wielu”.

Kelnerka ruszyła ku nim z pierwszą na tym posiedzeniu dolewką dla Reachera i korzystając z tego, Chang spytała:

– Dlaczego to miasto nazywa się Matczyny Spoczynek?

Przenosząc ciężar ciała na jedną nogę i wypinając biodro, jak zmęczona kobieta, kelnerka przystanąła z dzbankiem na wysokości talii. Pszeniczne włosy, rumiana twarz – mogła mieć zarówno trzydzieści pięć, jak i pięćdziesiąt lat i być uginającą się pod ciężarem wieku chudziną lub zażywną niewiastą, którą spalała praca. Trudno było powiedzieć. Ale wyglądało na to, że bardzo ją ucieszył ten krótki odpoczynek, ponieważ Reacher był już jej najlepszym przyjacielem, ponieważ dostała suty napiwek i ponieważ zadano jej pytanie, które nie było ani obraźliwe, ani nudne.

– Tak sobie myślę – odrzekła – że w podzięce za wszystko to, co dla niego zrobiła, wdzięczny syn z dalekiego miasta zbudował tu mały wiejski domek dla mamy, żeby mogła spokojnie dożyć w nim swoich dni. A potem pojawiło się kilka sklepów, żeby mogła kupić potrzebne rzeczy, potem jeszcze więcej domów, aż w końcu powstało miasto.

– Czy to oficjalna wersja? – spytał Reacher.

– Nie wiem, skarbie – odparła kelnerka. – Jestem z Missisipi. Nie mam pojęcia, jakim cudem tu trafiłam. Spytaj tego za ladą. On przynajmniej urodził się w tym stanie.

I szybko odeszła, jak to kelnerka.

– To była propaganda? – spytała Chang.

Reacher kiwnął głową.

– Ale kreatywna, nie marketingowa. Ona musi trzymać się programu. Albo powinna pisać scenariusze. Widziałem raz taki film w telewizji. W motelu. Za dnia.

– Spytały bufetowego?

Reacher zerknął przez ramię. Bufetowy był zajęty.

– Najpierw znajdę parę osób z krwi i kości. Na spacerze widziałem kilku kandydatów. Potem gdzieś się zdrzemnę. Albo pójdę do fryzjera. Może zobaczymy się na stacji, o siódmej. Pani znajomy wysiądzie, a ja pojedę dalej.

– Nawet jeśli nie dowie się pan, skąd ta nazwa?

– To nie takie ważne. Niewarte chodzenia i wypytywania. Będę trzymał się swojej wersji. Albo pani, zależnie od nastroju.

Chang milczała, więc dopił kawę, wstał i ruszył do drzwi. Wyszedł na dwór. Słońce wciąż grzało. Następnym punktem na liście. Ktoś z krwi i kości. Postanowił

zacząć od sprzedawcy ze sklepu z częściami zamiennymi do urządzeń irygacyjnych.

Facet wciąż tkwił za kasą. Miał tylko sześćdziesiąt centymetrów miejsca na nogi, a to mało. Wzrostu i budowy Reachera, choć obwisły i nalany, w wielkiej jak namiot cyrkowy koszuli, był przepasany nieprawdopodobnie nisko zapiętym pasem, który ginął pod brzuchem wielkości bębna. Miał bladą twarz i bezbarwne włosy.

Na ścianie wisiał telefon, za jego prawym ramieniem. Ale nie zabytkowy aparat z tarczą i kablem w spiralę, tylko nowoczesny, bezprzewodowy, z przyśrubowaną do ściany stacją bazową i słuchawką na widełkach. Wystarczyło, żeby sięgnął za siebie, zupełnie na oślep, wymacał słuchawkę i od razu miał przed sobą wszystkie numery. Mógł je wybrać natychmiast, a w każdym razie szybko. Na stacji bazowej było dziesięć plastikowych okienek, pięć zajętych, pięć wolnych. W tych zajętych tkwiły chyba karteczki z nazwami marek sprzętu, który sprzedawał. Numery do biura porad technicznych albo do działu usług i sprzedaży.

– Czym mogę służyć? – spytał.

– Czy my się znamy? – odparł Reacher.

– Chyba nie. Na pewno bym pamiętał.

– Mimo to, kiedy tędy przechodziłem, podskoczył pan tak wysoko, że omal nie grzmotnął pan głową w sufit. Dlaczego?

– Poznałem pana ze starych zdjęć.

– Ze zdjęć?

– Z Uniwersytetu Stanowego Pensylwanii, rocznik osiemdziesiąty szósty.

– Byłem za głupi, żeby tam studiować.

– Grał pan w futbol. Był pan wspomagającym, wszyscy o panu mówili. Pisano o panu w gazetach sportowych. Uważnie to wtedy śledziłem. Zresztą teraz też śledzę. Oczywiście wygląda pan starzej... jeśli mogę tak powiedzieć.

– Dzwonił pan gdzieś?

– Kiedy?

– Kiedy mnie pan zobaczył.

- Po co miałbym dzwonić?
- Widziałem, jak sięga pan po słuchawkę.
- Może musiałem odebrać. Dzwonią do mnie cały czas. Jeden chce tego, drugi tamtego.

Reacher kiwnął głową. Słyszałby dzwonek? Może i nie. Drzwi były zamknięte, telefon nowoczesny, elektroniczny, z regulowaną głośnością, w tak ciasnym pomieszczeniu pewnie wyciszony. Zwłaszcza jeśli cały czas dzwonił. Tuż przy uchu. Głośny dzwonek może wkurzać.

- Jaką ma pan teorię na temat pochodzenia nazwy tego miasta? – spytał.
- Teorię? – Sprzedawca nie zrozumiał.
- Dlaczego nazywa się tak, jak się nazywa?
- Naprawdę nie wiem, proszę pana, nie mam pojęcia. W Stanach pełno jest dziwnych nazw. W całym kraju, nie tylko tutaj.
- Nic panu nie zarzucam. Po prostu bardzo mnie to zaciekawiło.
- Nie, nie znam żadnych teorii.

Reacher skinął głową.

- Życzę miłego dnia – dodał sprzedawca.
  - Panu też. I gratuluję ładnego sklepiku... jeśli mogę tak powiedzieć.
- Reacher przecisnął się przez drzwi i na chwilę przystanął w słońcu.

...

Odwiedził jeszcze dwunastu z trzynastu sklepikarzy, co łącznie z wersją kelnerki dało mu czternaście opinii. Nie było konsensusu. Szczerze mówiąc, ośmioro czułych na krytykę sprzedawców nie wyraziło nawet opinii, bo trudno tak nazwać wzruszenie ramionami, tępe spojrzenie czy nutkę niechęci w głosie. „W Stanach jest mnóstwo dziwacznych nazw”. Co wyróżnia Matczyny Spoczynek w kraju, gdzie są miasta takie jak „Dlaczego” i „Dlaczego nie”, „Wypadkowe” i „Osobliwe”, „Święty Mikołaj” i „Bezimienne”, „Nudne” i „Serowe”, „Prawda” i „Konsekwencje”, „Małpie Brwi” i „Okay”, „Zwykłe” i „Placek”, „Słodkie Usta” i „Ropusze Wargi”?

Pozostałych sześciu przedstawiło różne wariacje na temat fantazji kelnerki. Jego chyba też. I fantazji Chang. Ludzie przyglądali się nazwie i wymyślali pasujące do niej urokliwe scenariusze. Nie było mocnych dowodów. Nikt nie słyszał o pomniku, muzeum, tablicy czy choćby starej legendzie.

Reacher szedł niespiesznie w kierunku drogi manewrowej, myśląc: drzemka czy fryzjer?

...

Jako pierwszy zadzwonił sprzedawca ze sklepu z częściami zamiennymi. Był pewny, że załatwił to skutecznie starą sztuczką z futbolem. Nauczył się jej przed laty. Wystarczyło wybrać dobrą drużynę uniwersytecką, która w tym a w tym roku miała niezłe wyniki, i większość mężczyzn była za bardzo połączona, żeby coś podejrzewać. W ciągu godziny trzech innych sklepikarzy zadzwoniło z podobnym meldunkiem. Tylko bez futbola. Jednak jeśli chodzi o samą treść, obraz był jasny i wyraźny. Wszystkie telefony trafiały do jednookiego kierownika motelu, który poukładawszy w głowie zebrane informacje, wybrał zamiejscowy numer i powiedział:

– Zaczęli. Że niby zainteresowała ich nazwa miasteczka. Ten wysoki łązi i wypytuje.

Otrzymał trzeszczącą jak plastik odpowiedź, spokojną, familiarną i kojącą.

– No dobra – powiedział z wahaniem i odłożył słuchawkę.

...

W zakładzie fryzjerskim były dwa fotele i jeden fryzjer. Stary, ale ponieważ nie trzęsły mu się ręce, Reacher przyjął gorący ręcznik i kazał się ostrzyć, nożyczkami, krótko z tyłu i po bokach, trochę dłużej z przodu i na górze, z cieniowaniem. Włosy miały taki sam kolor jak zawsze. Były trochę rzadsze, ale wciąż były. Stary golibroda sprawił się całkiem niezłe. Reacher spojrzął w lustro i zobaczył wpatzonego w siebie Reachera, czystutkiego, rześkiego i odświeżonego. Strzyżenie kosztowało jedenaście dolarów – uznał, że to przyzwoita cena.

Potem wrócił do motelu i na asfaltowej dróżce zobaczył samotne krzesło ogrodowe, które widział już wcześniej. Białe, plastikowe. Podniósł je i postawił po prawej stronie krawężnika, na skrawku trawy przy ogrodzeniu. Tam nie rzucało się w oczy. Nikomu nie przeszkadzało. Obrócił je nogą pod słońce. Potem usiadł, odchylił się na oparcie i zamknął oczy. Chłonąc ciepło. I w pewnym momencie zasnął, latem na dworze, co było jego drugim najlepszym sposobem zasypiania.

Przyszedł na stację całą godzinę wcześniej, o szóstej, po części dlatego, że słońce było już za nisko, by się w nim wygrzewać, po części dlatego, że lubił przychodzić wcześniej. I mieć czas na analizowanie szczegółów. Nawet czegoś tak prostego jak wsiadanie do pociągu.

Elewatory wciąż spały, ciche i nieruchome, pewnie jeszcze puste – czekały na żniwa. Olbrzymi magazyn był zamknięty. Tory milczały. Rtęciówki już się paliły, ścigając się z powoli zapadającym zmierzchem. Zachodnie niebo wciąż się złociło, ale reszta tonęła w ciemności. Niedługo nadejdzie noc, pomyślał.

Malutki dworzec był otwarty, lecz opustoszały. Reacher wszedł do środka. Wszędzie drewno, wiele razy malowane na jasny odcień beżu, jak w budynkach państwowych. I zapach, jaki czuje się w drewnianych domach o zachodzie słońca po długim gorącym dniu. Do tego duchota i kurz.

Okienko kasowe było łukowate, lecz małe, dlatego kameralne. Miało okrągły otwór w szybie, przez który się rozmawiało. Ale za szybą wisiała zasłona. Brązowa, harmonijkowa. Z taniego winylu. Z napisem „Zamknięte”, nadrukowanym farbą przypominającą listki złota.

W krótkim korytarzu były toalety. Na środku poczekalni stół, na którym leżała gazeta sprzed sześciu dni. Pod sufitem wisiały lampy, mleczone żarówki w szklanych kloszach, ale brakowało włącznika. Przy drzwiach, gdzie powinien być, przybito tabliczkę z przyklejonym do niej napisem: „O światło prosić kasjera”.

Ławki były wspaniałe. Miały ze sto lat. Z litego mahoni, z oparciami, bardzo proste, tylko z grubsza dopasowane do sylwetki człowieka i na błysk wypolerowane przez lata użytkowania. Reacher wybrał miejsce i usiadł. Forma pasowała lepiej, niż się spodziewał. Surowa i purytańska, ale bardzo wygodna. Stolarz zrobił dobrą robotę, misterną. A może to drewno zrezygnowało z walki i zamiast stawiać opór, uległo, nauczyło się przyjmować to, co musiało. Od wszystkich tych kształtów i rozmiarów, ciężarów i temperatur. Dosłownie sprasowane pod ciśnieniem, jak w przemysłowej prasie, tyle że bardzo, bardzo



powoli. Czy to możliwe w przypadku drewna tak twardego jak mahoni? Reacher nie wiedział.

Siedział nieruchomo.

Na dworze zapadła ciemność. Dlatego zapadła i w poczekalni. „O światło prosić kasjera”. Siedział w mroku i patrzył w okno. Gdzieś tam była Chang. W cieniu. Jak przedtem. Mógłby jej poszukać. Tylko po co? Nie zamierzał wygłaszać długiej, płomiennej przemowy. A pięć minut gadki o niczym niczego by nie zmieniło. Podróżował. Jeździł z miejsca do miejsca. Ludzie przychodzili i odchodzili. Już do tego przywykł. Wielkie mecyste. Wystarczy pomachać na do widzenia, kiedy będzie wsiadał do pociągu. Zresztą Chang może być już wtedy zajęta rozmową z Keeverem, ciągnąc go za język, pytając, gdzie się, do diabła, podziewał.

Pod warunkiem że przyjedzie.

Reacher czekał.

•••

Dobłą minutę przed przyjazdem pociągu usłyszał, jak szepczą i mruczą kamyki między podkładami. Potem zaczęły śpiewać szyny, cichym stalowym mormorando, stopniowo przechodzącym w głośniejsze zawodzenie. Poczul, że wzrasta ciśnienie powietrza i zobaczył reflektor. A po chwili usłyszał hałas, syk, stukot i buczenie. Wreszcie nadjechał pociąg, spocony i groźny, lecz nieskończenie powolny; piskliwie zgrzytając hamulcami, zatrzymał się z lokomotywą poza zasięgiem wzroku i z wagonami wzdłuż peronu.

Z cmoknięciem otworzyły się drzwi.

Reacher spojrzal w lewo i zobaczył, że z cienia wychylnęła Chang. Odruchowo, na widok pociągu. Wychylnęła i pstryk, zniknęła, jak rozblysk flesza aparatu.

Z pociągu wysiadł jakiś mężczyzna.

Reacher spojrzal w prawo i zobaczył sprzedawcę ze sklepu z częściami zamiennymi do urządzeń irygacyjnych. Grubas wyszedł z mroku, zrobił krok do przodu i znieruchomiał.

Mężczyzna, który wysiadł z pociągu, wszedł w krąg światła.

Drobny i niepozorny. Na pewno nie ten, na którego czekała Chang. Nie Keever. Ten był trochę więcej niż średniego wzrostu, lecz daleko mu było do wagi średniej. Około pięćdziesiątki, w młodości uchodził pewnie za szczupłego, ale teraz

sprawił wrażenie wychudzonego. Miał ciemne włosy, prawdopodobnie pofarbowane, był w garniturze i koszuli bez krawata. W rękę trzymał torbę, brązową, skórzaną, większą niż lekarska, mniejszą niż worek marynarski.

Poza nim nie wysiadł nikt inny.

Drzwi wciąż były otwarte.

Sprzedawca ze sklepu z częściami zamiennymi zrobił drugi krok. Wtedy mężczyzna z pociągu go zauważył. Sprzedawca przedstawił się i wyciągnął do niego rękę. Grzecznie i z szacunkiem, przyjaźnie i z pokorą.

Uścisnęli sobie dłonie.

Drzwi wciąż były otwarte.

Ale Reacher został tam, gdzie siedział, w mroku.

Sprzedawca wziął od przyjeźdnego torbę i poszli w stronę wyjścia. Drzwi się zamknęły, wagony jęknęły, zadrżały i pociąg ruszył, bardzo powoli, powolutku, wagon za wagonem.

Sprzedawca i przyjezdny zniknęli w ciemności.

Reacher wyszedł na peron i spojrzął na znikające w oddali światła pozycyjne pociągu.

– Idą do motelu – rzuciła z cienia Chang.

– Kto? – spytał.

– Mężczyzna z torbą i jego nowy kumpel. – Chang wyszła z mroku. – Nie wyjechał pan.

– Fakt.

– Myślałam, że pan wyjedzie.

– Ja też.

– Jestem miłą kobietą, ale wiem, że to nie ja pana zatrzymałam.

Reacher milczał.

– Źle to wypadło. Przepraszam. „Zatrzymałam” nie w tym sensie. Co i tak jest aroganckie. Nie miałam powodu tak myśleć. A teraz jeszcze bardziej się pogrążyłam. Chciałam powiedzieć, że nie został pan tylko po to, żeby mi pomóc. Prawda?

– Widziała pani, jak ściskali sobie ręce?

– Oczywiście.

– Dlatego zostałem.

Weszli do cichej poczekalni i usiedli po ciemku obok siebie.

– Jak scharakteryzowałaby pani ich powitanie? – spytał Reacher.

– W jakim sensie?

– Co się za nim kryje? Jaka opowieść? Jaka historia? Co powiedziała pani ich mowa ciała?

– Pracownik niższego szczebla kierowniczego przyjeżdża na spotkanie z ważnym klientem. Tak to wyglądało.

– Znali się?

– Raczej nie.

– Pełna zgoda. Sprzedawca ładnie to rozegrał. Prawda? Bardzo wyważone przedstawienie. Zrobił to z szacunkiem, ale bez służalczości. Z kolegą przywitałby się zupełnie inaczej. Albo z teściem. Albo urzędnikiem od kredytów w banku. Czy ze starym kumplem ze szkoły, którego nie widział od dwudziestu lat.

– I co z tego wynika?

– Nasz sprzedawca dysponuje szerokim wachlarzem powitań i możemy założyć, że swobodnie z nich korzysta. To część jego *emploi*.

– Co nam to daje?

– Widziałem go dziś rano. Prowadzi sklep z częściami zamiennymi do urządzeń irygacyjnych. Kiedy tamtędy przechodziłem, podskoczył i sięgnął po telefon.

– Dlaczego?

– Niech pani mi powie.

– Mam sięgnąć do teorii spiskowych?

– Powiedzmy. Niech pani spróbuje zmieścić się między odrobiną paranoi i zdrowym rozsądkiem.

– Gdyby nie Keever, nie przykładałabym do tego wagi.

– Ale?

– Jest pan do niego podobny. Tak na pierwszy rzut oka. Może Keever tu węszył i ktoś kazał mieszkańcom mieć go na oku, jego albo kogoś takiego jak on.

- Też się nad tym zastanawiałem – przyznał Reacher. – Uznałem, że to mało prawdopodobne, ale cuda się zdarzają. Dlatego postanowiłem to sprawdzić. Poszedłem do tego sklepu i spytałem sprzedawcę, dlaczego tak zareagował. Odparł, że zna mnie ze zdjęć drużyny futbolowej z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego. Drużyny Uniwersytetu Stanowego Pensylwanii. I że moje zdjęcia były w gazetach. Twierdził, że nie sięgał po słuchawkę. Podniósł rękę, bo dzwonił telefon. Podobno dzwoni cały czas.

- A dzwonił?

- Nie słyszałem.

- Grał pan w futbol w Pensylwanii?

- Nie, studiowałem w West Point i grałem tylko raz. Boję się, że kiepsko. Jestem stuprocentowo pewny, że moje zdjęcie nie ukazało się w żadnej gazecie.

- To może być zupełnie niewinna pomyłka. Od osiemdziesiątego szóstego minęło sporo lat. Trochę by się pan zmienił. Poza tym wygląda pan na byłego futbolistę.

- Ja też wyciągnąłem taki wniosek. Wtedy.

- A teraz?

- Teraz uważam, że gość próbował kryć swój tyłek, zmyślając bzdurną historyjkę. Może to taka sztuczka. Nie idź w zaparte, bo to niezręczne, tylko od razu wal z grubej rury i przedstaw wiarygodne wytłumaczenie. Niektórym mężczyznom to schlebia. Może chcieli być gwiazdami futbolu. Kto by nie chciał? Fałszywa sława uderza im do głowy i problem znika. Poza tym dopasował to wszystko tak, że ubył mi lat. Co też jest miłe. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym służyłem już w wojsku. Ukończyłem studia w osiemdziesiątym trzecim. Facet dał niezłe przedstawienie.

- To niczego nie dowodzi.

- Zacząłem od tego, że spytałem go, czy się znamy. Powiedział, że nie.

- I nie skłamał?

- Nie, ale ktoś taki, kibic, który pamięta graczy sprzed trzydziestu lat, gdybym spytał go, czy się znamy, odparłby „Nie, ale bardzo chciałbym uścisnąć panu rękę”. Na początku rozmowy albo kiedy wychodziłem. Uścisk ręki na pewno by tam był. Ten typ tak ma. Dla nich to ważne. Widywałem takich. Uścisk ręki jest dla nich lepszy niż autograf czy zdjęcie. Bo to coś bardziej osobistego. Kontakt fizyczny. Założę się, że facet ma długą listę nazwisk i kiedy widzi tych ludzi w gazecie czy telewizji, myśli: kiedyś ścisnąłem mu dłoń.

– Ale pańskiej nie uściskał.

– Co było błędem numer dwa. Wiedział, że nie jestem słynnym futbolistą. A teraz wracam do pani wersji. Ktoś kazał mieszkańcom mieć na oku wścibskich obcych. Temu dziwnemu chłopakowi chyba też. No i Keever nie przyjechał. Gdzie on, do diabła, jest? Więc zostałem. Przynajmniej na jeszcze jedną noc. Dla zabawy.

– Kto to był ten w garniturze?

– Nie mam pojęcia. Pewnie ktoś z zewnątrz. Przyjechał w interesach. Długo nie zostanie, bo ma małą torbę. Prawdopodobnie bogaty. Szczupli są zwykle bogaci. Żyjemy w dziwnych czasach. Biedni są grubi, a bogaci chudzi. Chyba pierwszy raz w historii.

– W czystych interesach czy niekoniecznie? To, że odebrał go sprzedawca, to zbieg okoliczności, czy gość jest zamieszany w sprawę, którą prowadzi Keever?

– Może być tak i tak.

– Może to producent sprzętu irygacyjnego. Prezes zarządu dużej korporacji.

– Wtedy byłoby odwrotnie. To sprzedawca by dokąś pojechał, na jakieś targi. I przedstawiono by go szefowi na przyjęciu z koktajlami. Trzydzieści sekund, może nawet krócej. W tym czasie uściskałby mu rękę. Na sto procent.

– Zaczynam bać się o Keevera.

– I słusznie. Ale bez przesady. Bo czym tu się martwić? Z całym szacunkiem, ale Keever jest prywatnym detektywem, którego ktoś wynajął za gotówkę czy podejrzanе czekі. Możliwe, że ktoś dokumentnie pokręcony, choć niekoniecznie. Pani słowa. Tacy jak on zawsze idą najpierw na policję. Ale przedtem dzwonią, gdzie się tylko da, od Białego Domu w dół. Ale najwyraźniej nikt z Białego Domu ani z policji się tym nie zainteresował. Dlatego nie przesadzajmy.

– Uważa pan, że policja zawsze się sprawdza?

– Myślę, że jeśli ktoś przekroczy pewne granice, wpadną przynajmniej zerknąć. Gdyby facet powiedział im, że w magazynie jest pełno bomb z nawozów sztucznych, przyjechałby natychmiast. Gdyby powiedział, że jego kanały zębowe odbierają przekaz satelitarny z elewatorów, pewnie nie tak szybko.

– Rzecz w tym, że z jednej sprawy zrobiła się zupełnie inna. Stąd prośba o wsparcie. Może Keever przekroczył granicę.

– Wtedy może zadzwonić pod dziewięćset jedenaście, jak każdy. Albo bezpośrednio do FBI. Wątpię, żeby zapomniał numer.

– Więc co teraz?

– Teraz wróćmy do motelu. Poza wszystkim innym muszę wynająć pokój.

Dyżur miał jednooki. Chang wzięła swój klucz, tak jak przedtem, i zaczekała. Natomiast Reacher znowu wdał się w negocjacje. Sześćdziesiąt dolarów, czterdzieści, trzydzieści, w końcu dwadzieścia pięć, ale nie za 106. Nie mógł pozwolić, żeby facet wygrywał każdą rundę. Dostał 113, pośrodku przeciwległego skrzydła, na parterze, z dala od metalowych schodów i nie bezpośrednio pod pokojem Chang.

– W którym pokoju mieszka pan Keever? – spytał.

– Kto? – nie zrozumiał jednooki.

– Keever. Taki postawny, kawał chłopca, z Oklahoma City. Przyjechał dwa, trzy dni temu. Pociągiem. Nie ma samochodu. Pewnie zapłacił za tydzień z góry.

– Nie wolno mi udzielać takich informacji. To kwestia ochrony danych osobowych naszych gości. Jestem przekonany, że pan to rozumie. I że doceniłby pan to, gdyby chodziło o pana.

– Oczywiście – odparł Reacher. – To całkiem sensowne.

Wziął klucz i wyszli.

– Chang – powiedział – proszę mnie źle nie zrozumieć, ale chciałbym do pani wpaść.

Weszli metalowymi schodami na końcu prawego ramienia podkowy i niemal od razu znaleźli się na miejscu: pokój 214, przedostatni w rzędzie, przez ścianę z 215. Chang otworzyła drzwi. W środku było tak jak w każdym innym pokoju, ale Reacher i tak by wiedział, że zatrzymała się tu kobieta. Był posprzątany i pachnący. Leżała tam mała walizka na kółkach ze starannie poukładanymi rzeczami.

– Czy Keever ma jakieś notatki? – spytał.

– Dobrze pytanie – odparła Chang. – Zazwyczaj korzystamy z laptopów i smartfonów. Więc wystukujemy wszystko na klawiaturze. To pracochłonne, jednak prędzej czy później trzeba to zrobić, takie są wymogi. Ale spraw prywatnych się nie rejestruje, więc po co miałyby wpisywać coś do laptopa? Pewnie ma gdzieś odręczne notatki.

– Gdzie?

– Bo ja wiem, choćby w kieszeni.

– Albo w swoim pokoju. Zależy, ile ich jest. Trzeba to sprawdzić.

– Nie wiemy, gdzie mieszka. I nie mamy klucza. I go nie dostaniemy, bo nasz sześciogwiazdkowy hotel przestrzega polityki prywatności.

– Myślę, że mieszka w dwieście dwanaście, dwieście trzysta albo dwieście pięćnaście.

– Dlaczego?

– Zrobił dla pani rezerwację, tak? Pewnie poszedł do biura i uprzedził jednookiego, że czeka na koleżankę. A nasz jednooki należy do tych, którzy uważają, że jeśli między dwojgiem gości istnieje choćby najmniejszy związek, muszą mieszkać blisko siebie. Mieszka pani w dwieście czternaście, ponieważ Keever dostał dwieście trzynastkę, dwieście piętnastkę albo dwieście dwunastkę.

– Skoro pan wie, to po co go pan pytał?

– Próbowałem trochę to zawęzić. Ale głównie po to, żeby wypowiedzieć jego nazwisko w miejscu publicznym. Po prostu. Jeśli ktoś nas obserwuje, to może i podsłuchuje, więc chciałem, żeby mnie usłyszeli.

– Po co?

– Żeby ich uczciwie ostrzec.

...

Stanęli pod drzwiami pokoju 212. I od razu go wykluczyli. Zasłony były zaciągnięte, w środku grał telewizor. Na pewno nie pokój Keevera. W 213 i 215 nikogo nie było. Zasłony były rozsunięte, ale wewnątrz panowały egipskie ciemności. Rano posprzątany, pomyślał Reacher, i od tej pory nietknięty. Z rachunku prawdopodobieństwa wynikało, że jeden jest wolny, a drugi zajęty przez Keevera, zapłacony, lecz chwilowo nieużywany z powodu nadzwyczajnych okoliczności. Wolny wyglądałby zupełnie nijako, natomiast zajęty czymś by się wyróżniał, jakimś szczegółem, choćby najdrobniejszym, jak wystająca spod poduszki piżama, książka na stoliku nocnym czy róg ukrytej za fotelem walizki.

Ale w środku było zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec.

– Chce pani rzucić monetą czy zaczekać do rana? – spytał.

– Rzucić monetą i co? Wejść tam z kopa? Widać nas z biura.

Reacher zerknął na dół i zobaczył jednookiego, który ciągnął za sobą krzesło po asfalcie. To samo, na którym Reacher spał przy ogrodzeniu. Jednooki postawił je na dróżce pod oknem biura i usiadł jak starodawny szeryf na werandzie w miasteczku na Dzikim Zachodzie. Siedział i patrzył. Ale nie na drzwi pokoju 214. Trochę niżej i bardziej w prawo. A więc i nie na drzwi pokoju 113.

Patrzył na jedne i drugie.

Ciekawe.

Reacher oparł łokcie o balustradę.

– Czy wyważymy drzwi kopniakiem, czy nie, zależy chyba od tego, jak pilna jest ta sprawa. Co pani sądzi?

– Nikt nie wie wszystkiego – odparła Chang. – Nie zawsze.

– Ale czasem wie, tak?

– Może.

– Więc teraz jest „czasem” czy „nie zawsze”?

– A jak pan myśli?

– Ja pani nie podlegam ani nie jestem pani przełożonym. Moja opinia nie powinna się liczyć.

– Wszystko jedno.



– Każda sprawa jest inna.

– Bzdura. Wszystkie są takie same. Dobrze pan o tym wie.

– Sprawy takie jak ta są takie same w połowie przypadków. Można je podzielić z grubsza na dwie grupy. Czasem nasz znajomy wraca po paru tygodniach cały i zdrowy, a czasem ginie, zanim się spostrzeżło, że mogą być kłopoty. Przepadek pośrednich jest niewiele. Wykres wygląda jak ironicznie uśmiechnięta buźka.

– Albo już dali nam popalić, albo mamy mnóstwo czasu. Dlatego statystyka mówi, że trzeba poczekać.

Reacher kiwnął głową.

– Tak mówi.

– A z operacyjnego punktu widzenia?

– Jeśli teraz wkroczymy, zaangażujemy się bezwarunkowo w nieznaną sytuację, starcie z siłami, których nie jesteśmy w stanie ocenić. To może być pięciu facetów z przekonującym uściskiem ręki. Albo pięciuset z pistoletami automatycznymi i pociskami dum-dum. Broniących czegoś, o czym jeszcze nie słyszeliśmy.

– Na przykład czego? Hipotetycznie.

– Już mówiłem, na pewno nie bomb z nawozów sztucznych w magazynie. Czegoś innego, początkowo dziwnego, co nagle przestało być dziwne. Może naprawdę mają łączność z naszymi kanałami zębowymi.

Chang ruchem głowy wskazała jednookiego na krześle.

– Pan wybrał dobry kanał. Jeśli ktoś ma nagłośnić nazwisko Keevera, to tylko on. Siedzi w tym po uszy.

– Fakt – zgodził się z nią Reacher. – Pracownicy motelu są zwykle pomocni, w każdym przedsięwzięciu. Ale ten to pionek. Wierci się. Nie lubi tego robić. Jest przekonany, że nadaje się do czegoś lepszego niż nocna warta. Jego szefowie najwyraźniej uważają inaczej.

– I to ich mamy znaleźć.

– My?

– Figura retoryczna. Pozostałość z dawnych czasów. Wtedy pracowaliśmy zespołowo.

Reacher tego nie skomentował.

– Został pan – dodała Chang. – Nie widziałam, żeby ktoś przystawił panu pistolet do głowy.

– Powód tego, że zostałem, nie ma nic wspólnego z tym, jak pilna według pani jest sytuacja. To oddzielna sprawa i pani decyzja.

– Zaczekam do rana.

– Na pewno?

– Tak mówi statystyka.

– Zaśnie pani pod okiem tego typu?

– A co mam zrobić?

– Moglibyśmy poprosić go, żeby dał sobie spokój.

– Czym różniłoby się to od bezwarunkowego zaangażowania?

– To zależy od jego reakcji.

– Jakoś zasną. Ale zamknę drzwi na dwa zamki i założę łańcuch. Nie wiadomo, co tu się dzieje.

– Racja – zgodził się z nią Reacher. – Nie wiadomo.

– Tak przy okazji: ładna fryzura.

– Dziękuję.

– Dlaczego pan to zrobił?

– Dlaczego poszedłem do fryzjera?

– Dlaczego pan został.

– Głównie z ciekawości.

– Co pana zaciekało?

– Ta sprawa z futbolem w osiemdziesiątym szóstym. Facet świetnie to zagrał, naprawdę. Jestem pewien, że robił to nie pierwszy raz, że patrząc na siebie krytycznym okiem, usilnie ćwiczył, trenował i często wspominał swoje sukcesy. Dlatego nie wierzę, żeby zapomniał o uścisku ręki. Daję głowę, że zawsze o tym pamiętał. I nagle zapomniał. Dlaczego?

– Popęłnił błąd.

– Nie, nie mógł się do tego zmusić. Takie odniosłem wrażenie. Nawet kosztem sprzeniewierzenia się swojej sztuce. W coś wdepnął, coś mu grozi i ci, których się boi, są dla niego zbyt odrażający, by ich dotknąć. Dosłownie. Tak to odebrałem. Zaciekało mnie, co może wywołać takie uczucia.

– No to teraz na pewno nie zasną.

– Najpierw przyjdą do mnie. Mieszkam na dole. Postaram się narobić dużo hałasu. Zdąży pani uciec.

Siedział niecałe dwa metry od okna i, niewidoczny z zewnątrz, po prostu patrzył. Piętnaście minut, dwadzieścia, dwadzieścia pięć. Tyle, ile było trzeba. Siedzący trzydzieści metrów dalej jednooki był tylko bladą plamą w mroku. Rozparł się na krześle i odchylił do tyłu. Wygodniś. Możliwe, że spał, ale lekko. Pewnie obudziłby go każdy hałas albo ruch. Nie należał do najlepszych wartowników, jakich Reacher znał, ale nie był też najgorszy.

Zasłony w oknie środkowego pokoju na pierwszym piętrze miały świetlistą obwódkę. Prawie bezpośrednio nad jednookim, trochę bardziej w prawo. Pokój 203. Mężczyzna z pociągu. Prawdopodobnie. Pewnie rozpakowywał skórzaną torbę, ustawiał rzędem swoje skarby. Maści i mikstury do łazienki, jedne rzeczy do szafy, inne do szuflady. Torba. Reacher uznał, że jej wielkość stanowi poważny problem. Często używana, lecz nie sponiewierana ani zniszczona, wyglądała na produkt wysokiej jakości. Mocno granulowana brązowa skóra w dobrym gatunku i mosiężne okucia. Klasyczny kształt, który utrzymywała pewnie dzięki zawiasom i wewnętrznemu metalowemu szkieletowi. Ale nie za duża. A facet przyjechał co najmniej na dobę. Niewykluczone, że na dłużej. Z torbą, w której nie zmieściłby się drugi garnitur czy buty.

Reacher z doświadczenia wiedział, że to dość niezwykle. Większość cywili wozi ze sobą po dwie sztuki wszystkiego na wypadek zachlapania, zmiany pogody czy niespodziewanego zaproszenia.

Dziesięć minut później świetlista obwódka zgasła i pokój 203 pogrążył się w ciemności. Jednooki kierownik ani drgnął i odchylony do tyłu, być może obserwował, być może nie. Reacher wciąż siedział przy oknie, jeszcze dziesięć minut, jeszcze kwadrans, tyle, ile było trzeba, wreszcie uznał, że nic więcej nie wypatrzy. Rozebrał się, po swojemu złożył ubranie – stare spodnie pod nowy materac – wziął szybki prysznic i poszedł spać. Zasłony zostawił rozsunięte i nastawił budzik w głowie na szóstą albo na nocny hałas czy zamieszanie, cokolwiek nastąpi wcześniej.

Świt wstał cichy i znowu złocisty, lecz przeraźliwie blade. Elewatory rzucały słabe cienie, tak długie, że sięgały motelu. Reacher usiadł w łóżku i spojrział w okno. Plastikowe krzesło wciąż było tam, gdzie stało wieczorem, na ścieżce pod oknem biura, trzydzieści metrów dalej, ale jednooki zniknął. Prawdopodobnie o czwartej nad ranem. W godzinie największego kryzysu. Pewnie chrapał teraz na kozetce na zapleczu.

Zasłony w oknie pokoju 203 wciąż były zaciągnięte. Mężczyzna z pociągu. Jeszcze spał. Reacher wstał i wrócił z łazienki z ręcznikiem owiniętym wokół bioder. Otworzył okno. Żeby odetchnąć świeżym powietrzem. I posłuchać. Na drodze manewrowej warczały silniki samochodów. Benzynowe V-ósemki, grube opony furkoczące na koleinach w asfalcie. Pewnie pick-upy. Jadą na śniadanie, do jadłodajni. Ludzie wstawali tu z kurami.

Siedział i patrzył, bez kawy. Wyobraził sobie, że dzwoni do swojej nowej najlepszej przyjaciółki kelnerki i zamawia cały dzbanek, a parę minut później ona mu go przynosi. Miła fantazja. Bo nie znał nawet numeru jadłodajni, a w pokoju nie było telefonu. I nie był ubrany. Trzydzieści metrów dalej, w oknie biura na drugim ramieniu podkowy, paliło się światło. Ale nie dostrzegł tam żadnego ruchu. Ot, w dwóch trzecich pusty, podupadły motel tuż po świcie.

Siedział i cierpliwie obserwował, spodziewając się nagrody, i w końcu ją dostał, prawie po godzinie. Najpierw z biura wyszedł jednooki. Wyszedł, przystanął i głęboko wciągnął powietrze, jak to z rana. Potem rozejrzał się, ogarniając wzrokiem granice swojego małego królestwa: parking, chodnik na parterze, chodnik wzdłuż rzędu drzwi na piętrze. Leniwa inspekcja, głównie z nudów, lecz było w tym również trochę dumy. Potem, przypomniawszy sobie o niezbadanym terytorium za plecami, odwrócił się i zobaczył plastikowe krzesło. Nie powinno tam stać, więc zawlókł je z powrotem do pokoju 102 i ustawił równiutko w rzędzie krewniaków z parteru, stojących bezpośrednio pod rzędem kuzynów z piętra.

Więc jednak więcej było w tym obowiązku niż dumy. Bo poprzedniego dnia nie zawracał tym sobie głowy. I zostawił krzesło byle gdzie. Mój dom jest tam, gdzie wieszam kapelusz. Ale dzisiaj było jakoś inaczej. Zachowywał się jak zdenerwowany dowódca przed wizytą jednogwiazdkowego generała.

Reacher czekał. Słońce wędrowało coraz wyżej i metr po metrze, cienie robiły się krótsze. O siódmej nadjechał pociąg. Wtoczył się na stację, zadygotał i pojechał dalej.

Reacher czekał.

Rozsunęły się zasłony w oknie pokoju 203. Okno było pod kątem do słońca i tak jak wszystko inne, szybę pokrywał pył zbożowy, mimo to nie ulegało wątpliwości, że stoi w nim mężczyzna z pociągu, już w garniturze, z szeroko rozłożonymi rękami, wciąż przytrzymując dłońmi zasłony, w zadziwieniu oglądając poranek. A to niespodzianka, znowu wzeszło słońce. Jakby w najlepszym wypadku miało na to pięćdziesiąt procent szans. Stał tak całą minutę, potem odwrócił się i zniknął.

Na parking wjechał biały samochód. Cadillac. Ale nie nowy. Z poprzedniego pokolenia. Długi i niski, dobrze trzymający się drogi, taki na przejażdżki bulwarem. Limuzyna. Nie licząc Florydy czy Arizony, w bardzo oryginalnym kolorze. Niezwykły widok, a już na pewno na wsi. Pierwsza limuzyna, jaką Reacher widział prawie od pięciuset kilometrów. Czyściutka. Niedawno opłukana wodą, może nawet umyta. Kierowcy nie było widać. Za ciemna szyba.

Samochód skręcił łukiem w prawo, potem w lewo i wjechał tyłem na miejsce pod pokojem 203. Nie miał przedniej tablicy rejestracyjnej. Kierowca nie wysiadł. Otworzyły się drzwi i z pokoju wyszedł mężczyzna w garniturze. Ze skórzaną torbą w ręku. Przystanął i przez długą chwilę znowu wachał powietrze. Jakby w zadziwieniu. Potem wyrwał się z transu i ruszył w stronę schodów; zdecydowanie chudy, lecz o lekkich nogach, dobry piechur o płynnych, zwinnych ruchach, ktoś z wdziękiem tancerza albo aktora scenicznego, niemający w sobie nic z napakowanego sportowca. Zszedł na dół, a wtedy kierowca wysiadł, żeby go powitać.

Kierowca. Reacher nigdy dotąd go nie widział. Około czterdziestu lat, wysoki i dobrze zbudowany, nie gruby, lecz na pewno przy kości, gęste włosy, szczerą twarz. Kolejny pracownik niższego szczebla kierowniczego. Mężczyzna w garniturze uściśnął mu rękę i wsiadł. Kierowca ceremonialnym gestem włożył jego torbę do bagażnika. Potem usiadł za kierownicą, samochód ruszył i odjechał.

Tyłnej tablicy rejestracyjnej też nie miał.

Reacher wziął prysznic.

Chang siedziała już w jadalni, przy ich narożnym stoliku. Plecami do ściany. Zarezerwowała i sąsiedni, wieszając kurtkę na krześle. Reacher podał jej kurtkę i usiadł, też tyłem do ściany. Co z taktycznego punktu widzenia było rozsądne, lecz z każdego innego krępujące. W podkoszulku Chang wyglądała bardzo ładnie. Jej włosy nie zdążyły jeszcze wyschnąć i były czarne jak atrament. Miała lekko umięśnione, długie ręce i gładką skórę.

– Ten w garniturze wyjechał – powiedziała. – Zabrał torbę, więc już nie wróci. Szczęściarz.

– Tak, widziałem. Z pokoju.

– Ja wracałam akurat ze stacji. Keever nie przyjechał.

– Przykro mi.

– Dlatego już pora. Dość czekania. Muszę zacząć go szukać. Mieszka w dwieście piętnaście. Zajrzałam przez okno. Na drzwiach szafy wisi duża koszula. Dwieście trzynastka jest pusta.

– Dobrze. Jakoś tam wejdziemy.

– My?

– Figura retoryczna. Nie mam dzisiaj nic do roboty.

– Spróbujemy teraz?

– Najpierw zjedzmy. Jedz, kiedy tylko możesz. Złota zasada.

– Teraz jest dobry moment.

– Możliwe, ale potem będzie lepszy. Kiedy przyjdzie pokojówka. Może nas wpuści.

Nadeszła kelnerka z kawą.

Po śniadaniu okazało się, że pokojówka rzeczywiście przyszła, ale nie było jej w pobliżu pokoju Keevera. Sprzątała w drugim ramieniu podkowy, przygotowując do ponownego wynajęcia pokój mężczyzny z torbą. Na pomoście stał duży wózek, drzwi były otwarte. Pokojówka zdejmowała pościel.

Musiała mieć klucz uniwersalny, na pasku, w kieszeni albo na ręczce wózka.

– Chyba pójde się przywitać – powiedział Reacher.

Pod drzwiami pokoju 211 skręcił w lewo, potem znowu w lewo, przy pokoju 206 przystanął obok wózka i zajrzał do dwieście trzy.

Pokojówka płakała.

I jednocześnie pracowała. Biała, chuda jak szczapa i już niemłoda, wywlekała z łazienki worek z ręcznikami. Ryczała, pociągała nosem, po jej policzkach spływały łzy.

– Wszystko w porządku? – spytał Reacher.

Kobieta znieruchomiała, upuściła worek i wyprostowała się. Głośno sapnęła, odetchnęła, pustym wzrokiem spojrzała w lustro, a potem odwróciła się do niego bez żadnej reakcji, jakby doszła do wniosku, że nie może już wyglądać gorzej.

Uśmiechnęła się.

– Jestem bardzo szczęśliwa – powiedziała.

– To dobrze.

– Nie, naprawdę. Przepraszam. Ten pan, który właśnie się wyprowadził, zostawił mi napiwek.

– Pani pierwszy napiwek w życiu?

– Nie, ale największy.

Była w długim fartuchu z szerokimi, przepastnymi kieszeniami. Ostrożnie włożyła do jednej obie ręce i wyjęła kopertę. Mniejszą od listowej. Taką, w której wysyła się odpowiedź na intratne zaproszenie. Na kopercie widniało napisane piórem wiecznym słowo: „Dziękuję”.

Otworzyła ją kciukiem i wyjęła banknot. Pięćdziesiąt dolarów. Z Ulysessem Grantem na awersie.

- Pięćdziesiąt dolarów – powiedziała. – Do tej pory dostawałam najwyżej dwa.
  - Niesamowite. – Reacher westchnął.
  - Dla mnie to majątek. Nawet pan sobie nie wyobraża.
  - Cieszę się.
  - Dziękuję. Cuda się jednak zdarzają.
  - Wie pani, dlaczego to miasto nazywa się Matczyny Spoczynek?
- Pokojówka znieruchomiała.
- Czy pan mnie pyta, czy zaraz mi pan powie?
  - Pytam.
  - Nie wiem.
  - Nie słyszała pani żadnych opowieści?
  - O czym?
  - O jakiejś matce. Która by tu odpoczywała albo spoczywała. Dosłownie lub w przenośni.
  - Nie, nie słyszałam.
  - Wpuści mnie pani do dwieście piętnastki?
- Kobieta zawahała się.
- Pan jest spod sto trzynastki? A wczoraj mieszkał pan w sto szóstce, tak?
  - Tak.
  - Mogę otworzyć pokój tylko dla lokatora. Przykro mi.
  - Wynajęliśmy kilka. Pracujemy razem. Musimy mieć do nich ciągły dostęp. Jesteśmy zespołem.
  - Mogę spytać kierownika.
  - Proszę się nie fatygować. Sam go spytam.

•••

Ale jednooki kierownik gdzieś wybył. Pewnie tylko na chwilę, bo biurko wyglądało tak, jakby niedawno przy nim pracował i nagle przestał. Teczki i książki były pootwierane, na notesach leżały ołówki, stał tam również papierowy kubek kawy na wynos, który robił wrażenie jeszcze ciepłego.

Ale jednookiego nie było.

Były za to drzwi za biurkiem. Pomieszczenie prywatne. Pewnie z kozetką, może i kuchenką, ale na pewno z miniłazienką. Istniało duże



prawdopodobieństwo, że jednooki jest właśnie tam. Niektóre sprawy nie mogą czekać.

Reacher wyężył słuch, ale nic nie usłyszał.

Obszedł biurko.

Zerknął na książki. Na teczki. I notesy. Motelowy standard. Rachunki, zamówienia, listy rzeczy do zrobienia, procenty.

Znowu nadstawił uszu. Nic, cisza.

Otworzył szufladę, w której kierownik trzymał klucze. Włożył do niej klucz od 113, zabrał klucz od 215.

Zamknął szufladę.

Wrócił na drugą stronę biurka.

Głęboko odetchnął.

Jednooki się nie pojawił. Może miał kłopoty żołądkowe. Reacher niespiesznie wyszedł z biura. Drugie ramię podkowsy, schody i pokój Chang. Pokazał jej klucz.

– Na długo? – spytała.

– Na tyle, za ile zapłacił Keever. Prawdopodobnie na tydzień. Zajmę jego pokój. Kierownik nie będzie protestował. Wziął już pieniądze. A Keever nie może wyrazić swojego zdania, bo go tu nie ma.

– Uda się?

– Tak myślę. Chyba że zrobią obławę.

– Wtedy zadzwonimy pod dziewięćset jedenaście. Co powinien był zrobić Keever.

– Ten z torbą dał pokojówce pięćdziesiąt dolarów napiwku.

– Kupa pieniędzy. Tyle daje się na statku wycieczkowym po siedmiodniowym rejsie.

– Bardzo się ucieszyła.

– No jasne. To jej tygodniowy zarobek.

– Paskudnie się czuję. Nigdy nie zostawiam więcej niż pięć.

– Bogaty gość. Sam pan powiedział.

Reacher bez słowa podszedł do drzwi. Włożył klucz do zamka. Otworzył drzwi i przepuścił ją przodem.

– Proszę.

Chang weszła do środka, on za nią. Ślady pobytu Keevera były wszędzie. Koszula na kłamce, kosmetyczka podróżna w łazience, lniana marynarka

w szafie, pełna ubrań sfatygowana walizka pod ścianą. Wszystko starannie poukładane i poustawiane przez pokojówkę. Pokój był czysty i wysprzątanym.

Żadnej aktówki. Ani torby na komputer, ani grubych notesów, ani odręcznie zapisanych kartek.

Przynajmniej na widoku.

Reacher zamknął drzwi. W swojej długiej, niezbyt olśniewającej karierze przeszukał ze sto motelowych pokoi i był w tym dobry. Znalazł wiele różnych rzeczy w wielu różnych miejscach.

– Co robił Keever przed wstąpieniem do FBI?

– Był detektywem policyjnym i ukończył prawo na studiach wieczorowych.

Co oznaczało, że on też miał na koncie sporo przeszukanych pokoi. To z kolei znaczyło, że nie skorzystałby z żadnego oczywistego schowka. Znał te sztuczki. Chociaż ten pokój nie dawał dużo możliwości. Pod względem architektonicznym nie należał do zbyt skomplikowanych.

– Nie oszukujmy się – powiedziała Chang. – Kierownik mógł tu być dziesięć razy. Albo kogoś wpuścić. Musimy założyć, że już dawno go przeszukano.

Reacher kiwnął głową.

– Tylko jak dobrze? Oto jest pytanie. Bo jedno wiemy na pewno. Keever tu był i wybył. Mógł wybyć na trzy sposoby. Sposób pierwszy: wyszedł załatwić prostą sprawę, która się nagle skomplikowała. Sposób drugi: wyciągnęła go stąd osoba albo osoby, których nie znamy, nie zważając na jego głośne i stanowcze protesty. Wreszcie sposób trzeci: siedział na tym łóżku, układał coś w głowie i nagle go olśniło. To był moment z cyklu „Ożeż!”; więc wstał i pobiegł do telefonu w sklepie ogólnospożywczym, żeby bez dalszych ceregieli zadzwonić na policję. Tylko że nie zdążył.

– Nie zdążył? To znaczy?

– To znaczy, że przepadł. Kiedy będę wiedział, gdzie i dlaczego, uzupełnię pozostałe teorie.

– Z żadnego z tych sposobów nie wynika, że coś tu znajdziemy – zauważyła Chang. – Zwłaszcza coś, co wszyscy inni przeoczyli.

– Nie, myślę, że z trzeciego wynika. Teoretycznie. Niech pani wyobrazi sobie tę chwilę. Ożeż ty! Jest pani wstrząśnięta. I w ułamku sekundy uświadamia pani sobie, że grozi pani poważne niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo tak duże, że musi pani natychmiast biec do telefonu. Ale wtedy by się pani zdradziła. To nie to samo, co wyjąć komórkę i zadzwonić z pokoju. To spacer na otwartej przestrzeni.

Który jest teraz ryzykowny. Wierc może kusi panią, żeby zostawić tu jakiś znak. Pisze pani krótki list i go ukrywa. A potem idzie do telefonu.

– I nie zdążam.

– Tak mówi statystyka. Czasami.

– Aha, i ten list jest tak dobrze ukryty, że nikt go nie znalazł. Ale nie na tyle dobrze, żebyśmy nie znaleźli go my. Jeśli w ogóle istnieje. Jeśli to rzeczywiście trzeci sposób. A nie zupełnie coś innego.

– Taka była kolejność wydarzeń – upierał się Reacher. – Musiało tak być, prawda? Dwa momenty „Ożeż!”. Małe „Ożeż!” dzień wcześniej, wtedy poprosił panią o wsparcie, a potem duże, kiedy postanowił zadzwonić na policję.

– I napisać przedtem list.

– Warto to rozważyć.

• • •

Przeszukując pokój, zawsze zaczynał od samego pokoju, a nie od jego zawartości. Ci, którzy coś ukrywają, i ci, którzy tego szukają, nie zwracają zwykle uwagi na układ pomieszczenia, często obfitujący w różne możliwości. Zwłaszcza jeśli chce się ukryć kawałek papieru. Podokienny klimatyzator, na przykład, można otworzyć i w dziewięciu przypadkach na dziesięć znaleźć w nim plastikową przegródkę na dokumenty, najczęściej kartę gwarancyjną czy instrukcję obsługi, w której ktoś sprytny mógł ukryć dziesiątki kartek.

A jeśli w pokoju zainstalowano ogrzewanie i chłodzenie nadmuchowe, to są w nim szyby wentylacyjne i łatwe do odkręcenia kratki. Do ukrywania dokumentów nadają się również drzwi chowane w ścianie. Na sufitach montuje się zdejmowalne panele, dla celów konserwatorskich. Składane drzwi w garderobie mogą mieć wewnętrzną stronę, której nikt nigdy nie oglądał. I tak dalej.

Dopiero potem przychodziła pora na meble. W tym przypadku łóżko, dwa stoliki nocne, tapicerowany fotel, krzesło przy biurku, samo biurko i małą komodę.

Szukali wszędzie i nic nie znaleźli.

– Warto było spróbować – powiedziała Chang. – W sumie cieszę się, że nic tu nie ma. To brzmi mniej ostatecznie. Nie chciałbym, żeby przydarzyło mu się coś złego.

– A ja bym chciał, żeby siedział w Vegas z jakąś dziewiętnastolatką. Ale dopóki nie przyśle nam pocztówki, musimy zakładać, że go tam nie ma. Na wszelki wypadek, żeby nie stracić czujności.

– Był policjantem i agentem specjalnym. Jak daleko jest stąd do sklepu? Co się mogło stać?

– Dużo. To na oko sześćdziesiąt metrów. Za jadłodajnią.

Chang umilkła. Reacher miał brudne ręce. Od przesuwania mebli i dotykania nieregularnie czyszczonych powierzchni. Wszedł do łazienki i odkręcił kran. Mydło było nowe, wciąż w bibułce. Błękitnej, artystycznie pomarszczonej i spiętej złocistą naklejką. Widywał gorsze. Rozwinął bibułkę i zmiażdżył ją w kulkę. Kosz na śmieci stał pod łazienkowym blatem. Toaletka była głęboka. Żeby trafić do kosza, musiał zagrać szybką podkręconą piłkę, przez szparę, w dodatku lewą ręką. Co też zrobił. Potem umył ręce nowiutkim mydłem, początkowo zbyt twardym, po chwili trochę przyjemniejszym. Gdy wytarł dłonie świeżym ręcznikiem, ruszyło go sumienie i pochylił się, żeby sprawdzić, czy kulka rzeczywiście wylądowała w koszu.

Niestety.

Kosz był okrągły, ale stał w lewym rogu, co znaczyło, że jest za nim trochę miejsca. Takiego, na które nikt nie zwraca uwagi, zwłaszcza sprzątaczką z mopem. Nie za dwa dolary napiwku. W tego rodzaju miejscach ląduje większość chybionych piłek.

W tym przypadku trzech.

Jedną z nich była jego kulka. Poznał to po stanie zawilgocenia. Druga też była kulką, tyle że starszą. Suchą jak pieprz. Z poprzedniego mydła.

A trzecią okazał się kawałek zmechaconego papieru, śmieć z kieszeni.

Sztywna i biała, na oko dziewięć centymetrów na dziewięć, jeden brzeg miała pociągnięty klejem. Karteczka samoprzylepna z bloczka. Reacher już takie widywał. Złożona we czworo wędrowała w czyjejs kieszeni przez miesiąc albo i dłużej. Prawie przetarte zaگیęcia, papier wyświechtany, rogi zaokrąglone. Ktoś pstryknął nią do kosza, może dwoma palcami, jak w karcianej sztuczce, ale poleciała za daleko i wylądowała na ziemi niczyjej.

Reacher rozłożył ją i wygładził. Na stronie zewnętrznej nie było nic. Tylko niebieskawo zabarwiony brud. Pewnie z tylnej kieszeni dżinsów.

Odwrócił kartkę.

Na drugiej stronie było coś napisane. Długopisem, pospiesznie. Nagryzmołone. Numer telefonu i słowa: „200 ofiar śmiertelnych”.

– To pismo Keevera? – spytał.

– Nie wiem – odparła Chang. – Nigdy nie widziałam jego pisma. Poza tym to kiepska próbka. Nie daje pewności. Niech pan pomyśli jak adwokat, obrońca. Brak ciągłości łańcucha dowodowego. Każdy mógł ją tam rzucić. W dowolnym momencie.

– Oczywiście – zgodził się z nią Reacher. – Ale załóżmy, że rzucił ją Keever. Co by to mogło być?

– Na przykład notatka, którą zrobił, rozmawiając przez telefon. W biurze. No dobra, w swoim mieszkaniu. Pierwszy kontakt albo kontakt kontrolny. Dwieście ofiar, a więc wysoka stawka, i numer telefonu klienta albo niezależnego źródła, u którego szukał potwierdzenia. Albo numer źródła dalszych informacji.

– Dlaczego ją wyrzucił?

– Ponieważ potem zapisał wszystko w dłuższej wersji i już nie była mu potrzebna. Może stał tu i jak każdy przeglądał się w lustrze. Może wyrzucił starą chusteczkę, wyjął nową i przy okazji sprawdził pozostałe kieszenie. Może od jakiegoś czasu nie chodził w tych spodniach.

323 – taki był numer kierunkowy.

– To Los Angeles, tak? – upewnił się Reacher.

Chang kiwnęła głową.

– Stacjonarny albo komórkowy.

– Dwieście ofiar. Poważne niebezpieczeństwo.

– Pod warunkiem że to jego kartka. I dotyczy sprawy, którą prowadził. To może znaczyć wszystko i nic.

– Uważa pani, że mógł tu mieszkać ktoś, komu też nie dawała spokoju myśl o dwustu ofiarach śmiertelnych?

– A kto mówi, że nie dawała? Nawet jeśli to jego notatka, może dotyczyć starej sprawy. Albo innej. Rok temu mógł tu mieszkać jakiś prawnik, spec od odszkodowań, taki, co to się ugania za karetkami pogotowia. Zresztą dwieście ofiar? Jakim cudem? To dwadzieścia procent tutejszej populacji. Ktoś by coś zauważył. Nie potrzebowaliby prywatnego detektywa.

– Zadzwońmy pod ten numer – zaproponował Reacher. – Zobaczmy, kto odbierze.

•••

Zamknął drzwi, zeszedł na dół i trzydzieści metrów dalej z biura wypadł jednooki; ruszył w ich stronę, gestykulując i machając rękami. Podbiegł do nich i powiedział:

– Bardzo pana przepraszam, ale nie może pan mieszkać w pokoju dwieście piętnaście, ponieważ nie jest pan tam zameldowany.

– To mnie tam zameldujcie – odparł Reacher. – Oplatę uiścił nasz współpracownik i będę tam mieszkał, dopóki nie wróci.

– Nie może pan.

– Nie znam takiego słowa.

– Skąd ma pan klucz?

– Znalazłem pod krzakiem. Miałem fart.

– To niedozwolone.

– No to niech pan wezwie policję.

Jednooki nie odpowiedział. Przez chwilę sapał tylko i dyszał, potem odwrócił się i bez słowa odszedł.

– A jak ich wezwie? – spytała Chang.

– Nie wezwie. Przedtem zagadałby nas na śmierć, uprzedzając, że to zrobi, tak, proszę pana, zaraz zadzwonię, już dzwonię, natychmiast. Poza tym posterunek

jest pewnie sto kilometrów stąd. Albo sto sześćdziesiąt. Nie ruszyliby się z powodu pokoju, za który ktoś już zapłacił. Poza tym jeśli ci ludzie mają coś do ukrycia, wizyta policji byłaby ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyli.

– Więc co zrobi?

– Na pewno się dowiemy.

Wyszli na drogę manewrową i minąwszy jadłodajnię, poszli dalej, do sklepu. Słońce stało wysoko i w mieście było spokojnie. Ani ruchu, ani tłumów. Pięćdziesiąt metrów dalej w boczną ulicę skręcał pick-up. Jakiś chłopak rzucał w ścianę piłką tenisową i gdy się odbijała, grzmocił ją kijem. Jak w baseballu. Dobry był. Może powinni zamieścić jego zdjęcie w gazecie. Kierując się do miasta, przez tory na starym szlaku przejeżdżała furgonetka FedExu.

Sklep wielobranżowy był klasycznym wiejskim sklepem, prostym budynkiem z płaskim dachem. Stał bokiem do ulicy i miał zakończony szczytem front z zachodzących na siebie desek pomalowanych na wyblakłą czerwień mat. Nad wejściem wisiała tablica z napisem zrobionym ozdobnymi złotymi literami, jak w cyrku: „Matczyny Spoczynek. Pasmantaria i towary sypkie”. Były tam jedne drzwi i jedno okno, małe, wyłącznie dla światła, a nie po to, żeby wystawiać kuszące wzrok towary. Szybę pokrywała kalkomania z nazwami, które nic Reacherowi nie mówiły. Założył, że są to znaki towarowe firm wytwarzających mało znane, lecz istotne wiejskie produkty.

Za drzwiami był niewielki przedsiónek z automatem na ścianie. Bez osłony akustycznej. Tylko sam aparat, metalowy, łącznie z przewodem. Chang wrzuciła kilka monet i wybrała numer. Przez chwilę słuchała, po czym bez słowa odwiesiła słuchawkę.

– Poczta głosowa. Standardowe nagranie. Bez nazwy firmy czy nazwiska. Chyba komórka.

– Powinna pani zostawić wiadomość – powiedział Reacher.

– Bez sensu. Gdyby oddzwonili, to jak bym odebrała?

– Niech pani spróbuje jeszcze raz do Keevera. Na wszelki wypadek.

– Nie chcę. Nie odbierze, nie mam ochoty tego słuchać.

– Albo jest cały i zdrowy, albo nie. Zadzwoni pani czy nie, to niczego nie zmieni.

Wyjęła komórkę, żeby sprawdzić numer, ale skorzystała z automatu. Tak jak przedtem, słuchała przez chwilę, potem bez słowa odwiesiła słuchawkę. Wybrała inny numer. Z takim samym rezultatem.

Pokręciła głową.

- Nie odpowiada.

- Jedziemy do Oklahoma City – oświadczył Reacher.



Więcej na: [www.ebook4all.pl](http://www.ebook4all.pl)

# 13

Koleją byliby szybciej, ale poniewaz pociąg odjeżdżał dopiero za osiem godzin, pojechali wynajętym fordem Chang. Małym, zielonym SUV-em. Wnętrze było czyste, lecz nijakie i mocno pachniało szamponem do tapicerki. W ciągu minuty znaleźli się poza granicami miasta, na starym szlaku, skręcili na południe, potem na zachód, jeszcze potem znowu na południe i przecięwszy olbrzymią szachownicę złocistych pól, natrafili wreszcie na lokalną drogę, która zapewniała, że trzysta dwadzieścia jeden kilometrów dalej jest wjazd na autostradę.

Prowadziła Chang, w T-shircie. Reacher odsunął swój fotel do tyłu i bacznie ją obserwował. Jedną rękę trzymała na kierownicy, drugą na kolanie. Nieustannie pracowała oczami, droga, lusterka i znowu droga. Myśląc o czymś, czasem uśmiechała się nieznacznie, czasem się nieznacznie krzywiła. Siedziała z lekko pochylonymi ramionami, odrobinę przygarbiona. Jakby chciała być mniejsza. Czego Reacher nie mógł zrozumieć. Według niego była w sam raz. Miała długie kończyny i była dobrze zbudowana, zwłaszcza tam, gdzie trzeba.

„Jestem miłą kobietą, ale wiem, że to nie ja pana zatrzymałam”.

Milczał.

Chang znowu spojrzała w lusterko i powiedziała:

– Jedzie za nami pick-up.

– Daleko?

– Sto metrów.

– Od dawna?

– Od dwóch kilometrów.

– To publiczna droga.

– Jechał bardzo szybko, a teraz zwolnił. Jakby nas szukał i znalazł.

– Tylko jeden?

– Innego nie widzę.

– Marna ta obława.

– Dwóch w szoferce. Kierowca i pasażer.

Reacher wolał się nie odwracać. Nie chciał, żeby zobaczyli, jak w tylnym oknie miga błada zafrasowana twarz. Dlatego pochylił się i przesunął, żeby zerknąć w boczne lusterko od strony Chang. Rzeczywiście. Pick-up. Sto metrów za nimi. Chyba ford. Solidna maszyna, wielka i rzucająca się w oczy. Trzymała odległość. Wyblakła czerwień, jak front sklepu wielobranżowego. I dwie osoby w środku, choć daleko od siebie, bo wóz był ekstrawagancko szeroki.

Usiadł prosto i spojrzał przed siebie. Pszenica po prawej, pszenica po lewej i droga biegnąca prosto aż za odległy horyzont. Pobocza wyżwirowane, żeby odprowadzały wodę, ale bez rowów. I ani jednego zakrętu. Pola nie miały końca. Niemal dosłownie. Mogły ciągnąć się aż do wjazdu na autostradę. Trzysta dwadzieścia jeden kilometrów. Całkiem możliwe.

W zasięgu wzroku nie było żadnych innych samochodów.

– Ćwiczyła to pani w Quantico? – spytał.

– Trochę. Ale dawno temu. I w innym otoczeniu. Głównie w mieście. Ze światłami, skrzyżowaniami równorzędnymi i ulicami jednokierunkowymi. Tu nie ma zbyt wielu możliwości. Pan też ćwiczył?

– Nie, kiepsko prowadzę.

– Czekamy, aż zrobią pierwszy ruch?

– Najpierw trzeba ustalić, jakie dostali rozkazy. Jeśli tylko nas śledzą, możemy jechać tak aż do Oklahoma City i tam ich zgubić. Jedyne prawdziwie wygrane walki to te, których nie trzeba toczyć.

– A jeśli nie tylko nas śledzą?

– To zrobią to jak na filmach. Wjadą nam w kufer.

– Żeby nas nastraszyć? Czy coś gorszego?

– Byłby to dla nich wielki krok.

– Upozorują wypadek. Turystka zasnęła za kierownicą na długim odcinku prostej drogi i roztrzaskała się. To pewnie częste.

Reacher milczał.

– Nie uciekniemy im – dodała Chang. – Nie tym czymś.

– Więc pozwólmy im się zbliżyć, a wtedy zjedzie pani na lewy pas i ostro zahamuje. Wyprzedzą nas.

– Ale kiedy?

– Zahamować? Nie mam pojęcia, nie zaliczyłem kursu jazdy defensywnej. Jeszcze tego samego dnia przenieśli mnie na inny. Chyba wtedy, kiedy będą tuż za

nami.

Chang jechała dalej. Teraz już z obiema rękami na kierownicy. Minęła minuta. Potem dwie.

– Chcę zobaczyć, co zrobią – powiedziała. – Trzeba ich sprowokować.

– Na pewno?

– Są u siebie. Musimy nimi potrząsnąć.

– Dobra. Niech pani trochę przyspieszy.

Ona dodała gazu, on spojrzął przez ramię. Błada, zafrasowana twarz w tylnym oknie. A jednak.

– Szybciej – rzucił.

Mały zielony ford odskoczył prawie na dwieście metrów i wtedy pick-up zareagował – uniósł pysk i przyspieszył.

– Nich pan podaje mi odległość – powiedziała Chang. – Lusterka zniekształcają.

– Osiemdziesiąt metrów – zaczął Reacher. – Osiem sekund.

– Mniej, bo muszę zwolnić. Ten rzęch może dachować.

– Sześćdziesiąt.

– Dobra, z przodu pusta droga.

– Z tyłu też. Tylko my i oni. Czterdzieści metrów.

– Jeszcze trochę zwolnię. Nie mogę zahamować przy stu na godzinę.

– Dwadzieścia.

– Niech pan powie, kiedy będzie dziesięć.

– Dobra, teraz.

Chang szarpnęła kierownicą. Skręciła w lewo, dała po hamulcach i pick-up śmignął obok nich, prawie ocierając się o kant prawego tylnego zderzaka forda. On też zaczął hamować, ale dużo później. Tymczasem ford zarzucił, przechylił się i zatańczył, szybko jednak znieruchomiał na właściwym pasie sto metrów za pick-upem. Po kilku hałaśliwych sekundach ich pozycja względem siebie zmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Nasuwa się oczywiste pytanie – zauważyła Chang. – Co teraz? Zawrócimy, zawrócą i oni. I znowu będą nas ścigać.

– Walmy prosto na nich – zaproponował Reacher.

– Mam ich staranować?

– Zawsze to jakieś wyjście.

Ale pick-up ich uprzedził. Zawrócił i ruszył w ich stronę, z tym że bardzo, bardzo powoli, pełznąć po asfalcie z prędkością niewiele większą niż ta na biegu

jałowym. Reacher natychmiast to zrozumiał. Tamci wywiesili białą flagę.

– Chcą rozmawiać – powiedział. – Twarzą w twarz.

Pick-up zatrzymał się dziesięć metrów przed nimi i otworzyły się drzwi. Wsiadło dwóch mężczyzn. Krzepkich osobników, metr osiemdziesiąt i sto kilo wagi każdy. Obydwaj mieli trzydzieści, trzydzieści pięć lat, obydwaj byli w okularach lustrzankach, cienkich bawełnianych marynarkach i podkoszulkach. Robili wrażenie ostrożnych, lecz pewnych siebie. Jakby wiedzieli, co robią. Jakby grali na swoim terenie.

– Mają broń – myślała na głos Chang. – Inaczej by tego nie robili.

– Możliwe – zgodził się z nią Reacher.

Tamci zajęli pozycję na środku ziemi niczyjej między samochodami. Jeden po lewej stronie pasa rozdzielającego jezdnię, drugi po prawej. Stali swobodnie i czekali z opuszczonymi rękami.

– Niech ich pani przejedzie – powiedział Reacher.

– Nie mogę.

– Dobrze, w takim razie pójde zobaczyć, czego chcą. Jak by co, niech pani jedzie dalej beze mnie. Życzę szczęścia.

– Nie, niech pan nie wysiada. To zbyt niebezpieczne.

– Dla mnie czy dla nich? To tylko dwóch wiejskich byczków.

– Mogą być uzbrojeni.

– Tylko chwilowo.

– Pan zwariował.

– Możliwe. Ale proszę nie zapominać, że to Wuj Sam takiego mnie stworzył.

Poza jazdą defensywną zaliczyłem wszystkie kursy.

Otworzył drzwi i wysiadł.

Przednie drzwi forda były zamontowane na zawiasach, jak w większości samochodów. Gdy się je otwierało, w dwóch trzecich drogi stawały opór, dlatego, wysiadając, trzeba było się cofnąć, dzięki czemu Reacher mógł zająć lepszą pozycję. Między nim i tamtymi był blok silnika. Gdyby od razu dobyli broni i natychmiast zaczęli strzelać, mógłby rzucić się na ziemię i schronić za kuloodporną tarczą. Jeżeli mieli broń. Co nie było pewne. Ale nawet jeśli tak, dlaczego mieliby natychmiast strzelać? Zresztą „natychmiast” już dawno minęło. Bo mogli strzelać w przednią szybę. Wtedy byłoby „natychmiast”. Chyba że chcieli przekonująco upozorować wypadek. Gdyby turystka po prostu zasnęła za kierownicą, trudno by im było wyjaśnić pochodzenie przestrzelin w szkłe. Tylko że jak wyjaśniliby pochodzenie przestrzelin w ciele pasażera? Poza tym musieliby zapakować go z powrotem do samochodu. Ciężka sprawa. Dosłownie. Martwy ważyłby dużo więcej.

Dlatego doszedł do wniosku, że nie zamierzają strzelać.

Jeśli w ogóle mieli z czego.

– Macie trzydzieści sekund – zaczął. – Słucham. O co chodzi?

Ten po prawej założył ręce na piersi, jak wykidajło w nocnym klubie. Pokaz wsparcia, pomyślał Reacher. Dla tego drugiego, pewnie ich rzecznika.

– O motel – odparł ten po lewej.

Ręce wciąż trzymał po bokach.

– A konkretnie? – spytał Reacher.

– Prowadzi go nasz wuj. To biedny, starszy, niepełnosprawny człowiek, a ty dajesz mu w kość. Łamiesz wszystkie możliwe przepisy. – Wciąż nie podnosił rąk.

Reacher wyszedł zza drzwi i stanął obok prawego reflektora. Czuł ciepło bijące z silnika.

– Niby jakie? – rzucił.

– Zająłeś czyjś pokój.

– Bo ten ktoś z niego chwilowo nie korzysta.

– Nieważne.

Ręce? Wciąż opuszczone. Reacher zrobił jeden krok do przodu, potem drugi i przystanął na wysokości lewego reflektora, tego bardziej wysuniętego na skos. Był teraz trzy metry od nich, w wąskim trójkącie na ziemi niczyjej: ten z założonymi rękami stał w jednym kącie, rzecznik w drugim, a on na wierzchołku.

– Przyjechaliśmy po klucz – rzucił ten z lewej.

Reacher zrobił kolejny krok w ich stronę. Dzieliły ich teraz dwa metry. Stali w małej, kameralnej grupce. W polu widzenia nie było żadnych innych samochodów. Pszenica poruszała się, leniwie falowała, jak bezbrzeżne morze płynnego złota.

– Zwrócę go, kiedy będę się wyprowadzał.

– Już się wyprowadziłeś. Od tej chwili jesteś wymeldowany. Aha, jeżeli wrócisz, nie dostaniesz pokoju. Kierownictwo zastrzega sobie prawo do odmowy.

Reacher milczał.

– A u nas nie ma innego motelu – ciągnął ten po lewej. – Tylko ten wuja. Chwytasz?

– Dlaczego to miasto nazywa się Matczyny Spoczynek? – spytał Reacher.

– Nie wiem.

– W czym imieniu przyjechaliście? Tylko wuja czy i tamtych?

– Jakich tamtych?

– Tych, o których słyszałem.

– Nie ma żadnych tamtych.

– Dobrze wiedzieć. Przekażcie wujowi, że nie zламаłem ani jednego przepisu. Że pokój jest zapłacony. I że porozmawiam z nim później.

Ten po prawej opuścił ręce.

– Będiesz robił problemy? – spytał ten po lewej.

– To moja specjalność – odparł Reacher. – Pytanie tylko, co wy na to.

Zapadła cisza, gorąca i samotna pośród pustkowiec. Odpowiedzieli, jednocześnie odchylając poły marynarek, swobodnym ruchem, prawą ręką, demonstrując czarne półautomatyczne pistolety w sztywnych kaburach u pasa.

Co było błędem i Reacher mógłby wytłumaczyć im dlaczego. Mógłby wygłosić długi, impulsywny wykład na temat igrania z losem przez zbyt wczesne wymuszanie decydującego starcia, psucia strategii przez przenoszenie końcówki na początek. Na groźbę trzeba zareagować, co znaczyło, że będzie musiał ich teraz rozbroić, ponieważ głupim pionkom należało dać wycisk i odesłać ich do domu,

ponieważ mieszkańcy miasteczka musieli wiedzieć, że jeśli tam wróci, wróci z bronią. Chciał im powiedzieć, że to ich wina. Chciał im powiedzieć, że sami do tego doprowadzili.

Ale nie powiedział nic. Zamiast tego włożył rękę za połą kurtki. Chwycił tylko powietrze, ale oni tego nie wiedzieli i jak przystało na rewolwerowców z wiejskiej strzelnicy, sięgnęli po broń, przyjmując jednocześnie stabilną pozycję, ze stopami trzydzieści centymetrów od siebie. Wtedy wysunął nogę i zanim ten po lewej zdążył do połowy wyjąć pistolet z kabury, Reacher kopnął go w krocze, co znaczyło, że ten po prawej miał czas, żeby całkowicie wyjąć swój, lecz nic mu to nie dało, ponieważ następnym wydarzeniem w jego życiu było gwałtowne starcie z łokciem, który nadleciał łukiem z backhandu, zmiażdżył mu kość policzkową i zgasił wszystkie światła we łbie.

Reacher cofnął się i spojrzał na tego pierwszego, który był aktualnie bardzo zajęty, jak większość facetów, którzy oberwali w krocze. Pistolety. Smith & wesson sigma .40, nowoczesne polimerowe cacka, bardzo kosztowne. Obydwa nabite. Mężczyźni mieli portfele w tylnych kieszeniach, w sumie około stu dolarów, które Reacher zabrał w charakterze łupów wojennych. W portfelach były również prawa jazdy na nazwisko Moynahan, co znaczyło, że napastnicy rzeczywiście mogli być braćmi albo kuzynami i mieć wspólnego wuja. Jeden miał na imię John, drugi Steven.

Reacher wrócił do forda. Okno od strony kierowcy było otwarte. Jeden pistolet schował do kieszeni, drugi podał Chang. Wzięła go, acz niechętnie.

– Słyszała pani, co mówili?

– Wszystko – odparła.

– Wnioski?

– Może to i prawda. Może rzeczywiście jest tam tylko jeden motel. A może nie.

– Jestem za „nie”. Pokój jest zapłacony. Po co mieliby się tak spinać?

– Mógł pan zginąć.

Reacher kiwnął głową.

– Wiele razy. Ale dawno temu. Nie dzisiaj. Nie z ich ręki.

– Wariat.

– Albo fachowiec.

– I co teraz?

Zerknął przez ramię. Ten po prawej przechodził akurat etap pośredni między nieświadomością i świadomością. Ten po lewej wił się bez przekonania na jezdni,



macając każdą część ciała między klatką piersiową i kolanami.

– Zastrzel ich, jeśli się poruszają – rzucił.

Podszedł do stojącego dziesięć metrów dalej pick-upa i wszedł. W schowku na mapy znalazł dowód rejestracyjny i ubezpieczenie na nazwisko Stevena Moynahana. Poza tym w szoferce nie było nic interesującego. Reacher usiadł prosto i wrzucił bieg. Zjechał na pobocze i zaparkował na żwirze z lewymi kołami bezpiecznie poza jezdnią, prawymi głęboko w pszenicy i kufrem do horyzontu. Zgasił silnik i wyjął kluczyki.

Jednego po drugim, zawłókł ich w cień przed maską i oparł o chromowany zderzak. Obydwaj już się zbudzili.

– A teraz uważajcie – powiedział i gdy skupili na nim wzrok, położył kluczyki na dłoni i rzucił je łukiem w pszenicę. Jedenaście, piętnaście metrów. Zanim je znajdą, w najlepszym razie minie godzina, zakładając, że dojdą do siebie. Co mogło im zająć dodatkową godzinę.

Potem wrócił, wszedł do forda i Chang ruszyła. Od czasu do czasu spoglądał przez ramię w tylne okno. Pick-up był widoczny bardzo długo, choć ciągle malał i w końcu zmienił się w ciemną kropeczkę. A potem droga opadła za północny horyzont i stracili go z oczu.

•••

Dojazd do autostrady zajął im trzy godziny, a wtedy z tablicy drogowej wyczytali, że do Oklahoma City mają jeszcze dwie. Po drodze nie działo się nic szczególnego do chwili, gdy od celu podróży dzieliło ich dziewięćdziesiąt minut jazdy i gdy w kieszeni Chang rozdzwoniły się wszystkie dzwonki i rozpiszczały wszystkie piszczałki. Poczta głosowa, SMS-y oraz e-maile, dotąd skrzętnie przechowywane, teraz załadowane.

Odzyskali zasięg.

Prowadziła jedną ręką, drugą żonglując telefonem, wreszcie Reacher powiedział:

– Lepiej zjedźmy na pobocze, zanim turystka naprawdę się rozbije. Wstąpmy na kawę.

– Nie rozumiem, jak można pić tyle kawy.

– Prawo ciążenia – wyjaśnił. – Przechyłasz kubek i spływa sama. Wtedy nie można jej nie wypić.

– Serce musi walić panu jak młotem, cały czas.

– Lepsze to, niż gdyby przestało.

Półtora kilometra dalej zobaczyli znak, zjechali z autostrady i znaleźli się w typowym, długim ciągu przydrożnych obiektów usługowych ze stacją benzynową, toaletami i starodawnym kamiennym budynkiem, w stylu urzędów państwowych, nieco oszpeconym przez jaskrawe neony sieciówki z kawą i żarciem. Zaparkowali, wysiedli i przeciągnęli się. Południe i wciąż ciepło. Skorzystali z toalety i spotkali się w kawiarni. On wziął jak zwykle średni kubek czarnej, ona mrożoną z mlekiem. Usiedli przy narożnym stoliku i Chang wyjęła telefon. Cieniutki, z ekranem dotykowym, wielkości książki w kieszonkowym formacie. Przez długą chwilę przesuwała coś w górę, na boki i w dół, najpierw w ustawieniach, potem SMS-ach, wreszcie w e-mailach.

– Nic od Keevera – powiedziała.

– Niech pani do niego zadzwoni.

– Oboje wiemy, że nie odbierze.

– Zdarzają się dziwniejsze rzeczy. Kiedyś postawiłem na nogi trzy wydziały policji i Gwardię Narodową, żeby szukali pewnego gościa, a on pojawił się nagle świeżutki i wypoczęty po urlopie w innym stanie.

– Keever nie jest na urlopie.

– Nie szkodzi, niech pani spróbuje.

Po długim wahaniu spróbowała i najpierw zadzwoniła do jego domu, potem na komórkę.

Nie odebrał.

– Teraz jeszcze raz do Los Angeles – powiedział Reacher. – Pod numer z karteczki, tej z dwustoma trupami.

Kiwnęła głową, chętna do działania. Wystukała numer i przytknęła telefon do ucha.

Tym razem ktoś odebrał.

– Dzień dobry – zaczęła trochę zaskoczona. – Czy można wiedzieć, do kogo się dodzwoniłam?

Na co tamten musiał odpowiedzieć w oczywisty sposób, tak jak on odpowiedział jej podczas ich pierwszego spotkania: „A kto pyta?”.

– Nazywam się Michelle Chang. Jestem prywatnym detektywem z Seattle. Wcześniej pracowałam w FBI. Teraz pracuję z panem Keeverem. Myślę, że mógł do pana dzwonić. Pana numer znaleziono w jego pokoju motelowym.

Reacher nie miał pojęcia, jak brzmiało następne pytanie z dalekiego Los Angeles, ale szybko się domyślił, że rozmówca prosił Chang, żeby przesyłała nazwisko.

– K-e-e-v-e-r.

Potem była długa przerwa, wreszcie padła odpowiedź, na pewno przecząca, ponieważ Chang spytała:

– Jest pan pewny?

I zaczęła się przydługa rozmowa, w przeważającej części jednostronna, czyli monolog tego z Los Angeles, którego Reacher nie słyszał, a ponieważ na podstawie wyrazu twarzy Chang można było napisać tysiąc scenariuszy, obserwowanie jej nic mu nie dało. Odniósł wrażenie, że jej rozmówca omawia sprawę za sprawą, wielowątkowo. I bardzo szczegółowo. Może był aktorem. Albo filmowcem. Reacherowi brakowało kontekstu. W końcu przestał fantazjować i po prostu czekał.

Wreszcie Chang pożegnała się, rozłączyła, odetchnęła, upiła łyk kawy i powiedziała:

– Nazywa się Westwood. Jest dziennikarzem „LA Times”. Redaktorem naukowym. Nie, żeby dział naukowy był duży. Zwykle pisze analizy do niedzielnego wydania. Mówi, że Keever do niego nie dzwonił. Ma zwyczaj sporządzania krótkich notatek na temat wszystkich połączeń przychodzących i wprowadzania ich do zabezpieczonej bazy danych, bo, jak twierdzi, w dzisiejszych czasach muszą tak robić wszyscy dziennikarze, na wypadek gdyby

ktos pozwał gazetę. Ktoś albo ktosie. Ale Keevera w bazie nie ma. Stąd wie, że nie dzwonił.

– Westwood nie jest jego klientem, tak?

Chang pokręciła głową.

– Powiedziałyby mi. Przedstawiłam się jako partnerka Keevera.

– Kiedy znaleźliśmy tę karteczkę, powiedziała pani, że jest to numer telefonu klienta albo niezależnego źródła, u którego Keever szukał potwierdzenia. Albo numer źródła dalszych informacji. Może Keever dopiero zamierzał zadzwonić do Westwooda. Po telefonie do pani. A może taką przewidział dla pani rolę. Łączniczki z Westwoodem. W jakiejś sprawie.

– Tak, ale istnieje również prawdopodobieństwo, że ten numer nie ma nic wspólnego z Keeverem. Karteczka mogła tam leżeć od wielu miesięcy.

– Nad czym Westwood teraz pracuje?

– Piszę artykuł o pochodzeniu pszenicy. O tym, jak dzika pszenica została skrzyżowana i stała się współczesną. Trochę zalatuje to propagandą. I tak jesteśmy już genetycznie zmodyfikowani, więc modyfikujemy się dalej.

– Myśli pani, że to ma jakiś związek? Niedawno widzieliśmy mnóstwo pszenicy.

– Mnie wystarczy na całe życie. Ale nie, obstać przy wersji, której użyłby w sądzie adwokat: karteczka mogła leżeć w tym pokoju od roku. Albo od paru lat. Mógł ją zostawić każdy z pięćdziesięciu gości, którzy tam mieszkali. Albo ze stu.

– Sądzi pani, że numer Westwooda jest łatwy do zdobycia?

– Zależy od tego, czy i kiedy go zmienił. Jeśli dawno, prosta sprawa. Zwłaszcza dla dziennikarza. Na pewno jest gdzieś w internecie, wystarczy dobrze poszukać. A z doświadczenia wiem, że większość dziennikarzy to lubi. Dzięki temu mają sieć kontaktów. Takie czasy.

Reacher w milczeniu dopił kawę.

– O czym pan myśli? – spytała Chang.

– O tym, że adwokat wygrałby sprawę. Ale paru przysięgłych kiepsko by spało. Bo o czwartej rano pomyśleliby, że istnieje inne wytłumaczenie, równie przekonujące. Zaczyna się od pani pierwszego wrażenia, pokręconego ekscentryka z kasą albo ręcznie wypisywanymi czekami, który wyrusza na krucjatę, bo pszenica chce zabić dwieście osób. Coś w tym stylu. Żeby to udowodnić, dzwoni do tego dziennikarza, który też o tym wie. Proszę, oto jego numer. Co mówi nam sporo o naszym krzyżowcu. Wyrzebał ten numer z internetu. To tego rodzaju

człowiek. Czuję, że karteczka ma z tym związek. Wszystko trzyma się kupy. To samotny dziwak z obsesją, która początkowo jest zupełnie niegroźna i nagle staje się niebezpieczna.

– Powinniśmy jechać – powiedziała Chang.

Mały zielony ford miał GPS na desce rozdzielczej, dlatego bez najmniejszego trudu znalazł dom Keevera na wyblakłym podmiejskim osiedlu na północ od Oklahoma City. Dom, parterowy, miał płaski dach pokryty brązową dachówką asfaltową, wyłożone żółtą oblicówką ściany i stał przy ślepej uliczce. W ogródku od ulicy rosło młode drzewko usychające z braku wody. Prawą stronę działki przecinał podjazd do garażu na jeden samochód. Nie była to perełka architektoniczna, lecz w popołudniowym słońcu dom wyglądał miło. Jak prawdziwy dom. Reacher wyobraził sobie, jak rosły Keever wchodzi do środka, zrzuca buty i opada na wysiedziany fotel, żeby obejrzeć mecz w telewizji.

Chang zaparkowała na podjeździe. Wysiedli i podeszli do drzwi. Był tam guzik dzwonka i mosiężna kołatka, zadzwonili więc i zakołatali, lecz bez skutku. Drzwi były zamknięte. Gałka nie chciała się przekręcić. Przez okno zobaczyli ciemne wnętrze.

– On ma rodzinę? – spytał Reacher.

– Jest rozwiedziony – odparła Chang. – Jak wielu innych.

– I raczej nie należy do tych, którzy zostawiają klucz pod doniczką.

– Jestem pewna, że ma alarm.

– Przejechaliśmy kawał drogi.

– Wiem. Zajrzyjmy od tyłu. W taką pogodę mógł zostawić otwarte okno. Albo chociaż uchylone.

Uliczka była cicha i spokojna. Siedem podobnych domów, trzy po jednej stronie, trzy po drugiej, jeden na końcu zaułka. Pusto na jezdni, pusto na chodnikach. Żadnych ciekawskich oczu, nic do oglądania. Straż sąsiedzka nie miałaby tu co robić. Dominowało wrażenie przelotności, ale takiej spowolnionej, jakby we wszystkich siedmiu domach mieszkali rozwodnicy, którzy potrzebowali paru lat, by stanąć na nogi.

Podwórko za domem było ogrodzone sięgającym do głowy płotem z poszarzałych od pogody desek. Kawałek zadbanego trawnika, ganek, na ganku wiklinowy bujak. Żółta oblicówka, tak jak od frontu. Cztery okna i drzwi. Okna

były zamknięte. Drzwi, na dole z litego drewna, na górze miały dziewięć małych okienek, jak w domu na farmie. Prowadziły do wąskiej sieni, a sień do kuchni.

Teren był płaski, domy niskie, płot wysoki. Nikt nie mógł nikogo podejrzeć.

– Ciekawe, jak szybko reaguje na wezwanie tutejsza policja – myślała na głos Chang. – Zakładając, że Keever ma alarm.

– Pewnie od dwudziestu minut do wieczności – odparł Reacher.

– Więc moglibyśmy dać sobie dziesięć minut. Tak? Wejść i wyjść, szybko i w skupieniu. W sumie to nawet nie przestępstwo. Keever i ja jesteśmy partnerami. Nie pozwabły nas do sądu. Zwłaszcza w tych okolicznościach.

– Nie wiemy, czego szukamy.

– Luźnych kartek, zeszytów, notesów, notatników, wszystkiego, na czym można coś zapisać. Bierzemy to, wychodzimy i na spokojnie przeglądamy.

– Ok. Trzeba będzie wybić okno.

– Które?

– Podobają mi się drzwi. Ta georgiańska szybka najbliżej klamki. Będziemy mogli swobodnie wejść.

– Dobra, do roboty.

Dolny rząd, skrajna szybka po lewej stronie – trochę za nisko na łokieć, ale w lekkim przysiadzie rzecz do zrobienia. Potem wystarczy tylko wybić ostre resztki, włożyć do środka całą rękę, zgąć ją i chwycić za klamkę. Reacher poruszał zewnętrzną gałką, żeby sprawdzić opór zamka, wyczuć, jakiej będzie potrzebował siły.

Drzwi były otwarte.

Otworzyły się lekko do środka, ukazując matę w sieni. Na futrynie był czujnik alarmu. Malutka kuleczka z pomalowanym drucikiem. Reacher czekał na sygnał ostrzegawczy. Zwykle było to trzydzieści cosekundowych bipnięć, bo tyle czasu wystarczyło, żeby właściciel zdążył wyłączyć alarm.

W domu panowała cisza.

Nic nie bipczało.

– Coś jest nie tak – szepnęła Chang.

Reacher włożył rękę do kieszeni i zacisnął palce na uchwycie pistoletu. Samonapinający się kurek, bez manualnego bezpiecznika. Gotowy do strzału. Wystarczy wycelować i pociągnąć za spust. Wszedł do kuchni. Pustej. Nic. Żadnych śladów walki. Teraz korytarz. Frontowe drzwi były dokładnie naprzeciwko. Słońce było już nisko nad horyzontem. Dom wypełniało złociste światło.

Stężałe powietrze i cisza.

Wyczuł, że Chang idzie w lewo, więc skręcił w prawo, w korytarz z czworgiem drzwi, do sypialni, łazienki, pokoju gościnnego z łózkami i pokoju gościnnego przerobionego na biuro, gdzie panował ład i porządek i gdzie też nie było żadnych śladów przemocy.

Spotkali się przy drzwiach frontowych i Chang pokręciła głową.

– Jakby wyszedł na chwilę po pizzę. Nawet nie zamknął drzwi.

Panel systemu alarmowego zamontowano na ścianie. Bardzo nowoczesne urządzenie. Pokazywało godzinę i świeciło jednostajnym zielonym światłem.

Alarm był wyłączony.

– Bierzmy to, po co przyszliśmy – rzucił Reacher.

Wrócili do pokoju gościnnego, tego mniejszego, wyposażonego w komplet półek na górze, komplet szafek na dole, komódkę, biurko – wszystko oklejone fornirem z jasnego klonu – komputer, telefon, faks i drukarkę. Inwestuje w nową karierę zawodową, pomyślał Reacher. „Mamy przedstawicielstwa w całym kraju”. Skandynawski wystrój działał uspokajająco. Wszędzie panował porządek. Nigdzie nie było żadnych szpargałów.

Ani papierów.

Notesów, notatników, zeszytów, karteczek samoprzylepnych czy luźnych kartek.

Reacher znieruchomiał.

– Keever był policjantem i agentem federalnym. Godzinami wisiał na telefonie. Gadał, rozmawiał, czekał ze słuchawką przy uchu. Czy ktoś robi to bez długopisu i kawałka papieru? Do notowania, bazgrania i zabijania czasu? Tego nawyku nie da się wyzbyć.

– Do czego pan zmierza?

– Do tego, że to bzdura. – Reacher podszedł do szafek pod półkami. I zaczął je po kolei otwierać. W pierwszej były tonery do drukarki. W drugiej zapasowe tonery do faksu.

W trzeciej zeszyty z żółtymi kartkami w linie.

A obok nich zapasowe kołonoratniki, wciąż w folii termokurczliwej, po pięć sztuk w paczce, bloczki karteczek samoprzylepnych i kilka grubych ryz białego papieru maszynowego.

– Przykro mi – powiedział.

– Dlaczego?



– To zaczyna źle wyglądać. Mamy do czynienia z kimś, kto zużywa mnóstwo papieru. Tak dużo, że kupuje go hurtem. Dają głowę, że biurko było zasłane papierami. Mogliśmy to jakoś poskładać, czegoś się dowiedzieć. Ale ktoś nas uprzedził. Ktoś, kto wykonuje tę samą misję. I wszystko wyparowało.

– Kto?

– Boję się, że zdradza ich metoda działania. Keevera uprowadzono. Tylko tak da się to wytłumaczyć. Znaleźli przy nim notatki, może na kartce wyrwanej z notesu, a w kieszeni portfel z prawem jazdy, z którego dowiedzieli się, gdzie mieszka. Założyli, że będzie tam notes z resztą zapisków, a ponieważ w innej kieszeni znaleźli klucz, mogli tu swobodnie wejść, tym bardziej że alarm jest nowoczesny i przy kluczu był pewnie gadżet, którym macha się przed panelem, żeby wyłączyć system. Taki pilot na kółku do kluczy. Transponder. Co byłoby chyba dobrodziejstwem. Nie musieliby wyciągać z Keevera kodu.

– Wali pan prosto z mostu.

– Inaczej nie da się tego wyjaśnić.

– Nie wiadomo tylko, kto to jest.

– Matczyny Spoczynek – odparł Reacher. – To jego ostatnie znane miejsce pobytu.

• • •

Przeszukali dom pokój po pokoju na wypadek, gdyby coś przeoczyli. W sieni nie znaleźli nic interesującego. Kuchnia była rzadko używana i bez charakteru. Sztuce nie od kompletu, różne puszkę, kupione pewnie pod wpływem chwili i nigdy nieotwarte. Keever na pewno nic tam nie ukrył, chyba że zamurował coś w ścianie i sprytnie zamalował dwudziestoletnią lateksową farbą podkładową ze stosowną domieszką brudu i starego tłuszczu.

W salonie z niszą jadalną było podobnie. Przeszukali go bez trudu. Keever nie mieszkał po spartańsku, ale było widać, że zaczął skromnie i z biegiem lat nie zgromadził zbyt wiele rzeczy. Pokój gościnny z łózkami urządzono jak dziecięcy. Prawo do odwiedzin. Pewnie co drugi weekend. Cokolwiek uzgodnili adwokaci. Reacher odniósł jednak wrażenie, że pokój był nieużywany.

W głównej sypialni unosił się kwaskowaty zapach. Łóżko i stolik nocny. Drewniany wieszak na marynarkę i komódka z szufladkami na zegarki, monety

i portfele. Jak w eleganckim hotelu. W łazience zalatywało wilgocią, a ręczniki były w okropnym stanie.

Na stoliku leżał plik czasopism przygnieciony książką w twardej oprawie. Przechodząc, Reacher zerknął w dół. Z czystej ciekawości.

Dostrzegł trzy rzeczy.

Po pierwsze, bezpośrednio pod książką leżał niedzielny dodatek do „LA Timesa”.

Po drugie, dodatek był niedoczytany. Wystawała z niego zakładka, jej dwucentymetrowy fragment.

Po trzecie, książka też była niedoczytana. Z niej też wystawała zakładka.

Obydwie zrobiono ze złożonych wzdłuż karteczek memo. Były to pierwsze skrawki papieru, jakie Reacher zobaczył w domu Keevera.

Zakładka z książki była czysta, nie licząc nabazgranej czwórki. Cyfra 4 sama w sobie nie budziła większego zainteresowania, słyęła jednak z tego, że wyrażające ją angielskie słowo, jako jedyne w całym wszechświecie, ma dokładnie tyle samo liter: *four*. Nic poza tym. Nie pasowała do kontekstu.

– Obstawę przy tym, co twierdziłyby w sądzie obrońca oskarżonego – powiedziała Chang.

Reacher kiwnął głową. Ale druga zakładka była lepsza. I to dużo. Początkowo tylko ze względu na swoją funkcję. Niedzielny dodatek do „LA Timesa” otworzył się na pierwszej stronie długiego artykułu autorstwa redaktora naukowego Ashleya Westwooda. Artykuł mówił o tym, jak to dzięki współczesnym postęmom w leczeniu urazów mózgu możemy lepiej zrozumieć sam mózg.

Opublikowano go niecałe dwa tygodnie wcześniej.

– Obrońca zaczęły od tego, że zapoznały sąd z wysokością nakładu – powiedziała Chang.

– I jaki jest ten nakład?

– Prawie milion.

– Próbowaliby sugerować, że prawdopodobieństwo tego, że to nie przypadek, wynosi milion do jednego?

– Tak by twierdził.

– A co powiedziałyby na to agentka FBI?

– Uczono nas myśleć z wyprzedzeniem. I przewidywać sugestie obrońcy.

Reacher rozłożył zakładkę. Jedna strona była czysta.

Druga nie.

Na drugiej widniały dwie linijki odręcznie napisanej notatki.

Na górze zobaczył ten sam numer telefonu z kierunkowym 323. Redaktor naukowy Ashley Westwood, Los Angeles, Kalifornia.

Na dole zaś słowa: „Matczyny Spoczynek – Maloney”.

– Co agentka FBI powiedziałyby teraz? – spytał Reacher.

– Kazałaby się pocałować obrońcy w tyłek. Keever ma zadzwonić do Westwooda z prośbą o potwierdzenie informacji dotyczącej miasteczka, które niedawno odwiedziliśmy. To zupełnie oczywiste. Poza tym teraz mamy nazwisko. Może rzeczywiście mieszka tam jakiś Maloney. Ostatecznie poznaliśmy dwóch Moynahanów.

– Ale dlaczego zakładka była na początku artykułu?

– Bo Keever go jeszcze nie przeczytał – odparła Chang.

– I dlatego nie zadzwonił do Westwooda. Zachowajmy otwarty umysł i przyjmijmy, że jego klient jest pasjonatem. A pasjonat przez cały dzień wisi na telefonie. Opowiada tę samą historię każdemu, kto zechce go wysłuchać. Miasteczko Matczyny Spoczynek, dwieście trupów, jeśli pan nie wierzy, proszę zadzwonić do redaktora naukowego „LA Timesa”. Podaje Keeverowi z trudem zdobyty numer, a on za każdym razem go zapisuje, bo taki już jest, dlatego bez najmniejszego trudu znaleźliśmy go już dwa razy. Więc może początkowo jest to typowy natręt. Na pewno takich miewacie.

– Od czasu do czasu – przyznała.

– Ale w jego opowieści jest coś, co daje Keeverowi do myślenia. Jest sceptyczny, więc przeprowadza mały test. Mieszka w Oklahoma City, tak? Dlatego, żeby zdobyć gazety z innych miast, musi jechać na dworzec. Mimo to jedzie. I pewnej niedzieli kupuje „LA Timesa”. Chce sprawdzić, czy ten ekspert i świadek w jednej osobie jest wiarygodny. Czy to poważny autor, czy taki z gazety w supermarkecie? Chce przekonać się o tym na własne oczy. Kiedy zaczęto uprawiać pszenicę? – spytał Reacher.

– Zależy gdzie. Tak czy inaczej, tysiące lat temu.

– A więc okazuje się, że Westwood jest całkiem niezły. Skończył z mózgiem i przeniósł się tysiące lat w przeszłość. Mądry gość. Ale Keever jeszcze o tym nie wie. Bo nie przeczytał artykułu. Co sugeruje, że to, co powiedział mu klient, było intrygujące, lecz niezbyt pilne. Nie rzucił wszystkiego, żeby się za to zabrać.

– Ale potem się zabrał.

– Otóż to. Musimy ustalić, co się zmieniło.

•••

Straż sąsiedzka nie miałaaby tam nic do roboty, mimo to postanowili nie zwlekać. Wyszli z domu i zamknęli drzwi. Przecięli podjazd i wsiedli do

samochoду.

- Trzeba jeszcze raz pogadać z Westwoodem.
- Keever do niego nie dzwonił. Facet nie ma nam nic do powiedzenia.
- Ale może dzwonił ktoś inny. I Westwood nam o tym opowie.
- Ktoś inny? Na przykład kto?
- Na razie tego nie wiemy.

Chang umilkła. Wyjęła komórkę, wybrała numer, nacisnęła jakiś guzik i położyła telefon na podłokietniku między przednimi fotelami.

- Włączyłam głośnik - wyjaśniła.

Zabrział sygnał.

Ktoś odebrał.

- Halo?

Westwood.

- Dzień dobry - zaczął Reacher. - Nazywam się Jack Reacher i pracuję z moją koleżanką Michelle Chang, która niedawno do pana dzwoniła.

- Pamiętam. Uzgodniliśmy, że jej drugi kolega do mnie nie dzwonił. Keever, prawda? Myślałem, że już to ustaliliśmy.

- Tak, jak najbardziej. Ale właśnie zdobyliśmy jednoznaczny dowód, że zamierzał to zrobić. Być może był pan następny na liście albo kolejny.

Westwood zawałał się lekko, lecz wyraźnie.

- Gdzie on teraz jest?

- Zaginął - odparł Reacher.

- Jak? Gdzie?

Reacher nie odpowiedział.

- Głupie pytania - mruknął Westwood.

- Najważniejsze może być „jak”. „Gdzie” było istotnie dość głupie. Gdybyśmy wiedzieli, gdzie zaginął, tobyśmy go nie szukali.

- Powinniście sprawdzić, do kogo już dzwonił. A nie do kogo zamierzał dzwonić... Kiedyś.

- Nasze informacje są niepełne.

- To znaczy?

- Musimy pracować od końca, panie redaktorze. Przypuszczamy, że Keever chciał zasięgnąć u pana opinii czy też zlecić panu jakąś analizę. Chcielibyśmy się dowiedzieć, w jaki sposób mógł mu pan pomóc.

- Jestem dziennikarzem. A nie ekspertem.

– Ale jest pan dobrze zorientowany.

– Każdy, kto czyta moje artykuły, jest tak samo zorientowany jak ja.

– Myślę, że większość czytelników jest przekonana, że wycięte fragmenty filmu zostają na podłodze w montażowni. Wierzą, że to, co poszło do druku, to nie wszystko, że wie pan coś więcej. Że być może nie mógł pan tego opublikować z powodów prawnych. I tak dalej. Zakładają, że to, co nie trafiło do artykułu, jest bardzo ciekawe. I szanują pana za to, kim pan jest.

– Możliwe – przyznał Westwood. – Ale mówimy o rozmowie, która nigdy się nie odbyła.

– Nie, myślę teraz o kliencie pana Keevera. Założyliśmy, że jest to ktoś, kto ma mnóstwo czasu. Dysponujemy dowodami, że często do niego dzwonił. Odnosimy wrażenie, że to tego rodzaju człowiek. I najwyraźniej coś nie daje mu spokoju. Powiedziałem koleżance, że pewnie dzwonił gdzie się tylko da, od Białego Domu w dół. Jestem przekonany, że tak było. Próbował skontaktować się z setkami ludzi. Łącznie z panem. Bo dlaczego nie? Jest pan redaktorem naukowym w dużej gazecie. Może kiedyś napisał pan coś, co miało związek z tą sprawą. Ten ktoś wyszperał pana numer w internecie nie po to, żeby dać go Keeverowi... nie taki był pierwotny plan... tylko po to, żeby porozmawiać bezpośrednio z panem. Moim zdaniem to pokręcony naukowy obsesjonat, który uważa, że pan go zrozumie. Dlatego myślę, że do pana dzwonił. I że mógł pan z nim rozmawiać.

Tysiące kilometrów dalej zapadła cisza, a potem znowu odezwał się Westwood, lekko zdławionym głosem, jakby próbował stłumić uśmiech.

– Pracuję w „LA Timesie” – powiedział. – W Los Angeles. W Kalifornii. Mój numer można znaleźć w internecie. W sumie to dobrze, ale znaczy to jednak, że przez cały czas odbieram dziwne telefony. We dnie i w nocy. Rozmawiałem chyba ze wszystkimi możliwymi świrusami. Dzwonią do mnie, żeby porozmawiać o obcych i latających spodkach, o narodzinach i samobójstwach, o promieniowaniu i kontroli umysłu, a są to tylko telefony z zeszłego miesiąca.

– Rejestrujecie je w bazie danych?

– Zajmują większą jej część. Proszę spytać jakiegokolwiek dziennikarza.

– Da się ją przeszukać według tematów?

– Nie chce nam się wprowadzać wszystkich szczegółów. Ci ludzie gadają bez końca. Dlatego dzielimy ich na kategorie. Szajbus tego rodzaju, szajbus tamtego rodzaju. Prędzej czy później blokują ich numery. Kiedy zaczynają się za bardzo narzucać. Muszę czasem spać.

– Matczyny Spoczynek. Proszę spróbować.

– Co to takiego?

– Nazwa miasteczka. Dwa słowa. Jak odpoczywająca w fotelu mama. Dużymi literami.

– Dlaczego tak się nazywa?

– Nie wiem – odrzekł Reacher.

W głośniku głośno zaklikała klawiatura. Westwood przeszukiwał bazę danych.

Według haseł.

– Nic – powiedział.

– Jest pan pewny?

– To bardzo charakterystyczna nazwa.

Reacher milczał.

– Nie twierdzę, że klient waszego kolegi do mnie nie dzwonił – dodał Westwood.

– Bo pewnie dzwonił. Wszyscy takich znamy. Tylko skąd mam wiedzieć, który to był?

• • •

Wyjechali z zaułka, potem z osiedla, minęli centrum wyprzedażowe i dojechali do autostrady. Pięć godzin jazdy w prawo był Matczyny Spoczynek. Dziesięć minut w lewo – Oklahoma City ze stekami, szaszłykami z grilla i porządnymi hotelami.

Ale Chang powiedziała:

– Nie, musimy wracać.

Zamiast w restauracji ze stekami czy szaszłykami z grilla, zjedli na przydrożnym parkingu, w chłodnej fluorescencyjnej ciszy trzeciej najlepszej sieciówki w kraju. Reacher wziął cheeseburgera w papierku i kawę w styropianowym kubku. Chang zamówiła sałatkę w plastikowym pojemniku wielkości piłki do koszykówki, z przezroczystą pokrywką i białym spodem. Choć zestresowana i chyba trochę zmęczona podróżą, była dobrą kompanią. Podczas gdy on próbował ugryźć cheeseburgera, ona odrzuciła do tyłu włosy i zaatakowała sałatkę, traktując posiłek jak wspólne nieszczęście, z szeroko otwartymi oczami i co najmniej sześcioma rodzajami półśmiechu, od smutnego i skromnego po rozbawiony i pełen oczekiwania.

– Dzięki za dotychczasową pomoc – powiedziała.

– Nie ma za co – odparł.

– Musimy pomyśleć o trwalszym układzie.

– Tak?

– Jeśli mam dokończyć to sama, nie powinniśmy zaczynać w duecie.

– Powinna pani zadzwonić na policję.

– Sporządziliby tylko raport o zaginięciu. To wszystko. Od dwóch dni nie można nawiązać kontaktu z dorosłym mężczyzną wykonującym zawód wymagający nagłych podróży. Nic by nie zrobili. A my nie możemy dostarczyć im żadnych dowodów.

– Drzwi.

– Są nieuszkodzone. Niezamknięty zamek nie jest dowodem przestępstwa, tylko zaniedbania ze strony właściciela.

– Więc chce mnie pani zaangażować? A koszty własne i te rzeczy?

– Chcę tylko znać pana zamiary.

Reacher milczał.

– Może pan zabrać się stąd okazją do miasta. Nie będę miała pretensji.

– Jechałem do Chicago. Chciałem tam dotrzeć, zanim zrobi się zimno.



– W porządku. Niech pan pojedzie stopem do Oklahoma City i złapie tam pociąg. Ten sam, co poprzednio. Tym razem się chyba nie spóźni.

Reacher nie odpowiedział. Zdążył polubić jej sznurowane buty. Nie tylko praktyczne, ale i ładne. Dżinsy, miękkie i stare, nosiła nisko na biodrach. T-shirt był czarny, ani obcisły, ani luźny. Patrzyła mu w oczy.

– Pojadę z panią – zdecydował. – Ale tylko pod warunkiem, że pani tego chce. To pani prowadzi tę sprawę, nie ja.

– Nie lubię prosić.

– O nic pani nie prosi. To ja składam propozycję.

– Nie mogę panu zapłacić.

– Mam wszystko, czego potrzebuję.

– Czyli?

– Kilka dolarów w kieszeni i cztery strony świata na kompasie.

– Bo musiałabym zrozumieć dlaczego.

– Dlaczego co?

– Pan mi pomaga.

– Ludzie zawsze powinni sobie pomagać, tak myślę.

– Może być ostro.

– Jestem pewny, że oboje widzieliśmy gorsze rzeczy.

Chang umilkła.

– Ostatnia szansa – powiedziała po chwili.

– Jadę z panią.

•••

Gdy zjechali z autostrady, było już ciemno. Droga biegła przez bezkres, widoczna jedynie na odcinku równym długości smug światła z reflektorów, a dalej czarna. Mały ford mruczał, od czasu do czasu podskakując na zwietrzałym asfalcie, po lewej i prawej stronie migały blade łany pszenicy. Świecił księżyc w nowiu, a niebo pokrywała cienka warstwa chmur i pył odległych gwiazd.

Trudno było powiedzieć, kiedy minęli miejsce, w którym zostawili Moynahanów. Każdy następny kilometr wyglądał dokładnie tak samo jak poprzedni. Ale czerwony pick-up zniknął. Nigdzie go nie widzieli, ani na głównej drodze, ani na skrzyżowaniach z drogami bocznymi – nagły skręt w lewo, nagły skręt w prawo, w lewo i w prawo – które prowadziły do miasta przez pola.

Zobaczyli je niecałe dwa kilometry dalej i w nocy było rozmyte niczym zjawą i, jak cały krajobraz, zdominowane przez elewatory. Stary szlak, najszersza część miasta, sześć nisko zabudowanych przecznic – skręcili w ulicę manewrową i pojechali do motelu. W biurze paliło się światło.

– Zabawę czas zacząć – powiedziała Chang.

Zaparkowała pod drzwiami do swojego pokoju i zgasiła silnik. Przez chwilę siedzieli w nagłej ciszy, potem wysiedli. Z rękami na uchwycie pistoletów w kieszeni stanęli przy samochodzie w nocnym półświecie, poświacie bijącej z żarówek pod podestem na piętrze i nad każdymi drzwiami. Oczywiście wszystkie się paliły.

Żadnego ruchu. Żadnego dźwięku.

Ani Moynahanów, ani obławy.

Nic. Absolutna cisza.

I nagle z mieszczącego się trzydzieści metrów dalej biura wyszedł jednooki.

Ruszył ku nim spieszenie, tak jak poprzednio wymachując rękami i gestykulując, i podszedłszy bliżej, wbił w ziemię swój niedoskonały wzrok i odetchnął.

– Przepraszam – rzucił. – Zaszła pomyłka. Nieporozumienie z mojej winy. Może pan korzystać z pokoju dwieście piętnaście do powrotu tego drugiego pana.

Chang nie zareagowała.

– Rozumiem – powiedział Reacher.

Jednooki kiwnął głową, jakby dobili interesu, i z podwiniętym ogonem ruszył z powrotem do biura. Chang odprowadziła go wzrokiem.

– To może być pułapka albo zasadzka – mruknęła.

– Możliwe – odrzekł Reacher. – Ale raczej nie. Nie chciałby, żeby w pokoju doszło do walki. Meble poszłyby w drzazgi i przez całą zimę musiałby łątać dziury od kul w tynku.

– Myśli pan, że się poddali?

– To tylko kolejny ruch.

– Jaki będzie następny?

– Nie wiem.

– Kiedy go zrobią?

– Prawdopodobnie jutro.

Reacher rozejrzał się, lustrując wzrokiem wszystkie trzy części podkowy, górę i dół. Zasłony w oknie pokoju 203 miały świetlistą obwódkę. Przedtem mieszkał

tam mężczyzna z torbą. Teraz nowy lokator.

– Ale nie przed świtem – dodał. – Tak myślę.

– Zaśnie pan?

– Chyba tak. A pani?

– Jeśli nie będę mogła, zastukam w ścianę.

Weszli schodami na górę, wyjęli klucze i otworzyli drzwi, ramię w ramię, choć sześć metrów od siebie, jak wracający z pracy sąsiedzi.

•••

Trzydzieści metrów dalej jednooki kierownik motelu wyniósł krzesło ogrodowe z pustej stodwójki i zaciągnął je w to samo miejsce co poprzednio, na ścieżkę pod oknem biura. Ustawił je i usiadł ciężko, gotów wypełnić drugi tego wieczoru rozkaz: „Obserwuj ich pokoje przez całą noc”.

Pierwszy rozkaz brzmiał następująco: „Nawet jeśli wrócą, pod żadnym pozorem nie rób dziś zamieszania”. Jednooki uznał, że załatwił to w miarę dobrze.

Tak jak przedtem, Reacher siedział po ciemku niecałe dwa metry od okna i niewidoczny z zewnątrz po prostu patrzył, tym razem z piętra. Piętnaście minut, dwadzieścia, trzydzieści. Tyle, ile musiał, żeby mieć pewność. Siedzący trzydzieści metrów dalej jednooki był tylko bladą plamą w mroku. Zasłony w oknie pokoju 203 miały równomierną świetlistą obwódkę. Całkowity brak ruchu. Ani samochodów, ani ludzi. Ani papierosowych ogników w mroku.

Nic się nie działo.

Czterdzieści minut. W pokoju 203 zgasło światło. Jednooki wciąż siedział na krześle. Reacher odczekał jeszcze dziesięć minut i poszedł spać.

...

Wstał poranek, pogodny jak ten poprzedni. Blade, złociste światło, długie cienie – i jak ten pierwszy, pewnie najdoskonalszy w historii. Reacher owinął się ręcznikiem, usiadł na łóżku i spojrział w okno. Bez kawy. Plastikowe krzesło stało tam, gdzie wieczorem, znowu porzucone. Zasłony w oknie pokoju 203 wciąż były zaciągnięte. Nikt się tam nie poruszał. Z drogi manewrowej dochodziły odgłosy ruchu, słyszalnego, lecz niewidocznego, najpierw jedna ciężarówka, później druga i trzecia.

A potem cisza.

Reacher czekał.

I było tak jak poprzednio.

Słońce wędrowało coraz wyżej i metr po metrze, cienie robiły się coraz krótsze. O siódmej nadjechał pociąg. Wtoczył się na stację i pojechał dalej. Wtedy w oknie pokoju 203 rozsunęły się zasłony.

Kobieta. Słońce świeciło prosto w szybę i była bardziej zakurzona, niż powinna, mimo to Reacher wyraźnie ją widział. Błada i ubrana na białą, stała dokładnie tak jak mężczyzna z torbą, z szeroko rozłożonymi rękami, dłońmi przytrzymując zasłony. Patrzyła na poranek tak samo jak on.

Po chwili nadjechał biały cadillac. Skręcił łukiem w prawo, potem w lewo i zaparkował tyłem na tym samym miejscu co poprzednio. Wciąż bez przedniej tablicy rejestracyjnej. Tym razem kierowca od razu wysiadł. Nad jego głową otworzyły się drzwi i z pokoju wyszła kobieta w bieli. Bielą okazała się prosta sukienka do kolan. I białe buty. Nie była młoda, lecz w dobrej formie. Jakby nad tym pracowała. Jej obcięte na pazia włosy miały kolor popiołu.

Miała większy bagaż niż jej poprzednik, a konkretnie zgrabną walizkę, taką na kółkach i z rączką. Większą niż skórzana torba. Ale nie olbrzymią. Może nawet filigranową. Ruszyła w stronę schodów. Spodziejając się, że kobieta może mieć kłopoty, kierowca podniósł rękę – „Proszę zaczekać” – i wyszedł jej na spotkanie. Złożył rączkę i zniósł walizkę na dół, jakby wskazywał kobiecie drogę. Włożył walizkę do bagażnika, kobieta usiadła z tyłu, on za kierownicą i cadillac odjechał.

Tylnej tablicy rejestracyjnej też nie miał.

Reacher wziął prysznic. Słyszał Chang w sąsiedniej łazience. Wanny stały przy tej samej ścianie. Co znaczyło, że nie poszła na stację. Racjonalna decyzja. Zaoszczędziła sobie niepotrzebnego spaceru. Może robiła to samo co on i obserwowała. Może siedzieli obok siebie w ręcznikach rozdzieleni tylko ścianą. Chociaż ona była pewnie w piżamie. Albo koszuli nocnej. Prawdopodobnie niezbyt obszernej. Zważywszy na pogodę i małą torbę.

Wyszedł z pokoju przed nią i ruszył prosto do jadalni z nadzieją, że zdobędzie te same dwa stojące obok siebie stoliki co poprzednio, te w rogu. I zdobył. Powiesił na jej krześle kurtkę, obciążoną z jednej strony przez pistolet w kieszeni, i zamówił kawę. Chang przyszła pięć minut później, w tych samych dżinsach, lecz w świeżym podkoszulku, z wilgotnymi po prysznicu włosami. W kurtce też obciążonej przez pistolet. Jak przystało na byłą policjantkę, rozejrzała się – trzysta sześćdziesiąt stopni, pstryk-pstryk, siedem, osiem migawek – i energicznym krokiem przeszła przez salę napędzana entuzjazmem, może nawet euforią wynikającą z tego, że udało im się przeżyć noc. Usiadła obok niego.

– Spała pani? – spytał.

– Chyba tak. Chociaż myślałam, że nie zasnę.

– Nie poszła pani na stację.

– Twierdzi pan, że go uprowadzono. W najlepszym wypadku.

– Tylko zgaduję.

– To rozsądne założenie.

- Widziała pani nową mieszkankę pokoju dwieście trzy?
  - Naprawdę nie wiem, co o tym myśleć. Ubrana na czarno mogłaby uchodzić za inwestorkę, zarządczynię funduszu czy czegoś, co wymaga stroju młodszej pracownicy szczebla kierowniczego. Ma odpowiednią twarz i włosy. No i klucz do firmowej siłowni, to na pewno. Ale na biało? Wyglądała tak, jakby jechała na garden party w Monte Carlo. O siódmej rano. Kto tak robi?
  - To nie nowa moda? Nowy pomysł na letni strój?
  - Mam szczerą nadzieję, że nie.
  - Więc kto to jest?
  - Panna młoda w drodze do ratusza na swój piąty ślub.
- Obok ich stolików przechodziła kelnerka.
- Zna pani kogoś nazwiskiem Maloney? - spytała Chang.
  - Nie - odparła kelnerka. - Ale znam dwóch Moynahanów. - Puściła do Reachera oko i poszła dalej.
  - No to teraz naprawdę jest pańską najlepszą przyjaciółką na zawsze. Chyba nie lubi tych Moynahanów.
  - Nie rozumiem, jak można ich lubić.
  - Ktoś musi. Trzeba założyć, że oni też mają najlepszych przyjaciół na zawsze.
- I spodziewać się reakcji.
- Ale jeszcze nie teraz. Porządnie oberwali. Przez parę dni będą czuli się jak po ataku grypy. Inaczej niż w telewizji, gdzie wszyscy dochodzą do siebie podczas przerwy na reklamę.
  - Ale kiedyś dojdą. A wtedy ich kumple mogą ruszyć do boju.
  - Była pani policjantką. Na pewno strzelała pani do ludzi.
  - Ani razu nie wyjęłam broni. Służyłam w Connecticut. W małym mieście.
  - A w FBI?
  - Robiłam analizy finansowe. Byłam urzędniczką.
  - Ale przeszła pani szkolenie, tak? Na strzelnicy.
  - Musiałam, jak wszyscy.
  - Celnie pani strzela?
  - Nie pociągnę za spust, dopóki tamci nie zaczną.
  - Może być.
  - Zupełnie nas pogięło. To jest zwykły przystanek kolejowy. A nie Tombstone.
  - Wszystkie te miasteczka budowano przy torach. O to chodziło. Z pociągu wysiadał bandzior. Albo nowy szeryf.

– Myśli pan, że to naprawdę coś poważnego?

– Na ramionach wagi są dwie szalki. Na lewej Keever jest w Las Vegas, z dziesiętnastolatką u boku. Na prawej nie żyje. Stawiam na środek ramienia tej prawej. Może nawet trochę bliżej końca. Przykro mi. To był prawdopodobnie wypadek. Albo niby-wypadek. Albo wybuch paniki. I teraz nie wiedzą, co robić.

– A my wiemy?

– Na razie mamy trzypunktowy plan działania. Zjeść śniadanie, wypić kawę i znaleźć Maloneya.

– Co może być trudne.

– Co?

– Maloney.

– Zaczniemy od punktu odbiorczego. Przy elewatorach. Powinni znać nazwiska wszystkich w promieniu trzystu kilometrów stąd. Jak dobrze pójdzie, uda nam się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Jeśli z tą pszenicą jest coś nie tak, może coś wywęszymy.

Chang kiwnęła głową.

– Dobrze pan spał?

– Początkowo było dziwnie, z rzeczami Keevera. Z jego walizką pod ścianą. Nie czułem się sobą. Czułem się jak normalny człowiek. Ale szybko mi przeszło.

•••

Punkt odbiorczy mieścił się w zwykłym drewnianym budynku za wagą. Był tym, czym był – funkcjonalność przede wszystkim. Ani stylu, ani uroku. Niczego takiego nie potrzebował. Był jedynym takim budynkiem w mieście i farmerzy albo tu przyjeżdżali, albo głodowali.

W środku znajdowały się lady do wypełniania formularzy, wytarta podłoga, gdzie ustawiała się kolejka, oraz biurko, przy którym rejestrowano dostawy. Siedział przy nim siwowłosy mężczyzna w ogrodniczkach. Za uchem miał ołówek i zmagął się ze stertą papierów. Pewnie przygotowywał się już do żniw. Robił wrażenie zupełnie szczęśliwego na swoim małym lennie.

– W czym mogę pomóc? – spytał.

– Szukamy niejakiego Maloneya – odparł Reacher.

– To nie ja.

– Zna pan takiego?

– A kto pyta?

– Jesteśmy prywatnymi detektywami z Nowego Jorku. Pewien gość zmarł i zostawił całą kasę innemu gościowi. Ale ten drugi też zmarł, więc kasa wróciła do wora i czeka na krewnych. Jeden z nich twierdzi, że nieboszczyk miał w tym hrabstwie kuzyna nazwiskiem Maloney. Tyle wiemy.

– To nie ja – powtórzył ten w ogrodniczkach. – Ile zostawił?

– Nie możemy powiedzieć.

– Dużo?

– Aż kłuje w oczy.

– Więc jak mogą wam pomóc?

– Pomyśleliśmy, że zna pan tu kupę ludzi, bo większość z nich prędzej czy później trafia pewnie do tego biura.

Mężczyzna kiwnął głową, jakby skojarzył sobie coś ważnego i niespodziewanego. Stuknął w klawisz spacji i ekran się rozjarzył. Poruszał myszką, kliknął i ukazała się lista, długa i gęsto zapisana. Dziesiątki nazwisk.

– To są ci, którzy mają pozwolenie na korzystanie z wagi – powiedział. – Tak szybciej idzie. W żniwa zawsze brakuje czasu. Dostawcy zboża z całej okolicy. Od właścicieli pól po robotników. Mężczyźni, kobiety i dzieci. W tej branży obowiązuje zasada „wszystkie ręce na pokład”, przynajmniej w pewnych porach roku.

– Widzi pan tam Maloneya? – spytała Chang. – Bylibyśmy wdzięczni za imię i adres.

Mężczyzna znowu poruszał myszką i lista przesunęła się do góry. Była ułożona alfabetycznie. Zatrzymała się w połowie i ten w ogrodniczkach powiedział:

– Mam tu jednego Mahoneya. Ale on umarł. Dwa, trzy lata temu, jeśli dobrze pamiętam. Rak go dopadł. Nie wiadomo jaki.

– A Maloneya nie ma? – dopytywała się Chang.

– Nie.

– A jeśli nie miałyby nic wspólnego ze zbożem? Znałby go pan?

– Może towarzysko. Ale nie znam. Nie, nie znam nikogo o tym nazwisku.

– Kogo jeszcze można by tu spytać?

– Spróbujcie w Western Union. Jest tam również FedEx. To nasza poczta. Tak jakby.

– Dobra – rzucił Reacher. – Dzięki.



Mężczyzna kiwnął głową i bez słowa uciekł wzrokiem w bok, jakby był zarówno zachwycony, jak i poirytowany, że przerwano mu rutynowe zajęcie.

...

Reacher pamiętał, gdzie jest skład pocztowy z okienkiem Western Union. Widział go dwa razy, zwiedzając miasto. Mały budynek z witryną pełną neonów, gdzie mieściła się również filia MoneyGram, faks, punkt kserograficzny, FedEx, UPS i DHL. Weszli do środka i stojący za ladą sprzedawca podniósł głowę. Około czterdziestki, wysoki i dobrze zbudowany, nie gruby, ale na pewno przy kości, miał gęste włosy i szczerą twarz.

Kierowca cadillaca.

Skład był równie nieciekawym jak punkt odbiorczy, sam kurz, gołe drewno, zużyte beżowe urządzenia do faksowania i kserowania, byle jak ułożone pliki formularzy adresowych i niebezpiecznie pochylone sterty paczek do odbioru, do wysyłki pewnie też. Jedne były małe, niewiele większe od przyklejonych do nich nalepek z adresem, inne większe, w tym dwie najwyraźniej bezpośrednio od zagranicznego producenta, w oryginalnym kartonie, niemiecki sprzęt medyczny ze sterylnej stali nierdzewnej – jeśli Reacher mógł wierzyć swoim umiejętnościom translatorskim – i japońska kamera wideo high definition. Na otwartych półkach leżały zafoliowane rzyzy papieru kserograficznego, nad ladą wisiały długopisy na sznurku, a na ścianie – korkowa tablica informacyjna pełna przypiętych pinezkami ulotek reklamujących wszystkie okoliczne usługi, łącznie z lekcjami gry na gitarze, wyprzedażami podwórkowymi i pokojami do wynajęcia. „To nasza poczta. Tak jakby”, powiedział ten w ogrodniczkach z punktu odbiorczego i Reacher rozumiał już dlaczego.

– Czym mogę państwu służyć? – spytał kierowca.

Stał za ladą ze sklejki, licząc banknoty.

– Ja pana skądś znam – powiedział Reacher.

– Naprawdę?

– Grał pan w futbol na studiach. Na uniwerku w Miami. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim. Tak?

– Nie, kolego.

– W południowej Kalifornii?

– Nie, z kimś mnie pan myli.

– W takim razie jest pan taksówkarzem – wtrąciła Chang. – Dziś rano widzieliśmy pana w motelu.

Kierowca nie odpowiedział.

– Wczoraj rano też – dodała Chang.

Cisza.

Na ladzie stał mały pojemnik z metalowej siatki pełen wizytówek z MoneyGram. Pewnie dodatkowy bonus, nie licząc prowizji. Reacher wyjął jedną i przeczytał nazwisko. Kierowca nie nazywał się Maloney.

– Ma pan miejscową książkę telefoniczną?

– Po co? – spytał tamten.

– Chcę pochodzić z nią na głowie, żeby skorygować postawę.

– Słucham?

– Chcę poszukać numeru. Zna pan inne przeznaczenie książki telefonicznej?

Kierowca zawahał się, jakby szukał rozsądnego powodu do odmowy, lecz najwyraźniej go nie znalazł, bo pochylił się, wyjął spod lady cienką książkę, obrócił ją o sto osiemdziesiąt stopni i podsunął Reacherowi.

– Dziękuję – powiedział Reacher i otworzył ją w miejscu, gdzie kończyło się L i zaczynało M.

Chang zajrzała mu przez ramię.

Ani jednego Maloneya.

– Dlaczego to miasto nazywa się Matczyny Spoczynek? – spytał Reacher.

– Nie wiem – odparł kierowca.

– Ile lat ma pana cadillac? – spytała Chang.

– Po co to pani?

– Po nic. Nie jesteśmy z Wydziału Ruchu Drogowego. Nie interesują nas pańskie tablice rejestracyjne. Po prostu jesteśmy ciekawi. To ładny wóz.

– Robi swoje.

– Czyli?

Kierowca znowu się zawahał.

– Jeżdżę na taksówce. Tak jak się pani domyśliła.

– Zna pan kogoś nazwiskiem Maloney? – spytał Reacher.

– A powinienem?

– Nie, ale może pan zna?

– Nie – odparł kierowca, tym razem bez wahania, jakby ucieszył się, że wreszcie stanął na pewnym gruncie. – W tym hrabstwie nikt taki nie mieszka.

•••

Wyszli na ulicę i stanęli w porannym słońcu.

– Kłamał – powiedziała Chang. – Po co tu komuś taksówka, w dodatku cadillac?

– Więc co to jest?

– Powiedziałabym raczej, że limuzyna klubowa. Jak w kurorcie z polem golfowym. Do przewożenia gości. Z imprezy do hotelu. Albo z hotelu do spa. Bezpłatnie, w ramach usług. Zwłaszcza że nie ma tablic rejestracyjnych.

– Z tym że Matczyny Spoczynek to nie kurort. To gigantyczne pole pszenicy.

– Tak czy inaczej, daleko nie pojechał. Wrócił, zanim zdążyliśmy wziąć prysznic i zjeść śniadanie. Czyli góra po godzinie. Trzydzieści minut w jedną stronę, trzydzieści w drugą. Biorąc pod uwagę stan tutejszych dróg, daje nam to promień długości trzydziestu kilometrów.

– To ponad sześć i pół tysiąca kilometrów kwadratowych – obliczył Reacher. – Pi razy r do kwadratu, tak? Czyli nawet więcej, prawie osiem tysięcy. Ma to związek z Keeverem czy nie?

– Jak najbardziej. W motelu facet zachowywał się tak, jak ten od części zamiennych na stacji. Jak lokaj. A ten od części zakapował pana, bo jest pan podobny do Keevera. Więc związek jest.

– Żeby przeszukać tak wielki teren, trzeba by helikoptera – zauważył Reacher.

– No i nie ma Maloneya. – Chang włożyła rękę do tylnej kieszeni i wyjęła zakładkę. „Matczyny Spoczynek – Maloney”. – Chyba że w tej sprawie też nas okłamał. Brak nazwiska w książce niczego nie dowodzi. Gość może mieć zastrzeżony numer. Albo dopiero co przyjechał.

– Kelnerka też kłamie?

– Trzeba spróbować w sklepie. Jeśli Maloney w ogóle istnieje, ale nie jada na mieście, na pewno tam bywa. Coś jeść musi.

I poszli szeroką ulicą na południe.

• • •

Tymczasem właściciel cadillaca już to zgłaszał. Mówiąc, jak było.

– Oni nic nie wiedzą.

– Skąd wiesz? – spytał jednooki z motelu.

– Znasz jakiegoś Maloneya?

– Nie.

– Bo szukają Maloneya.

- Maloneya?
- Zagłądali do mojej książki telefonicznej.
- U nas nie ma żadnego Maloneya.
- No właśnie. Czyli nic nie wiedzą.

• • •

Sklep wielobranżowy wyglądał tak, jakby w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat zmieniły się w nim tylko ceny i nazwy marek. Za przedśionkiem było ciemno, pachniało kurzem i wilgotnym płótnem. Półki wzdłuż pięciu wąskich przejść ugiwały się pod ciężarem różnych towarów, od narzędzi stolarskich, zafoliowanych ciasteczek i świec po słoje do weków, papier toaletowy i żarówki. Uwagę Reachera zwrócił wieszak z ubraniami roboczymi. Od czterech dni nie zmieniał ciuchów i w obecności Chang coraz częściej zdawał sobie z tego sprawę. Bo Chang pachniała mydłem i czystością, z lekką nutką perfum. Poczul to, gdy nachyliła się ku niemu, zagłądając do książki telefonicznej, i zastanawiał się, co poczuła ona. Wybrał spodnie i koszulę, a na półce naprzeciwko znalazł skarpetki, bieliznę i biały podkoszulek. Niecałe czterdzieści dolarów za spodnie i koszulę, po dolarze za resztę. W sumie dobra inwestycja. Zaniósł to wszystko w głąb sklepu i rzucił na ladę.

Właściciel nie chciał go obsłużyć.

- Nie chcę pana pieniędzy - powiedział. - Nie jesteście tu mile widziani.

Reacher nie zareagował. Gość był żyłastym osobnikiem w wieku około sześćdziesięciu lat. Zapadnięte policzki porośnięte białą szczecinią, rzadkie siwe włosy, po długie i brudne, kępki włosów w uszach, włosy na szyi; miał na sobie dwie koszule, jedną na drugiej.

- Dlatego zbierajcie się stąd. To teren prywatny.

- Ma pan ubezpieczenie zdrowotne? - spytał Reacher.

Chang położyła mu rękę na ramieniu. Jej pierwszy dotyk, pomyślał zupełnie nie à propos.

- Grozi mi pan? - spytał tamten.

- Jak najbardziej.

- To wolny kraj. Mogę sprzedawać, komu chcę. Tak mówi prawo.

- Jak się pan nazywa?

- Nie pana sprawa.

- Maloney?
- Nie.
- Rozmieni mi pan dolara?
- Po co?
- Chcę skorzystać z automatu.
- Dzisiaj jest zepsuty.
- Ma pan telefon na zapleczu?
- Ale nie dla pana. Nie jest pan tu mile widziany.
- Dobra – powiedział Reacher. – Dotarło.

Sprawdził ceny na metkach. Dolara za skarpetki, dolara za szorty, dolara za podkoszulek, dziewiętnaście dziewięćdziesiąt dziewięć za spodnie, siedemnaście dziewięćdziesiąt dziewięć za koszulę. W sumie czterdzieści dolarów i dziewięćdziesiąt osiem centów, plus siedem procent podatku obrotowego. Całkowita wartość szkód? Czterdzieści trzy dolary i osiemdziesiąt pięć centów. Odliczył dwa banknoty dwudziesto- i jeden pięciodolarowy, złożył je razem i zgiął wzdłuż, żeby się nie skręcały. Położył je na ladzie.

- Ma pan dwa wyjścia, kolego – powiedział. – Może pan zadzwonić na policję i powiedzieć, złamano zasady wolnego handlu. Albo zatrzymać pieniądze. Resztę też, jeśli pan chce. Wystarczy na golenie i strzyżenie.

Sprzedawca milczał.

Reacher zwinął zakupy w rolkę i włożył je pod pachę. Wyszli ze sklepu i przystanęli w przedsiionku, żeby sprawdzić, czy automat rzeczywiście nie działa. Nie było sygnału. Tylko matowa cisza, jak bezpośrednie połączenie z kosmosem albo krew pulsująca w skroniach.

- Zbieg okoliczności? – rzuciła Chang.
- Wątpię. Pewnie odłączył przewody. Chcą nas odizolować.
- Do kogo chciał pan zadzwonić?
- Do Los Angeles, do Westwooda. Przyszła mi do głowy pewna myśl. Potem jeszcze jedna. Ale najpierw wróćmy do motelu.
- Jednooki nie pozwoli nam zatelefonować.
- Na sto procent – zgodził się z nią Reacher.

Szli od południa, więc najpierw wyrosło przed nimi skrzydło motelu z biurem. Na ścieżce pod oknem zobaczyli trzy rzeczy. Pierwszą było plastikowe krzesło ogrodowe, puste, ale wciąż w pozycji z poprzedniego wieczoru.

Drugą – sfatygowana walizka Keevera, ostatnio widziana w pokoju 215, teraz spakowana, pękata i smutna.

Trzecią rzeczą była walizka Chang, zapięta i z wyciągniętą rączką, też spakowana i gotowa do wyjazdu.

Chang odruchowo przystanąła, przystanął i Reacher.

– W zajeździe brak miejsc.

– Ich następny ruch – mruknęła Chang.

Poszli dalej, zbliżając się, zmieniając geometrię, zaglądając coraz głębiej i głębiej do wnętrza podkowy, widząc luźne grupki mężczyzn wypełniających puste miejsca parkingowe, kopiających w krawężniki i blokujących ścieżki. Na oko trzydziestu chłopa, łącznie z Moynahanem, tym, który oberwał w krocze. Był trochę błądy, ale wcale nie mniejszy niż poprzednio. Jego nieszczęsny krewniak nie zaszczylił ich swoją obecnością. Pewnie wciąż leżał w łóżku na środkach przeciwbólowych.

– Idziemy prosto do mojego pokoju – zdecydował Reacher.

– Zwariował pan? – odparowała Chang. – Będziemy mieli szczęście, jeśli uda nam się dostać do samochodu.

– Kupiłem nowe ubranie. Muszę się przebrać.

– Niech pan je weźmie. Przebierze się pan potem.

– Dużym ustępstwem z mojej strony było już samo to, że nie zrobiłem tego w sklepie. Nie lubię niczego nosić.

– Trzydziestu nie damy rady.

Poszli dalej i zatrzymali się sześć metrów od schodów. Stało tam trzech. Wszyscy patrzyli na biuro, z którego spieszenie wychodził jednooki, wymachując rękami i gestykułując. Podbiegł do nich i oświadczył:

– Rezerwacja pokoju pana Keevera właśnie się skończyła. Dlatego pańska też. Boję się, że nie da się jej przedłużyć. O tej porze roku część pokoi na parę dni wyłączamy z użytku celem niezbędnych napraw i konserwacji. Przygotowujemy się do zimy.

Reacher nie odpowiedział. „Trzydziestu nie damy rady”. Jego naturalną reakcją było pytanie: „Niby dlaczego?”. Miał to w DNA. To było jak oddychanie. Jak odruch. Pakował się w awantury pod wpływem chwili, co było jego najsilniejszym, jednocześnie najsłabszym punktem. Zdawał sobie z tego sprawę



nawet teraz, analizując mechanikę problemu: trzydziestu na jednego. Z pierwszą dwunastką poszłoby łatwo. W wessonie miał piętnaście nabojów i spudłowałyby nie więcej jak trzy razy. Poza tym zakładając, że Chang zrozumiałaby aluzję, mogłaby dodać do wyniku kolejnych sześciu. Mniej więcej. W FBI pracowała za biurkiem, ale odległość była niewielka, a celów mnóstwo. Tak więc gdy po opróżnieniu magazynków ze szczękiem odskoczyłyby zamki, co przydarzyło mu się tyle razy, że stracił rachubę, pozostałoby dwunastu. Sporo, ale rzecz była do zrobienia. Dużo zależałoby od szoku, na pewno ogromnego. Huk, rozbłyski z łuf, łuski lecące łukiem w jasnym porannym słońcu, padający ludzie.

Tak, to musiało być do zrobienia.

Ale nie było. Nie mógł walczyć z trzydziestoma przeciwnikami. Nie w tej chwili. Nie bez dodatkowych informacji. Nie bez dobrego powodu.

– O której kończy się u was doba? – spytał.

– O jedenastej – odparł jednooki i zamknął się, dosłownie, jakby żałował, że się w ogóle odezwał.

– A która jest teraz?

Jednooki nie odpowiedział.

– Za trzy dziewiąta, tak? Wyniesiemy się na długo przed jedenastą. Słowo skauta. Dlatego spuście parę. Tu nie ma nic do oglądania.

Jednooki stał i myślał. W końcu kiwnął głową. Mężczyźni przy schodach cofnęli się, co prawda tylko pół kroku, jednak z oczywistymi intencjami. Nie zamierzali odchodzić, lecz nie zamierzali również nic robić. Na razie.

Reacher przepuścił Chang przodem i gdy weszli na górę, otworzył drzwi.

– Naprawdę wyjeżdżamy? – spytała już w pokoju. – O jedenastej?

– Przed – poprawił ją Reacher. – Za dziesięć minut. Nie ma sensu tu zostawać.

Za mało wiemy.

– Nie możemy tak po prostu zostawić Keevera.

– Musimy dostać się gdzieś, gdzie będzie przynajmniej telefon. – Rzucił ubranie na łóżko, pozrywał folię, pourywał przywieszki. – Chyba wezmę prysznic.

– Brał pan dwie godziny temu. Słyszałam przez ścianę.

– Tak?

– Nie musi pan, niech się pan tylko przebierze.

– Na pewno?

Ona kiwnęła głową, przekręciła klucz w zamku i założyła łańcuch. On wszedł do łazienki, zdjął stare ubranie i włożył nowe. Do jednej kieszeni schował pistolet,

do drugiej szczoteczkę do zębów, pieniądze, kartę kredytową i paszport. Zwinął stare ciuchy w kłębek i wepchnął je do kosza na śmieci. Zerknął w lustro. Przechesał palcami włosy. Może być.

– Reacher! – zawołała z pokoju Chang. – Oni są na schodach!

– Kto?

– Ci z dołu, dziesięciu. Cała delegacja.

Usłyszał, jak Chang się cofa. A zaraz potem walenie do drzwi, gniewne i natarczywe. Gdy wyszedł z łazienki, zagrzecotał zamek i zabrzączał łańcuch. Zobaczył sylwetki ludzi za oknem, zwartą grupę mężczyzn, z których niektórzy zagłądali przez szybę do pokoju.

– Co robimy? – spytała Chang.

– To, co do tej pory – odparł. – Wyjeżdżamy.

Podszedł do drzwi i zdjął łańcuch. Położył rękę na kłamce.

– Gotowa? – spytał.

– Bardziej nie będę – odparła.

Otworzył drzwi. Tłum napał i stojący najbliżej mężczyzna wpadł do środka. Reacher przyłożył mu rękę do piersi i pchnął go z powrotem. Niezbyt delikatnie.

– Czego? – warknął.

Mężczyzna odzyskał równowagę.

– Godzina wyprowadzki się zmieniła – wykrztusił.

– Na jaką?

– Na taką, jaka jest teraz.

Reacher nigdy go dotąd nie widział. Wielkie ręce, szerokie bary, brudna gęba, uwalane ziemią ubranie. Miejscowe łajzy wybrały go pewnie na przywódcę. Rzecznika. Ani chybi przez akłamację.

– Jak się nazywasz?

Rzecznik nie odpowiedział.

– To łatwe pytanie.

Cisza.

– Maloney?

– Nie – odparł tamten z dziwną nutką w głosie. Jakby miał go za idiotę.

– Dlaczego to miasto nazywa się Matczyny Spoczynek?

– Nie wiem.

– Zaczekajcie na dole. Wyjdziemy, kiedy będziemy gotowi.

– Zaczekamy tutaj.

– Nie, na dole – powtórzył Reacher. – Możecie tam trafić na dwa sposoby. Ten drugi to lot głową w dół przez balustradę. Wasz wybór. Mnie pasują obydwie.

Jednooki gapił się na nich z zadartą głową. Ich walizki przeniesiono bliżej samochodu. Stały obok siebie na asfalcie przy bagażniku. Brudas z wielkimi rękami zrobił minę, jakby chciał się szyderczo uśmiechnąć, wrzucił ramionami i kiwnął głową, wszystko to naraz.

– Dobra – powiedział. – Macie pięć minut.

– Dziesięć – poprawił go Reacher. – Tyle nam zejdzie. Może być? I już tu nie przychodźcie.

Brudas miał coś w oczach, coś jak nieme wyzwanie.

– Czym się zajmujesz? – spytał Reacher.

– Hoduję świnię.

– Od zawsze?

– Od urodzenia.

– Tutaj?

– Niedaleko.

– Nie byłeś w wojsku?

– Nie.

– Tak myślałem. Pozwoliłeś nam wejść na górę i zająć lepszą pozycję. Co było głupie. Bo jeśli trzydziestu ludzi musi wchodzić po schodach dwójkami, robi się z tego dupa, nie oddział. Wiecie, że jesteśmy uzbrojeni. Moglibyśmy powystrzelać was jak kaczkę. Ten budynek jest z pustaków. Co znaczy, że nic byście nam nie zrobili, chyba że macie granatniki, w co wątpię. Dlatego więcej tu nie przychodź. A już na pewno nie na szpicy.

Brudas nie odpowiedział, więc Reacher cofnął się i zamknął mu drzwi przed nosem.

– Jeśli chcemy wyjść stąd żywi, nie powinien ich pan antagonizować – zauważyła Chang.

– Nie zgadzam się – odparł Reacher. – Bo kiedy tylko wyjedziemy, zaczną zadawać sobie pytanie. Wrócimy czy nie? Będzie to przedmiotem wielkiej debaty. Gdybyśmy wyjechali grzecznie i potulnie, wiedzieliby, że udajemy. Lepiej niech myślą, że ich taktyka blokowania podziałała.

– Bo podziałała. Wciąż nic nie wiemy, sam pan to przyznał.

– Coś wiemy. Powiedziałem tylko, że za mało.

– Niby co wiemy?

– To, że kierownik motelu złożył właśnie raport sytuacyjny. Poinformował przełożonego, że do jedenastej nas nie będzie, ale ten uznał, że to nie wystarczy. Kompromis? Nie. Chciał, żebyśmy wyjechali natychmiast. Stąd posłaniec z nową wiadomością. Tą, której wczoraj nam nie przekazano. Bo wczoraj powitano nas z otwartymi ramionami. Więc co się zmieniło?

– Kobieta w bieli – powiedziała Chang.

– Właśnie. Ten sam ktoś, kto teraz każe nam się wynieść, nie chciał robić zamieszania, kiedy tu mieszkała. Ale już jej nie ma, więc wszystko wróciło do normy.

– Kto to jest? I dokąd pojechała?

– Tego nie wiemy. Tak jak nie wiemy nic o mężczyźnie z torbą. Nic oprócz tego, że obydwoje byli na swój sposób ważni. Kiedy tu mieszkali, wszystko musiało być cacy. Widziałem, jak jednooki sprzątał przed przyjazdem tego z torbą. Ustawiał równiutko krzesła. Zanim nowy gość zobaczył motel w dziennym świetle.

– To nie byli inwestorzy. A przynajmniej nie tacy, którzy przyjeżdżają obejrzeć miejsce przyszłej inwestycji. Wyczułabym to. Spędziłam z takimi dużo czasu.

– Skoro nie inwestorzy, to kto?

– Nie mam pojęcia. Pewnie ktoś ważny albo czyjś najlepszy klient. Ktoś taki. Skąd mamy wiedzieć? Może ci ludzie uciekają przed wymiarem sprawiedliwości. Może jest tu coś w rodzaju podziemnej kolei, tajnego kanału przerzutowego. Bardzo niszowego. Pełen luksus, jak w dobrym klubie. Zapewniamy ciszę, spokój, zdrowy sen i cadillaca na dokładkę. Dla bogatych przestępców w garniturach i białych koszulach.

– Więc ta kobieta ubrała się stosownie do okazji?

– Nie, chyba jednak nie.

– Zgoda, kolej odgrywa tu jakąś rolę. Wsiadają z pociągu, spędzają noc w motelu, a rano zabiera ich limuzyna. Jakby tylko tędy przejeżdżali. I jechali tylko w jedną stronę. Długa podróż, krótki postój.

– Podróż skąd dokąd?

Reacher nie odpowiedział.

– Więc co teraz? – spytała Chang.

– Pojedziemy na zachód i pomyślimy, kiedy pani telefon złapie zasięg.

Dokładnie dziesięć minut później otworzyli drzwi i wyszli na chodnik. Tamci wciąż byli na dole, trzydziestu mężczyzn w luźnych grupkach po dwóch, po trzech i czterech, stojących nierównym półokręgiem wokół zielonego forda. Najbliżej stał hodowca świń, trzy metry od samochodu. Obok niego Moynahan z miną kogoś cierpiącego na chroniczne mdłości. Obydwaj robili wrażenie spiętych i zniecierpliwionych. Reacher włożył rękę do kieszeni – dłoń i trzy palce lekko na uchwycie – i wszedł na schody. Gdy zeszli na dół, idąca za nim Chang pstryknęła pilotem i drzwi samochodu otworzyły się z arytmicznym trzaskiem, bardzo głośnym w głuchej ciszy.

Reacher stanął przed maską, spojrzął na brudasa od świń i oznajmił:

– Odjedziemy, kiedy tylko włożysz walizki do bagażnika.

– Sam je włóż – mruknął hodowca.

Reacher oparł się o samochód z rękami w kieszeniach i skrzyżowanymi w kostkach nogami. Ot, zwykły facet, który na coś czeka. I ma od groma czasu.

– Spakowałeś je i zniosłeś – powiedział. – Dlatego rozumiem, że nie masz wrodzonych oporów przed dotykiem cudzych rzeczy. Ani alergii. Czy innych dyskwalifikujących wad. Pora dokończyć robotę. Włóż je do bagażnika, i ruszamy. Bo tego chyba chcecie, prawda?

Brudas milczał.

Reacher czekał. Zrobiło się jeszcze ciszej. Słyszał, jak sto metrów dalej faluje pszenica na wietrze. Nikt się nie poruszał. Potem ktoś zerknął na kogoś, ten ktoś na niego i wkrótce wszyscy zaczęli wymieniać spojrzenia, krótkie i płochliwe, jak podczas zażartej, niemej kłótni o to, czy warto prehandlować godność za upragniony rezultat. „Włóż je do bagażnika, i ruszamy. Bo tego chyba chcecie, prawda?”

„Sam je włóż”.

W końcu z kręgu wyszedł ktoś stojący za świniarzem. Najwyraźniej pragmatyk. Podszedł do samochodu i, jedną po drugiej, najpierw Keevera, potem Chang, włożył walizki do bagażnika.

Zamknął klapę i zrobił krok do tyłu.

– Dziękuję – powiedział Reacher. – Życzę panom wspaniałego dnia.

Chang usiadła za kierownicą, on na miejscu pasażera. Jednocześnie zatrzasnęły drzwi i Chang odpaliła silnik. Wycofała, zakręciła kierownicą i pojechali przed siebie, w kierunku głównej ulicy, potem na północ, mijając po drodze jadłodajnię i sklep, aż dotarli do starego szlaku, gdzie skręcili w lewo, na zachód, na niemającą

końca drogę, której ostry jak igła czubek ginął za rozmytym złocistym horyzontem.

– Wrócimy tu? – spytała Chang.

Reacher wyjął rękę z kieszeni, pierwszy raz od chwili, gdy opuścili motel.

– Chyba będziemy musieli.

Po trzech godzinach jazdy zatrzymali się na stacji benzynowej, żeby zatankować i coś zjeść. Wciąż nie było zasięgu. Doszli do wniosku, że być może złapią go dopiero w pobliżu międzystanówki I-25, już w Kolorado. Za kolejne cztery godziny. Co znaczyło, że równie dobrze mogliby pojechać od razu do Colorado Springs, gdzie Chang wynajęła samochód i skąd regularnie odlatywały samoloty do Los Angeles. Uzgodnili, że następnym krokiem będzie LA. Telefon jest cudownym wynalazkiem, lecz nie w każdej sytuacji. Tak więc, ponieważ czekała ich kontrola na lotnisku, rozebrali pistolety i powrzucaли części do koszu na śmieci wokół stacji. Łatwo przyszło, łatwo poszło.

Potem przez jakiś czas prowadził Reacher, bez prawa jazdy i nielegalnie, ale w ciągu dwóch godzin widzieli tylko dwa pojazdy, w tym ani jednego radiowozu. Po dwóch godzinach za kierownicą znowu usiadła Chang i jechali tak, aż złocisty horyzont poszarzał, co znaczyło, że cywilizacja jest tuż-tuż. Uzgodnili, co zrobić z walizką Keevera. Reacher, który nie przywiązywał się do rzeczy, głosował za tym, żeby ją wyrzucić. Ale dla Chang walizka była czymś w rodzaju talizmanu. Dlatego chciała ją zatrzymać. W końcu poszli na kompromis. Wstąpili do FedExu w ciągu sklepów na przedmieściach Colorado Springs i wysłali ją do żółtego domku na wyblakłym osiedlu pod Oklahoma City. Chang wypełniła formularz adresowy i po długim wahaniu zaznaczyła kwadracik „Bez pokwitowania odbioru”.

...

Tego popołudnia w sklepie wielobranżowym w Matczynym Spoczynku zebrało się ośmiu mężczyzn. Właściciel już tam był, wciąż rozczochrany i w dwóch koszulach. Jako pierwszy przyszedł sprzedawca ze sklepu z częściami zamiennymi do urządzeń irygacyjnych, potem właściciel cadillaca, jednooki kierownik motelu, hodowca tuczników, bufetowy z jadłodajni i Moynahan, ten, który oberwał w krocze i stracił pistolet.

Ósmy mężczyzna spóźnił się pięć minut. Krzepki, o rumianej twarzy, świeżo po prysznicu, w dżinsach i koszuli, był starszy od Moynahana i sprzedawcy ze sklepu z częściami zamiennymi, młodszy od jednookiego kierownika i właściciela sklepu wielobranżowego i miał mniej więcej tyle samo lat co hodowca tuczników i bufetowy. Z wysuszonymi suszarką i starannie ułożonymi włosami wyglądał jak spiker telewizyjny. Pozostałych siedmiu mężczyzn wyprostowało się na jego widok, zeszytniało i zamilkło, czekając, aż się odezwie.

A on od razu przeszedł do rzeczy.

– Wróć? – spytał. – Czy nie?

Odpowiedziało mu siedem tępych spojrzeń.

– Chcę usłyszeć argumenty za i przeciw – ciągnął.

Cisza, potem ktoś się poruszył, ktoś inny zaszurał nogami i odezwał się sprzedawca ze sklepu z częściami zamiennymi.

– Nie wróć, bo zrobiliśmy swoje. Niczego się nie dowiedzieli. Nie mają ani dowodów, ani świadków. Po co mieliby wracać do studni, która nie daje wody?

– Wróć, bo to ostatnie znane miejsce pobytu Keevera – zaproponował właściciel cadillaca. – I będą wracali aż do skutku. Nic nie wiedzą, więc gdzie mieliby zacząć wszystko od początku? Tutaj.

– Na pewno niczego się nie dowiedzieli? – spytał ósmy mężczyzna.

– Nikt z nimi nie gadał – odparł bufetowy. – Nikt nie pisał ani słowa.

– Z automatu dzwonił tylko raz – dodał właściciel sklepu. – Pod trzy numery, ale nie dodzwonili się i wyszli. Ktoś, kto ma do przekazania coś nagłego i ważnego, zachowuje się inaczej.

– A więc niczego się nie dowiedzieli. Mamy konsensus.

– Co mamy?

– Tak wszyscy uważacie.

– Uważamy, że wiedzą tyle co nic albo nawet mniej – powiedział właściciel cadillaca. – Przyszli do mnie i wypytywali o jakiegoś Maloneya. Błądzą po omacku. Ale wróć. Wiedzą, że Keever tu był.

– A więc jednak czegoś się dowiedzieli.

W sklepie zapadła cisza. Przerwał ją jednooki kierownik.

– Mielśmy umowę. Że ma to wyglądać tak, jakby gdzieś się zapodział. Nikt nie mówił, żeby zaprzeczać, że tu był.

– W jakim nastroju wyjeżdżali? – spytał ten ósmy.



– Facet trochę się stawiał – odparł hodowca tuczników. – Pewnie żeby się pocieszyć. Lepiej się pocuć. Udawał twardziela, bo wiedział, że przegrał. A ona była chyba zakłopotana.

– Wróć?

– Głosuję na nie.

– Kto głosuje na tak?

Rękę podniósł tylko właściciel cadillaca.

– Sześć do jednego – podsumował ósmy mężczyzna. – Zdecydowana większość.

I rozsądna ocena. Macie rację. I jestem z was dumny. Przyjechali, dowiedzieli się tylko tego, co im podsunęliśmy, i wyjechali. Jest mało prawdopodobne, żeby wrócili.

Szuranie i przestępowanie z nogi na nogę nabrało optymizmu. Pojawiły się wypięte piersi, wygięte kąciaki ust i autoironiczne uśmieшки z cyklu „O kurde!”.

– Ale światem rządzą mało prawdopodobne przypadki – dodał ósmy mężczyzna.

Uśmieшки znikły i siedmiu pozostałych z powagą pokiwało głowami, podziwiając tę perełkę mądrości.

– Dokąd pojechali? – spytał ósmy.

Siedem wzruszeń ramionami, siedem pustych spojrzeń.

– W sumie to bez znaczenia – ciągnął tamten. – Chyba że jadą do Los Angeles. Dziennikarz to jedyny słaby punkt. Według tego, czego dowiedzieliśmy się od Keevera, tylko tak mogą coś odkryć.

– Milion do jednego, że nie odkryją – odezwał się Moynahan. – Przecież nie wiedzą nawet, czego szukają. A Westwood nie ma pojęcia, co ma.

– Właśnie tak mało prawdopodobne przypadki decydują o być albo nie być świata.

– Mamy być niewidzialni – przypomniał im jednooki kierownik motelu. – Tak? Czy nie za to płacimy?

– Nie wy. Ja za to płacę.

W sklepie znowu zapadła cisza; przerwał ją sprzedawca ze sklepu z częściami zamiennymi.

– Zgoda, a więc czy nie za to płacisz?

– To prawda, za to. Co więcej. Płacę również za ewentualną pomoc. Mam gwarancję pełnego serwisu, od A do Z.

– Zaangażowanie kogoś z zewnątrz byłoby dla nas dużym krokiem – zauważył hodowca świń.

– To prawda – zgodził się z nim ósmy mężczyzna. – Ma to swoje minusy, ale i plusy. Powinniśmy je przedyskutować.

– Za jaką pomoc? – spytał Moynahan.

– Istnieje lista. Dostaję to, za co płacę. Od paru dolarów po duże pieniądze.

– Moim zdaniem trzeba zacząć od obserwacji – powiedział właściciel sklepu. – Co najmniej od obserwacji. Jeśli zbliżą się do Westwooda, musimy natychmiast o tym wiedzieć. Żeby się przygotować. Na wypadek, gdyby milion do jednego obróciło się przeciwko nam.

Pozostałych sześciu skupiło wzrok na twarzy ósmego, czekając, aż ten objedzie właściciela sklepu, a kiedy tego nie zrobił, jak roztropni mędracy pokiwali głowami.

– Głosujmy – zdecydował ósmy. – Czy wszyscy są za obserwacją?

– Czy to usługa z końca listy? – spytał Moynahan.

Ósmy mężczyzna kiwnął głową.

– Telefony, internet i obserwacja bezpośrednia.

– A co jest na samej górze?

– Tak zwane rozwiązanie ostateczne.

– Takie rozwiązanie sami możemy zastosować.

– Jak się czuje twój brat?

– Następnym razem będziemy przygotowani.

– Zmieniłeś zdanie? Uważasz, że będzie następnym razem?

W sklepie znowu zapadła cisza.

– Kto jest za obserwacją? – spytał ósmy mężczyzna.

W górę powędrowało siedem rąk.

– To miło, że się zgadzacie. Bo już tam zadzwoniłem. Zaczęli godzinę temu.

Wysłali niejakiego Hacketta. Podobno jednego z najlepszych. Ma wszechstronne kwalifikacje.

Wahadłowy serwis autobusowy między wypożyczalnią samochodów i lotniskiem był wygodny, lecz powolny. Przedłużył o godzinę już i tak męczący dzień. Do kasy dotarli wczesnym wieczorem. I okazało się, że wszystkie miejsca w ostatnim tego dnia samolocie do Los Angeles są wyprzedane, a na ewentualne zwroty czeka mnóstwo ludzi. Kilka godzin wcześniej doszło do dwóch awarii sprzętu i na lotnisku panował chaos.

Następny samolot odlatywał dopiero o ósmej rano. Trudno, wzięli to, co było. Ona miała otwarty bilet, on zapłacił. Od kasjerki dowiedzieli się, że na pokład będzie można wejść czterdzieści minut przed startem, czyli dwadzieścia po siódmej, a do tego czasu mogą skorzystać z hotelu pięć minut jazdy od lotniska. Autobusem.

Zamiast pojechać, poszli piechotą, on bardziej niosąc jej walizkę, niż ciągnąc ją za sobą, ponieważ bał się, że betonowy chodnik uszkodzi kółka. Hotel był sieciowy, biały i czystutki na zewnątrz, ciepły i beżowy w środku, z zielonym neonem z nazwą. W holu zobaczyli tłumek ludzi. Z dziewięć osób, niezupełnie w kolejce do recepcji, ponieważ większość z nich stała, albo rozmawiając przez komórkę, albo robiąc wrażenie sfrustrowanych, albo to i to jednocześnie. „Kilka godzin wcześniej doszło do dwóch awarii sprzętu i na lotnisku panował chaos”. Reacher nie latał zbyt często, ale wiedział, jak to wygląda.

Recepcjonistka za ladą skinęła na nich ręką. Młoda kobieta w dopasowanym zakiecie i apaszcze na szyi. W jej geście było coś naglącego i konspiracyjnego.

– Został mi tylko jeden pokój – powiedziała. – Jeśli szukają państwo noclegu, powinniście się zdecydować już teraz.

– Tylko jeden? – spytała Chang.

– Tak, proszę pani, mieliśmy dzisiaj problemy.

– Jest tu inny hotel?

– Nie na lotnisku.

– Dobrze, bierzemy – powiedział Reacher.

Chang zerknęła na niego, więc dodał:

– Coś wymyślimy.

Zapłacił i dostał kartę magnetyczną do drzwi. Czwarte piętro, pokój 501, winda po lewej stronie, obsługa do jedenastej, bez śniadania, darmowe Wi-Fi. Dwie pary, które ustawiły się w kolejce za nimi, czekał zawód. Reacher i Chang wjechali na czwarte piętro i znaleźli pokój. W środku był beżowo-miętowy, pod każdym względem zadowalający. Ale Chang nie powiedziała na ten temat ani słowa.

– Proszę się rozgościć – rzucił Reacher.

– A pan? Gdzie pan będzie spał?

– Jakoś sobie poradzę. – Wniósł walizkę i postawił ją przy łóżku. Dał Chang kartę magnetyczną. – Chodźmy na kolację. Zanim zbłąkani i bezdomni zajmą wszystkie stoliki.

– Tylko się odświeżę. Spotkamy się w restauracji.

– Dobrze.

– Pan nie chce się odświeżyć? Może pan skorzystać z łazienki jako pierwszy.

Reacher spojrział w lustro. Niedawno był u fryzjera, niedawno się golił, niedawno brał prysznic, miał na sobie nowe ubranie.

– Boję się, że lepiej nie będzie.

•••

Restauracja mieściła się na parterze, za korytarzem z windami, który oddzielał ją od recepcji. Była dość ładna, z grubymi zasłonami, wykładzinami i mnóstwem jasnego drewna, chociaż wrażenie psuły trochę płamoodporne i rysoodporne winylowe wykończenia lady i stolików. Choć spora, była prawie pełna. Reacher zaczekał przy pulpicie szefowej sali i zaprowadzono go do dwuosobowego stolika przy oknie. Widok nie należał do najciekawszych. Ot, żółte światła i parking zastawiony pługami śnieżnymi zakonserwowanymi na zimę.

Chang przyszła osiem minut później, umyta, uczesana i w nowym podkoszulku. Usiadła naprzeciwko niego świeża i znowu pełna energii, wyraźnie orzeźwiona czymś tak zwyczajnym jak dostęp do bieżącej wody. Lecz natychmiast spochmurniała, jakby nagle dostrzegła drugą stronę równania, czyli wszystko to, co ona miała, a on nie.

– Proszę się nie przejmować – powiedział.

– Gdzie pan będzie spał?

– Choćby tutaj.

– Na krzesła?

– Trzynaście lat służyłem w wojsku. Nauczyłem się spać wszędzie.

Chang zawahała się i spytała:

– Jak tam było?

– W wojsku? W sumie nieźle. Nie narzekam, mam miłe wspomnienia. Nie licząc oczywistego.

– Czyli?

– Przypuszczam, że tego samego, co u pani. Fantastycznej kaskady kompletnych idiotyzmów spływających z wyżyn zarezerwowanych dla starszych oficerów, którzy nie mieli nic lepszego do roboty.

Chang uśmiechnęła się.

– Owszem, trochę tego było.

– Dlatego pani odeszła?

Uśmiech zniknął.

– Niezupełnie.

– Ja powiem pani, pani powie mnie.

– Nie wiem, czy chcę.

– Co się może stać?

Chang znowu się zawahała. Wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze.

– Pan pierwszy.

– Była redukcja etatów, więc wybierali i przebierali. Miałem niezbyt czyste konto i wtedy przyłożył mi pewien facet. Zważywszy na okoliczności, nie zdziwiłem się, kiedy moje papiery wylądowały na tacy z dokumentami wychodzącymi.

– Ale jaki facet?

– Podpułkownik. Grubas zza biurka, spec od public relations z Missisipi. Prowadziłem tam śledztwo. Gość zdenerwował się jakąś głupotą, spał się jak idiota, a kiedy okazałem zniecierpliwienie, tylko werbalnie, wziął to do siebie i obraził się. A potem się zemścił, bo po prostu mógł i trafił się dobry moment. Przed redukcją uchodziły mi na sucho gorsze rzeczy.

– Nie mógł pan się postawić?

– Tak, mógłbym zażądać zewnętrznego śledztwa. Ale cóż, stało się. To byłaby gra, której wynik i tak nic by nie zmienił. Gdybym wygrał, pułkownik by przegrał i pozostałym pułkownikom by się to nie spodobało. Daliby mi kopa i skończyłbym jako wartownik w budce z radarem na północnym krańcu Alaski.

W środku zimy. Tak źle i tak niedobrze. No i wyzbyłem się złudzeń. Oni naprawdę mnie tam nie chcieli. Wreszcie to do mnie dotarło. Dlatego się nie postawiłem. Zgodziłem się na honorowe zwolnienie i odszedłem.

– Kiedy to było?

– Dawno temu.

– Odszedł pan i wciąż pan idzie.

– To zbyt głębokie.

– Na pewno?

– W głębi duszy jestem bardzo płytki.

Chang umilkła. Nadeszła kelnerka i złożyli zamówienie.

– Kolej na panią – powiedział Reacher, kiedy zostali sami.

– Na mnie?

– Na pani opowieść.

Chang westchnęła.

– Jest podobna do pańskiej – zaczęła. – Tak źle i tak niedobrze. Ale to była moja wina. Dałam się przyprzeć do muru. Za późno się zorientowałam.

– To znaczy?

– Ktoś włamał się do mojego domu. Niczego nie ukradł, niczego nie szukał, niczego nie zniszczył i niczego nie podrzucił. Wtedy tego nie rozumiałam. Pracowałam nad pewną sprawą, pranie brudnych pieniędzy. Ciężkie miliony i labirynt firm-wydmuszek, jak zawsze, ale miałam kogoś na oku. Tylko że rzecz była trudna do udowodnienia. Prawie niemożliwa. Chciałam zrezygnować. Nie było sensu wszczynać śledztwa bez realnych szans na wygraną. I wtedy do mnie przyszedł. Ten facet. Już miałam mu powiedzieć, że umarzamy sprawę. Ale uprzedził mnie i zaczął mówić jako pierwszy. Zagroził, że jeśli natychmiast tego nie zostawię, powie, że wzięłam łapówkę za przyknięcie oka, ale potem rozmyśliłam się i zadałam mu cios w plecy. No i oczywiście zatrzymałam pieniądze. Założył, że to mnie zdyskredytuje, że moje ustalenia zostaną wyłączone ze sprawy, a on wyjdzie z tego czysty.

– Ludzie mówią różne rzeczy. Jak by to udowodnić?

– Założył na moje nazwisko konto bankowe na Karaibach i przelał tam pieniądze, niby tę łapówkę. I rzeczywiście, były tam jak żywe. Prawdziwe pieniądze, w dodatku duże. Co potwierdzało jego tezę.

– Tylko że to on założył konto, a nie pani. Ktoś musiał to gdzieś odnotować.

– Powiedział, że włamała się do mnie pewna kobieta. Niczego nie ukradła, niczego nie szukała, niczego nie zniszczyła i niczego nie podrzuciła. Ale skorzystała z telefonu. Otworzyła konto z mojego domu, co potwierdzi rachunek telefoniczny. Znalazłam się między młotem a kowadłem. Jak mogłam udowodnić, że to nie ja dzwoniłam? Tak, bank nagrywa wszystkie rozmowy, jeśli nie bank, to pewnie NSA, ale trudno jest odróżnić jeden głos od drugiego, zwłaszcza podczas rozmowy międzynarodowej i zwłaszcza jeśli ta kobieta próbowała naśladować mój sposób mówienia, a pewnie próbowała, bo facet był świetnie zorganizowany. Znał na przykład mój numer ubezpieczenia społecznego i panięskie nazwisko mojej mamy. Które było odpowiedzią na pytanie bezpieczeństwa.

– I co pani zrobiła?

– To, co mi kazał. Zostawiłam tę sprawę. Natychmiast. Zamknęłam jego akta. Ale i tak bym to zrobiła... Chyba.

– Gdzie on teraz jest?

– Wciąż prowadzi interesy.

– A co się stało z pieniędzmi?

– Zniknęły. Wiedział, że je namierzę, i namierzyłam. W jakiejś firmie na Antylach Holenderskich. Okazało się, że w ramach długoterminowej inwestycji wykupiłam udział mniejszościowy w jakimś funduszu. I że głównym akcjonariuszem jest on. Co wiąże nas do końca życia i jeden dzień dłużej.

– I co pani zrobiła?

– Przyznałam się. Powiedziałam wszystko szefowi. Widziałam, że chce mi wierzyć, ale w biurze wiara to za mało. Poza tym dyskredytowało mnie to jako aktywnie działającą agentkę. Moje zeznania automatycznie uznano by za podejrzanę, nawet wiele lat później. Na mój widok śliniłby się każdy obrońca. „Szanowna pani agentko specjalna, zechce nam pani opowiedzieć o tej łapówce, której nieprzyjęcia nie może pani udowodnić”. I pewnie też skończyłabym w budce z radarem na północnym krańcu Alaski. W środku zimy. Tak źle i tak niedobrze. Więc odeszłam.

– Kiepska sprawa.

– Raz się wygrywa, raz przegrywa.

– Nie, wygrywa się częściej, ale traci tylko raz, wszystko. Drugiej szansy nie ma.

– Nie, żebym była nieszczęśliwa, robiąc to, co robię.

– Ale?

– Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam. To nie jest praca na całe życie.

- Dla Keevera była.
- Niech pan tak nie mówi.
- A on? Jak było z nim?
- Było?
- Dobrze, jest.

- Podobno czekała go trzecia nagana. Ci z Biura są bardzo ostrożni, a on zawsze szedł na żywioł. Bez planu i wsparcia. Twierdzili, że zawala przez to śledztwa. I naraża na niebezpieczeństwo nie tylko siebie, ale i kolegów. Trzecia nagana kwalifikowałaby go do wyjazdu na Alaskę, jego też. W budce z radarem zrobiłoby się tłoczno. Więc odszedł, nie czekając na przesłuchanie. Pewnie uznał, że to jedyne honorowe wyjście. I zanim pan spyta, tak, w tym miasteczku było pewnie tak samo. Poszedł na żywioł. Nie czekał na wsparcie.

Nadeszła kelnerka z jedzeniem i dolewką kawy.

- Ale przecież poprosił o wsparcie - powiedział Reacher, kiedy zostali sami. - Posunął się aż do tego. To już wiemy. Poprosił o wsparcie i nie zaczekał? Dlaczego?

- Stracił cierpliwość? Ziemia zaczęła palić mu się pod nogami?
- Albo go dopadli. Kiedy czekał. Może wcale nie poszedł na żywioł.
- Brzmi to jak reklama społeczna. „Uwaga: narwańcy są wszędzie”.
- Nie wiadomo, co się stało.
- Szkoda, że się nie wycofał.
- To bardzo rozsądna polityka.
- Założę się, że pan nigdy tego nie zrobił.

- Nie zliczylibym, ile razy. Dlatego tu jestem i jem z panią kolację. Chaotyczny wszechświat. Darwinizm w praktyce.

- Mogę o coś spytać? - odezwała się z wahaniem Chang.
- Oczywiście - odparł.
- Czy my jemy kolację?

- Tak jest napisane w menu. Na lunch podawali co innego, a do śniadania daleko.

- Nie, miałam na myśli kolację jako przeciwieństwo czegoś na chybcika w przydrożnej restauracji.

- Taką ze świecami i fortepianem?
- Niekoniecznie.

- Ze skrzypcami i paniami sprzedającymi róże? - pytał dalej Reacher.



- Zależnie od okoliczności.
- Coś w rodzaju randki?
- W szerokim tego słowa znaczeniu.
- Szczerze?
- Wyłącznie – odparła Chang.
- Gdybyśmy znaleźli wczoraj Keevera, gdyby wysiadł z pociągu albo potknął się w pszenicy i skręcił nogę, gdyby był głodny i spragniony, ale cały i zdrowy, na pewno zaprosiłbym panią na kolację i gdyby się pani zgodziła, właśnie byśmy ją jedli, dlatego myślę, że w pięćdziesięciu procentach można to tak zakwalifikować.
- Tylko w pięćdziesięciu?
- Nie znaleźliśmy Keevera. Więc po części wciąż jemy na przystanku.
- Ale zaprosiłby mnie pan?
- Bez dwóch zdań.
- Dlaczego?
- Bo chciałbym pójść na kolację z kimś takim jak pani.

Chang umilkła. Milczała długo, pięć, sześć sekund, aż cisza stała się niezręczna.

Wtedy powiedziała:

- A ja przyjąłabym zaproszenie z tego samego powodu.
- Znakomicie.
- Więc niech pan pamięta. To jest kolacja. A nie hamburger w przydrożnym barze. To jest niepodważalny fakt, a nie hipoteza.
- W takim razie dlaczego pani spytała?
- Chciałam się upewnić, czy pan to rozumie.

•••

Tego wieczoru nie musiał spać na krześle. Zjedli deser i wypili kawę, powoli, swobodnie i bez pośpiechu, zdając się na to, co było nieuniknione, potem Chang podpisała czek, wstała, a gdy wstał i on, wzięła go pod rękę, jakby znali się od lat, i wyszli, powoli, swobodnie i bez pośpiechu. Zaczekali na windę, pojechali na górę i otworzyli drzwi.

Potem było trochę szybciej, mniej swobodnie i bardziej pośpiesznie. Chang, choć już nie nastolatka, wciąż była młoda, długonoga, ciepła, pachnąca, gładka, silna na tyle, że za bardzo jej nie przygniótł, i na tyle dobrze zbudowana, że nie musiał się o nic martwić. Bardzo mu się podobała, a on chyba podobał się jej.

Potem trochę rozmawiali, a jeszcze potem zasnęła. On też i był to najlepszy sposób zasypiania, jaki znał.

Pasażerów zaczęto wpuszczać dwadzieścia po siódmej. Chang szła rękawem, ciągnąc za sobą walizkę, Reacher tuż za nią, aż dotarli do tanich miejsc mniej więcej w dwóch trzecich długości samolotu. Ona włożyła walizkę do górnego schowka i usiadła przy oknie, on przy przejściu.

– Dobrze znasz Los Angeles? – spytał.

– Na tyle dobrze, żeby trafić do redakcji dużej gazety.

– A jeśli on pracuje w domu?

– To nas tam nie zaprosi. Jestem pewna, że nie chwali się swoim adresem ani numerem komórki. Umówi się z nami w kawiarni, gdzieś w pobliżu.

– Może być. Ale gdzie w pobliżu? Znasz wszystkie dzielnice?

– Będziemy musieli wypożyczyć samochód. Z nawigacją.

– Chyba że jest w redakcji i zechce spotkać się tam – zauważył Reacher. – Wtedy złapiemy taksówkę.

– Będziemy za wcześnie. Jeszcze go nie będzie.

– Dobrze. Wylądujemy, zadzwonimy do niego na komórkę i niech zdecyduje za nas. Kawiarnia albo redakcja. Samochód albo taksówka.

– Jeśli w ogóle zechce z nami rozmawiać – zastrzegła Chang.

– Dwieście ofiar. Mocna rzecz.

– Mówiłeś, że już o tym słyszał. Od klienta Keevera. Nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia.

– Jest różnica między słyszeniem a słuchaniem. Na tym właśnie polega problem. Myślę, że Westwood nie wie nawet, co ma. Nie słuchał, a z jego notatek nic nie wynika. To będzie jak otwieranie zamka rozgotowanym makaronem.

– A jeśli nie damy rady?

– Nie znam takiego słowa – rzucił Reacher.

– Widzę, że od rana tryskasz optymizmem.

– To nieunikniona konsekwencja. Miałem bardzo miłą noc.

– Ja też.

– Dobrze wiedzieć.

– Jak mówią do ciebie znajomi?

– Reacher.

– Nie Jack?

Pokręcił głową.

– Nawet moja mama tak do mnie mówiła.

– Masz rodzeństwo?

– Miałem brata, Joego.

– Gdzie teraz jest?

– Nigdzie. Nie żyje.

– Przepraszam.

– Nie twoja wina.

– Jak nazywała go mama?

– Joe.

– A ciebie Reacher?

– Co to za różnica? Znajomi nie mówią do ciebie Chang?

– Byłam policjantką Chang, a potem agentką specjalną Chang, ale tylko w pracy.

– A poza pracą?

– Michelle. Czasem Shell, żeby było krócej. Co mi się podobało. To ładne zdrobnienie. Ale nie z moim nazwiskiem. Shell Chang brzmi jak coś pośredniego między koreańską gwiazdą porno, firmą zajmującą się poszukiwaniem ropy naftowej na Morzu Południowochińskim i dźwiękiem, jaki wydaje rulon ćwierćdolarówek wrzuconych do kasy.

– Dobra – powiedział Reacher. – W takim razie Michelle. Albo Chang.

A potem samolot wystartował i skręcił na zachód, by ścigać świt nad górami.

•••

W Matczynym Spoczynku, siedem godzin jazdy na wschód, świt już dawno wstał. Poranny pociąg przyjechał i odjechał. Śniadaniowa nawałnica w jadłodajni powoli się przetaczała. Żyłasty osobnik w dwóch koszulkach otworzył już sklep. Specjalista od części zamiennych do urządzeń irygacyjnych też i wciśnięty za ladę segregował pliki faktur. Właściciel cadillaca szykował przelewy na siedem kont bankowych: Western Union, MoneyGram, za faks, kserowanie, do FedExu, UPS-u i DHL-u. Moynahan, ten, który oberwał w jaja i stracił pistolet, siedział w domu, opiekując się wciąż lekko oszołomionym bratem.

A jednooki kierownik wyszedł właśnie z biura. Wyszedł i przystanął, wciągając powietrze, ogarniając wzrokiem wnętrze motelowej podkowy, parking, chodnik pod oknami pokoi na parterze i podest pod oknami tych na piętrze. Ot, taka leniwa inspekcja. Żarówka? Wszystkie się palą. Krzesła ogrodowe? Wszystkie równo ustawione. Porządek. Cisza. I spokój. Dwieście czternastka była pusta. Dwieście piętnastka też.

Nie wróć, pomyślał.

Jest dobrze.

...

W hali przylotów na międzynarodowym lotnisku w Los Angeles panował tłok, więc musieli przepchnąć się na chodnik, żeby znaleźć spokojne miejsce i zadzwonić. Chang ukryła się za filarem, wybrała numer i... obudziła Westwooda. Nie należał do rannych ptaszków. Początkowo była zakłopotana, potem pojednawcza, jeszcze potem przeszła do interesów. Ponownie się przedstawiła i powiedziała, że muszą się spotkać, ponieważ drobna, jak się wydawało, sprawa nagle przestała być drobna. Dodała, że chodzi o dwieście ofiar śmiertelnych i że jest to liczba całkiem wiarygodna. Że jako była agentka FBI traktuje to bardzo poważnie. Jej kolega, były wojskowy, też. I tak, prawa autorskie wciąż są do wzięcia.

Westwood podał jej adres i rozłączyła się.

– Kawiarnia. W Inglewood.

– To blisko. Kiedy?

– Za pół godziny.

– Złapiemy taksówkę. Nie zdążymy wynająć samochodu.

...

Trzydzieści dwa kilometry na południe od Matczynego Spoczynku ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach odebrał telefon. Pełen serwis, choć niezupełnie. Przed sześcioma minutami Hackett, ich człowiek, złapał pierwszy kontakt. Komórkową rozmowę telefoniczną między Westwoodem, który odebrał przypuszczalnie w domu, i jakąś Chang, która – sądząc po odgłosach w tle – dzwoniła prawdopodobnie z lotniska i była z kolegą, wojskowym. Podczas

rozmowy wspomniano o liczbie ofiar i ustalono miejsce spotkania w kawiarni w Inglewood, które to spotkanie Hackett miał monitorować.

...

Kolejka do taksówek była długa, ale ponieważ szybko się zmniejszała i od Inglewood dzieliła ich tylko estakada San Diego, na miejsce dotarli przed czasem. Na ulicy roilo się od kawiarni. Większość miała wystawione na chodnik stoliki i menu wypisane kredą na tablicach, ale Westwood wybrał inną. Jego była prawdziwym zabytkiem, z mnóstwem winylu i linoleum, które od dziesiątek lat używania wyblakły, zmieniając kolor na spłowiały brąz. W jednej czwartej zapełniali ją samotni mężczyźni, po cichu czytający gazety albo gapiący się w przestrzeń. Żaden nie wyglądał na redaktora naukowego ważnej gazety.

– Jesteśmy przed czasem – powiedziała Chang. – A on się spóźni.

Usiedli więc obok siebie w boksie przy laminowanym stoliku, na ławie wyłożonej winylem, kiedyś pewnie ciemnoczerwonym i błyszczącym, teraz wypłowiałym i jasnobrązowym jak wszystko inne. Zamówili dwie kawy, gorącą i mrożoną. Czekali. W ciszy i spokoju. Słysząc było jedynie szelest kartek i brzęk sydereytowych kubków na sydereytowych talerzykach.

Minęło pięć minut.

Wreszcie przyszedł. Wyglądał zupełnie inaczej, niż Reacher się spodziewał, lecz wygląd rzeczywisty pasował do niego nie gorzej niż wyobrażenie. Dobrze zbudowany, należał do osób lubiących przebywać na świeżym powietrzu i na pewno nie był typem naukowca, szczura laboratoryjnego o długiej, chudej szyi. Wyglądał jak przyrodnik albo odkrywca. Miał krótkie, lecz niesforne, siwiejące już włosy, brodę tej samej długości i koloru, ogorzałą twarz i zmarszczki w kącikach oczu. Czterdzieści, czterdzieści pięć lat. Był w ubraniu z ultranowoczesnych tkanin, z mnóstwem zatrzasków i zamków błyskawicznych, ale znoszonym i wygniecionym. Na nogach miał pionierki ze sznurowadłami w ćetki, które przypominały miniaturowe liny do wspinaczki. W rękę trzymał płócienną torbę wielkości torby listonosza.

Przystanął w drzwiach i natychmiast rozpoznał Chang, ponieważ była jedyną kobietą w lokalu. Wlokąc za sobą torbę, usiadł naprzeciwko ściany z wytartego winylu, położył rękę na stole i powiedział:

– Rozumiem, że kolega nie wrócił. Pan Keever, tak?

Chang kiwnęła głową.

– Natrafiliśmy na ścianę. To ślepy zaułek. Wiemy tylko tyle, ile wiemy, nic więcej.

– Zawiadomiliście policję?

– Nie.

– Muszę więc spytać, dlaczego.

– Na tym etapie sporządziliby tylko raport o zaginięciu, to wszystko. Jest dorosły, zniknął trzy dni temu. Pewnie przyjęliby zgłoszenie, ale nic by nie zrobili.

Trafiłoby prosto na półkę.

– A dwieście ofiar? To mogłoby ich zainteresować.

– Nie możemy nic udowodnić. Nie wiemy kto, dlaczego, kiedy, gdzie ani jak.

– A więc stawiam wam śniadanie, bo nie zgłosiliście nawet zaginięcia kolegi i mówicie o dwustu ofiarach, o których nikt nic nie wie. Tak?

– Nie, stawia nam pan śniadanie, ponieważ dostanie pan prawa autorskie do książki. A wtedy będzie pan mógł stawiać śniadania wszystkim i wszędzie.

– Z tym że, jak na razie, to jedno śniadanie jest warte więcej niż wasze prawa. Dołożę pięćdziesiąt centów i będę mógł kupić filiżankę kawy.

– Jest pan naukowcem – powiedział Reacher. – Więc niech pan pomyśli naukowo.

– To znaczy?

– Choćby statystycznie. I lingwistycznie. Z małą domieszką socjologii. I wrodzonym zrozumieniem natury ludzkiej. Dwieście. Proszę pomyśleć. Wydaje się, że to ładna, okrągła liczba, ale tak nie jest. Nikt nie wymienia jej przypadkowo. Mówi się sto albo tysiąc. Setki albo tysiące. Dwieście ofiar śmiertelnych brzmi konkretnie. Jak prawdziwa liczba. Być może zaokrąglona, być może jest ich sto osiemdziesiąt albo sto dziewięćdziesiąt, ale kryje się pod nią pewna informacja. W każdym razie coś godnego zainteresowania. Przynajmniej dla mnie. Jako śledczego. Na przykład.

Westwood milczał.

– Poza tym zakładamy, że policja już o tym słyszała i zapomniała.

Dziennikarz kiwnął głową.

– Bo klient pana Keevera dzwonił do wszystkich od Białego Domu w dół. W tym do mnie.

– I właśnie od tego powinniśmy zacząć – powiedział Reacher. – Od klienta. Trzeba go znaleźć. Wysłuchać całej historii jeszcze raz, od samego początku, tak

jak wysłuchał jej Keever. Możliwe, że wtedy uda nam się ustalić, co było dalej.

– Dzwonią do mnie setki ludzi. Już mówiłem.

– Konkretnie ilu?

– Dobra, rozumiem, dotarło.

– I wszystkie telefony pan odnotowuje. O tym też pan wspominał.

– Niezbyt szczegółowo – odparł Westwood.

– Może udałoby się nam coś z nich wywnioskować.

– Potrzebowałbym przynajmniej nazwiska.

– Myślę, że je mamy.

Chang zerknęła na Rechera.

– Chyba. – Reacher przeniósł wzrok z powrotem na Westwooda. – Możliwe, że nie jest prawdziwe, ale od czegoś trzeba zacząć. Mówił pan, że blokuje pan numery największych natrętów. Kiedy zaczynają się za bardzo naprzykrzać. Założmy, że któryś z nich, sfrustrowany blokadą, próbował dodzwonić się do pana pod innym nazwiskiem i z innego numeru.

– To możliwe – przyznał Westwood.

Reacher spojrzał na Chang.

– Pokaż panu zakładkę Keevera.

Chang wyjęła karteczkę z kieszeni i wygładziła ją na stole. Numer poprzedzony kierunkowym 323 i słowa: „Matczyny Spoczynek – Maloney”.

– To mój numer – potwierdził Westwood. – Na sto procent.

– Dlatego pomyśleliśmy, że ktoś o tym nazwisku mieszka w Matczynym Spoczynku. Ale nie mieszka. Jesteśmy tego pewni. Ci, których pytaliśmy, nie udzielali wymijających odpowiedzi. Przeciwnie, odpowiadali lekceważąco, byli nawet trochę zdezorientowani. Więc pomyślemy: miał pan dość klienta Keevera i zablokował pan jego numer. Ale on się nie poddał i zaatakował pana pod nazwiskiem Maloney. Potem znowu zadzwonił do Keevera i poprosił, żeby w celu potwierdzenia informacji Keever zadzwonił do pana, tym razem uprzedzając go, że sprawa nie jest już zaewidencjonowana pod jego prawdziwym nazwiskiem, tylko pod fałszywym: Maloney. Czy mogło tak być?

– Chyba mogło.

– Ma pan trzecią wersję?

– Mógłbym sprawdzić.

– Bylibyśmy wdzięczni. Chwytny się brzytwy.

– Widzę. Z jego notatek też niewiele wynika.



– Nic więcej nie mamy.

– Dobra, ale ktoś zaginął i krążą plotki o dwustu ofiarach: nie sądzicie, że powinniście jeszcze raz zainteresować tym policję, a przynajmniej spróbować?

– Byłem gliną – odparł Reacher. – I miałem wielu kolegów po fachu. Nigdy nie spotkałem takiego, który szukałby dodatkowej roboty. Dlatego nie zechcieliby nas wysłuchać. Jeszcze nie teraz. Gwarantuję. Pan też nie chciał.

– Mógłbym sprawdzić – powtórzył Westwood. – Tylko nie rozumiem, po co nam to fałszywe nazwisko.

– Doprowadzi nas do prawdziwego.

– Jak? Przecież ma je ukrywać.

– Wystarczy sprawdzić, czyj numer pan zablokował, zanim Maloney zaczął do pana wydzwaniać. To nasz klient.

– Będzie ich sporo. Robię to niemal codziennie.

– Coś wymyślimy. Pomoże nam geografia. Wiemy, że zaangażował detektywa z Oklahoma City i czyta „LA Timesa”. To zawęzi sprawę.

Westwood pokręcił głową.

– Mój numer dość trudno znaleźć. Nie płacę Google za to, żeby go specjalnie eksponowali. Jeśli ten ktoś zna się na komputerach na tyle, by znaleźć go w necie, czyta gazety online. Na sto procent. Tacy jak on nie kupują papierowych od dziesięciu lat. Może mieszkać wszędzie.

– Dobrze wiedzieć – rzucił Reacher.

– Przyjdźcie do mnie za godzinę. Do redakcji w gmachu „Timesa”.

Chang kiwnęła głową.

– Wiem, gdzie to jest.

Nadeszła kelnerka. Westwood zamówił śniadanie, a Chang i Reacher wyszli, zostawiając go samego.

•••

Niecałe dziesięć minut później, trzydzieści dwa kilometry na południe od Matczynego Spoczynku, ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach odebrał drugi telefon. Łącznik zawiadomił go, że Hackett obserwował przebieg spotkania w kawiarni. Był zbyt daleko, by wychwycić wszystkie szczegóły, słyszał jednak nazwisko Keevera, a z ruchu warg Chang wyczytał, że natrafili na ścianę. Pod koniec rozmowy padła propozycja następnego spotkania w miejscu,

którego nazwy nie usłyszał, ale Chang wiedziała, gdzie to jest. Dlatego Hackett będzie tymczasem śledził Westwooda, który na pewno go tam doprowadzi.

Redakcja „LA Timesa” mieściła się w starym gmachu w stylu art déco na skrzyżowaniu Pierwszej Zachodniej i Spring Street w centrum Los Angeles. I miała ochronę co najmniej jak agencja rządowa, w tym bramki z rentgenem i wykrywaczami metalu. Reacher nie wiedział dlaczego. Może roznosiło ich ego. Wątpił, żeby „LA Times” był w pierwszej dziesiątce czyichś celów. Pewnie nie było go nawet na czwartej czy piątej stronie listy. Ale cóż, nie dano im wyboru. Wrzucił do kuwety garść monet i przeszedł przez bramkę. Z Chang trwało to dłużej. Miała walizkę i kurtkę.

Ale w końcu znaleźli się po drugiej stronie barykady, dostali przepustki i wsiadli do windy. W pokoju Westwooda, kwadratowym i kremowym, były półki z książkami i sterty gazet. Pod oknem stało eleganckie stare biurko z dwoma monitorami. Siedział przy nim Westwood – czytał e-maile. Jego wielka torba leżała na podłodze, kompletnie rozbebeszona, po brzegi wypełniona książkami i gazetami, z metalowym laptopem na wierzchu. Korytarz rozbrzmiewał głośnym gwarem, ponieważ biegali tam zapracowani redaktorzy, bez wątpienia robiąc coś pilnego. Za oknem świeciło jaskrawe słońce, jak to na południu Kalifornii.

– Chwileczkę – rzucił Westwood. – Już kończę. Usiądźcie. – Powiedział to z dziwną nutką w głosie.

Usiąść nie było łatwo. Musieli najpierw zdjąć z krzeseł sterty czasopism i gazet. Dziennikarz wylogował się z poczty i odwrócił.

– Nasi prawnicy patrzą na to krzywym okiem – powiedział. – Chodzi o kwestię poufności. Naszej bazy danych.

– Jakie widzą minusy? – spytała Chang.

– Bliżej nieokreślone. To prawnicy. Dla nich wszystko może być minusem.

– To ważne śledztwo.

– Twierdzą, że ważne śledztwo to śledztwo z nakazami i wezwaniami do sądu.

A przynajmniej z ogłoszeniem zaginięcia tej czy innej osoby.

– Dlaczego pan z nimi rozmawiał? – spytał Reacher.

– Bo muszę.

– Rozmawiał pan z naczelnym?

– Nie widzi w tym nic ciekawego. Sprawdziliśmy Keevera. Pewnie poszedł w tango. To stary, wypalony gliniarz.

Chang milczała.

– Nie znam go – powiedział Reacher. – Ale znałem wielu takich jak on. Pod każdym względem przewyższa średnią, z wyjątkiem tego, że czasem robi coś pod wpływem impulsu. Ale zawsze w najlepszych intencjach. I nawet jeśli rzeczywiście się wypalił, w porównaniu z mieszkańcami Matczynego Spoczynku był jak James Bond. Mimo to go dopadli.

– Nie wiadomo.

– Załóżmy, że wiadomo. Załóżmy, że dzieje się tam coś dziwnego, co zabiło dwieście osób. To już materiał, prawda? Coś, co „LA Times” zjadłby razem z łyżeczką. Mógłby pan pisać o tym tygodniami. Dostać za to Pulitzera. Zapraszano by pana do telewizji. Może nawet dogadałby się pan z filmowcami.

– Przyjdźcie do mnie, kiedy zdobędziecie coś bardziej konkretnego.

– Jak pan myśli, jakie są na to szanse?

– Jak sto do jednego.

– A nie dwieście?

– Wasze teorie to nie dowód.

– Przedstawię panu kolejną. Wyjdziemy stąd i zostanie pan ze świadomością, że być może kryje się za tym coś dużego. Prawdopodobieństwo jest jak sto do jednego, ale ponieważ już nas tu nie będzie, „LA Times” straci prawo do wyłączności, co znaczy, że jeśli jednak coś z tego wyniknie i wybuchnie afera, wszystkie gazety rzucą się na to i zaczną walczyć o jak najlepszą pozycję wyjściową do negocjacji. Dlatego jeśli jest pan mądrym redaktorem naukowym, powinien pan dostrzec swoją szansę, choćby nie wiem jak małą, i wykorzystać ją do zdobycia przewagi nad pozostałymi. Przypuszczam, że kiedy tylko wsiądziemy do windy, zajrzy pan do bazy danych i sprawdzi telefony od Maloneya. Choćby dla świętego spokoju.

Westwood milczał.

– Więc co to za różnica, czy robi pan to bez nas czy przy nas?

Dziennikarz długo nie reagował. Potem odwrócił się z krzesłem do monitorów, kliknął myszką i wystukał na klawiaturze kilka liter w dwóch różnych kratkach. Login i hasło, pomyślał Reacher. Bazy danych? Oby. Chang pochyliła się do przodu. Na ekranie ukazała się strona wyszukiwarki. Specjalnej, chronionej

patentem, dostosowanej do ich potrzeb, chociaż brzydkiej jak sto nieszczęść. Westwood zaznaczył kilka opcji, chcąc pewnie wyizolować swoje notatki. Wyeliminować niezwiązane wpisy. Kto wie, może w Los Angeles mieszkało stu wartych wzmianki Maloneyów. Albo dwustu. Znanych sportowców, biznesmenów, aktorów, muzyków i miejskich dygnitarzy.

– Wszystkie teorie trzeba sprawdzić – powiedział. – To sedno każdej metody naukowej.

Wystukał nazwisko: „Maloney”.

Kliknął myszką.

Komputer wyświetlił trzy rezultaty.

•••

Według bazy danych ktoś nazwiskiem Maloney dzwonił trzy razy, ostatnio przed niecałym miesiącem. Drugi raz zadzwonił trzy tygodnie wcześniej, a pierwszy dwa tygodnie przed drugim. Trzy telefony na przestrzeni dziewięciu tygodni, ostatni przed miesiącem. Wszystkie trzy z tego samego numeru z kierunkowym 501, którego nikt z nich nie znał.

Westwood nie zrobił ani jednej notatki na temat przedmiotu ani treści żadnej z tych rozmów. Zamiast tego przeniósł nazwisko dzwoniącego, jego numer, datę i godzinę do folderu o nazwie „TS”.

– Co to takiego? – spytał Reacher.

– Teorie spiskowe – wyjaśnił redaktor.

– Jakiego rodzaju?

– Wszelkiego, to bardzo szeroka kategoria.

– Może pan dać przykład?

– Prawo nakazuje instalować w domach alarmy przeciwpożarowe, ponieważ są w nich ukryte kamery i mikrofony mające bezprzewodowe połączenie z agencjami rządowymi. Są w nich również kapsułki z trującym gazem na wypadek, gdyby rządowi nie spodobało się to, co mówimy czy robimy.

– Kever nie traciłby czasu na takie rzeczy.

– A ja nie zignorowałbym niczego poważniejszego.

– Może Maloney niedokładnie to wyjaśnił.

– Na pewno.

– I nie pamięta go pan?

Zamiast odpowiedzieć, Westwood rozwinął nieprzefiltrowaną listę wszystkich połączeń przychodzących. Ekran był duży, a on miał aż dwa, mimo to zmieściła się na nich jedynie niewielka część roku kalendarzowego.

– My też tu jesteśmy? – spytał Reacher.

– Od rana.

– W jakim folderze nas pan umieścił?

– Jeszcze nie zdecydowałem.

Chang wyjęła komórkę i zadzwoniła pod numer Maloneya. Kierunkowy 501 i siedem cyfr. Przełączyła się na głośnik. Najpierw był syk eteru, potem zabrzmiał sygnał. Jeden drugi, trzeci...

Telefon dzwonił i dzwonił.

Ani odpowiedzi, ani poczty głosowej.

Chang rozłączyła się po pełnej minucie i w pokoju zapadła cisza.

– Trzeba sprawdzić, co to za kierunkowy – powiedział Reacher.

Westwood zamknął bazę danych i otworzył przeglądarkę. Zerknął na drzwi.

– Więc jednak naprawdę to robimy.

– Nikt się nie dowie – zapewnił go Reacher. – Dopóki film nie wejdzie na ekrany.

Okazało się, że 501 jest jednym z trzech numerów kierunkowych przypisanych telefonom komórkowym w Arkansas.

– Czy mniej więcej dziewięć tygodni temu zablokował pan jakiś numer z Arkansas? – spytała Chang. – Może facet przerzucił się po prostu ze stacjonarnego na komórkę?

Westwood wrócił do bazy danych i przewinął nieprzefiltrowaną listę połączeń przychodzących.

– Długo mógł się zastanawiać? Jak szybko wpadłby na pomysł zmiany nazwiska i numeru?

– Raczej szybko – odparł Reacher. – To nie operacja mózgu. Ale myślę, że na jakiś czas sobie odpuścił. Najprawdopodobniej z powodu urazu. Poczł się odrzucony. Mógł minąć tydzień, zanim przełknął dumę i znowu zadzwonił.

Westwood przewinął listę jeszcze dalej. Dziesięć tygodni wstecz. Na drugim ekranie otworzył spis kierunkowych, porównał je linijka po linijce i powiedział:

– Tego tygodnia zablokowałem czterech. Ale nie z Arkansas.

– Niech pan spróbuje tydzień wcześniej. Może jest bardziej wrażliwy, niż myśleliśmy.

Westwood cofnął się jeszcze o siedem dni. Pochylił się i znowu porównał numery.

– Tydzień wcześniej zablokowałem dwóch, czyli w sumie sześciu w ciągu czternastu dni, ale żadnego z Arkansas.

– Nie szkodzi, i tak jest lepiej, niż było. Telefony od Maloneya, czyli od kogoś, czyj numer został właśnie zablokowany, zaczęły się dziewięć tygodni temu i mamy w tej kategorii sześciu kandydatów. Logicznie rzecz biorąc, powinien być wśród nich nasz klient. I za pół minuty możemy z nim rozmawiać. Dzwoniąc pod ten drugi numer. Bo ma pan wszystkie. W tym oryginalne.

Westwood skopiował i wkleił sześć nazwisk i numerów do nowego pustego okienka. Nazwiska stanowiły typowo amerykańską mieszankę. Ukrywający się pod nimi ludzie mogli być zarówno zawodnikami z drużyny startującej w jednym z czterech największych turniejów golfowych w Stanach, klientami lombardu, pacjentami oddziału urazowego, jak i pasażerami z saloniku dla VIP-ów na lotnisku. Reacher domyślił się, że trzy numery są numerami komórkowymi, ponieważ nie rozpoznawał kierunkowych, ale był tam również numer 773, a więc kierunkowy Chicago, 505 dla jakiegoś miasta w Nowym Meksyku i 901 dla Memphis w Tennessee.

Westwood włożył telefon do stacji bazowej na biurku i wybrał pierwszy numer z komputera. W stacji były głośniki i Reacher usłyszał ciche bip-bip-bip, odgłos elektronicznych impulsów, potem syk, a jeszcze potem nagrany komunikat, ni to karcący, ni pełen współczucia.

Numer był wyłączony.

Westwood rozłączył się i sprawdził kierunkowy na ekranie monitora.

– To była komórka w północnej Luizjanie, w Shreveport albo gdzieś w pobliżu. Umowa dobiegła końca lub została zerwana, to się zdarza. Prędzej czy później operator przydzieli ten numer komuś innemu.

Wybrał następny.

To samo. Odgłosy łączenia z siecią i komunikat, z założenia przeprasający, lecz wypowiedziany z lekkim niedowierzaniem, że ktoś może być na tyle głupi, by dzwonić pod wyłączony numer.

– Missisipi – powiedział Westwood. – Gdzieś na północy. Prawdopodobnie Oxford. Mnóstwo studentów. Pewnie rodzice przestali za niego płacić.

– Albo miał telefon na kartę – myślał na głos Reacher. – Taki z supermarketu. Skończyły się minuty. I wyłądował w koszu. Może wszystkie są na kartę.

– Możliwe. Przestępcy robią tak od lat, żeby utrudnić sprawę organom ścigania. A ostatnio naśladuje ich coraz więcej zwykłych obywateli. Zwłaszcza



tych, którzy dzwonią do gazet ze spiskowymi sensacjami. Witam w dzisiejszym świecie.

Wybrał trzeci numer. Jeśli wierzyć kierunkowemu, kolejnej komórki, tym razem w Idaho.

Tym razem ktoś odebrał.

Z głośników popłynął głos mężczyzny, głośny i wyraźny.

– Halo?

Westwood usiadł prosto i przemówił do ekranu:

– Dzień dobry. Mówi Ashley Westwood z „LA Timesa”. Dzwonił pan do mnie, więc oddzwaniam.

– Naprawdę?

– Przepraszam za zwłokę. Musiałem coś sprawdzić. Ale tak, zgadzam się z panem. To trzeba nagłośnić. Dlatego mam kilka pytań.

– Oczywiście, wspaniale.

Mężczyzna mówił głosem zbliżonym bardziej do altu niż tenoru, szybko i nerwowo. Chudzielec, pomyślał Reacher. Rozdygotany, wiecznie roztrzęsiony. Trzydzieści pięć lat albo młodszy, lecz niewiele. Urodzony i wychowany w Idaho, choć niekoniecznie.

– Musimy mieć do siebie pełne zaufanie, dlatego pozwoli pan, że spytam najpierw o nazwisko prywatnego detektywa, którego pan zaangażował.

– Nazwisko... czyje?

– Prywatnego detektywa.

– Nie rozumiem.

– Czy wynajął pan prywatnego detektywa?

– Po co miałbym to robić?

– Bo trzeba to powstrzymać.

– Ale co?

– To, o czym pan mówił.

– Prywatny detektyw nic by na to nie poradził. Zrobiliby mu to samo co innym. Jak tylko by go zobaczyli. Dosłownie. Mówiłem panu, tu chodzi o linię wzroku. Nikt przed tym nie ucieknie. Nic pan nie rozumie. Promienia nie da się oszukać.

– A więc nie zaangażował pan prywatnego detektywa?

– Nie, skądże.

– Czy korzysta pan z innego telefonu o kierunkowym pięćset jeden?

– Nie.

Westwood rozłączył się bez słowa.

– Chyba go pamiętam. Twierdzi, że władze kontrolują nasze umysły.

– Jak? – spytał Reacher.

– Za pomocą promieni. Emitowanych z cywilnych samolotów. Na polecenie Federalnej Agencji Nadzoru Transportu Lotniczego. Dlatego zwiększono opłaty za bagaż, żeby zamiast z walizkami, pasażerowie latali z bagażem podręcznym, dzięki czemu w ładowni jest więcej miejsca na sprzęt. I miejsce dla operatora. Tak, operator siedzi tam i jak strzelec w starym bombowcu celuje w ludzi. Ten gość wychodzi z domu tylko wtedy, kiedy niebo jest zachmurzone. Mówi, że najbardziej narażeni są mieszkańcy stanów, nad którymi przelatuje najwięcej samolotów. To część spisku doskonałego.

– Tylko że nad Idaho i sąsiednimi stanami nie przelatuje ich tak dużo.

– Nie? A gdzie najwięcej?

– Nad Pensylwanią.

– Tak – wtrąciła Chang – ze względu na regularny ruch samolotów na Wschodnim Wybrzeżu oraz częste loty wahadłowe do Waszyngtonu, Nowego Jorku i Bostonu. Możemy iść dalej? I spróbować z następnym?

Westwood wybrał czwarty numer z kierunkowym 901. Memphis. Prawdopodobnie pierwszy telefon stacjonarny. Usłyszeli zwykle odgłosy łączenia, a potem sygnał, bardzo głośny.

Ktoś odebrał.

Najpierw był głuchy brzęk ciężkiej słuchawki, a po chwili odezwał się męski głos:

– Tak?

Westwood znowu usiadł prosto i odegrał tę samą scenkę: imię i nazwisko, „LA Times”, przeprosiny za zwłokę i tak dalej.

– Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem – powiedział tamten.

Staruszek, pomyślał Reacher. Mówi powoli, wytwornym językiem i jeśli nie jest z Memphis, to mieszka gdzieś w pobliżu.

– Dwa, trzy miesiące temu dzwonił pan do redakcji „LA Timesa”, ponieważ coś pana niepokoiło – wyjaśnił Westwood.

– Proszę wybaczyć, ale jeśli dzwoniłem, zupełnie tego nie pamiętam. I jeśli pana obraziłem, bardzo przepraszam.

– Nie, nie, nie obraził mnie pan. Nie musi pan za nic przepraszać. Chcę się tylko dowiedzieć, co pana martwi. To wszystko.

– Och, mam niewiele zmartwień. Prowadzę cudowne życie.

– W takim razie dlaczego pan do mnie dzwonił?

– Naprawdę nie wiem. Nie jestem nawet pewien, czy dzwoniłem.

Westwood zerknął na Chang, potem na ekran monitora. Nabrał powietrza, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie w głośnikach zaszurało i głucho stuknęła słuchawka, jakby ktoś wyrwał ją starcowi z ręki.

– Przepraszam, kto mówi? – Tym razem głos kobiety.

– Ashley Westwood z „LA Timesa”. Ktoś dzwonił do mnie z tego numeru.

– Kiedy? Niedawno?

– Dwa, trzy miesiące temu.

– To pewnie mój mąż.

– Czy mogę z nim porozmawiać?

– Przed chwilą pan rozmawiał.

– Rozumiem. Nie pamiętał, że do mnie dzwonił.

– Oczywiście, że nie. Dwa czy trzy miesiące to dla niego bardzo długo.

– Czy domyśla się pani, o co mu chodziło?

– A pan nie?

Westwood nie odpowiedział.

– Nie zamierzam pana osądzać. Gdybym mogła nie zwracać na niego uwagi, na pewno bym to zrobiła. Pisze pan teksty polityczne czy naukowe?

– Naukowe.

– W takim razie chciał panu powiedzieć, że granitowe blaty kuchenne są radioaktywne. To tegoroczny temat. Blaty rzeczywiście są radioaktywne, ale to kwestia stopnia. Na pewno prosił, żeby napisał pan o tym artykuł. Pana i wielu innych.

– Wie pani ilu?

– W porównaniu z liczbą mieszkańców Stanów Zjednoczonych ich liczba nie jest duża, ale kiedy zestawimy ją z liczbą godzin, jaką starszy człowiek powinien spędzać, wisząc na telefonie, bardzo wzrośnie.

– Czy to możliwe, że zaangażował prywatnego detektywa?

– Po co?

– Żeby pomógł mu zbadać sytuację z granitowymi blatami.

– Nie, to niemożliwe.

- Jest pani pewna?
- Z faktami się nie dyskutuje. Co tu badać? Poza tym mąż nie ma dostępu do pieniędzy. Nie mógłby nikogo zaangażować.
- Gotówki też nie ma?
- Nie. Proszę o nic nie pytać. I się nie starzeć.
- Czy mąż ma komórkę?
- Nie.
- A czy mógłby ją kupić, na przykład w supermarkecie?
- Nie, nie wychodzi z domu.
- Czy ten radioaktywny granit przyczynił się do czyjejs śmierci?
- Mąż tak uważa.
- Czy ofiar jest dużo?
- Och, tysiące.
- Bardzo pani dziękuję. I przepraszam, że zakłóciłem pani spokój.
- Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekła kobieta. – Miło jest porozmawiać z kimś innym.

Chwila ciszy i głuchy brzęk dużej, starej słuchawki.

- Witajcie w moim świecie – mruknął Westwood.
- Ona żyje w gorszym – zauważyła Chang.

Westwood wybrał piąty numer. Kierunkowy 773, Chicago. Telefon dzwonił i dzwonił, już dawno powinna włączyć się poczta głosowa czy automatyczna sekretarka. I nagle usłyszeli zdyszany kobiecy głos.

- Biblioteka miejska, Lincoln Park, pokój wolontariuszy. – Była bardzo młoda, bardzo wesoła i bardzo zabiegana.

Westwood przedstawił się i spytał, z kim mówi. Dziewczyna też się przedstawiła, bez chwili wahania, ale powiedziała, że nigdy nie dzwoniła do redakcji „LA Timesa” i nie zna ani jednego prywatnego detektywa. Westwood spytał, czy z jej telefonu korzysta ktoś inny, i okazało się, że tak, oczywiście, wszyscy wolontariusze, bo jest to pomieszczenie, gdzie zostawiają wierzchnie okrycia i spędzają przerwy. Dodała, że biblioteka znajduje się na północ od centrum Chicago, że pracują u nich dziesiątki ludzi, młodych i starych, mężczyzn i kobiet, że ciągle się zmieniają i są fascynujący. Ale nie, żaden z nich nie ma obsesji na punkcie nauki. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. A już na pewno nie takiej, żeby miał wydzwaniać do gazety na drugim końcu Ameryki.

Westwood poszukał na liście nazwiska z numerem kierunkowym 773.

– Czy zna pani wolontariuszkę lub wolontariusza nazwiskiem McCann? Nie jestem pewien, czy to kobieta, czy mężczyzna.

– Nie – odrzekła dziewczyna. – Pierwsze słyszę.

– Długo tam pani pracuje?

– Od tygodnia.

Westwood podziękował jej, usłyszał, że nie ma za co, a kiedy dodał, że chyba nie powinien jej dłużej zatrzymywać, powiedziała, owszem, ma dużo pracy. Więc się rozłączył.

I wybrał ostatni numer. Kierunkowy 505, czyli Nowy Meksyk.

Po czwartym sygnale odebrał mężczyzna o cichym, zrezygnowanym głosie. Westwood przedstawił się i zaczął od standardowego wstępu: redakcja naukowa „LA Timesa”, przepraszamy za zwłokę, nagły wzrost zainteresowania dawnym tematem. Po drugiej stronie zapadła długa cisza, wreszcie mężczyzna powiedział:

– To było wtedy. Teraz jest inaczej.

– Nie bardzo rozumiem – przyznał Westwood.

– Wiem, co widziałem. Początkowo nikt nie chciał mnie słuchać, pan też. Ale potem policja przysłała do mnie detektywa. Młodego człowieka, ubranego na sportowo, ale bystrogo. Powiedział, że jest ze specjalnej tajnej jednostki, i spisał raport. Spisał, a potem kazał mi siedzieć cicho i nic nie robić. Ale tydzień później zobaczyłem go w mundurze na ulicy. Wystawiał mandaty za parkowanie w niedozwolonym miejscu. Wcale nie był detektywem. Policja mnie zbyła, wysyłając na rozmowę nowicjusza. Pewnie po to, żebym cicho siedział. Żeby mnie zmylić.

– Proszę powiedzieć, co pan dokładnie widział.

– Statek kosmiczny na pustyni. Właśnie wylądował i wysiadało z niego sześciu pasażerów. Podobnych do ludzi, ale to nie byli ludzie. Co ważne, statek nie miał możliwości ponownego startu. To był tylko lądowik. Co znaczy, że te stworzenia przyleciały tu na zawsze. Nasuwa się więc pytanie. Czy jako pierwsi? Jeśli nie, ilu przyleciało przed nimi? Ilu już tu jest? Czy kontrolują policję? Czy mają kontrolę nad wszystkim innym?

Westwood milczał.

– Dlatego teraz sprawa jest bardziej psychologiczna niż czysto naukowa. Jak sobie radzić, kiedy zna się prawdę i musi się udawać, że się jej nie zna?

– Czy wynajął pan prywatnego detektywa?

– Próbowałem. Pierwszych trzech, do których zadzwoniłem, nie chciało zajmować się kosmitami. Potem zrozumiałem, że bezpieczniej będzie przywarować. Teraz to największy problem. Stres. Przypuszczam, że takich jak ja jest wielu. Znamy prawdę, ale czujemy się tak, jakby nie znał jej nikt poza nami,

ponieważ ze sobą nie rozmawiamy. Może powinien pan napisać właśnie o tym. O izolacji.

– Co się stało z tym statkiem?

– Nie mogłem go znaleźć. Ich sojusznicy musieli go odholować i ukryć.

– Czy ktoś wtedy zginął?

– Nie wiem. Możliwe.

– Ilu?

– Przypuszczalnie paru. Kontrolowane lądowanie wymaga dużej energii. Płonienie z silników hamujących i tak dalej. Na pewnym obszarze mogło być niebezpiecznie. No i nie wiadomo, co te stwory robią potem, jak już tu osiadą.

– Czy ma pan telefon komórkowy?

– Nie, promieniowanie jest groźne dla zdrowia. Powoduje raka mózgu.

– Czy mówi coś panu nazwisko Keever? Czy to nie jeden z tych trzech detektywów, do których pan dzwonił?

– Nie, nie znam żadnego Keevera.

– Bardzo dziękuję. Będziemy w kontakcie.

Westwood się rozłączył.

– Wiem, wiem – uprzedziła go Chang. – Witajcie w moim świecie.

– I w Nowym Meksyku – dodał Westwood.

Usunął z tymczasowej listy numer trzeci, czwarty i szósty.

– Spec od promieni kontrolujących umysł, ekspert od granitu i uczestnik bliskiego spotkania trzeciego stopnia odpadają. Zgoda? Pozostaje porzucona komórka z Luizjany, porzucona komórka z Missisipi i pokój wolontariuszy w Chicago. Szanse wzrosły o połowę, zawsze to coś.

Poprzestawiał kratki na ekranie. Na samej górze był teraz numer z Luizjany, który – według komputerowej bazy danych – przed dziesięcioma tygodniami należał do niejakiego Headleya, w środku numer z Missisipi opatrzony nazwiskiem Ramirez, a na dole wolontariusze z Chicago wraz z nieuchwytnym panem lub panią McCann, o których zdyszana dziewczyna nigdy nie słyszała.

Westwood wydrukował stronę i podał ją Chang.

– Niech pan spróbuje jeszcze raz do Maloneya – poprosiła.

Wybrał numer. Bip-bip-bip – telefon dzwonił i dzwonił. Nikt nie podnosił słuchawki, nie włączała się poczta głosowa. I tak przez całą minutę.

– Potrzebna nam będzie lista wszystkich pańskich publikacji z ostatnich sześciu miesięcy – powiedział Reacher.

- Po co? – spytał dziennikarz.
- Po co innego by dzwonił? Przeczytał pański artykuł. Musimy sprawdzić który.
- To nam nie pomoże.
- Zgoda. Nie pomoże. Ale dobrze by było wiedzieć, z jakim człowiekiem mamy do czynienia. I co go gryzie.
- Wszystkie moje artykuły są na naszej stronie internetowej, archiwum też.
- Dobrze. Wielkie dzięki za pomoc.
- Co teraz?
- Coś wymyślimy. Tak jak pan powiedział, szanse wzrosły o połowę. Mamy trzy numery. Jakoś je namierzemy.
- Jest jeszcze inna teoria – powiedział Westwood. – Zajrzałem na stronę Keevera, na stronę pani Chang oczywiście też. Obie wyglądają bardzo profesjonalnie. Jestem pewien, że macie dostęp do wielu źródeł, łącznie z prywatnymi bazami danych, wtyczkami u operatorów komórkowych, i możecie odszukać klienta po jego numerze telefonu. Dlatego moja teoria głosi, że nie jestem już wam potrzebny. Że mnie odetniecie.
- Nie zamierzamy – odrzekła Chang. – Będziemy pana informować.
- Niby dlaczego?
- Bo prawa autorskie do książki nie są nam potrzebne.
- Nie?
- Nie. Ja jestem zbyt zajęta, a on ledwo umie podpisać się kredką. Reacher tego nie skomentował.
- A więc zostają w ekipie?
- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.
- Słowo?
- Skautki.
- Ale tylko pod warunkiem, że to będzie coś dobrego. Nie przychodźcie do mnie z promieniami, granitami i statkami kosmicznymi.

•••

Wyszli i zjechali windą na dół. Chang miała komputer w walizce, potrzebowała jedynie spokojnego miejsca z Wi-Fi, gdzie mogłaby popracować ze swoimi bazami danych, listami wtyczek u operatorów komórkowych i „odwrotnymi” książkami



telefonicznymi. Co znaczyło, że muszą znaleźć jakiś hotel, a skoro hotel, to i taksówkę. Jedna parkowała przy krawężniku po drugiej stronie ulicy, ale kiedy Reacher zagwizdał i pomachał ręką, nie wiedzieć czemu szybko odjechała w przeciwnym kierunku. W każdym mieście obowiązuje inna procedura zatrzymywania i przywoływania taksówek, więc trudno było się w tym połapać. Poszli na północ, w stronę muzeum dla dzieci, i tam znaleźli cały ich rząd. Miejsca, które Reacher znał w Los Angeles, niekoniecznie słynęły ze spokojnej atmosfery i mogły nie mieć Wi-Fi, dlatego postanowił zdać się na Chang, a ona kazała wieźć się do Zachodniego Hollywood. Taksówka włączyła się do ruchu i pojechali.

•••

Dziesięć minut później, trzydzieści dwa kilometry na południe od Matczynego Spoczynku, ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach odebrał trzeci telefon. Tym razem łącznik wyraźnie miał ochotę pogadać.

– To był dar z niebios. Spotkali się w redakcji „LA Timesa” i siedzieli tam godzinę. To stary budynek o grubych ścianach, ale Hackett miał fart. Większość spraw załatwiają tam przez telefon i Westwood ma na biurku stację bazową. Biurko stoi pod oknem, więc wzmocniony sygnał walił prosto w szybę. Był tak silny, że jeszcze trochę, i sfajczyłby skaner. W sumie wykonali siedem telefonów. Dwa na wyłączone numery komórkowe, jeden na komórkę, która nie odpowiedziała, i jeden na numer telefonu w Chicago. Pozostałe trzy numery należały do świrusów, których skreślili. Raz padło nazwisko Keevera, raz nazwisko McCann, podczas rozmowy z Chicago, trzy razy wspomniano o prywatnych detektywach w ogólności.

Ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach długo milczał.

W końcu spytał:

– Ale niczego się nie dowiedzieli, tak?

– To pan musi zdecydować. Mają trzech kandydatów. Jestem pewien, że jeden z nich to klient Keevera i że wie pan, o kim mowa. Mają numery telefonów, mogą sprawdzić billingi. Bywało, że sprawa brała w łeb z powodu mniejszej drobnostki.

– Muszę wiedzieć, czy utrzymują kontakt z operatorami komórkowymi. Czy mają coś w rodzaju systemu wczesnego ostrzegania. Jeśli tak, chcę wiedzieć, jakie informacje od nich dostają.

– Boję się, że to będzie dodatkowo kosztowało. Ci od telefonów bywają bardzo skryci. Trzeba komuś posmarować.

– To posmarujcie.

– Dobrze.

– Co robili potem?

– Potem było trochę komicznie.

– To znaczy?

– Westwood został w redakcji, a Reacher i Chang wyszli.

– Dokąd pojechali?

– Właśnie tu zrobiło się komicznie. Hackett ich zgubił. Udawał taksjarza. W mieście to najlepsza przykrywka. Ale Reacher chciał go zatrzymać, więc Hackett musiał dać nogę.

– To niedobrze.

– Ma stały zamiar na komórkę Chang. Kiedy tylko ktoś z niej zadzwoni, będzie wiedział dokładnie, gdzie są.

Okazało się, że to motel, podobny w sumie do tego w Matczynym Spoczynku, ale ponieważ zbudowano go w bardziej prestiżowym miejscu, robił wrażenie figlarnie hipsterskiego, zamiast starego i smutnego. Reacher zapłacił gotówką za pokój z biurkiem, krzesłem i dostępem do internetu, kablowym lub przez Wi-Fi, do wyboru, do koloru. Jednak najlepsze było tam wielkie łóżko, płaskie, szerokie i twarde. Spojrzeli na nie i pocałowali się tęsknie, lecz krótko, jak ktoś, kto wie, że najpierw trzeba popracować. Chang podłączyła laptop. Potem rozłożyła wydruk od Westwooda. Trzy nazwiska, trzy numery.

– Lubisz hazard? – spytała.

– Luizjana sąsiaduje z Arkansas, co tłumaczyłoby, dlaczego Maloney dzwonił z tych dwóch kierunkowych. Sęk w tym, że Luizjana sąsiaduje również z Missisipi. Chicago nie, ale McCann, ona lub on, w każdym razie ten prawdziwy, mógł wybrać to nazwisko na pseudonim. Może tak nazywała się jego matka. Albo jej. Dlatego powiedziałbym, że jest jak jeden do jednego, równe szanse.

– Od czego chcesz zacząć?

– Od pięćset jeden. Może niedawno podpisał umowę. Na prawdziwe nazwisko.

– Pod warunkiem że to nie komórka.

Chang otworzyła stronę wyszukiwarki, równie brzydkiej jak ta Westwooda, i wystukała siedem cyfr poprzedzonych kierunkowym 501.

Na ekranie laptopa pojawił się komunikat: „Dostępny”.

– Co to znaczy? – spytał Reacher.

– Że numeru nie ma w bazie, ale można go zdobyć. Za odpowiednią cenę, od informatora w firmie telefonicznej.

– Odpowiednią, czyli jaką?

– Pewnie za stówę.

– Stać cię?

– W razie czego obciążę kosztami „LA Timesa”.

– Najpierw sprawdź pozostałe. Może dostaniesz niższą za hurt.

Co okazało się całkiem prawdopodobne. Numer w Chicago był rzeczywiście jednym z kilkunastu numerów należących do biblioteki w Lincoln Park, ale numery komórkowe z Luizjany i Missisipi komputer oznaczył jako „dostępne”.

Za odpowiednią cenę.

– Jak to się robi? – spytał Reacher.

– Kiedyś wystarczyło napisać e-mail. Teraz już nie, to zbyt niebezpieczne. Zbyt ryzykowne dla informatora. Gorsze niż notatka na papierze. Teraz trzeba dzwonić.

I tak zrobiła. Czekala może dwie sekundy. Nie było żadnych wstępów. Od razu przeszła do rzeczy. Podała swoje nazwisko, powiedziała, czego potrzebuje, przeczytała trzy numery, powoli i wyraźnie, kazała je sobie powtórzyć, rzuciła „Dobrze” i się rozłączyła.

– Dwieście dolarów. Oddzwoni.

– Kiedy?

– Chyba nieprędko.

Żeby wypełnić czas, mogli zrobić tylko jedno.

...

Dziesięć minut później, trzydzieści dwa kilometry na południe od Matczynego Spoczynku, w wyfryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach odebrał czwarty telefon.

– Hackett mówi, że Chang właśnie dzwoniła – zameldował łącznik. – Są w motelu w Zachodnim Hollywood.

– Gdzie dzwoniła?

– Do firmy telefonicznej. Pytała o trzy numery. Zapłaciła dwieście dolarów.

– Czego się dowiedziała?

– Jeszcze niczego. Informator ma dopiero oddzwonić.

– Kiedy?

– Chyba nieprędko.

– Możecie sprawdzić to prędzej?

– Po co szastać pieniędzmi? Hackett ma ich na nasłuchu. Ona się dowie, dowie się i on.

– Gdzie teraz jest?

– Hackett? Jedzie do motelu. Na pewno zdąży przed telefonem od informatora.

Łóżko było rzeczywiście płaskie, szerokie i twarde. Wiatrak pod sufitem zdechł, klimatyzacja chłodziła słabo, więc Reacher był zlany potem. Zdyszana Chang leżała obok niego. Zawsze uważał, że drugi raz jest lepszy od pierwszego. Bez tych wszystkich małych zahamowań, niezręcznych potknięć, mimo to wciąż odkrywcy i podniecający. Ale teraz jego teoria legła w gruzach. Wyleciała w powietrze. „Wszystkie teorie trzeba sprawdzić – powiedział Westwood. – To sedno każdej metody naukowej”. No i je sprawdzili. Drugi raz, godzinę wcześniej, był niesamowity. Ale trzeci jeszcze lepszy. Dużo lepszy. Kości miał jak z gumy. Leżał wykończony i ledwie żywy, ale tak odprężony, że w porównaniu z tym wszystkie poprzednie koncepcje pełnego relaksu wydawały się atakiem furii.

Chang przewróciła się na bok, podparła łokciem i przesunęła palcami po jego piersi, szyi, twarzy i z powrotem, jakby się go uczyła, poznawała układ i kształt jego ciała. On zaś cieszył się bezruchem, z ręką na wnętrzu jej uda, bezwładny, lecz pełen życia, podniecony dotykiem jej gorącej skóry, wilgotnej, lecz gładkiej jak aksamit, pod którą wyczuwał mięśnie i delikatne pulsowanie krwi.

– Reacher.

– Tak?

– Nic. Sprawdzam tylko, jak to brzmi.

Miał na ramionach jej włosy, gęste i ciężkie. Jej piersi uciskały mu ramię. Czuł bicie jej serca.

– Byłeś żonaty?

– Nie. A ty miałaś męża?

– Jednego. I krótko. Nie wyszło.

– Jak wielu innym.

– Jak długo trwał twój najdłuższy związek?

– Pół roku – odparł. – Coś koło tego. Ciągle gdzieś mnie wysyłali. Za dużo jeździłem. Za często. To była loteria. Podwójna, bo ona też służyła w wojsku. Byliśmy jak statki mijające się w ciemności.

Zadzwonił telefon.

Chang odepchnęła się od Reachera, wstała i podeszła nago do biurka. Zerknęła na ekran komórki i odebrała. Znowu bez wstępów. Od razu przeszła do rzeczy. A więc informator. Znalazła długopis i podbiegła do stolika nocnego, gdzie leżała papeteria motelowa, krucha i pożółkła ze starości. Zniosła ją na biurko,

pochyliła się i zaczęła notować, na jednej kartce, potem na drugiej i trzeciej. W pewnej chwili odwróciła się i puściła do niego oko.

Reacher podparł się łokciami.

– Dziękuję – powiedziała i odłożyła komórkę.

– No i? – spytał.

– Zaraz. – Obudziła komputer i zaczęła stukać i klikać z twarzą w szarej, zimnej poświacie z ekranu. Czubkami palców dotknęła touchpada, coś przesunęła, coś powiększyła.

A potem posłała mu uśmiech.

– Co? – spytał.

– Wszystkie trzy numery to jednorazówki na kartę. Kupione w supermarkecie. Ostatnia w Luizjanie, w Shreveport. Przed użyciem trzeba je zarejestrować. Takie są teraz przepisy. Kupujesz komórkę, dzwonisz pod osiem zero zero i dostajesz kierunkowy wraz z numerem. Tak też było. Dzwoniono z niej jedenaście razy, aż skończyły się minuty, a ponieważ nie została doładowana, numer stracił ważność. I go wyłączono. Za pół roku przydzielą go komuś innemu.

– Gdzie dzwoniono?

– Do Los Angeles, do Westwooda. Wszystkie jedenaście razy.

– Skąd?

– Z Shreveport. Komórka łączyła się zawsze z tą samą wieżą przekaźnikową.

Reacher milczał.

– Z komórką z Missisipi było dokładnie tak samo, jest tylko trochę starsza. Kupiono ją rok temu w supermarkecie w Oxfordzie, zarejestrowano w Missisipi i cztery razy doładowywano, w końcu wyrzucono. Używano jej tylko w Oxfordzie, za pośrednictwem tych samych dwóch wież. Dziesiątki telefonów do Westwooda, możliwe, że z uniwersytetu albo akademika, jeśli Westwood miał rację i facet jest studentem.

– Dobrze wiedzieć. Ale to sprawa niewarta zachodu. Arkansas. Mów. Czuję, że to będzie to.

Chang uśmiechnęła się z ulgą, wciąż naga, rozradowana, zadowolona i podekscytowana.

– Z tą jest inaczej. To komórka na kartę, jak tamte, ale wciąż podłączona, chociaż jest o wiele starsza. Pochodzi z dużej partii zamówionej przez Walmart lata temu. Wtedy sprzedawano je z wbudowanym, z góry przydzielonym numerem. Walmart ma siedzibę w Arkansas, stąd kierunkowy. Ale nie sprzedano

jej w Arkansas. Właściwie to nie sprzedano jej nigdzie, a przynajmniej nie w Walmarcie. Na rynek wszedł nowy model i na początku roku niesprzedane egzemplarze wystawiono na aukcję po dziesięć centów za sztukę. Mój informator twierdzi, że było ich około stu.

– Kto je kupił?

– Pośrednik z New Jersey. Ktoś w rodzaju brokera. Specjalista od handlu tego rodzaju rzeczami.

– Kupił i sprzedał?

– Tak robią pośrednicy.

– Kiedy?

– Trzy miesiące temu.

– Komu?

Chang uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Właścicielom sklepu w Chicago.

– Gdzie w Chicago?

Chang odwróciła laptop. Reacher wyciągnął szyję. Szare światło i proste linie. Google Maps, Google Earth czy Google coś tam, w każdym razie program, który pokazywał miasto z satelity.

– Na północ od centrum. Dosłownie drzwi w drzwi z filią biblioteki w Lincoln Park.

...

Wciąż naga, wciąż podekscytowana i wciąż uśmiechnięta Chang wybrała numer jeszcze raz, kierunkowy 501 i siedem cyfr, ale, tak jak poprzednio, ani nikt nie odebrał, ani nie włączyła się poczta głosowa, chociaż telefon dzwonił i dzwonił. Pełna nadziei czekała całą minutę, w końcu zrezygnowała. Potem przełączyła komórkę na głośnik, zadzwoniła do Westwooda i zastała go w redakcji.

– Numer z kierunkowym pięćset jeden to komórka na kartę, którą sprzedano w sklepie tuż obok biblioteki w Lincoln Park w Chicago. Wynika z tego, że Maloney to McCann. Zakładamy, że pracuje tam jako wolontariusz, dzięki czemu ma stały dostęp do numeru siedem siedem trzy, z którego dzwonił przedtem. Kiedy go pan zablokował, wyskoczył do sklepu, kupił komórkę i spróbował jeszcze raz. Musimy wiedzieć, co panu powiedział. I kiedy zaczął wydzwanianić.

– Sprawdzę – rzucił Westwood.

Usłyszeli stukot klawiszy, odgłosy klikania i przewijania, słyszeli jego oddech. Reacher wyobraził sobie dwa bliźniacze ekrany i telefon w stacji bazowej. Westwood wreszcie się odezwał.

– Pierwszy raz zadzwonił mniej więcej cztery miesiące temu. Zanim go zablokowałem, próbował jeszcze piętnaście razy. Potem, już jako Maloney, tylko trzy. Ale już o tym wiecie.

– Ma pan jakieś notatki z tych pierwszych telefonów?

– Nie. Przykro mi.

– Spokojnie. Coś wymyślimy.

– Bądźmy w kontakcie.

– Oczywiście.

Chang rozłączyła się.

– Trzeba znaleźć główny numer biblioteki – powiedział Reacher. – Muszą mieć niemiary na wolontariuszy. Przydałby się jego adres.

– Najpierw weźmiemy prysznic. I się ubierzemy. Dziwnie się czuję, robiąc to wszystko nago.

Reacher nie odpowiedział.

•••

Ufryzowana mężczyzna w wyprasowanych dżinsach odebrał piąty telefon.

– Przed chwilą rozmawiała z informatorem – zameldował łącznik. – Zaraz potem zadzwoniła do „LA Timesa”. Jest bardzo podekscytowana jakimś McCannem z Chicago.

Ufryzowana mężczyzna w wyprasowanych dżinsach umilkł. I bardzo długo milczał. W końcu spytał:

– Rozmawiała z nim?

– Z tym McCannem? Nie.

– Ale ma jego numer.

– Nawet dwa. Chociaż jeden to numer biblioteki publicznej. McCann jest tam pewnie wolontariuszem.

– Chang już wie, gdzie on pracuje?

– Wolontariat to nie to samo co praca.

– Dlaczego z nim nie rozmawiała?



- Próbowwała. Dzwoniła, ale nie odebrał.
- Dlaczego?
- Skąd mam wiedzieć?
- Pytam pana jako profesjonalistę. Chcę, żeby pan to przeanalizował. Za to wam płacę. Z jakiego powodu można nie odebrać połączenia komórkowego?
  - Właściciel komórki może nagle umrzeć albo zostawić ją pod siedzeniem w autobusie miejskim. Może być załamany i nie mieć ochoty na rozmowę z kimś, kogo nie zna, albo przebywać w miejscu lub otoczeniu, gdzie rozmowa przez telefon nie jest akceptowana. Są setki powodów.
  - Co zrobi teraz?
  - Chang? Będzie próbowała się do niego dodzwonić, zadzwoni również do centrali biblioteki, żeby wyciągnąć od nich namiary na wolontariuszy.
  - Na przykład adres?
  - To może być trudne. Obowiązują ich przepisy o ochronie danych osobowych.
  - Więc co zrobi?
  - Pojedzie do Chicago. Przynajmniej ona. Jeśli McCann był klientem Keevera, zechce z nim porozmawiać. Nie może oczekiwać, że do niej przyleci.
  - Reacher pojedzie razem z nią.
  - Prawdopodobnie.
  - Nie mogę do tego dopuścić. I tak są już za blisko.
  - Jak proponuje pan ich powstrzymać?
  - Macie tam tego Hacketta.
  - Zaangażował go pan tylko do prowadzenia obserwacji.
  - Ale można to zmienić. Wspominał pan o pełnym serwisie, o liście...
  - Powinien pan to dobrze przemyśleć. Nie chodzi tylko o pieniądze. To poważny krok.
  - Oni nie mogą dotrzeć do Chicago.
  - Musi pan mieć absolutną pewność. Przy podejmowaniu tego rodzaju decyzji to niezbędne i bardzo rozsądne.
  - Powinniśmy byli powstrzymać ich sami, kiedy mieliśmy okazję.
  - Musi mi pan dać oficjalne zlecenie.
- Ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach westchnął.
- Niech pan powie Hackettowi, żeby ich powstrzymał. Raz na zawsze.

Prysznic był powolną i łagodną fazą przejściową między tym, co robili, i tym, co musieli zrobić. Wanna okazała się wąska, lecz na wygiętej w łuk rurce wisiała zasłona, a że woda lała się ciepłym, szerokim strumieniem i ponieważ chcieli być jak najbliżej siebie, było im wygodnie. On umył ją, ona jego, od głowy po stopy, powoli i dokładnie, mydłem i szamponem, nie pomijając żadnych zakamarków, a w niektórych bawiąc dłużej niż trzeba. Nie spieszyli się. Traktowali to jak zabawę, jak grę. Trochę się też wygłupiali. Para wypełniła łazienkę i pokój, lustra zaszyły mgłą.

W końcu wyszli, wytarli się ręcznikami, narysowali dwa kółka na lustrze, jedno wyżej, drugie niżej, a potem się przeczesali, on palcami, ona grzebieniem z szylkretu, który wyjęła z walizki. Zebraли ubrania, z podłogi, krzesła i łóżka, i naciągnęli je na wciąż wilgotne ciała.

Potem wzięli się do pracy. Reacher rozsunął zasłony i nie zobaczył nic oprócz jaskrawego słońca i błękitnego nieba. Dzień był fantastyczny. Południowa Kalifornia późnym latem. Nawet zalegający w dole smog miał kolor złota. Chang jeszcze raz spróbowała z 501. I tak jak poprzednio telefon dzwonił i dzwonił, bez końca. Zignorowała go, więc mruczał niestrudzenie przez głośnik. Mruczał, mruczał i mruczał.

– Nigdy się z czymś takim nie spotkałem – powiedział Reacher. – Albo ktoś odbiera, albo włącza się poczta głosowa.

– Może te stare komórki na kartę nie miały poczty. Albo właściciel jej nie włączył. Albo wyłączył.

– Da się to zrobić?

– Nie wiem.

– Więc dlaczego nie odbiera? Nie może być tak i tak. Albo masz pocztę głosową, albo odbierasz.

– Zrezygnował – powiedziała Chang. – Nikt go nie chciał wysłuchać. Więc przestał używać komórki. I teraz dzwoni w jakiejś szufladzie.

Jeśli chodzi o technologię, Reacher należał do ludzi, którzy uczą się tylko tego, co jest im potrzebne w danej chwili. Znał się na faksach, telefaksach, nadajnikach wojskowych i amerykańskiej poczcie publicznej, ale nigdy nie musiał nic wiedzieć o cywilnych telefonach komórkowych. Nigdy takiego nie miał. Bo i po co? Do kogo by dzwonił? Kto dzwoniłby do niego? To, co wiedział, czyli niewiele, pochodziło z codziennych obserwacji. Więc wyobraził sobie teraz dzwoniącą w nieskończoność komórkę. Dzwoniącą i pewnie wibrującą. Silnie, energicznie.

– Bateria musi być naładowana – powiedział. – Gdyby zdechła, telefon by się wyłączył i operator by o tym wiedział. Dlatego facet musi ją czasem ładować.

– To może wyszedł do sklepu i zostawił ją w domu.

Reacher bez słowa zerknął w okno.

Telefon ciągle dzwonił.

– No co? – spytała Chang.

– Nic – odparł Reacher, wciąż nie mogąc odpędzić tego obrazu: samotna komórka na podłodze, jak żywa, skacząca wokoło jak wierny spaniel drapiący łapą martwego pana, dopraszający się uwagi, nic nierozumiejący. Gdzieś na wrzosowiskach albo w eleganckim salonie. Atak serca, podagra czy na co tam umierają właściciele spanieli. Ale ponieważ był również człowiekiem żądnym informacji, powiedział tylko:

– Wyłącz to i zadzwoń do biblioteki.

Chang rozłączyła się i w pokoju zapadła cisza. Obudziła śpiący komputer, otworzyła przeglądarkę i weszła na stronę chicagowskiej sieci bibliotecznej. Biblioteka w Lincoln Park miała własny numer informacyjny. Kierunkowy 773 i siedem cyfr podobnych do tych w numerze pokoju wolontariuszy. Chang wybrała go i na ekranie komórki ukazało się menu. Angielski albo hiszpański. Naciśnij jeden, żeby zrobić to, naciśnij dwa, żeby zrobić tamto. Żeby porozmawiać z kimś żywym, naciśnij dziewięć.

Nacisnęła dziewięć. Sygnał i głos kobiety.

– Czym mogę służyć?

Chang przedstawiła się tak jak Westwoodowi. Podała swoje imię i nazwisko i powiedziała, że jest prywatnym detektywem z Seattle, ale że przedtem pracowała w FBI. To chyba pomogło. Bibliotekarka była pod wrażeniem.

– Rozumiem, że zatrudniacie państwo wolontariuszy.

– Tak, zgadza się – odparła.

– Czy pracuje u was ktoś nazwiskiem McCann?

- Pracował.
  - Już nie pracuje?
  - Nie ma go od trzech, czterech tygodni.
  - Zrezygnował?
  - Nie oficjalnie, ale wolontariusze ciągle przychodzą i odchodzą.
  - Co może pani o nim powiedzieć?
  - Dlaczego pani pyta? McCann ma kłopoty?
  - Był naszym klientem. Straciliśmy kontakt. Próbujemy go odzyskać.
- Sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy.
- To starszy pan, bardzo cichy, spokojny i zamknięty w sobie. Ale świetny pracownik. My też chcielibyśmy go odzyskać.
  - Czy miał jakieś wyraźne zainteresowania? Może coś go dręczyło?
  - Trudno powiedzieć. Nie należał do gadatliwych.
  - Mieszka w Chicago? Ma pani jego adres?
- Cisza. Prawie jak zanik sygnału. A po chwili:
- Przykro mi, ale nie możemy udostępnić takich informacji. Ze względu na ochronę prywatności pracowników.
  - A jego domowy numer? Może mogłaby pani do niego zadzwonić i poprosić, żeby zadzwonił do nas?

Znowu cisza. Ale tym razem przerywana cichutkimi kliknięciami. Baza danych. Długa lista. Mnóstwo przewijania. „M” jak „McCann” byłoby dokładnie w połowie.

- Nie – odparła bibliotekarka. – Niestety, nie mamy jego numeru.

•••

Na wypadek gdyby McCann czymś się wyróżniał, zajrzeli do tajnej bazy danych Chang, żeby poszukać McCannów mieszkających w Chicago, ale okazało się, że są ich setki, czego należało się spodziewać, zważywszy dużą liczbę nazwisk etnicznych oraz historyczne wzorce migracyjne. Być może był wśród nich ich McCann, lecz w żaden sposób nie mogli tego sprawdzić. Ukrył się jak ziarenko piasku na plaży.

Potem poszukali samolotu. Mieli szeroki wybór. Trasa Los Angeles–Chicago była bardzo uczęszczana. Po południu też, mogli więc wybierać i przebierać.

Logiczne. Dwie strefy czasowe na wschód i było się w domu o naturalnej porze spania. Strefa czwarta to już zaczerwienione oczy.

Wszyscy najwięksi przewoźnicy liczyli sobie tyle samo, co do centa, dlatego Chang wybrała American Airlines, gdzie miała złotą kartę, i zarezerwowała bilety przez telefon, dzwoniąc do kogoś, kto obsługiwał posiadaczy kart tego koloru. Złote sprawdzały się ponoć w kryzysowych sytuacjach i gwarantowały lepsze miejsca w samolocie.

On schował do kieszeni szczoteczkę do zębów, ona spakowała walizkę, łącznie z grzebieniem, laptopem i ładowarkami, do komputera i komórki.

Spakowała i zapięła.

– Gotowy?

Reacher kiwnął głową.

– Chodźmy złapać taksówkę.

Wyszli na dwór, zamrugali w jaskrawym słońcu i wstąpili do biura, żeby oddać klucze. Kierownik był zaniepokojony ich wczesnym wyjazdem. Początkowo martwił się, że są niezadowoleni z pokoju, a kiedy zapewnili go, że nie, uznał, że potraktowali motel jak miejsce schadzek na godziny, i zdenerwował się jeszcze bardziej. Reacher wytłumaczył mu, że to tylko nagła zmiana planów, nic więcej, pilna sprawa, ale rozumiał jego reakcję. Wciąż mieli wilgotne włosy, a łózkowa pościwała była z nich falami jak promieniowanie nuklearne.

Po drugiej stronie ulicy stała taksówka. Reacher zagwizdał i pomachał ręką, tak jak poprzednio, i tym razem podziałało. Taksówka powoli zawróciła, szerokim łukiem od krawężnika do krawężnika, i zatrzymała się z tylną klamką dokładnie na wysokości jego bioder. Kierowca otworzył klapę bagażnika i wysiadł, żeby pomóc Chang z walizką. Rosły facet w koszuli z krótkimi rękawami, z potężnie umięśnionymi rękami, zgrubiałymi od blizn łukami brwiowymi i złamanym nosem. W młodości był pewnie bokserem, pomyślał Reacher, albo po prostu miał niefart. Taksówkarz podniósł walizkę, jakby nic nie ważyła, i włożył ją do bagażnika. Chang usiadła na winylowym siedzeniu za jego plecami, Reacher obok niej. Taksiarz wsunął się za kierownicę, spojrzął w lusterko i spotkali się wzrokiem.

– Lotnisko – rzucił Reacher. – American Airlines, terminal krajowy.

Taksówka ruszyła, powoli i spokojnie w mrugającym słońcu, i pokonawszy labirynt bocznych ulic, dotarła do bulwaru Santa Monica, gdzie skręciła na południowy zachód, w kierunku czterystąpiątki.

...

Tym razem ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach nie czekał, aż zadzwoni telefon. Coraz bardziej się niecierpliwił, więc zadzwonił sam.

– Załatwione? – spytał.

– Proszę się nie martwić – odparł łącznik.

- A więc niezłałatwione?
- Jeszcze nie.
- Przecież Hackett jest na miejscu.
- Niech każdy robi to, w czym jest dobry, zgoda? Dwa trupy w motelu w Zachodnim Hollywood to byłaby katastrofa. Postawiono by na nogi całe miasto. W ciągu minuty zaroiliby się tam od radiowozów. Przydzielono by do sprawy czterech detektywów. Mówiono by o tym w wieczornym dzienniku. Hackett nie może sobie pozwolić na taką reklamę. Za duże ryzyko. Musi z czegoś żyć.
- Więc kiedy?
- Proszę mi zaufać. Nie wsiądą do samolotu.

•••

Czterystąpiątka była zatłoczona, jak zawsze, ale przynajmniej nie stali w miejscu. Trzy sunące równo pasy, jaskrawe kolory, chrom, wosk, czyszciki lakier, oślepiające słońce i złotawobrazowe wzgórza w tle – jechało się gładko i przyjemnie. Chang otworzyła okno i do środka wpadł ciepły wiatr. Rozwiał jej włosy. Podkoszulek miała wilgotny na ramionach. Taksówkarz operował kierownicą precyzyjnie i oszczędnie. Nie szalał. Trzymał się prawego pasa, w Los Angeles równie szybkiego jak pozostałe. Aby z prądem. Dojadą, kiedy dojadą.

Reacher siedział wygodnie, wciąż rozanielony i trochę oklapły, podobnie jak Chang.

- Pracujący w bibliotece wolontariusz musi mieszkać gdzieś w pobliżu, prawda? – powiedziała. – Wolontariat to zasadniczo sprawa lokalna. Nie musimy przeszukiwać całego miasta.

- Trzeba sprawdzić, o czym pisał Westwood cztery miesiące temu – odrzekł Reacher. – Musimy się dowiedzieć, co gryzło tego McCanna. Zanim się z nim spotkamy. Co sprowokowało go do pierwszego telefonu.

Chang wyjęła komórkę i spróbowała otworzyć stronę internetową „LA Timesa”. Przekaz danych był wolniejszy niż przez Wi-Fi, ale w końcu się udało.

- Dokładnie cztery miesiące? Czy zakładamy, że zainteresował się czymś wcześniej?

- Słusznie – zgodził się z nią Reacher. – Jeśli zna się na internecie, mógł znaleźć, co chciał. Ale wygrzebywanie wszystkich artykułów Westwooda nam nie pomoże.

Wystarczy trzymiesięczne okienko. Cztery, pięć, sześć miesięcy temu.

Chang wstukała nazwisko Westwooda do okienka wewnętrznej wyszukiwarki i na ekranie zaroilo się od linków związanych z dzielnicą o tej samej nazwie. Wtedy zmieniła „Westwood” na „Ashley Westwood”, w cudzysłowie, co przyniosło konkretniejsze rezultaty. Po prawej stronie pojawił się krótki artykuł uzupełniający ze zdjęciem autora i jego biografią. Zdjęcie zrobiono przed laty. Westwood musiał mieć wtedy dobry dzień – wyglądał trochę młodziej, a jego włosy i broda były staranniej utrzymane i mniej siwe. Według biografii, ukończył dziennikarstwo i studia podyplomowe z biologii molekularnej. Po lewej stronie zamieszczono listę jego artykułów wraz z tytułami i krótkimi streszczeniami. Na pierwszym miejscu widniała zapowiedź artykułu o historii pszenicy, który miał ukazać się w najbliższą niedzielę. Pod zapowiedzią był artykuł o leczeniu urazów mózgu, ale widzieli go już w domu Keevera w Oklahoma City.

Chang musnęła palcem ekran, przewinęła listę do góry, osiem pozycji wwyż, i zatrzymała się na pierwszym artykule sprzed czterech miesięcy. Westwood pisał nowy mniej więcej co dwa tygodnie, a każdy był dość długi i na pewno poprzedzony wnikliwymi badaniami. Reacher pomyślał, że jeśli chodzi o cywili, jest to praca bez wątpienia łatwiejsza niż praca górnika czy lekarza na urazówce, lecz wcale niełatwa. Sam nigdy nie napisał nic dłuższego niż raport z akcji. Coś, co z założenia jest krótkie i do czego nie trzeba zbierać materiałów. Bo raport wojskowy to nawet nie literatura faktu.

Pierwszy artykuł sprzed czterech miesięcy traktował o rolnictwie ekologicznym. O owocach, warzywach i uprawach podstawowych. Miał prowokujący tytuł, a ze streszczenia wynikało, że zamiast rzeczywiście przestawić się na ekologię, wielki agrobiznes naciąga klientów, bez uzasadnienia podnosząc ceny. Dwa tygodnie wcześniej Westwood pisał o myszosczkach. Konkretnie o pradawnych myszosczkach. Okazało się, że według najnowszych badań naukowych średniowieczną dżumę przywlokły do Europy nie pchły na szczurach, jak od zawsze uważano, tylko pchły na olbrzymich myszosczkach z Azji.

Ruch zaczynał zwalniać, przynajmniej na prawym pasie. Mijało ich coraz więcej samochodów jadących środkowym i lewym. Mimo to taksówkarz nie reagował.

Chang przewinęła listę w dół. Po myszosczkach było coś o zmianach klimatycznych, artykuł sprzed pięciu miesięcy. Tytuł głosił, że poziom oceanów



nieustannie wzrasta, a ze streszczenia wyczytali, że zgodnie z geometrią fraktalną, na budowę muru wzdłuż Wschodniego Wybrzeża zużyto by więcej cementu, niż ludzkość wyprodukowała go w całej swej historii.

– O zmianach klimatu piszą wszyscy – zauważyła Chang. – Dlaczego McCann miałby wybierać akurat jego?

– Racja – przyznał Reacher.

Potem był artykuł o Deep Webie, Głębokiej Sieci. Coś o internecie i specjalnych wyszukiwarkach. Wynikało z niego, że surfowanie po sieci jawnej jest łatwiejsze. Jeszcze potem były pszczoły. Które masowo umierały, na całym świecie. Bez pszczoł zboża pozostaną niezapylone i wszyscy będą głodować. Wszyscy to dużo więcej niż dwieście osób. Dwieście osób widzieli choćby teraz, przez okno taksówki, bo ruch zwolnił jeszcze bardziej. Nadal jechali prawym pasem. A środkowy i lewy wciąż były trochę szybsze. Zrównał się z nimi czarny lincoln i przez chwilę sunęli bok w bok. Przed lincolnem zrobiło się miejsce. Otworzyło się tylne okno i Reacherowi mignęła przed oczami sylwetka pasażera, jego zwrócona ku nim twarz. Przez absurdalny ułamek sekundy wyglądało to tak, jakby mężczyzna chciał im coś powiedzieć. A potem zdarzyło się nieuniknione. Limuzyna toczyła się środkowym pasem, lecz z prędkością samochodów z pasa prawego. Kierowca jadącego za nią małego czerwonego coupé zagapił się, nie zwolnił i musnął zderzakiem jej zderzak. Różnica prędkości była niewielka, dziesięć, piętnaście kilometrów na godzinę, mimo to lincoln gwałtownie skoczył do przodu, skutkiem czego pasażera najpierw rzuciło na oparcie, a potem na fotel przed nim. Demonstracja wszystkich zasad dynamiki Newtona, inercji, akcji i reakcji – Reacher był zaskoczony siłą ich oddziaływania. Uraz kręgosłupa gotowy. Lincoln pojechał dalej, czerwone coupé za nim, ani trochę nie zwalniając. Wozy nie miały widocznych uszkodzeń. Najwyraźniej grubsze zderzaki, wprowadzone do użytku przez Federalny Akt Bezpieczeństwa Drogowego, spełniły swoje zadanie.

Nie było żadnego zamieszania. Trąbienia klaksonami, wygrażania pięściami czy pokazywania środkowego palca. Ot, kolejny dzień na ruchliwej autostradzie w Los Angeles.

Ruch na prawym pasie zwolnił jeszcze bardziej. Lincoln i czerwone coupé wyprzedziły ich i zniknęły w oddali. Samochody na lewym jechały jeszcze szybciej. Reacher nachylił się i spytał:

– Dlaczego nie zmienia pan pasa?

Taksówkarz zerknął w lusterko.

– Zaraz wszystkie się zatkają.

– Ale jeszcze się nie zatkały, więc dlaczego by nie podjechać trochę dalej?

– To jest jak wyścig zająca z żółwiem, przyjacielu.

Chang pociągnęła Reachera za rękę.

– Pozwól mu zrobić to, w czym jest dobry. Oblałeś egzamin z jazdy. Pamiętasz?

Przeniosła wzrok na telefon. Ostatnim artykułem w trzymiesięcznym okienku była rzecz o korytarzu oceanicznym wzdłuż zachodniego wybrzeża – od Kalifornii do Oregonu – którym sezonowo migrowały żarłacze białe. Dla większości ludzi nie stanowiły żadnego problemu, z wyjątkiem pewnego Francuza, który chciał tamtędy przepłynąć w drodze z Japonii. Zamierzał spać na towarzyszącej mu łodzi, a rano znowu wskakiwać do wody, i tak osiem godzin dziennie. Ale wyglądało na to, że to nie rekinami najbardziej się martwi. Bo najpierw musiał pokonać Pacyficzny Wir Śmieciowo-Odpadowy, powolny wir o średnicy prawie dwóch tysięcy kilometrów, pełen plastikowego barachła, toksycznych odpadów i innego syfu.

– Francuzi to szaleńcy – skostatowała Chang.

– Moja matka była Francuzką – rzucił Reacher.

– I była szalona?

– Bardzo.

Samochody znowu zwolniły, te na lewym pasie proporcjonalnie do tych na środkowym, te na środkowym do tych na prawym, a te na prawym prawie stanęły w miejscu. Mimo to taksówkarz wciąż nie reagował. Przystając i znowu ruszając, przemieszczał się niewiele szybciej niż pieszy.

Wkrótce dowiedzieli się dlaczego.

Tuż za Culver City i przed samym Inglewood i pobliskim lotniskiem, skręcił nagle w nieoznakowany zjazd po prawej stronie, który przeszedł w wąską drogę, coś w rodzaju dojazdówki do opuszczonego zakładu naprawczego. Opony zachrzęściły na zasłanym gruzem asfalcie. Przejechali między zardzewiałymi wiatami, skręcili i przetoczywszy się po spękany beton, znaleźli się w ślepym zaułku, na którego końcu stał opuszczony magazyn z otwartymi na oścież zepsutymi drzwiami.

Taksówkarz wjechał do środka, w ciemność.

Dach podtrzymywały przerdzewiałe stalowe żebra, a światło – setki cieniutkich promyków słońca – wpadało jedynie przez wystrzępione dziury w oblicówce. Magazyn był duży, miał prawie dziewięćdziesiąt metrów długości. Duży, lecz zupełnie pusty, jeśli nie liczyć tajemniczych stert porzuconego sprzętu i metalowego złomu. Podłoga była betonowa, w niektórych miejscach zupełnie gładka, w innych zaplamiona olejem, pokryta zardzewiałymi rupieciami i gołębimi piórami. Przez otwarte okno wpadał do taksówki głośny chrzęst opon, warkot silnika i dudnienie wydechu.

Nikogo tam nie było i tylna część mózgu Reachera natychmiast to zarejestrowała. Problem rozwiązały jeden cios w skroń taksjarza. Sierpowy z prawej flanki, lekkim skosem w dół. Nieoczekiwany. Bez ostrzeżenia. Żeby gość się przekonał, co znaczy uraz kręgosłupa. Uprzedzić atak. Reacher zacisnął pięść. Był gotowy.

Zacisnął i rozluźnił. Kierowca jechał dalej, powoli, równo i pewnie, jakby dobrze wiedział dokąd i robił to nie pierwszy raz.

– Żółw i zajęc, przyjacielu – powiedział. – Właśnie zaoszczędziliśmy dwadzieścia minut.

Na końcu magazynu były drzwi, identyczne jak te z przodu i też otwarte na oścież, i wytoczyli się nimi na jaskrawe słońce, na spękany beton między opuszczonymi wiatami, by chwilę później wiszącą na zawiasach bramą wjechać na drogę biegnącą tuż pod siatką wzdłuż północnej granicy lotniska. Przez przednią szybę Reacher zobaczył wieżę kontrolną, pasy startowe, pasy do kołowania, samoloty i chmury uwijających się wokół nich małych ciężarówek, ruchliwych i niewinnych w oślepiającym słońcu na błękitnym niebie.

– Formalnie rzecz biorąc, bezprawnie wkraczamy na czyjś teren – ciągnął taksówkarz – ale pracowałem tu, kiedy firma nieźle prosperowała, więc chyba mam prawo. Łatwiej tędy dojechać i wrócić, bo autostrada pewnie już stoi, jak zwykle po południu. Tracę parę dolców, ale odbijam to sobie podwójnie, bo

szybciej łapię nowego klienta. To mój tajny sposób. Znajomość terenu zawsze popłaca.

Skręcił w prawo, w drogę cargo wzdłuż kolejnego ogrodzenia, i po dziesięciu sekundach znaleźli się z powrotem w rzece limuzyn, taksówek, przyjaciół i krewnych zmierzających na lotnisko. Minutę później byli już przed terminalem American Airlines, gdzie zwolnili, zjechali do krawężnika i zatrzymali się. Kolejną minutę później walizka Chang stała już na chodniku, z wyciągniętą rączką, gotowa do dalszej drogi, a kierowca, z pieniędzmi i napiwkami w kieszeni, właśnie wsiadał do taksówki.

...

Automat wypuł dwie wiotkie karty pokładowe i ruszyli w stronę bramek bezpieczeństwa. Ale tam nie dotarli. Drogę zaszedł im jakiś mężczyzna. Około czterdziestu lat, krzepko zbudowany, w dobrej formie, o krótkich jasnych włosach. Był w jasnobrązowych spodniach, niebieskim polo i ocieplanej niebieskiej kurtce. Wszystkie części ubrania robiły wrażenie służbowych. Coś jakby mundur. Na szyi miał zawieszkę. Splątana, dlatego identyfikator wisiał odwrotnie.

– Przepraszam, ale widziałem, jak państwo wchodzili do hali.

– Naprawdę? – zdziwił się Reacher.

– Minęli państwo stanowisko samodzielnego nadawania bagażu i przeszli przez bramkę dla pasażerów deklarujących jego brak.

– Tak?

– Proszę pana, pan nie ma bagażu. Nic pan nie zgłosił, ani walizki, ani torby podręcznej, ani nawet rzeczy osobistych.

– To źle?

– Szczerze mówiąc, tak. To dość niezwykle zachowanie. Jest na naszej liście.

– To znaczy czyjej?

Mężczyzna gapił się na niego przez chwilę, a potem musiało go olśnić, bo spojrzał w dół, na wiszący odwrotnie identyfikator. Odchrząknął zirytowany lub sfrustrowany i szybko go odwrócił. Po prawej stronie było małe zdjęcie, a po lewej niebieski napis „LAPD” i kilka linijek tekstu, zbyt drobnego i jasnego, by go przeczytać.

– Brygada antyterrorystyczna – wyjaśnił.

– Zgoda – powiedział Reacher. – Statystycznie rzecz biorąc, brak bagażu jest czymś rzadkim. Wystarczy się rozejrzeć. Nie rozumiem tylko, dlaczego uważacie, że kryje się pod tym coś złego.

– To nie ja ustanawiam przepisy. Boję się, że będziecie musieli państwo pójść ze mną. Oboje.

– Dokąd? – spytała Chang.

– Na rozmowę z moim zwierzchnikiem.

– A gdzie on jest?

– W furgonetce przy chodniku.

Reacher zerknął na rozsuwane drzwi i zobaczył granatową furgonetkę stojącą na zakazie parkowania trzydzieści metrów dalej. Niezbyt czystą. I niezbyt błyszczącą.

– Obserwacja – wyjaśnił mężczyzna. – Mówiąc „zwierzchnik”, miałem na myśli szefa zmiany. On nie jest moim prawdziwym zwierzchnikiem. Ma tylko swoje obowiązki, i tyle. To bardzo proste. Rutynowa procedura. Nic takiego.

– Nie – oznajmił Reacher.

– To nieodpowiednie słowo, proszę pana, zwłaszcza teraz. To kwestia bezpieczeństwa narodowego.

– Nie, to nie jest kwestia, tylko lotnisko. Ludzie wsiadają tu do samolotów. My też chcemy wsiąść. Z jedną walizką. Więc albo nas pan aresztuje, albo proszę nas przepuścić.

– Tego rodzaju postawa też jest na liście.

– Wyżej czy niżej niż brak bagażu?

– Nie pomaga pan sobie.

– W jakim przedsięwzięciu?

Do hali weszło dwóch policjantów obwieszonych wszelkiego rodzaju bronią i mężczyzna zeszywniał. Potem wypuścił powietrze, zirytowany albo sfrustrowany wydał ten sam odgłos co przedtem, w końcu powiedział:

– Dobrze, możecie państwo iść. Bezpiecznego lotu.

I poszedł dalej, na skos przez salę, rozglądając się już za następnymi podejrzanymi.

• • •

Złota karta Chang miała widocznie wpływ na siłę przebicia kart pokładowych, bo skorzystali dzięki nim z wydzielonej bramki bezpieczeństwa i nie musieli zdejmować butów. Reacher wrzucił do pojemnika garść monet, wszedł do skanera, podniósł ręce i dołączył do Chang, która stała już po drugiej stronie. Obok bramki wejściowej była poczekalnia i złota karta Chang znowu zrobiła swoje: weszli do środka i długo siedzieli w tapicerowanych fotelach, zgadzając się co do tego, że podobnie jak ich dawne odpowiedniki, mahoniowe ławy na stacji w Matczynym Spoczynku, są dużo wygodniejsze, niż mogłoby się wydawać. Na szczęście, ponieważ ich lot wcale nie był pierwszy. Złota karta nie miała na to wpływu, co Reacher uznał za poważny minus.

Ponownie zadziałała dopiero na pokładzie, bo wskazano im fotele w rzędzie przy wyjściu awaryjnym, które miały więcej miejsca na nogi, co Reachera zarówno ucieszyło, jak i trochę zniechęciło. W razie niebezpieczeństwa ludzie będą tędy uciekać, oknem na skrzydło. Stąd wszystkie te przepisy regulujące minimalną długość i szerokość, żeby ludziom było wygodniej przechodzić, tylko że jeśli istniało coś takiego jak minimum miejsca na osobę, to dlaczego w zwykłych rzędach fotele praktycznie się z sobą stykały? Za nic nie mógł rozwiązać tej łamigłówki.

– Miło tu – zauważyła Chang.

– Bardzo – odrzekł.

– Dlaczego nie podobał ci się ten policjant na lotnisku?

– Nie, podobał mi się. Zdążyłem go nawet polubić. Wszystkich lubię. Jestem szczęśliwy, wesoły i towarzyski.

– Jasne.

– Był fajny, naprawdę.

– Ale źle na niego zareagowałaś.

– Tak?

– Powiedziałaś mu „nie” i zaczęłaś na niego napierać. Jakbyś rzucał mu wyzwanie i chciał sprawdzić, czy nas aresztuje.

– Miałem wątpliwości.

– Jakie?

– Nie, gość budził zaufanie, był wiarygodny. Nawet bardzo. Oboje wiemy, jak to jest. Jakiś jajogłowy z gwiazdkami sporządza listę. Bóg wie, na jakiej podstawie. W dziewięciu przypadkach na dziesięć brak bagażu znaczy, że masz coś na

sumieniu. A ja myślę, że jest tak w jednym przypadku na milion. Ten z lotniska pewnie też. Ale trzyma się tego, co ma na liście. Bo musi.

– Więc jakie miałeś wątpliwości?

– Widziałaś ostatnio legitymację służbową policjanta z Los Angeles?

– Nie pamiętam.

– Ja też nie.

– Myślisz, że się podszywał?

– Diabli wiedzą. Ale jeśli nie, dowodzi to przynajmniej, że ta sprawa z kontrolą umysłu to bzdura. Inaczej ucieszyliby się, że nie mam bagażu. W ładowni byłoby więcej miejsca na maszynię do wytwarzania promieni.

– Jeśli się podszywał, to kto to mógł być?

– Kolejny kuzyn Moynahanów?

– W Los Angeles? Ilu ich mogą mieć? Nie, odpada.

– Dlaczego tak nagle odpuścił? – spytał Reacher.

– Bo go przekonałeś. Nie miał dowodów. A pewnie jakichś potrzebował.

Przepisy są prawdopodobnie bardziej dziurawe, niż myślimy.

– Nie, odpuścił, bo zbliżali się do nas policjanci.

– Czyli ktoś z tej samej branży.

– Załóżmy, że nie. Załóżmy, że był oszustem, który miał zaciągnąć nas do tej furgonetki. Ale hej, spokojnie, to nie takie ważne. Jest zawodowcem i nie może stracić pracy. Nie wiedział, jak zareaguję. Bo co by było, gdybym na przykład wpadł w szal? Nie mógł ryzykować, zwracając na siebie uwagę. Więc zrezygnował, ponieważ tak się przypadkiem zdarzyło, że policjanci podeszli bliżej, wypatrując dziwnie zachowujących się osób. Innymi słowy, gość przestraszył się o własny tyłek i zwał.

– Albo był dobrym żołnierzem, który biorąc głęboki oddech, licząc do dziesięciu i odchodząc, zaoszczędził ci godziny w areszcie, a sobie papierkowej roboty.

W głośnych podmuchach suchego, brązowego powietrza samolot wjechał na pas startowy, przyspieszył, powoli i z zadowoleniem, jakby doskonale wiedział, że tajemnice lotu zostały odkryte już dawno temu, potem spokojnie oderwał się od ziemi, błysnął w słońcu, w lekkiej mgłę przechylił się na skrzydło i jeszcze bardziej zadarłszy dziób, poleciał na północny wschód, kreśląc spalinami kurs ciemny, lecz pełen wdzięku.

Dziesięć minut później, trzydzieści dwa kilometry na południe od Matczynego Spoczynku, w fryzowanym mężczyźnie w wyprasowanych dżinsach odebrał telefon.

– Naprawimy to – powiedział łącznik.

– To znaczy?

– Mieliliśmy strasznego pecha.

– O czym pan mówi?

– Powstał pewien problem.

– Wsiedli do samolotu?

W tym momencie łącznik znowu stał się rozmowny. Ale nie dlatego, że był w dobrym humorze. Dlatego, że nie mogąc otrząsnąć się z niedowierzania, obsesyjnie robił sobie wyrzuty.

– Hackett doskonale to zaplanował. Chang zarezerwowała bilety przez telefon, więc znał wszystkie szczegóły. Idealnie wybrał moment. Co do sekundy. Obserwował ich, kiedy wychodzili z motelu i wsiadali do taksówki, z tylnego siedzenia limuzyny z szoferem od podwykonawcy. Przez jakiś czas jechał za nimi, potem zrównali się na autostradzie i miał ich jak na widelcu, bo Chang otworzyła nawet okno, a samochody na środkowym i lewym pasie jechały dużo szybciej. Poza tym na autostradzie na lotnisko jest milion takich wozów, więc był praktycznie niewidzialny. Ale w chwili, gdy byli dosłownie o krok od nich, gdy już, już miał podnieść strzelbę, jakieś ferrari wjechało im w kufer. Dostali takiego kopa, że wyniosło ich w przyszły tydzień. Stracili ich z oczu. Na autostradzie nie można cofać.

– A więc tamci polecili?

– Tak, ale nie pierwszym samolotem. Wybrali akurat ten, bo Chang ma złotą kartę. Hackett wyprzedza ich o trzydzieści cztery minuty. Już mówiłem, naprawimy to.

– W Chicago?

– Gratis. Ferrari nie było nasze, ale zależy nam na reputacji.

– Oni nie mogą skontaktować się z McCannem.

– Rozumiem. Czyta pan w naszych myślach.



Lot był długi. Co prawda nie od wybrzeża do wybrzeża, ale w sumie transkontynentalny. Nie całość, lecz spory kawałek. Chang lekko odchyliła fotel i wyciągnęła nogi, chowając buty pod fotel przed nią. Była pogrążona w myślach, tak jak za kierownicą małego zielonego forda na długiej pustej drodze do Oklahoma City. Myśląc, rozważając plusy i minusy, mocne punkty i słabe, dobre rezultaty i złe, czasem leciutko się uśmiechała, czasem krzywiła. Ponieważ teraz nie musiała obserwować drogi, brały w tym udział i oczy, które zwęzły się, mrużyły, rozszerzały, patrzyły to w dal, to gdzieś bliżej.

Reacher próbował nie myśleć. Przez cały czas ścigał nieuchwytne wspomnienie w półmroku między świadomością i podświadomością. Odwracał wzrok, próbował o tym zapomnieć, dać temu spokój.

– Biblioteka będzie już zamknięta – powiedział.

– Pójdziemy tam z samego rana. Przenocujemy w hotelu.

– W dobrym. Powinniśmy wynająć pokój w najlepszym i wysłać rachunek gazecie. Wielki apartament. Z pełną obsługą. Chętnie zapłacą. Bo coś się kroi. Czuję to w kościach.

– Ale co?

– Nie wiem. Jest coś, czego nie pamiętam, ale wiem, że to ważne.

– Jeśli nie pamiętasz, to skąd wiesz? – spytała Chang.

– Po prostu wiem.

– To dość istotne, bo rachunek za hotel pójdzie najpierw na moje konto.

Ryzykuję finansowo.

– Chętnie zapłacą – powtórzył Reacher.

– Four Seasons czy Peninsula?

– Wszystko jedno.

– Zadzwońię z lotniska i wezmę tańszy.

Reacher milczał.

– A konkretniej? – dopytywała Chang. – Jak ważne jest to coś, czego nie pamiętasz, ale uważasz za ważne?

– Myślę, że da nam zarys. Tego, co nas czeka.

– Ale co da nam zarys?

– Nie wiem. Próbuję coś do siebie dopasować, dwie rzeczy. Identyczne. Ale nie wiem, co to jest. Słowa, fakty, miejsca.

– Miejsca to chyba nie. Los Angeles to nie Matczyny Spoczynek. Nie ma żadnych podobieństw.

– Zgoda – rzucił.

– Chicago też nie. Może z wyjątkiem tego, że niektórzy farmerzy jeżdżą tam i robią to, co w Chicago robią farmerzy. O to chodzi?

– Nie.

– To lepiej się pospiesz. Niedługo lądujemy.

Reacher z roztargnieniem kiwnął głową. „Niedługo lądujemy”. Wyobraził sobie, jak będą wysiadać. Lubił analizować i badać. Nawet coś tak prostego jak wysiadanie z samolotu. Lubiła to robić jaszczurcza część jego umysłu. Samolot pokouje na stanowisko, zatrzyma się przy rękawie, zgaśnie napis „Zapiąć pasy”, ludzie zaczną wstawać, wyjmować torby z górnych schowków i spod siedzeń, potem będą tłoczyć się w przejściu, by w końcu noga za nogą dotrzeć do drzwi i rękawa. Wtedy wyścig zacznie się na dobre, długimi, szerokimi korytarzami, obok srebrzystych butików, punktów gastronomicznych z laminowanymi stolikami i samotnymi gośćmi...

I wtedy go olśniło.

– To nie są słowa – powiedział. – Ani fakty, ani miejsca.

– Tylko co?

– Twarze. Pamiętasz tego czarnego lincolna na autostradzie na lotnisko?

– Tam było milion takich lincolnów.

– Ale jeden się z nami zrównał i przez chwilę jechaliśmy bok w bok, a potem wpadł na niego mały czerwony samochód.

– Aha, ten...

– Ktoś otworzył okno. I mignął mi przed oczami.

– Bardzo mignął czy tylko trochę?

– To był ułamek sekundy.

– Ale?

– Już go widziałem.

– Gdzie?

– W Inglewood. W tej brązowej kawiarni. Dziś rano. Kiedy pierwszy raz spotkaliśmy się z Westwoodem. On tam był. Trzymał ręce na stoliku, czytał gazetę.

Chang milczała.

– To ten sam facet – dodał Reacher.

– Ciągłe myślę jak adwokat w sądzie, tak mnie nauczono.

– I cokolwiek powiesz, przednia część mojego mózgu w stu procentach się z tobą zgadza. Tak jak mówię, facet mignął mi przed oczami w samochodzie jadącym sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, dlatego moje zeznanie byłoby co najmniej niewiarygodne.

– Ale?

– Ale tylna część mózgu wie, że to był ten sam człowiek.

– Skąd wie?

– Radio jazgocze tak głośno, że wskaźnik wychodzi poza skalę.

– Ty słyszysz... głosy?

– Tak, cały czas wytężam słuch. Przez siedem milionów lat byliśmy dzikimi zwierzętami. Dużo się nauczyliśmy. Nie powinniśmy tego stracić.

– I co te głosy mówią?

– Jedne, żeby szykować się do walki. Wiedzą, że nie czeka nas nic dobrego.

– A inne?

– Wahają się, zastanawiają nad konsekwencjami. Które mogą być poważne albo żadne. Bo albo się myślę, albo ten ktoś śledzi nas od samego początku. Jeśli tak, to przez twoją komórkę. Co znaczy, że wie dosłownie wszystko. Co z kolei znaczy, że lepiej zadzwońmy do hotelu z automatu. Zyskamy trochę czasu. To dobrze, bo facet poczyna sobie coraz śmielej. Depcze nam po piętach. Podczas śniadania tylko obserwował. Być może podsłuchiwał, czytał z ruchu warg. A teraz chce nas zabić.

– Otwierając okno w samochodzie?

– Patrzył na mnie. Przez chwilę myślałem, że chce mi coś powiedzieć. Miałem wrażenie, że mnie namierza. Jak drapieżnik. Ale drapieżnik nie uprzedza o ataku. Nie, on po prostu lokalizował cel. Tak. Logika mówi, że miał obrzyna, strzelbę z uciętą lufą. Chciał wygarnąć z jadącego samochodu do jadącego samochodu, jak pociskiem powietrze–powietrze. Dla pewności dwa razy, potem wybucha panika, samochody zaczynają na siebie wpadać, a on zjeżdża na szybki pas i znika wśród tysięcy innych, tak jak mówiłaś.

– To bardzo ekstremalny scenariusz.

– Wszystko albo nic. Bo co innego robił, po co miałby się z nami zrównywać? Kazano mu nas zdjąć. Co znaczy, że jest wszechstronny. Dlatego kosztowny. A to daje nam zarys tego, co dzieje się w Matczynym Spoczynku. Coś komuś dostarczają. Za pieniądze. I to duże, bo kiedy poczuli się zagrożeni, stać ich było na wynajęcie wszechstronnego bandziora.

- Chyba że zeznanie jest niewiarygodne. Sam mówiłeś, dwa samochody, sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, tamten tylko mignął ci przed oczami...
  - Miej nadzieję na najlepsze, ale nastaw się na najgorsze.
  - Nakazu to nie załatwi.
  - Nakazy wystawia się wtedy, kiedy można coś udowodnić. A nie wtedy, kiedy coś się wie.
  - A ty coś wiesz?
  - To instynkt. Dlatego wciąż żyję, po siedmiu milionach lat. Darwinizm w praktyce.
  - Co takiego zrobiliśmy między śniadaniem i teraz, że aż tak się rozbestwili?
  - Właśnie. Namierzyliśmy McCanna.
  - Który musi być dla nich niebezpieczny. Dlatego tym bardziej interesujący dla nas.
  - A biblioteka będzie zamknięta.
  - Zakładając, że to ten sam człowiek. Możesz się mylić.
  - Mądrość hazardzisty nakazuje mi jednak działać tak, jakbym się nie mylił.
- Na wszelki wypadek.
- Jak w Zakładzie Pascala.
  - Nawet jeśli nie mam racji, nic nas to nie kosztuje, a jeśli mam, dużo zaoszczędzimy.
  - Tylko że go wyprzedziliśmy. Został w Los Angeles.
  - Niekoniecznie. To nie był pierwszy lot.
- Chang umilkła. Wyjęła komórkę, nacisnęła guzik i ją wyłączyła.

•••

Wylądowali od wschodu, zatoczywszy długą, leniwą pętlę nad jeziorem i miastem. Letni zmierzch już się kończył, wciąż brązowawy i gorący, lecz teraz dużo mroczniejszy. Światła na pasie były jaskrawe. Pokołowali, zatrzymali się przy rękawie, zgasł napis „Zapiąć pasy”, ludzie zaczęli wstawać, wyjmować torby z górnych schowków i spod siedzeń i tłoczyć się w przejściu. Wśród nich Reacher i Chang.

W końcu jedno za drugim dotarli do drzwi i wyszedłszy z rękawa, znaleźli się w hali, gdzie było z tysiąc ludzi, siedzących i czekających albo spieszących we wszystkie strony naraz. Reacher dyskretnie lustrował ich wzrokiem, kątem oka, odwracając głowę, nie myśląc, ufając, że jeśli nieznany mężczyzna tam jest, on instynktownie wychwyci podobieństwo – miał jego twarz przed oczami i w centralnej części mózgu, wisiała tam jak policyjne zdjęcie w urzędzie pocztowym.

Ale go nie było. Nie siedział, nie czekał, nie spieszył we wszystkie strony naraz. Szli długim korytarzem, mijając ludzi czekających w kolejce do toalet i w kolejce po kawę, przechodząc obok stoiska z prasą, srebrzystych butików, fast foodów z laminowanymi stolikami i siedzącymi przy nich samotnymi podróżnikami. Reacher wypatrywał gazet w ich rękach, łokci na stole, znajomo pochyłonych ramion, lecz niczego nie wypatrzył. Nie było go. Nie w tym budynku.

Wyszli ze strefy przylotów, przecięli strefę ogólnodostępną i idąc w stronę drzwi z napisem „Transport naziemny”, zobaczyli baterię automatów telefonicznych na ścianie, samotnych i zapomnianych, jednak co lepsze, zobaczyli również stanowisko świadczące wszelkiego rodzaju usługi przyjezdnym, w tym rezerwowanie pokoi w hotelach. Wesoła kobieta w sportowym zakiecie polecała Peninsulę; zadzwoniła tam, zarezerwowała apartament i wskazała im drogę do taksówek.

Powietrze było gęste od wilgoci, spalin i papierosowego dymu. Czekali pięć minut i trafił im się znużony taksiarz w fordzie crown victoria; popędził do miasta, jakby goniło go stado wilków. Reacher wyglądał przez okno, dopóki tłumy na lotnisku nie zniknęły mu z oczu, lecz nie rozpoznał żadnej znajomej twarzy. Na autostradzie obserwował samochody, ale żaden ani nie podjechał bliżej, ani się z nimi nie zrównał. Rozświetlone, każdy w swoim własnym świetle, na nic nie zważając, wszystkie pędziły po prostu przed siebie, w zapadający mrok.

– Trzeba kupić komórkę na kartę – rzuciła Chang.

– I powiedzieć Westwoodowi, żeby też kupił. Bo pewnie tak się to zaczęło. Facet go pilnował, podsłuchiwał jego telefony. A my do niego przyszliśmy, dziś rano.

Wpadliśmy jak śliwka w kompot.

– Co dowodzi, że się nim przejmują. A to z kolei potwierdza, że napisał coś, co ma z tym związek.

– Na pewno nie chodzi im o rekiny i tego Francuza.

– Ani o myszokoczki i zmiany klimatyczne.

– Widzisz? Już to zawężiliśmy.

•••

Dojechawszy do torów szybkiej kolei metropolitalnej, zobaczyli miasto, wielkie, olbrzymie, wysokie i nieprzejezdane, o tej porze pogrążone w mroku, z milionem rozświetlonych okien na tle atramentowego wschodniego nieba. Hotel już na nich czekał, apartament dwa razy większy niż służbowe bungalowy, w których Reacher się wychowywał, i tysiąc razy bardziej luksusowy. Menu było grube jak książka telefoniczna i oprawione w skórę. Zamówili, co chcieli, zakładając, że zapłaci za to „LA Times”. Jedli powoli, zakładając, że mają przed sobą całą noc. Więc po co się spieszyć? Lepiej delektować się pewnością. Pławić się w obietnicy. Poprzez przystawki, danie główne, deser i kawę.

•••

Mimo różnicy czasu obudzili się wcześniej, częściowo dlatego, że dręczyło ich kilka spraw, ale głównie dlatego, że wieczorem zapomnieli zaciągnąć zasłony, a okno sypialni wychodziło na wschód; łapała poranne słońce. Reachera dręczyła jego teoria, którą musiał znowu zmodyfikować. Bo czwarty raz okazał się lepszy od trzeciego. Aż trudno uwierzyć. Ale taka była prawda. Gorzko-słodka. Ponieważ wynikało z tego, że kiedyś będzie przeciętnie. To musiało się gdzieś zatrzymać. Prędzej czy później. Nie mogło być coraz lepiej i lepiej, i tak w nieskończoność.

A może mogło.

Miej nadzieję na najlepsze, ale nastaw się na najgorsze.

Chang tymczasem musiała myśleć o Lincoln Park, bo powiedziała:

– Zastanawiam się, jak tam dojechać. To blisko. Nie wiem, czy warto wynajmować samochód. Możemy mieć kłopoty z parkowaniem A taksówkę trudno złapać, poza tym, jeśli będziemy potrzebowali kilku, wzrosną koszty. Dlatego myślę, że trzeba zamówić limuzynę. Na cały dzień, najlepiej czarną.

- Przez hotel – zgodził się z nią Reacher. – Dzięki temu znowu go wyprzedzimy.
- Na dziewiątą. Będziemy w bibliotece dziesięć minut po otwarciu.
- Świetnie.

Co ze względu na wczesną porę dawało im mnóstwo czasu na długie, niespieszne śniadanie i długi, niespieszny prysznic po kilku innych długich i niespiesznych rzeczach, w tym praktycznej weryfikacji pewnej teorii.

•••

Limuzyna okazała się klasycznym sedanem, zgodnie z ich życzeniem, czarnym, nawoskowanym i błyszczącym. A szofer – drobnym człowieczkiem w szarym garniturze. Oświadczył, że równie dobrze może kisić się w korku, jak i siedzieć na krawężniku. Żadna sprawa. Płacili mu tak czy siak. Dziesięć minut później byli już w Lincoln Park. W bibliotece panowała atmosfera typowa dla początku nowego dnia pracy, dyskretny rozgardiasz towarzyszący ostatnim przygotowaniom. Spytali o panią z informacji, z którą rozmawiali przez telefon po wciśnięciu dzwoneczka, i usłudźni pracownicy zaczęli przekazywać ich sobie jak w sztafecie, aż w końcu wskazano im biurko z tabliczką „Informacja”, stojące samotnie w bocznej wnęce. Równiutko ustawione krzesło, czarny ekran monitora. Wzorowy porządek. Pani od informacji się spóźniała.

Ale nie wszystko było stracone. Ponieważ na końcu wnęki zobaczyli drzwi, zza których dochodziły czyjeś głosy, a na drzwiach tabliczkę z napisem: „Pokój wolontariuszy”. To stamtąd McCann dzwonił szesnaście razy, dopóki Westwood nie stracił cierpliwości.

Reacher zapukał i głosy umilkły. Otworzył drzwi i ujrzał pokój, bardzo komunalny, pełen stonowanych kolorów i tapicerowanych krzeseł. Na krzesłach siedziało pięć osób, dwóch mężczyzn i trzy kobiety w różnym wieku i o różnym wyglądzie.

Telefon stał na niskim stoliku.

- Przepraszam, że przeszkadzam – zaczął Reacher. – Szukam pana McCanna.
- Nie ma go – odparł jeden z siedzących, starszy chudzina.

Powiedział to tak, jakby go znał, możliwe nawet, że dobrze, w przeciwnym razie nie odpowiedziałby z tak dużą pewnością siebie, nie ogłosiłby się samozwańczym ekspertem w tej sprawie. Miał starannie uczesane, gęste, siwe włosy, był w niewymagających prasowania garniturowych spodniach koloru

khaki i kraciastej koszuli i wyglądał na emeryta. Kogoś, kto pracował przedtem na kierowniczym stanowisku, z arkuszami kalkulacyjnymi i bazami danych, kto wciąż chciał się czuć potrzebny albo potrzebował czuć się chciany.

– Kiedy ostatni raz widział pan McCanna? – spytał go Reacher.

– Trzy, cztery tygodnie temu.

– To normalne?

– Ludzie przychodzą i odchodzą. Ostatecznie to wolontariusze. Pewnie ma wiele innych zainteresowań.

– Wie pan, gdzie mieszka?

– Przykro mi, ale to są pytania osobiste, a państwo nie raczyli się nawet przedstawić.

– Pan McCann miał kłopoty i wynajął niedawno firmę detektywistyczną. Jesteśmy prywatnymi detektywami. Przyjechaliśmy, żeby mu pomóc.

– W takim razie musicie znać jego adres.

– Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności? – poprosił cicho Reacher.

Czym trafił w dziesiątkę, czyli w ego starszego pana. Uznał go za odrobinę lepszego od pozostałych. Za takiego, którego odciąga się na bok i wprowadza w sprawę.

– Dacie nam chwilę? – rzucił staruszek. – Zresztą i tak pora już zaczynać. Macie sporo rzeczy do zrobienia.

Trzy kobiety i młodszy mężczyzna wyszli i Chang zamknęła drzwi. Ona i Reacher usiedli na ich krzesłach, tworzących trójkąt z tym, na którym siedział staruszek

– Niestety, detektyw prowadzący sprawę pana McCanna zaginął. W takich przypadkach zawsze upewniamy się najpierw, czy nasz klient jest bezpieczny. To standardowa procedura operacyjna. Szukamy go i potrzebujemy pomocy.

– Ale o co właściwie chodzi? – spytał starszy pan.

– Nie jesteśmy pewni. Może i w tym nam pan pomoże. Wiemy tylko, że pan McCann czymś się denerwował. Może o tym wspominał?

– To nieszczęśliwy człowiek.

– Wie pan dlaczego?

– Nie jesteśmy przyjaciółmi. Nie zwierzamy się sobie. Owszem, pracujemy razem. Rozmawiamy o bibliotece, często bardzo długo, i zgadzamy się co do większości spraw, ale nie przypominam sobie rozmowy na tematy osobiste. Odnoszę wrażenie, że ma kłopoty rodzinne. Tyle mogę powiedzieć. Jego żona od



dawna nie żyje, a dorosły syn stwarza problemy. Albo jest wyzwaniem, jak powiedziała by dzisiejsza młodzież.

– Czy wie pan, gdzie on mieszka?

– Nie, nigdy mi nie mówił.

– Czy to nie dziwne? – wtrącił Reacher. – Czy ludzie już o tym nie rozmawiają?

O sklepach, w których robią zakupy, o tym, jak daleko muszą iść na kawę?

– Jestem pewien, że McCann wstydzi się swojego domu – powiedział starszy człowiek.

•••

Zostawili go samego i poszli poszukać pani z informacją. Już przyszła, w samą porę. Chang odnowiła znajomość, pokazując jej starą wizytówkę FBI, i wszystko szło gładko, dopóki nie spytali o adres McCanna. Kobieta była nieugięta. Miała obsesję na punkcie ochrony danych osobowych. Powiedziała, że mogą spytać dyrektora. Ale Reacher doszedł do wniosku, że dyrektor też będzie miał obsesję, może nie na punkcie prywatności, ale na pewno na punkcie ewentualnych konsekwencji prawnych.

– Dobrze, niech pani nie podaje adresu. Ale proszę przynajmniej powiedzieć, czy McCann w ogóle go ma.

– Oczywiście, że tak – odparła kobieta.

– I pani go zna?

– Tak, ale nie mogę go podać.

– Czy to adres miejscowy?

– Nie mogę...

– Ale ja już go nie chcę. Jego adres przestał mnie interesować. Nie będę służył, nawet jeśli pani mi powie. Chcę tylko wiedzieć, czy to adres lokalny. To wszystko. Nic pani nie zdradzi. W każdej dzielnicy mieszkają tysiące ludzi.

– Tak, lokalny.

– Bardzo lokalny? Czy McCann przychodzi do pracy piechotą?

– To jest pytanie o adres.

– Nieprawda. Nie chcę jego adresu. Co więcej, nie pozwolę pani go podać. Zatkam uszy i zacznę śpiewać „la-la-la”. Chcę się tylko dowiedzieć, czy McCann przychodzi tu piechotą. To pytanie geograficzne. Albo fizjologiczne. Jak pani myśli, ile on może mieć lat?

– Ile... czego?

– Lat. Wiek to co innego niż adres. Można o tym swobodnie rozmawiać. Ma pani pełne prawo podzielić się wrażeniami.

– Sześćdziesiąt. Skończył w zeszłym roku.

– Jest w dobrej formie?

– Nie. Wygląda strasznie.

– To fatalnie... Strasznie, to znaczy jak?

– Jest za chudy. Nie dba o siebie. Zupełnie.

– Brakuje mu sił?

– Chyba tak. Cały czas jest przygaszony.

– W takim razie nie chciałoby mu się daleko chodzić, prawda? Maksymalnie trzy ulice. Czy to prawidłowy wniosek?

– Nie mogę powiedzieć.

– Trzy ulice to trzydzieści sześć kwartałów. Obszar większy niż Milwaukee. Nic mi to nie powie.

– No dobrze. Tak, przychodzi tu piechotą i tak, ma niedaleko. Ale to wszystko.

Nic więcej nie mogę...

– Jak ma na imię? Czy to może pani zdradzić?

– Peter. Peter McCann.

– A jego żona? Od dawna jest wdowcem?

– Myślę, że zmarła przed wielu laty.

– A jego syn? Jak mu na imię?

– Chyba Michael. Michael McCann.

– Peter ma z nim problemy?

– Nie rozmawialiśmy o tym.

– Ale musiała się pani domyślić.

– Zdradziłabym jego zaufanie.

– Jeśli nic pani nie powiedział, to nie. Wyraziłaby pani tylko swoje zdanie. Nic więcej. To duża różnica.

– Myślę, że syn pana McCanna sprawia kłopoty wychowawcze. Nie wiem dokładnie jakie. I pan McCann nie jest chyba z tego dumny. Tak uważam.

Reacher zrobił smutną minę i spróbował jeszcze raz, ale pani z informacji nie chciała podać adresu. Więc zostawili ją, okrężną drogą dotarli do księgozbioru podręcznego i zajrzeli do chicagowskiej książki telefonicznej. Peterów i Michaelów McCannów było za dużo, żeby dało się wyłowić tych właściwych. Wyszli na ulicę ubrojeni tylko we wrażenia i domysły, nic więcej.

Skręcili w lewo i zobaczyli małą drogerię rodzinną, dokładnie tam, gdzie powinna być, czyli tuż obok biblioteki. Miała wąski front, markizę i małe okno wystawowe pełne niezbyt kuszących artykułów, w tym bandaży elastycznych, ogrzewaczy i desek klozetowych dla osób mających trudności z poruszaniem się. Reacher uważał, że okno wystawowe drogerii to poważne wyzwanie marketingowe. Nie mógł wyobrazić sobie takiego, które skłoniłoby ludzi do masowego szturmowania sklepu. Ale jeden artykuł przykuł jego uwagę. Telefon komórkowy na kartę wiszący na kołku na tablicy. Robił wrażenie starego. Plastikowe opakowanie było zakurzone. A cena – według napisu pod spodem – bardzo niska.

Weszli do środka i znaleźli jeszcze sześć identycznych na tablicy z futerałami po dwa dolary za sztukę, z ładowarkami, również po dwa dolary za sztukę, samochodowymi adapterami i różnymi kablami, w większości białymi. Komórki były po trzydzieści dolarów bez jednego centa. Cena zawierała stuminutowy pakiet rozmów.

– Powinniśmy taką kupić – powiedział Reacher.

– Myślałam o czymś nowocześniejszym – zaprotestowała Chang.

– Po co ci nowocześniejsza? Wystarczy, jeśli będzie działała.

– One nie mają dostępu do internetu.

– Rozmawiasz z niewłaściwą osobą. Dla mnie to zaleta. Karma. Będziemy mieli taki sam telefon jak McCann. Może przyniesie nam szczęście.

– Jemu chyba nie przyniósł – zauważyła Chang.

Mimo to zdjęła komórkę z tablicy i zaniósła ją do kasy, przy której siedziała starsza pani. Miała zaczesane w kok stalowoszare włosy i była ubrana z dwudziestowieczną elegancją typową dla kogoś ze starego kraju. Pochylony nad receptami, na zapleczu siedział starszy pan. W tym samym wieku i ubrany w tym samym stylu. Białe fartuch, garnitur, krawat – miał takie same włosy, tylko bez koka. Mąż i żona. Nikogo więcej. Cięli koszty własne.

– Czy te telefony mają pocztę głosową? – spytał Reacher.

Starsza pani powtórzyła pytanie dużo głośniej, ale zwracając się nie do niego, tylko do starszego pana na zapleczu, a ten odparł:

– Nie.

– Nie – powtórzyła kobieta.

– Nasz znajomy kupił tu niedawno taką samą. Peter McCann. Zna go pani?

– Czy my znamy Petera McCanna? – spytała starsza pani.

– Nie! – odkrzyknął starszy pan.

– Nie – powtórzyła kobieta.

– A jego syna Michaela?

– Znamy jego syna Michaela?

– Nie.

– Nie.

– Dobrze. – Reacher wyjął z kieszeni dziesiątkę i piątkę i zapłacił. Resztę dostał we wprawnie odliczonych monetach.

Wyszli, przystanęli na chodniku i spróbowali otworzyć plastikowe opakowanie. Co nie było łatwe. W końcu Reacher zrezygnował z finezji i rozerwał je na pół. Schował ładowarkę do kieszeni i podał komórkę Chang. Ta obejrzała ją i znalazła odpowiedni przycisk. Ukazał się ekran powitalny, mały, trochę niewyraźny i czarno-biały. A na ekranie numer. Kierunkowy 501 i siedem cyfr. Oraz ikonka pokazująca, że bateria jest w połowie pełna. Pewnie naładowali ją w fabryce, tyle że nie do końca. Ikonka wyglądała jak lekko przekrzywione ogniwo do latarki, czarne na jednym końcu i białe na drugim.

– Zadzwoń do McCanna – powiedział Reacher. – Może tym razem odbierze. Może jego telefon rozpozna bratnią duszę.

Komórki nie można było przełączyć na głośnik. Nie takiej za trzynaście dolarów. Chang wybrała numer i stanęli policzek przy policzku, nasłuchując, ona lewym uchem, on prawym. Telefon McCanna dzwonił i dzwonił. Bez końca. Tak jak przedtem. Bez odzewu i poczty głosowej.

Jak nic nierozumiejący wierny spaniel.

Chang nacisnęła guzik kończący połączenie.

– Co teraz? Będziemy przeszukiwać obszar większy niż Milwaukee?

– Trochę dramatyzowałem, dla efektu. W Milwaukee jest więcej niż trzydzieści sześć kwartałów. To bardzo ładne miasto i... – Urwał.

– Co? – spytała Chang.

– Nie, nic. – Chciał powiedzieć: „...powinniśmy tam kiedyś pojechać”.

– Dobra, a więc mamy przeszukać obszar trochę mniejszy niż Milwaukee, tak?

– Wystarczy kilka przecznic. Jeśli pójdziemy w dobrą stronę. McCann wygląda strasznie, bo o siebie nie dba. Prawdopodobnie je niezdrowe rzeczy i źle sypia. Nie chodzi do lekarza, więc nie ma lekarstw. A już na pewno nie biega po sklepach, polując na najtańsze witaminy. Drogerie go nie interesują. Nie ma swojej ulubionej. Mogą dla niego nie istnieć. Dlatego nie miał powodu kupować komórki akurat w tej. Więc dlaczego kupił? Ponieważ mija ją dwa razy dziennie w drodze do biblioteki i z powrotem. Inaczej nawet by jej nie zauważył. Na wystawie była tylko jedna, cała zakurzona. Wniosek? Wraca do domu, idąc w tym kierunku. Wychodzi, skręca w lewo, mija drogerię i idzie prosto.

– Dokąd?

– To ładna okolica. Domy muszą tu sporo kosztować. Mimo to McCann wstydzi się tu mieszkać. Co to znaczy? Widzisz tu jakiś dom, którego byś się wstydziła?

– Nie jestem McCannem.

– Właśnie. To względna sprawa. Gość, z którym rozmawialiśmy w pokoju wolontariuszy, wyglądał na emerytowanego dyrektora i jestem pewien, że też mieszka gdzieś tutaj. W domu, bo z taką koszulą to niemożliwe, żeby mieszkał gdzie indziej. To praktycznie wymóg. Pewnie w ładnym szeregowcu z piaskowca przy cichej, zielonej ulicy. Więc jeśli to względne, McCann w takim nie mieszka. Ale nie mieszka również w apartamencie. Duże, samodzielne mieszkanie to dobra alternatywa dla domu. Pod pewnymi względami nawet lepsza. Nic, czego można by się wstydzić. Tak więc McCann mieszka w czymś mniej luksusowym niż dom, ale nie w dużym mieszkaniu.

– W domu, ale zaniedbanym – myślała na głos Chang. – W podzielonym na pokoje brzydkim szeregowcu na szarej ulicy. Pewnie nie gotuje już na maszynie elektrycznej, ale kto wie... Trudno się do tego przyznać, zwłaszcza komuś, kto ma dla siebie cały dom. Być może mieszka w takim samym. Zaprojektowanym przez tego samego architekta według tego samego planu. Ale w ciężkich czasach jego ulica podupadła. Co dla kogoś z nadmiarem testosteronu jest zbyt gorzkie.

– Tak to widzę – powiedział Reacher. – Mniej więcej. Może z wyjątkiem hormonów. Ale dwie, trzy przecznice stąd znajdziemy parę ulic pełnych chyłących się ku ruinie szeregowców. Każdy będzie miał kilkanaście dzwonek przy drzwiach, a obok dzwonek są zwykle karteczki, czasem z nazwiskiem, i przy odrobinie szczęścia znajdziemy wśród nich nazwisko McCanna.

Nazwisk było pełno, ponieważ pełno było dzwonek i karteczek, ponieważ zamiast paru ulic, znaleźli aż cztery i ponieważ wszystkie były długie. Dwie pierwsze odchodziły w lewo i prawo dwa skrzyżowania za biblioteką, trzecia i czwarta skrzyżowanie dalej. Były to enklawy niskiej zabudowy między zabudową wyższą, nie plomby, tylko domy, które stały tam od samego początku. Nie było w nich nic odstręczającego czy nieprzyjemnego. Ani śmieci w rynsztokach, ani chrzęszczących pod nogami strzykawek, ani graffiti, ani zgnilizny. Niczego, co rzucałoby się w oczy. Mimo to tajemniczy i surowy rynek nieruchomości je zdegradował. Może ze względu na brak zieleni, zawilgocone piwnice czy zbyt wielką liczbę sterzących za oknami klimatyzatorów. Może dlatego, że wiały tu zbyt silne wiatry. Może jakaś biedna wdowa bez środków do życia podzieliła kiedyś dom na mieszkania i w jej ślady poszła następna, i jeszcze następna. Wizerunek to subtelna rzecz.

Żeby ustalić granice obszaru poszukiwań, powoli objechali limuzyną cały kwartał. Potem kazali szoferowi zaparkować i wysiedli. Słońce wisiało nad jeziorem i światło było ostre od refleksów. Dopiero dziesiąta, a już gorąco.

Ona wzięła słoneczną stronę ulicy, on pełną porannych cieni. Chodzili od drzwi do drzwi, oddzielnie, niesynchronizowani, schodami na taras, schodami w dół, jak ci, którzy rozwożą jedzenie z restauracji, albo jak misjonarze szukający chętnych do nawrócenia. Reacher stwierdził, że większość dzwonek ma karteczki z nazwiskami, jedno z ręcznie napisanymi, inne z wystukanyymi na maszynie, jeszcze inne z drukowanymi albo wyciśniętymi na wąskiej czarnej taśmie i naklejonymi na nazwisku poprzedniego lokatora. Nazwiska polskie, afrykańskie, południowoamerykańskie, jak w ONZ, lecz nie było wśród nich McCanna.

Trzydzieści dwa kilometry na południe od Matczyngo Spoczynku ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach odebrał telefon.

- Przestała używać komórki - zameldował łącznik.
- Dlaczego?

– Trudno powiedzieć. Pewnie z ostrożności. Ona pracowała w FBI, a on jest byłym wojskowym. To nie Jaś i Małgosia.

– Innymi słowy Hackett nie może ich znaleźć.

– Nie, przeciwnie. Znalazł ich bardzo łatwo. Obserwował bibliotekę. Przyszli punktualnie. Siedzieli w środku pół godziny, a potem kupili komórkę w drogerii obok.

– Więc na co czeka?

– Na okazję.

– Oni nie mogą skontaktować się z McCannem.

– Spokojnie. To się nie zdarzy. Obiecuję.

•••

Prześli główną ulicę i skręcili w drugą odnogę. Znowu szeregowce, dom po domu, schodami w górę, schodami w dół. Większość miała dwa piętra, do czterech oddzielnych mieszkań na każdym. I znowu nazwiska. W jednym mieszkali: Javier, Hiroto, Giovanni, Baker, Friedrich, Ishiguro, Akwame, Engelman, Krupke, Dassler, Leonidas i Callaghan. Od A do L, alfabetycznie, wystarczyło tylko zmienić kolejność. Dwunastu pierwszych liter. Callaghan był przynajmniej Irlandczykiem. Ale nie był McCannem.

Domy nosiły ślady dawnej świetności. Tu i ówdzie widzieli resztki witraży i wiktoriańskich płytek. Z frontowych ścian odłaziła farba, a większość drzwi miała ornamentowane szyby, przez które można było dostrzec rozmyte, niewyraźne kształty, rowery albo wózki dzieciinne w korytarzu. Reacher szedł dalej, od drzwi do drzwi, sprawdzając dom po domu. Dochodził już prawie do końca ulicy, przeszukał już prawie połowę domów, lecz McCanna nie znalazł.

Ale znalazła go Chang.

Pomachała do niego z drugiej strony ulicy, z tarasu domu podobnego do innych, podniósł więc ręce, pytając niemo, co jest, a ona dyskretnie zacisnęła pięść, pokazując gest „Yes, yes, yes!”, jak golfistka po długim, udanym uderzeniu. Gdy do niej podszedł, wskazała przycisk dzwonka i zadbanym paznokciem przesunęła po wąskiej białej karteczce z ładnie wydrukowanym nazwiskiem. „Peter. J. McCann”.

Zajmował mieszkanie pod numerem trzydzieści dwa, najprawdopodobniej na drugim piętrze, możliwe, że od tyłu, gdyby liczyć od lewej zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Innymi słowy pod dachem, bez windy i ładnego widoku. W nieciekawym domu przy podrzędnej ulicy. Lokalizacja musiała go frustrować.

Drzwi były solidne i dobrze zamknięte.

Chang nacisnęła guzik. Nie słyszeli dzwonka. Byli pewnie za daleko. Domofon też nie zaskrzeczał. Nic. Tylko gorący, spokojny poranek i bezruch.

– Zadzwoń do niego – rzucił Reacher.

Komórka miała przycisk ponownego wybierania. Jak na trzynaście doliców, całkiem niezłe. Chang nacisnęła go i znowu stanęli policzek w policzek.

Telefon dzwonił i dzwonił.

Chang rozłączyła się.

– Co teraz?

– Na pizzę trochę za wcześnie – odparł Reacher. – Będziemy kurierami z UPS.

Jeden po drugim, nacisnął dziewięć guzików i gdy w głośniku rozległ się kobiecy głos, rzucił:

– Kurier.

Krótką pauza, a potem zamek zabzyczał i cicho kliknęła.

Przecięli gorący przedsiónek pełen rowerów, wózków, ulotek reklamujących tajskie jedzenie i usługi ślusarskie i weszli do holu z ozdobnymi gzymsami i tapetami na ścianach, noszącego ślady życia rodzinnego sprzed stu lat. Ale tapety były wyblakłe i miejscami zdarte, a gzymsy bezlitośnie poprzecinane prymitywnymi przepierzeniami. Eleganckie drzwi bestialsko rozpruto, by zainstalować w nich judasze i zamki z pięcioma blokadami, a mosiężne numery poprzykręcano nierówno i byle jak. Mieszkanie pierwsze po lewej miało numer jedenaście, drugie, w głębi korytarza – dwanaście.

Schody były ozdobne, pokryte wykładziną i strome. Gdy nimi szli, na półpiętrach automatycznie zapalało się światło. Dotarli na miejsce zdyszani. Na



górze panowała duchota. Drzwi do mieszkania trzydzieści dwa zobaczyli od razu. W tylnym rogu po lewej stronie.

Reacher zapukał.

Cisza.

Ale to, jak drzwi zagrzechotały w futrynie, brzmiało trochę dziwnie.

Przekręcił gałkę.

Były otwarte.

•••

Wchodziło się od razu do saloniku i było to w sumie całe mieszkanie, na wprost przed nimi, ciemne i na pierwszy rzut oka bardzo małe. Nieposłane podwójne łóżko pod ścianą, naprzeciwko ślepa wnęka kuchenna i ślepa łazienka, upał i kwaśny zaduch. Światło wpadało jedynie przez czarne od brudu okno wykuszowe z do połowy rozsuniętymi zasłonami. Do tego nagie ściany, kiedyś chyba białe, ale już dawno poszarzały i miały teraz kolor popiołu. Stał tam również stolik barowy, nie szerszy niż beczka na ropę, pojedynczy stołek, samotny fotel i otomana podobna do fotela tylko dlatego, że była jak on na błysk wytarta. I to wszystko, jeśli chodzi o różnorodność w kwestii umeblowania. Całą resztę zajmowały stoły.

W sumie pięć, każdy wielkości drzwi, metr osiemdziesiąt długości, dziewięćdziesiąt centymetrów szerokości, wszystkie drewniane i pobejcowane na czarno. Zdominowały całe mieszkanie. Stały dokładnie wzdłuż niewidzialnej linii biegnącej przez środek pokoju, pierwszy węższym bokiem do ściany, drugi prostopadle do niego, tworząc literę T, trzeci znowu węższym bokiem do ściany, tak jak pierwszy, czwarty prostopadle do niego i wreszcie piąty, równoległy do pierwszego. Całość wyglądała jak sztywny szkielet podtrzymujący ponure wnętrze, jak kręgosłup z krótkimi, pękatymi żebrami.

A na stołach stały komputery, siedem stacjonarnych i osiem laptopów. Komputery i tajemnicze czarne skrzynki, zewnętrzne dyski twarde, modemy, koncentratory USB, zasilacze i wentylatory. Ale w oczy rzucały się przede wszystkim kable, grube pęki kabli, wielkie skłębione zwoje, jak gniazdo oszalałych szczurów. A tam, gdzie nie było kabli czy skrzynek, były książki, niebezpiecznie przekrzywione sterty książek o technicznych aspektach kodowania, protokołach HTTP i przydzielaniu domen internetowych.

Chang wyjrzała na klatkę schodową i zamknęła drzwi.

– Zadzwoń – rzucił Reacher.

Nacisnęła guzik ponownego wybierania, usłyszała ciche mruczenie sygnału, a potem włączyła się sieć komórkowa i w pokoju rozdzwonił się telefon. Głośno i natarczywie. Dzwonił i bzycał, wygrywając głupią melodyjkę i mocno wibrując – plastik na drewnie. Mieli jego komórkę tuż pod nosem, na stole, pod płataniną kabli. Ze świecącym na niebiesko ekranem, była podłączona do przewodu ładującego, a ten do komputera.

Chang schowała komórkę.

– Dlaczego nie ma jej przy sobie? Komórkę nosi się w kieszeni.

– Dla niego to chyba nie komórka – odparł Reacher. – Nie w normalnym tego słowa znaczeniu. To jeden ze sposobów nawiązywania kontaktu z Westwoodem. Zrobiła swoje. Nie jego wina, że bez rezultatu. Tak jak mówiłaś, zrezygnował i wrzucił ją do szuflady. Tylko że szuflada to dla niego stół.

– Jest podłączona.

– Pewnie z nawyku.

– Więc gdzie on jest?

– Nie wiem.

– Drzwi Keevera też były otwarte.

– Pamiętam.

– Rozejrzyjmy się szybko i zmiatajmy.

– Jak szybko?

– Dwie minuty.

Dwie minuty to niewiele, ale wystarczyło, bo nie było tam nic do oglądania. W malutkiej kuchni stała malutka szafka, w której znaleźli tanie płatki śniadaniowe, i malutka lodówka, w której psuła się butelka taniego mleka i leżały dwa batoniki. W szafce łazienkowej były środki przeciwbólowe sprzedawane bez recepty i środki na przeziębienie, również bez recepty, a w komodzie znoszona odzież, głównie ze sztucznych włókien i tylko czarna. Łóżko nie wyróżniało się niczym szczególnym. Komputery też nie. Na komendę rozświetlały się wszystkie ekrany, ale każdy następny krok wymagał hasła.

Ani zdjęć, ani rzeczy osobistych, ani czegoś do poczytania dla rozrywki, ani listów.

Chang uchyliła drzwi i wyjrzała na klatkę.

– Chodźmy.

Otworzyła drzwi szerzej.

Na korytarzu ktoś stał.

Świadekstwo naocznego świadka jest mało wiarygodne ze względu na uwarunkowania, tak zwany błąd poznawczy i podatność na sugestię. Jest mało wiarygodne dlatego, że ludzie widzą to, co chcą zobaczyć. Z Reacherem było podobnie. Był człowiekiem. Przednia część jego mózgu zmarnowała cenny ułamek sekundy, analizując obraz mężczyzny na korytarzu i próbując dopasować go do dającej się przyjąć wersji hipotetycznego McCanna. Co było niełatwe, ponieważ McCann miał mieć sześćdziesiąt lat i być wymizerowanym chudzielcem, podczas gdy tamten był dwadzieścia lat młodszy i co najmniej dwa razy lepiej zbudowany. Mimo to Reacher instynktownie próbował, bo kto to mógł być, jeśli nie McCann? Kto inny mógł stać tuż za progiem jego drzwi, w jego domu i jego mieście?

Pół sekundy później inicjatywę przejęła tylna część mózgu i obraz się zmienił, wyostrzył, ukazując nie McCanna ani nawet nie kogoś podobnego, tylko znajomą twarz, która dwa razy mignęła mu przed oczami – najpierw w kawiarni, potem w limuzynie – i którą właśnie widział po raz trzeci, tu i teraz, w mrocznym korytarzu na drugim piętrze domu bez windy.

Około czterdziestki, z trudem dotarł niedawno do połowy życia, swoistej fazy przejściowej, kiedy człowiek nie jest już głupim szczeniakiem, nie będąc również wiekowym starcem, i kiedy może korzystać w pełni z doświadczenia, zdobytej wiedzy, pewności siebie i umiejętności. Miał jak nic metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, ze sto kilo wagi, krótko ostrzyżone, starannie uczesane jasne włosy, grubo ciosaną rumianą twarz, małe oczy i badawczą minę. Był w zwykłych dżinsach z paskiem, zupełnie niemodnych, w białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i niebieskiej satynowej kurtce baseballowej. Mógł być właścicielem zakładu elektrycznego, który wpadł osobiście, aby wycenić koszt trudnego zlecenia.

Tylko że trzymał w ręku pistolet. Starego rugera P-85. Dziewiątkę. Wyciszoną. Z dwudziestoparocentymetrowym tłumikiem. Trzymał ją przy nodze. Lufą do dołu. Z uchwytem w połowie uda i wylotem tłumika w połowie łydki. Pistolet był długi i smukły.

Jeden z obwodów w tylnej części mózgu Reachera zaiskrzył, komentując sytuację na żywo: facet przyleciał z Los Angeles. Nie miał czasu na przygotowania, więc nie mógł przemyścić broni na pokład, dlatego musi mieć wsparcie operacyjne w Chicago, w dodatku wysokiego szczebla, bo tłumiki są w Illinois nielegalne.

Przednia część mózgu rozkazała: podejdź bliżej.

Reacher zrobił krok do przodu.

Pistolet powędrował do góry i mężczyzna rozkazał:

– Stój.

Reacher zrobił następny krok, był już przy drzwiach.

– Bo wystrzelę – ostrzegł go tamten.

Nie wystrzelisz, bo chcesz mnie zabić w pokoju, a nie w drzwiach, bo jestem za duży i za ciężki, żeby mnie potem przenieść, bo w realnym świecie tłumiki nie działają jak na filmach, z cichym, grzecznym „pst”, tylko robią od cholery hałasu, niewiele mniej niż zwykły pistolet, tak że jeśli wystrzelisz tutaj, w korytarzu, na klatce schodowej, huk będzie słyszalny w całym domu.

Dlatego nie wystrzelisz.

Jeszcze nie.

– Ani kroku dalej – powiedział mężczyzna.

Na co tylna część mózgu Reachera poradziła: jeśli ma wsparcie operacyjne, to go poszukaj. Mięśnie są tu tańsze niż tłumiki.

Dlatego zaryzykował i podszedł aż do drzwi. Żeby stanąć pod lepszym kątem. Ale nie, w mroku za ramieniem tamtego niczego nie wypatrzył i nie usłyszał. Ani sylwetki człowieka, ani żadnego dźwięku, ani ruchu towarzyszącego zmianie postawy, ani najcichszego oddechu.

Facet był sam.

Reacher znieruchomiał.

– Cofnij się – rzucił tamten.

– Czego pan chce? – spytała z pokoju Chang.

Nie powiesz, że chcesz nas zabić – to nic osobistego, ot, zwykły interes – bo chwytając się ostatniej szansy, moglibyśmy zacząć rozpaczliwie się bronić.

– Porozmawiać – odparł mężczyzna.

– O czym?

– O tym, co się dzieje w Matczynym Spoczynku. Mogę wam pomóc.

Jasne, a ja mam do sprzedania most Brookliński. Nie tak łatwo, przyjacielu.

Reacher ani drgnął. Stał w drzwiach, lekko odwrócony bokiem do napastnika, z czubkiem buta na spoinie między podłogą w korytarzu i podłogą w mieszkaniu, mniej więcej metr od przeciwnika, w połowie drogi do balustrady i dwa metry przed stojącą za nim Chang. Która spytała:

– Jeśli chce nam pan pomóc, to po co panu pistolet?

Mężczyzna nie odpowiedział.

Reacher nie podchodził do egzaminu z jazdy defensywnej, ale zdał wszystkie pozostałe. Łącznie z egzaminem z walki wręcz. Co wydawało się umiejętnością pożyteczną, lecz taką nie było. Cały sens walki zbrojnej polega na wejściu w starcie z użyciem broni ostrej przy minimalnym ryzyku dla siebie. Innymi słowy, na ostrzelaniu przeciwnika z karabinu z jak największej odległości, a w przypadku niepowodzenia na zaatakowaniu go krótką bronią palną. Kursy walki wręcz były jedynie mało popularnym dodatkiem. Unosił się nad nimi nieprzyjemny zapaszek wstydu. Walka wręcz sugerowała, że etap użycia broni ostrej zakończył się porażką. Co gorsza, jajogłowi z gwiazdkami nie bardzo wiedzieli, co napisać w podręczniku. Nie dysponowali zweryfikowanymi teoriami. Wschodnie sztuki

walki nie sprawdzały się w realnym świecie. Bez mat, sędziogo i tych ich piżam dżudo i karate były bezużyteczne. Dlatego uważano, że walka wręcz to zwykła bijatyka. Coś jak bójka w barze. Wszystkie chwytty dozwolone.

– Niech pan odłoży broń i porozmawiamy – rzuciła Chang.

Nie odłoży, bo nie chce stracić przewagi. Musiałby stanąć do walki jeden na jednego z wielkoludem, co nie było mu w smak, zwłaszcza że wielkolud przesywał go szklistym wzrokiem psychopaty.

Z nadzieją, że to podziła.

Pistolet ani drgnął.

Reacher pochylił się. Lekko, leciutko.

Chce mnie zabić w pokoju, nie w drzwiach. Jestem za duży, trudno będzie mnie przenieść.

– Cofnij się – rozkazał tamten.

Reacher nie zareagował.

Jestem za duży, żeby mnie przenieść.

I nagle wszystko się zmieniło. Intruz z pistoletem stracił przewagę. Przestał panować nad sytuacją. Zaczął się wycofywać. Centymetr po centymetrze. Pod wpływem nieustępliwej presji. Ale wycofywać się nie w sensie fizycznym. Bo wylot tłumika ani drgnął. Nie, bandzior poczuł się sponiewierany, ponieważ, nie wiedzieć czemu, w ułamku sekundy odwróciło się od niego szczęście, ponieważ smażył się teraz w promieniach śmierci bijących z oczu psychopaty.

– Niech pan się nie martwi – powiedział Reacher.

Bójka. Wszystko dzieje się w głowie. Pomyśl, i wygrasz.

– Zobaczmy, może pomożemy panu się z tego wyplątać.

Jego standardową i sprawdzoną procedurą w takich przypadkach, to znaczy w starciu osoby praworęcznej z osobą praworęczną uzbrojoną w pistolet, był lekki wykrok do przodu, z obrotem w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara, i gwałtowny skręt ciała w prawo, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, agresywny i przesadnie wyolbrzymiony, jak w tańcu, połączony z jednoczesnym ruchem prawej ręki w prawo i w dół, co pociągało za sobą ruch prawego łokcia, prawego przedramienia i prawej dłoni, która uderzywszy mocno w wewnętrzną stronę nadgarstka, zaczynała na niego napierać, coraz mocniej i mocniej, wytrącając pistolet z orbity, zaciskając się na nim jak szpony, podczas gdy lewa, opadłszy jak w tańcu na uzbrojoną rękę przeciwnika, próbowała odebrać mu

pistolet, lecz nie, nie szarpała się z nim, wyginała jedynie dłoń, coraz mocniej i mocniej, aż w końcu pękał nadgarstek, aż pistolet spadał na ziemię.

Ale dzięki tłumikowi można zaoszczędzić sobie sporo wysiłku. Jego pamięć mięśniowa myśli, że pistolet jest dwa razy krótszy. Co ułatwia sprawę. Idź na skróty.

I Reacher poszedł, robiąc skręt w prawo, gwałtowny, lecz krótki, i szybkim hakiem uderzając nie w nadgarstek, tylko w tłumik, odpychając go łukiem na bezpieczną odległość. Potem zacisnął na nim palce i mocno pociągnął.

Standardowa procedura była standardową procedurą, ponieważ stosowano ją często i niejako domyślnie i ponieważ skutkowała w dziewięćdziesięciu przypadkach na sto. Ale Reacherowi trafił się akurat ten setny. Zbir wiedział, co robić. Gdyby uparcie ścisnął broń, straciłby równowagę, ponieważ Reacher zacząłby szarpać nim to w tę, to w tamtą stronę. Dlatego rozluźnił palce. Szybko. Natychmiast. Zrezygnował z walki, poddał mecz walkowerem. Po prostu upuścił pistolet i odwrócił się. Mądra zagrywka. Jedna na sto.

Mądra, ponieważ co prawda stracił niebezpieczną broń, ale Reacher chwycił ją nie za ten koniec, co trzeba. Prawą ręką, zewnętrzną stroną dłoni do góry, w trakcie obrotu. Zanim więc by się zatrzymał i przełożył pistolet z prawej ręki do lewej i znowu do prawej, minęłoby trochę czasu. Potem musiałyby odwrócić go lufą do przodu, co też pochłonęłoby cenny czas, może nawet więcej niż przekładka, ze względu na długą lufę i jeszcze dłuższy tłumik. Nie byłoby sensu celować i strzelać. Raczej już dzielić rugerem gościa w łeb. Co zajęłoby... ile? Półtorej sekundy? Dwie?

A w ciągu tych dwóch sekund każdy bystry przeciwnik przygrzałby ci w skroń. Zasypałby cię gradem ciosów. Jeśli jest dobry w walce z gruszką, zdążyłby zadać co najmniej cztery. Lepiej odpuść sobie pistolet, przynajmniej na razie. Zawsze możesz podnieść go później. Lepiej przygotuj się na to, co pewne.

Reacher rozluźnił palce, ruger zaklekotał na podłodze, a wtedy on odwinął się w lewo, przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, podciągając łokieć i pochylając głowę, tak że pierwszy cios tamtego ześlizgnął się po wierzchu czaszki, a następny, lewy hak, trafił go tuż nad uchem – potężne uderzenie, jak żelazną sztabą. Ułamek sekundy później do akcji wkroczył rozpędzony łokieć, przelatując przez powietrzną strefę obronną bandziora i blokując jego prawy prosty, co pozwoliło Reacherowi wykorzystać siłę rozpędu i wyprowadzić zgrabny lewy hak, ale ponieważ cios powyżej ucha trochę go spowolnił i pozbawił wyczucia, hak okazał

się mało skuteczny w tym sensie, że Reacher nie przerzucił tamtego przez balustradę, tylko nim o nią huknął.

W tym momencie przeciwnik wykazał się jeszcze większym talentem. Reacher stał pochylony, chcąc dokończyć sprawę, czekając, aż tamten odbije się od balustrady jak bezwładna szmaciana lalka, tymczasem on skoczył w bok, obracając się jednocześnie o dziewięćdziesiąt stopni. Wyczyn gimnastyczny godny mistrza. I jak na kogoś tak rosłego wprost niezwykły. Uratował mu życie. I dał małą premię. Bo nie dość, że zbior uniknął morderczego ciosu, to jeszcze Reacher wspierał się teraz na niewłaściwej nodze, co tamten oczywiście wykorzystał – zrobił krok do przodu i wyprowadził krótki lewy prosty w nerki. Jeden z tych, które zawsze zostawiają siniaka.

Potem się cofnął, jak bokser do neutralnego narożnika. Stał tam bez ruchu, czujny i pewny siebie. Ruger leżał na wykładzinie w połowie drogi między ich stopami. Lufą w bok, nie celując ani w jednego, ani w drugiego. Jak kciuk cesarza, który nie wie, czy skierować go w dół czy w górę.

Nie, niezupełnie w połowie drogi.

Chyba jednak bliżej Reachera.

Ile potrzebowałby czasu, żeby go podnieść?

Trudno powiedzieć, ale tamten na pewno zdążyłby przyłożyć mu kopa w łeb.

Albo strzelić w serce. Reacher przyjrzał się jego ubraniu. Kurtka była cienka i nie dostrzegł pod nią żadnych wybrzuszeń. Cienka, nieobciążona i rozpięta, niczego nie ukrywała. Kieszenie dżinsów były niewinnie wypchane, pewnie powietrzem i chusteczkami higienicznymi. Dlatego zapasową broń musiał mieć za paskiem, w małej, twardej kaburze na plecach. Miejscowe wsparcie operacyjne w praktyce. Z kabury noszonej w tym miejscu nie dobywa się jej najszybciej na świecie, ale na pewno zrobiłby to szybciej niż rosły facet, który musi schylić się po niewielki pistolet, w dodatku źle wyważony z powodu dodatkowego dwudziestoparocentymetrowego kawałka metalu.

Stąd pewność siebie. Której by nie miał, gdyby szykował się do walki na pięści. Reacher nigdy dotąd kogoś takiego nie spotkał. Gość był naprawdę dobry. Pewnie martwiła go tylko jedna drobnostka. A mianowicie to, że Reacher wcale nie musiał podnosić rugera z podłogi. Wystarczyło, żeby przesunął go nogą do tyłu, między swoimi nogami prosto pod stopy Chang.

Co radykalnie zmieniałoby zasady gry.



Tyle że byłyby to trudny manewr. Powolny. Niezdarny, nienaturalny ruch. Poza tym Chang potrzebowałaby czasu, żeby go podnieść, odbezpieczyć, wycelować i pociągnąć za spust.

Zagrywka dość powolna, ale skuteczna.

Niemal na pewno.

Stąd zmartwienie, lecz w sumie niewielkie.

Pora namieszać mu we łbie.

Reacher zrobił krok do tyłu. Jeden długi krok. Zmienił się układ. Teraz ruger leżał bliżej przeciwnika. Który zrobił krok do przodu. Żeby znaleźć się jeszcze bliżej. Co było nieuniknione. Ludzka natura w praktyce. Trudno takiego odepchnąć, łatwo przyciągnąć. Gdyby Reacher próbował wyrzucić presję, gość zaparłby się i nie ustąpił, ale nie okazał podobnej determinacji w sytuacji odwrotnej. Od razu ruszył do przodu. Pierwszy błąd. Słabość. Nic nie rozumiał. Myślał, że nie ma różnicy, gdzie stanie. Co więcej, uważał pewnie, że nowa pozycja jest lepsza. Ponieważ pistolet był teraz tuż-tuż. Mógł po niego sięgnąć, kiedy tylko chciał. Sięgnie i będzie miał dwa, a Reacher żadnego.

Lepsza.

Ale niezupełnie.

Ze względu na pokusę. Ze względu na niecierpliwość. Mógł teraz łatwo sięgnąć po dwa pistolety, ale żadnego nie miał w ręku. Tak blisko i tak daleko. Rozważał dostępne możliwości. Wybiegał myślą naprzód, czuł w ręku uspokajający ciężar broni, zaciskał palce na żebrowanym uchwycie, na ciepłym, twardym spuście. Jestem niezwykły. Wiktorja. Sprawa załatwiona. Tak blisko. Wystarczyło tylko się schylić, szybkim, płynnym ruchem, albo odrzucić do tyłu połąkę kurtki, sięgnąć za plecy, wyjąć pistolet z kabury, wycelować i wystrzelić.

Nic więcej.

Tak blisko. Pokusa. Niecierpliwość. Ale obydwa manewry wymagały czasu. Mniej więcej sekundy. Może dwóch. I obydwa musiały być poprzedzone wyraźną zapowiedzią. Jednoznaczną deklaracją. Reacher wiedziałby, co zaraz będzie. I stał ledwie dwa kroki dalej. Kawał chłopa, lecz chłopa zwinnego. A tamten? Jaką zwinnością musiałyby się wykazać? Gdyby się schylił, momentalnie oberwałby kopa w twarz. Bankowo. Reacher zrobiłby krok do przodu, i łup! Prawą nogą, wystarczyłby lekki zamach. Jak przy wykopie piłki. Cel byłby dokładnie na wprost, na odpowiedniej wysokości, w odpowiednim miejscu i czasie. Jak piłka

golfowa na podstawce. Która aż się o to prosi. Tak jak prosiłaby się twarz tamtego.

Natomiast wariant z kaburą oznaczałby kopa w jaja. Równie nieuchronnego. Gość musiałby walczyć z jedną ręką za plecami, i to dosłownie. Miałby nienaturalnie zgięty łokieć. Byłby zupełnie odsłonięty.

Na podporządku dwie sztuki broni i ani jednej w rękę.

Pokusa.

Niecierpliwość.

Rozkojarzenie.

Reacher zrobił pół kroku do przodu. Ścieśniając geometrię. Zmniejszając odległość. Wymuszając większe skupienie uwagi. Zwiększając presję. Twarzą w twarz, półtora metra od siebie. Mężczyzna zachował pozorny spokój, ale Reacher potrafił sięgnąć wzrokiem głębiej. Przeciwnik drżał. Co było fizyczną manifestacją dręczącego go dylematu. Schylić się czy sięgnąć za siebie? Jedno albo drugie. Albo jedno i drugie. Pójść na żywioł. Wykonywał mikroskopijny ruch do przodu i zatrzymywał się. Do przodu i do tyłu, z tej strony i z tamtej. Drżączka i trzęsionka. Poruszał oczami. W górę i w dół, w górę i w dół. Tak blisko i tak daleko.

– Jak pan się nazywa? – spytał Reacher.

– Bo co? – spytał tamten.

– Bo skoro już zawarliśmy znajomość, moglibyśmy się sobie przedstawić.

– Po co?

– To byłby sprytny ruch. Może zacząłbym myśleć o panu jak o człowieku. Nie tylko jak o przeciwniku. Może słabiej bym uderzał. W tych czasach to ogólnie stosowana mądrość. Ofiara chce się uczłowieczyć.

Wciąż drżączka i trzęsionka. Oczy w górę, oczy w dół.

Tak blisko i tak daleko.

– Nie jestem ofiarą.

– Jeszcze nie.

– To nie musi się źle skończyć – powiedziała Chang. – Niech pan się cofnie i podniesie ręce. Wtedy porozmawiamy. Da się z tego wyjść. Nic pan nam nie zrobił.

Mężczyzna milczał. Tylko wciąż pracował oczami. Reacher widział, że chce podnieść rękę. Bo dlaczego nie? Ten pistolet wybrał. Przypuszczalnie z jakiegoś powodu. No i ta broń miała tłumik. Z operacyjnego punktu widzenia była lepsza.

Z sentymentalnego też. Czego napastnik pewnie jeszcze nie wiedział. Ale powoli to do niego docierało. Gdyby podniósł rugera, cofnąłby się do punktu wyjścia. Mógłby zacząć wszystko od początku. Jakby nic się nie stało. Ruger by go odbudował.

– No więc? – drążył Reacher. – Jak pan się nazywa?

– Keith Hackett.

– A ja Jack Reacher. Miło mi pana poznać.

Hackett milczał.

– Ale przecież pan już nas zna.

Cisza.

– Więc taka jest cena – ciągnął Reacher. – Tak jak wspomniała moja koleżanka, to nie musi się źle skończyć. Przynajmniej dla pana. Musi pan tylko powiedzieć, kto podał panu nasze nazwiska. I zlecił to zadanie. Do kogo dzwoni pan co wieczór i komu składa pan raport z postępów. Powie pan, i pozwolimy panu odejść.

Żadnej reakcji.

– To prosta sprawa, panie Hackett – mówił Reacher. – Powie pan, i pan odejdzie. Nie powie pan, i pan nie odejdzie. Może po prostu nie będzie pan mógł. Trudno to przewidzieć. Rany bywają ciężkie.

Milczenie.

– Niech pan pomyśli o tych starych znakach, które stawiano kiedyś na przejściach dla pieszych. „Idź” albo „Stój”. Wtedy ostrzegano ludzi słowami. I właśnie o to tu chodzi.

Gość odczekał krótką chwilę – pierwszy raz bez dygotki – i rzucił się po rugera. Runął na podłogę, wyprzedzając siłę grawitacji, z oczami na zdobyczy, z wyciągniętymi rękami, którymi już, już jej dotykał, i z odwróconą głową, ponieważ wiedział, co go czeka, i miał nadzieję tego uniknąć.

Ale nie uniknął. Miał lekko zadartą i odwróconą głowę, więc but Reachera trafił go pod podbródek, jak potworny hak z dołu mistrza wagi ciężkiej z podkową w rękawicy. Runął na plecy jak kłoda, ale, co zasługiwało na pochwałę, dobrze wiedział, że jeśli zostanie w tej pozycji, będzie po nim, więc przetoczył się na bok, na czworakach odskoczył trochę dalej, po czym wstał, otrząsając się, poruszając ramionami i szybko mrugając. Nie wyglądał za dobrze. Miał złamaną szczękę. I brakowało mu kilku zębów. Odniósł poważne obrażenia. Jednak sędzia ringowy uznałby, że tak naprawdę nie uniemożliwiają one dalszej walki,

zwłaszcza w tych okolicznościach. Chyba że facet zamierzał świętować zaraz zwycięstwo.

Reacher obserwował jego prawą rękę. Mogła wykonać tylko trzy ruchy. Najmądrzej by było, gdyby powędrowała do góry w geście kapitulacji. Najgłupiej, gdyby znowu zacisnęła się w pięść. Dlatego drugi najgłupszy ruch byłby taki sam jak drugi najmądrzejszy, czyli sięgnięcie za plecy, do kabury.

Gość postawił na kaburę.

I przeliczył się.

Żeby sięgnąć za plecy, musiał cofnąć rękę, odchylić łokieć i rozpląszycie dłoń. W niezdarnym geście współczucia jego lewa ręka próbowała pomóc mu zachować równowagę, otworzył ramiona, stał się płaski i dwuwymiarowy, jakby ktoś go tam przykleił. Jak tarczę strzelniczą. Tarczę strzelniczą na ścianie w sali ćwiczeń na kursie walki wręcz. Jak go zwał, tak zwał. Reacher zrobił krótki krok do przodu i zaprawił go z byka, prawie z metra. Głowa przecięła mrok szerokim łukiem, z wielką siłą i przyspieszeniem, potem było potężne uderzenie i nagle Hackett zniknął, a Reacher musiał napiąć wszystkie mięśnie, żeby z rozpędu nie upaść i nie wyrznąć czołem w podłogę.

Za drzwiami po drugiej stronie schodów wychynęła głowa siwowłosej kobiety. Automatycznie zapaliło się światło.

– Kim państwo są? – spytała.

Była nobliwą starszą panią, chudą i nieco już przywiedłą, lecz wciąż żwawą i bystrą. Tak jak wielu z jej pokolenia, robiła wrażenie uprzejmej i łatwowiernej. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Pewnie zachowuje się tak z czystej grzeczności, pomyślał Reacher.

– Instalujemy nowy komputer u pana McCanna – powiedział. – Ale gorąco tam. Kolega zemdlął.

– Czy mam wezwać karetkę?

– Nie, nie, wniesiemy go do środka i damy mu szklankę wody.

– To żaden kłopot.

– Chodzi o ubezpieczenie, szanowna pani. On pracuje na własną rękę. A takim jest ciężko. Ma koszmarnie wysoki udział własny. Dlatego wolałby nie dostać rachunku ze szpitala.

– Czy mogę pomóc w czymś jeszcze?

– Nie, proszę pani.

Reacher chwycił Hacketta pod pachy i zaczął go wlec do mieszkania. Chang szła za nim, ukradkiem przesuwając nogą rugera. Starsza pani, która już zamykała drzwi, rozmyśliła się, uchyliła je na dyskretnie trzydzieści centymetrów, tak jak przedtem, i powiedziała:

– Myślałam, że Peter zawsze instaluje komputery sam.

Potem zamknęła drzwi i na korytarzu znowu zapadła cisza.

Chang podniosła pistolet. Reacher zawlókł Hacketta do środka. Chang zamknęła drzwi. Hackett odniósł poważne urazy szczęki, co do tego nie było wątpliwości. Miał zmiażdżone kości twarzy – jakiś lekarz zarobi na jego przypadku kupę szmalu, jeżdżąc po kraju z wykładami – ale oddychał w miarę normalnie. Przynajmniej na razie. Potem pewnie spuchnie i zatka mu się coś w środku. A wtedy na dwoje babka wróżyła.

– Kiedy się ocknie? – spytała Chang.

– Nie mam pojęcia. Za dwie godziny albo nigdy.

– Bardzo mocno go uderzyłeś.

– On zaczął. Dwa razy uderzył mnie w głowę i raz w bok.

– Dobrze się czujesz?

Czuł się nieźle. Ale nie wspaniale. Bardzo dokuczała mu nerka. Niemal każdy ruch sprawiał ból. Najgorzej było z głową. Nad uchem czuł ostre pulsowanie. To był potężny cios. Być może najsilniejszy, jaki kiedykolwiek zainkasował.

Tak, zważywszy okoliczności, niepotrzebnie zaprawił go z byka.

– Nie możemy tu czekać dwie godziny – powiedziała Chang. – Bóg wie, co może się zdarzyć.

– Musimy znaleźć McCanna, a to miejsce dobre jak każde inne.

– Przestałeś myśleć. Boli cię głowa?

– Jeszcze nie. Ale będzie. Bo?

– Jak nas tu znaleźli?

– Pewnie za nami szedł. Kiedy się dobrze zastanowić, było oczywiste, że zaczniemy od biblioteki.

– Ale potem wynajęliśmy samochód. I jeździliśmy zwariowaną trasą. Po całej dzielnicy, nie wiedząc, gdzie jesteśmy. Nikt za nami nie jechał. Nikt nas nie śledził. Więc jakim cudem?

– No właśnie, jakim?

– Muszą wiedzieć o McCannie więcej niż my. Nie mam pojęcia skąd. Mógł robić z nimi interesy. Znają jego adres, co najmniej. Może dlatego drzwi były otwarte. Jak u Keevera. Może Hackett był tu rano, przed nami. – W jej głosie zabrzmiała dziwna nuta.

Reacher wziął rugera, sprawdził komorę i wyjął magazynek. Zamrugały do niego mosiężne naboje. Ale nie wszystkie.

Jednego brakowało.

Powąchał komorę. Powąchał wylot lufy.

Z pistoletu niedawno strzelano.

– Nie chcą, żebyśmy skontaktowali się z McCannem – powiedziała Chang. – Mogli nas powstrzymać na dwa sposoby. Wykorzystali oba...

Reacher sprawdził Hackettowi puls. Na szyi. Był wyczuwalny, lecz powolny. Facet był nieprzytomny. Albo pogrążony w śpiączce. To jakaś różnica? Diabli wiedzą.

– Trzeba założyć, że prędzej czy później kogoś tu przyślą – dodała Chang.

– On może nam dużo powiedzieć.

– Nie mamy czasu.

– Więc dowiedzmy się przynajmniej tego, co możemy.

Zabrali mu elegancki telefon, cienki jak komórka Chang, kluczyki do wynajętego samochodu, hotelową kartę magnetyczną, osiemdziesiąt pięć centów i portfel, wszystko to z kieszeni, poza tym hecklera & kocha P7 z kabury na pasku, na tyle małego, że łatwo go było ukryć, lecz wystarczająco dużego, by go skutecznie użyć. W magazynku miał naboje typu parabellum, takie same jak ruger, co z logistycznego punktu widzenia trzymało się kupy. W portfelu znaleźli ponad sto dolarów w gotówce, kalifornijskie prawo jazdy i kilka kart kredytowych. Chang zatrzymała komórkę, żeby sprawdzić rejestr połączeń, a on pieniądze, na przyszłe wydatki, i P7, z różnych powodów. Wytarli wszystko to, co zamierzali zostawić, i to, czego dotyczyli. Łupy schowali do kieszeni.

– Bierzemy coś jeszcze? – spytała Chang.

Reacher rozejrzył się ostatni raz.

– Chyba tak.

– Ale co?

– Myślę, że możemy zapomnieć o pszczołach i jedzeniu organicznym. Spójrz na to mieszkanie. W szafce są tanie płatki z cukrem, w lodówce chude mleko i dwa batoniki. On nic innego nie je. Chodzi w plastikowych spodniach. Ma gdzieś swoje ciało i nie łązi po lesie, tuląc się do drzew. Dlatego zareagował na artykuł o Głębokiej Sieci. O internecie. Co z tymi wszystkimi komputerami miałyby sens.

– Chcesz zabrać komputer?

– Słyszałaś, co powiedziała ta staruszka? Zanim zamknęła drzwi?

– Że Peter zawsze instaluje komputery sam. Nie przekonałeś jej. To była bardzo grzeczna szpila na pożegnanie.

– Dobrze to ujęła. Komputery się instaluje, prawda? I powiedziała „Peter”. Starsza pani powiedziałaby raczej „pan McCann”. Muszą być dobrymi znajomymi. Wieloletnimi sąsiadami. A skoro tak, może rozmawiają o sprawach osobistych. Jeśli staruszka zna się na komputerach, McCann mógł zdradzić jej, co go dręczy. Zrozumiałaby go.

– Nie mamy czasu jej wypytywać. Tamci mogą tu zaraz przyjść. A potem policja.

– Zgoda, raczej z nią nie pogadamy. Przynajmniej tutaj. Dlatego chcę ją stąd zabrać. Tę staruszkę, sąsiadkę. Zaprosić ją na kawę. Gdzieś dalej. I tam ją wpytać.

Nie uciekli szybko. Trochę to trwało. Było trochę sceptycyzmu. Trochę niechęci. W końcu Chang musiała zagrać kartą FBI, dosłownie. Potem było szukanie płaszcza, chociaż zapewniali ją, że jest ciepło. Ale nie, chodziło o maniery. Staruszka oświadczyła, że nie jest do cna staroświecka. I nie musi wkładać rękawiczek oraz kapelusza.

Jeszcze potem były długie, strome i niebezpieczne schody, wreszcie ulica, gdzie czekała limuzyna, która przełamała ostatnie lody. Błyszczący czarny lakier i sofer w eleganckim szarym garniturze przypieczętowali umowę. Służbowy samochód. Widywała takie w telewizji.

Potem Reacher musiał poszukać stosownego lokalu. Odrzucili wiele miłych możliwości. W końcu zdecydowali się na tradycyjną chicagowską kawiarnię, być może dyskretnie unowocześnioną przez czyjś powszechnie szanowanego wnuka i spadkobiercę. Blisko położony parking, żadnych tam ogródków, telewizor na ścianie – miała wszystkie niezbędne atuty i panowała w niej miła atmosfera.

Wyglądało na to, że sąsiadka McCanna jest zadowolona. Może kawiarnia przypominała jej lokale, w których kiedyś bywała. W każdym razie wcisnęła swoje kościste ciało do boksu i pozwoliła Chang usiąść obok siebie. Reacher usiadł naprzeciwko, trochę bokiem, przybierając jak najmniej groźną postawę.

Przedstawili się sobie. Ich gościem była pani Eleanor Hopkins, wdowa, niegdyś żona i uniwersytecki pracownik naukowy, osoba nie tylko odcytana, ale i zorientowana w literaturze technicznej, bardzo niszowej, jak zaznaczyła, wysoce specjalistycznej, po części, choć niewielkiej, jej własnego autorstwa lub autorstwa osób, które znała. Albo o których słyszała lub które mogła poznać, gdyby kiedyś przyjęła tę czy inną pracę. Jeśli chodzi o postęp technologiczny, dodała, jej kariera zawodowa przypadła na wielce ciekawy okres.

Potem powiedziała, że Peter McCann mieszka w jej domu od wielu lat, dlatego owszem, zbliżyli się do siebie, choć czasem jest to znajomość szorstka i burkliwa, zgodnie z zasadą „Gdzie dobre płoty, tam dobrzy sąsiedzi”. Ostatni raz widziała go przed trzema, czterema tygodniami. Co zdarzało się często. I bynajmniej nie dawało powodów do niepokoju. Pani Eleanor bardzo rzadko wychodziła z mieszkania, dlatego jeśli w ogóle się spotykali, to na korytarzu i przypadkiem. Zresztą Peter często wyjeżdżał, bywało, że na kilka dni. Nie miała pojęcia dokąd.



Nigdy go nie pytała. Była jego sąsiadką, nie siostrą. Tak, był nieszczęśliwy. Nie układało mu się w życiu.

W telewizji leciały lokalne wiadomości. Reacher oglądał je kątem oka. Starsza pani zamówiła kawę i kawałek ciasta, a Chang powiedziała, że pan McCann może mieć kłopoty. Jakies. Nie wiadomo jakie. Czy pani Eleanor coś o tym wie?

Pani Eleanor nie wiedziała.

– Nie miała pani wrażenia, że coś go dręczy? – spytał Reacher.

– Ale kiedy?

– W ogóle. Ostatnio.

– Tak, chyba tak.

– Od dawna?

– Gdzieś od pół roku.

Zawyły syreny, głucho załopotał wirnik śmigłowca. Kilometr, półtora kilometra dalej.

– Nie wspominał co? – drążył Reacher.

– Nie. O sprawach osobistych rozmawialiśmy bardzo rzadko.

– Czy miało to związek z jego synem?

– Możliwe, chociaż ich relacje są w miarę stabilne.

Na ekranie telewizora ukazał się obraz z helikoptera. Zielone trawniki. Drzewa. Park.

– Czy syn sprawiał mu kłopoty?

– Peter nie wdawał się w szczegóły.

– Czy wie pani, że wynajął prywatnego detektywa?

– Wiem, że zamierzał podjąć stosowne kroki.

– W związku z czym?

– Tego nie wiem.

– Rozmawialiście państwo o technice? Zważywszy na pani karierę naukową i jego oczywiste zainteresowania...

– Tak, dość często. Czasem przy kawie i ciastku. Takim jak to. Omawialiśmy różne sprawy. Było bardzo miło. Tłumaczyłam mu podstawowe koncepcje, a on opowiadał mi, jak się je dzisiaj wykorzystuje.

– Czy to, co go dręczy, ma związek z techniką?

– Chyba niezupełnie, ale tak, w rozmowach poruszał pewne aspekty techniczne.

– Czy chodziło o internet?

Pod drżącym zielonym obrazem na ekranie telewizora pojawił się pasek z napisem: „Ofiara strzelaniny znaleziona w parku”.

Pani Eleanor podniosła głowę.

– Pewnie ktoś wyszedł z psem na spacer – powiedziała. – I go znalazł. Tak to się zwykle odbywa. Znajdują ich w parkach.

– Co go interesowało w internecie? – spytał Reacher.

– Chciał zrozumieć pewne rzeczy. Jak większość laików, myślał o tym kategoriami fizycznymi. Jakby internet był basenem pływackim pełnym piłek tenisowych. A piłki stronami internetowymi. Tak oczywiście nie jest. Strony internetowe nie są obiektami fizycznymi. A internet nie jest namacalną rzeczywistością. Nie ma wymiarów ani granic. Góry, dołu, rejonów bliskich czy dalekich. Chociaż można twierdzić, że ma masę. Informacja cyfrowa to same zera i jedyńki, co znaczy, że komórki pamięciowe są albo naładowane, albo nie. Ładunek to energia, tak więc jeśli ktoś wierzy w Einsteinowskie  $E$  równa się  $mc^2$ , gdzie  $E$  oznacza energię,  $m$  masę, a  $c$  prędkość światła, musi również wierzyć, że  $m$  równa się  $E$  podzielone przez  $c^2$ , co jest tym samym, inaczej wyrażonym równaniem, z którego wynika, że ładunek ma dającą się obliczyć masę. Im więcej piosenek i zdjęć wgra pan do telefonu, tym będzie cięższy. Tylko o bilionową czy trylionową część grama, mimo to cięższy.

Kamera zamontowana na pokładzie śmigłowca dała zbliżenie na kępę niskich krzewów otoczoną żółtą taśmą. Wokoło stali policjanci w mundurach i widać było na wpół ukrytą sylwetkę kogoś leżącego na ziemi, czarne buty i czarne spodnie pod zielonymi gałęziami. Po pasku przesuwiał się napis: „Ofiara strzelaniny znaleziona w parku”.

– Konkretnie co chciał zrozumieć pan McCann? – spytał Reacher.

– Dlaczego niektórych stron nie można znaleźć. Chodziło mu o zasady działania wyszukiwarek internetowych. Tu przydał się jego basen i miliony piłek tenisowych, z których jedne unoszą się na wodzie, a inne, te przygniecione ich ciężarem, są uwięzione głębiej. Więc poprosiłam go, aby wyobraził sobie, że wyszukiwarka jest długą jedwabną tasiemką, którą ktoś to wrzuca do basenu, to wyciąga, to podnosi, to opuszcza, która za każdym razem wiję się między piłkami i błyskawicznie ślizga po ich mechatej powierzchni. A potem poprosiłam, aby wyobraził sobie, że delikatne włoski na niektórych piłkach zastąpiono kolcami podobnymi do haczyków na ryby, inne zaś ogolono zupełnie na лыso i są teraz gładkie jak kule bilardowe. O które zahaczy tasiemka? Oczywiście o te z kolcami.

Z tych gładkich się ześlizgnie. Właśnie to musiał zrozumieć. Że wyszukiwarka jest jak dwukierunkowa ulica. Strona internetowa musi chcieć być znaleziona. Musi wyhodować skuteczne kolce. Nazywają to optymalizacją dla wyszukiwarek internetowych. Dzisiaj to bardzo ważna dyscyplina naukowa. Co powiedziawszy, można stwierdzić, że bycie kulą bilardową też nie jest łatwe. Życie w ukryciu to nie przelewki.

– Ukryte strony internetowe kojarzą się z czymś nielegalnym – zauważyła Chang.

– To prawda – zgodziła się z nią pani Eleanor. – Albo niemoralnym. Albo z jednym i drugim. Niewiele o tym wiem, ale na myśl przychodzi najgorszego rodzaju pornografia, zamawiana przez internet kokaina i tak dalej. To tak zwana Deep Web, Głęboka Sieć. Wszystkie te gładkie kule bilardowe. Miliony kul. Bez kolców i haczyków, w ukryciu robiące swoje. Głęboka Sieć może być dziesięć razy większa niż ta jawna. Albo sto razy. Albo nawet więcej. Nikt tego nie wie. Bo i skąd? Oczywiście nie wolno jej mylić z tak zwanym Darknetem, Mroczną Siecią, gdzie są tylko przestarzałe strony z niedziałającymi linkami, które krążą tam jak martwe satelity w kosmosie. Jeśli porównamy Darknet do starożytnych wykopalisk, Głęboka Sieć jest bardziej jak podejrzana dzielnica. Nie, żeby jedno czy drugie było głębokie, mroczne i żeby w ogóle były tam jakieś dzielnice. Internet nie jest miejscem fizycznym, już mówiłam. Nie ma żadnych fizycznych cech.

W kadr na ekranie telewizora wjechała karetka pogotowia; powoli sunęła przez trawnik, smutno błyskając światłami, a za nią furgonetka koronera. Z samochodów wysiadło parę osób i dołączyły do policjantów.

– Jak można znaleźć ukrytą stronę internetową? – spytała Chang.

– Nie można – odparła pani Eleanor. – W każdym razie nie ot tak. Zwykła wyszukiwarka nic tu nie pomoże, bo strony są gładkie. Potrzeba dodatkowego adresu. Nie wystarczy napisać CoffeeShopkropka.com. Trzeba napisać CoffeeShop sto dwadzieścia trzy xyz kropka com. Na przykład. Albo dodać coś jeszcze dłuższego. Unikalny lokalizator zasobów i hasło, wszystko połączone w jedno. Takie adresy krążą podobno w pewnych środowiskach, podawane z ust do ust.

Na ekranie telewizora pojawił się granatowy ford crown victoria. Podskoczył na trawniku i stanął. Wysiadło dwóch mężczyzn w garniturach. Pewnie detektywów. Zmienił się napis na pasku: „Morderstwo w Lincoln Park”. Kilometr, półtora kilometra dalej zadudniło więcej helikopterowych wirników. Nadlatywali spóźnieni rywale z innych stacji.

– Czy pan McCann powiedział pani, jakich szuka stron? – spytał Reacher.

– Nie – odrzekła pani Eleanor.

Mężczyźni z telewizora przykucnęli wokół czarnej postaci na trawie. Detektywi i patolog. Reacher wiedział, jak to się odbywa. On też wiele razy kucal przy leżących postaciach. Niektóre jeszcze żyły. Ale ta nie. Na pewno. Nie było pośpiechu. Zamieszania. Krzyków. Nie było ortopedycznego kołnierza, kroplówek, masek tlenowych ani sztucznego oddychania.

„Morderstwo w Lincoln Park”.

– To Peter, prawda? – spytała pani Eleanor. – Po co innego byście mnie wypytywali? Po co interesowałyby się mną FBI?

Chang nie odpowiedziała, a Reacher też milczał, ponieważ obraz na ekranie telewizora właśnie się zmienił. Kamera pokazywała teraz dom. Nijaki szeregowiec na nijakiej ulicy. Dom Petera McCanna. I pani Eleanor. W którym niedawno byli. Budynek natychmiast rozpoznawalny. Znajomy. Oświetlony teraz migającymi czerwonymi światłami. Na taras wbiegali policjanci.

Za szybko to sobie skojarzyli. Ci z parku nie zajrzeli nawet do kieszeni McCanna. Nie znaleźli portfela, nie sprawdzili prawa jazdy, nie wiedzieli, kim był ani gdzie mieszkał. Wciąż czekali, aż patolog skończy swoją robotę. Reacher wiedział, jak to działa. On też musiał wiele razy siedzieć i bezczynnie czekać. Śmierć należało najpierw oficjalnie stwierdzić, dopiero potem zwłoki stawały się dowodem.

A więc dwie niezależne sprawy. Dwa niezależne śledztwa. Napis na pasku znowu się zmienił. „Antyterrorysty szturmują dom w Chicago”.

– Czy zadzwoniła pani na policję? – spytał.

– Tak, zadzwoniłam – odparła pani Eleanor.

– Kiedy?

– Kiedy tylko zamknęłam drzwi.

– Dlaczego?

– Nie podobaliście się mi.

– Ani ja, ani ona?

– Zwłaszcza pan. Nie wygląda pan na agenta. Ci z telewizji wyglądają inaczej.

– Działiałem pod przykryciem. Udawałem bandytę.

– Bardzo przekonująco.

– A więc zadzwoniła pani.

– Natychmiast.

- I co im pani powiedziała?
- Że są u mnie uzbrojeni terroryści.
- Dlaczego akurat terroryści?
- Inaczej przyjechaliby po pięciu godzinach. To jest Chicago.
- Powinniśmy się zbierać – powiedziała Chang.
- Nie, zostanemy jeszcze trochę – zaproponował Reacher. – Pięć minut nie zaszkodzi.

Dostali dolewkę kawy, a ponieważ pani Eleanor miała ochotę na jeszcze jeden kawałek ciasta, zamówili i oni, żeby dotrzymać jej towarzystwa. Na ekranie telewizora pojawiły się dwa okna; w tym po lewej stronie pokazywano park – „Zabójstwo w Lincoln Park” – a w tym po prawej dom: „Alarm terrorystyczny”. Na samym dole przesuwiał się pasek główny z napisem: „Pracowity dzień dla policji”.

Druga filiżanka kawy była równie dobra jak pierwsza. Drugi kawałek ciasta też. W parku pojawił się worek na zwłoki, pod domem karetka pogotowia. Worek zapięto i zanesiono do furgonetki koronera, z karetki wyskoczyli sanitariusze. Chwilę później wyszli z domu, niosąc rannego na noszach. Prawdopodobnie Hacketta, chociaż pewności nie było. Przykryty prześcieradłem i zabandażowany od szyi w górę, wyglądał jak mumia egipska.

A potem, jak na filmie ze spowolnionymi efektami specjalnymi, policjanci wyjechali z parku, a cztery długie minuty później pojawili się pod domem, w tych samych samochodach, przeskakując nagle z lewej strony ekranu na prawą, choć tak naprawdę pokonali w tym czasie kawałek drogi. Z samochodu wysiedli ci sami detektywi. Wpadli do domu i po chwili wyszli, gorączkowo rozmawiając przez telefon.

„Policja twierdzi, że sprawy są powiązane”. Tak brzmiał teraz napis na pasku.

- Pani Eleanor – odezwał się Reacher – bardzo mi przykro z powodu straty, jaką pani poniosła, i z góry przepraszam za kłopoty, które panią czekają. Przesłucha panią chicagowska policja. A przesłuchanie nie wygląda jak w telewizji. FBI nie może wkroczyć i przejąć sprawy. Musimy dać im wolną rękę. Dlatego bylibyśmy wdzięczni, gdyby zachowała pani tę rozmowę w tajemnicy. Są między nami różne zadrażnienia, rozumie pani. Najlepiej niech pani w ogóle o nas nie wspomina. Nawet o tym, że byliśmy u pana McCanna. Nie muszą wiedzieć, że ich wyprzedziliśmy.

- Prosi mnie pan, żebym skłamała?

– Ja skłamię i jeśli mnie pytają, nie powiem, kto naopowiadał im o terrorystach i dlaczego.

– Dobrze, więc skłamię – obiecała pani Eleanor.

– Naprawdę nie domyśla się pani, co mogło dręczyć pana McCanna?

– Już mówiłam, jestem jego sąsiadką, nie siostrą. Spytajcie ją.

– Kogo?

– Siostrę.

– On ma siostrę?

– Przecież mówiłam.

– Myślałem, że to taka figura retoryczna.

– Jaka tam figura! Są bardzo sobie bliscy. Jeśli Peter dzielił się z kimś swoimi sekretami, to na pewno z nią.

Odesłali panią Eleanor limuzyną, mówiąc szoferowi, że to jego ostatni kurs, a potem będzie wolny i może wracać do domu, jechać do garażu czy dokądkolwiek zechce. Szofer się ucieszył. Ale Reacher podejrzewał, że ostatni kurs zostanie nagle skrócony. Że nie dojadą na miejsce, bo dwie ulice wcześniej natrafiają na policyjną blokadę. Jeśli pani Eleanor udowodni, że tam mieszka, pozwolą jej iść dalej na piechotę. Albo podrzucą ją prawdziwym służbowym samochodem, co zależało od tego, jak szybko zechcą ją przesłuchać. Tak czy inaczej, czekała ją rozmowa z miłą, młodą policjantką przy kawie i wodzie. Będzie jej dobrze i wygodnie.

Nic jej nie groziło.

Chang włączyła komórkę. Co też niczym nie groziło, bo nikt ich nie podsłuchiwał. Hackett wypadł z obiegu, przynajmniej na jakiś czas. A oni potrzebowali map, zdjęć satelitarnych, rozkładu lotów i dostępu do wyszukiwarek. Pani Eleanor powiedziała, że siostra Petera McCanna nazywa się Lydia Lair. I jest od niego młodsza. Wysłała za lekarza i przeprowadziła się na eleganckie przedmieścia Phoenix w Arizonie. Mąż jest bogaty, ale Peter nie chciał od niej nic oprócz czasu na rozmowy. Pani Eleanor miała jej adres, nabazgrany na liście adresów bożonarodzeniowych w notesiku w torebce. Sam adres, bez numeru telefonu. Chang znalazła stronę internetową gabinetu jej męża, ale recepcjonistka nie chciała podać jego numeru domowego. Po telefonie do firmy telefonicznej okazało się, że jest zastrzeżony. W tajnej bazie danych Chang ich nie było, ani Lydii Lair, ani jej męża. Google też niewiele pomógł, znajdując tylko jedno mało mówiące zdjęcie. Doktor Evan Lair z żoną na przyjęciu dobroczynnym. Fundacji wspierającej leczenie nerek. On był w smokingu, ona w sukni wieczorowej. Ona promieniała zdrowiem. Skrzyła się od brylantów i miała olśniewająco białe zęby.

Potem musieli podjąć decyzję zależną od trzech czynników: od tego, jak szybko chcieliby dotrzeć do Phoenix, jak długo mogli czekać na bilety lotnicze na złotą kartę i kiedy policja zawiadomi siostrę o śmierci brata. Jeśli w ogóle zawiadomi. Lydia Lair nie była jego najbliższą krewną. Najbliższym krewnym był syn. To na nim powinni się skupić. I jego zawiadomić jako pierwszego. Dać mu wybór,

dzwonić do ciotki czy nie. Uznać, że to jego obowiązek. Który syn mógł wypełnić albo nie, zależnie od okoliczności.

Wszystko to razem znaczyło, że gdy będą lądowali w Phoenix, siostra może już wiedzieć lub nie. Ale nie miało to znaczenia. Zła wiadomość to zła wiadomość. Nieważne, kiedy się ją dostanie. Chyba że siostra zacznie się zastanawiać, czy nie powinna polecieć do Chicago i zająć się wszystkim osobiście. Dlatego musieli dotrzeć do niej wcześniej. Zanim ci z organizacji wspierających krewnych ofiar przestępstw i życzliwi przyjaciele wypiorą jej mózg i okleją jej wóz ponurymi naklejkami.

Najlepsze wyjście, czyli podróż samolotem bez złotej karty, wydawało się Chang mało komfortowe. Był to jednak najbardziej optymalny wybór. Wystarczyłoby im czasu, żeby wpaść do hotelu po rzeczy i pozbyć się pistoletu. I jeszcze coś. Odpalili zdobyczną komórkę Hacketta i sprawdzili rejestr połączeń. Dzwoniono do niego tylko z jednego numeru. Z kierunkowym 480.

Chang zajrzała do komputera.

– Phoenix – powiedziała. – Tam gdzie lecimy.

•••

Po bardzo kosztownej transakcji z informatorem w firmie telefonicznej okazało się, że do Hacketta dzwoniono z komórki zakupionej tydzień wcześniej w miejscowym Walmarcie i natychmiast zarejestrowanej, na parkingu przed sklepem. Zakupionej za gotówkę, hurtowo, w pakiecie sześciu sztuk, a takie zachowanie nabywcy sugerowało, że klient nie tylko zna teorię niewykrywalnych sposobów łączności, ale i umie stosować ją w praktyce.

– Tę też pewnie wyrzuci – powiedział Reacher. – I weźmie następną.

Chang kiwnęła głową.

– Kiedy tylko Hackett spóźni się z meldunkiem – dodała. – Albo kiedy w CNN pokażą, co tu się dzieje.

– Więc może warto go uprzedzić. Póki jeszcze możemy.

– I co byśmy mu powiedzieli?

– Coś, co dałoby nam przewagę. Wyprowadziłoby go z równowagi. Trzeba wykorzystać każdą możliwość.

– Chcesz go zdenerwować.



– Wywołać w nim niekontrolowane emocje, jakiegokolwiek – uściślił. – To nie zaszkodzi.

– Dobra, spróbuj.

Reacher włączył komórkę Hacketta, znalazł odpowiednie okienko i nacisnął zielony guzik. Cyfry numeru poszybowały w eter, zasyczała cisza i usłyszał sygnał.

A potem ktoś odebrał.

– Tak?

Męski głos z szerokiej piersi przechodzącej w grubą szyję, ale sylaba została urwana, gwałtownie skrócona przez zdyszany pośpiech i entuzjazm. I niecierpliwe oczekiwanie. Coś jak sapnięcie czy głośne przełknięcie śliny. Numer Hacketta wyświetlił mu się na ekranie komórki, a on czekał na wiadomość, wprost nie mógł się już doczekać, chciał ją natychmiast usłyszeć. To było oczywiste. Usłyszeć i zacząć świętować.

– To nie Hackett – powiedział Reacher.

Pauza i krótkie:

– Aha.

– Mówi Jack Reacher.

Cisza.

– Hackett dopadł McCanna, ale nie dopadł nas. Co więcej, to my dopadliśmy jego. Był dobry, ale za słaby.

– Gdzie teraz jest? – spytał tamten.

Płaski, bezbarwny akcent. Europa Wschodnia. Duży facet, to na pewno. Prawdopodobnie błady i otyły, o krótkim oddechu.

– W szpitalu. Ale przykuty kajdankami do łóżka, ponieważ policja wyprzedziła lekarza. Tutaj, w Chicago. Zabraliśmy mu telefon i zapasowy pistolet, ale zostawiliśmy rugera, z którego zastrzelił McCanna. Leżał nieprzytomny w mieszkaniu, które, jak się podejrzewa, było kryjówką terrorystów. Tam znalazła go policja. Wiem, wiem, nic nie mów. Mają złe informacje, wprowadzono ich w błąd. Ale właśnie dlatego porządnie go wymagają. Powiedzą, że czeka go Guantanamo. Albo inne miejsca, gdzie dzieją się paskudne rzeczy. Tak bardzo będzie chciał się dogadać, że wsypie cię, zanim się obejrzysz. Nie zrobisz mu nic takiego, czego nie zrobiliby mu chłopcy z antyterrorystycznego. Dlatego masz zmartwienie. Twoim drugim zmartwieniem jesteśmy my. Zacząłeś wojnę. Co było

głupie. Bo przegrasz. I to w nieciekawym stylu. Spuścimy ci taki łomot, że twoje dzieci urodzą się z zawrotami głowy.

– Myślisz?

– Hacketta już załatwiliśmy. Bez większego trudu. Był najlepszy? Mam nadzieję, że nie, ze względu na ciebie. Bo ty jesteś następny. Wiemy, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz. I już tam jedziemy. Zaczynij oglądać się przez ramię.

Mężczyzna zrobił długi wdech, jakby chciał coś powiedzieć, może nawet dużo, ale w końcu nie powiedział nic. Przerwał połączenie i zapadła cisza. Reacher wyobraził sobie, jak tamten wyjmuje z komórki kartę SIM, łamie ją kołkowatymi kciukami i wrzuca połówki do kosza na śmieci.

– No i? – spytała Chang. – Kto to?

– Niewiele mówił. Powiedział tylko sześć słów. Ale brzmiał jak duży, otyły gość, Rosjanin, dość bystry i wygadany.

– Rosjanin?

– W każdym razie gdzieś stamtąd. Z Gruzji albo Ukrainy. Z jednego z tych krajów.

– Sześć słów i wygadany?

– Powiedziałem mu, że nie jestem Hackettem, a on na to: „Aha”. Krótko i spokojnie, wyważonym głosem. Rozumie, że słowa mogą znaczyć różne rzeczy.

– Naprawdę wiemy, jak się nazywa i gdzie mieszka?

– Trochę to upiększyłem. Albo przesadziłem dla efektu. Wiesz, pogrywamy, aż wygramy. Bo prędzej czy później się tego dowiemy. Jakoś. Może ten twój od telefonów będzie mógł sprawdzić połączenia według lokalizacji. Tylko z ostatniego tygodnia. Byłoby łatwiej go namierzyć.

– Czy ta informacja mogłaby doprowadzić do powstania urazów fizycznych lub poważnych ran?

– Absolutnie, taki miałyby cel.

– W takim razie odeśle mnie z kwitkiem. Taki jest układ.

– Musisz mu mówić?

– Doda dwa do dwóch po fakcie. I pójdę w odstawkę. Nie mogę sobie na to pozwolić.

– Nawet dla Keevera?

– Keever by mnie zrozumiał. Ty też powinieneś. Masz swoje zasady. Umowa jest umową.

– Dobra, mnie to pasuje – odrzekł Reacher. – Chyba. Wymyślmy coś innego. Po rozmowie z siostrą. Może ona coś nam podsunie. Zależy, co wie. I czy to będzie miało jakiś sens.

– Musi mieć. Nic innego nie ma. To już nie jest mała przewałka na polu pszenicy. Hackett przyjechał tu z Kalifornii, ale dostał broń od kogoś z Illinois, a jego szef mieszka w Arizonie. To ogólnokrajowa organizacja. Będą obserwowali lotnisko. Uprzedziłeś ich, że przyjeżdżamy.

– Specjalnie. Inaczej ich nie znajdziemy.

– Ryzykowne.

– Wszystko jest ryzykowne. Nawet podróż samolotem. Pasażerowie mają telefony. Pomyśl o tych zdjęciach i piosenkach. O dodatkowym ciężarze.

•••

Ale ostatecznie silniki odrzutowe poradziły sobie bez trudu z wyzwaniem, jakie stanowiły telefony na pokładzie. Samolot gładko wystartował i wspiął się w niebo jak każdy inny tego dnia na tym najbardziej ruchliwym lotnisku Ameryki. Reacher był pewny, że nikt ich nie śledził, a już na pewno nie w strefie odlotów. Sęk w tym, że ich prawdziwe nazwiska były w komputerze linii lotniczych, a czas przylotu do Phoenix mógł znaleźć każdy. Miej nadzieję na najlepsze, ale nastaw się na najgorsze.

Siedzieli obok siebie nad przednią krawędzią skrzydła. Miejsce środkowe i przy oknie. Tym razem nie przy wyjściu awaryjnym. Wyjście awaryjne było dwa rzędy za nimi. Reacher usiadł przy oknie. Chang w środku, dobrowolnie, obok kobiety w słuchawkach.

– Myślałem o Moynahanach – powiedział Reacher. – Braciach, kuzynach czy kim tam są.

– No i?

– Było ich dwóch, a sprawili nam sto razy mniej kłopotów niż jeden Hackett.

– Jak się czujesz?

– Jak po trzech ciosach. Właśnie to chcę powiedzieć. Bo przedtem nie zainkasowałem ani jednego. Zgadzam się z tobą co do Hacketta z Kalifornii, gościa ze spluwami z Illinois i szefa z Arizony. To organizacja na skalę krajową. Nie rozumiem tylko, jak to możliwe, że jej częścią jest Matczyny Spoczynek. Ci

ludzie to inna liga. Nie mogą być ich miejscowym oddziałem. Byliby najslabszym ogniwnem łańcucha. Pasowaliby jak wół do karety.

– Więc kim są?

– Klientami? McCann wynajął Keevera. Może ci z Matczynego Spoczynku też kogoś wynajęli. Może o to chodzi. Grupa bandziorów oferuje swoje usługi dużym organizacjom. Takie korzystanie ze źródeł zewnętrznych. Ludzie wynajmują ich do realizacji swoich celów. Czemu nie? Ostatecznie mamy gospodarkę usługową.

– W takim razie siostrze McCanna może grozić niebezpieczeństwo – zauważyła Chang. – Teoretycznie. Bo organizacje zachowują się jak organizacje. Żądają szczegółowego sprawozdania. Czy ci z Matczynego Spoczynku wiedzieli, że McCann kontaktował się z siostrą? Jeśli tak, to jej nazwisko figuruje w raporcie. Jako niedopięta sprawa. Nasze nazwiska też. Możemy się spotkać. A organizacje nie lubią, kiedy niedopięte sprawy się spotykają. Kryj swój tyłek. To najważniejsza zasada.

Reacher milczał.

– No co? – spytała Chang.

– Chciałem tylko powiedzieć, że siostrze nic nie grozi. Logicznie rzecz biorąc, nie może. Keever był tam ledwie dwa dni temu, a my pytamy teraz, czy ktoś zna adres siostry jego klienta? Mało prawdopodobne. Jak jeden do... – Tu pada wielka liczba.

– Ale?

– W samolocie człowiek czuje się bezradny. Nachodzą go różne myśli.

•••

Międzynarodowe lotnisko w Phoenix nie bez powodu nazywano Podniebnym Portem. Bo rzeczywiście było portem, w dodatku bezpiecznym, przynajmniej poza strefą ogólnodostępną: miało bramki z wykrywaczami metalu. Natomiast po drugiej stronie barykady to już zupełnie inna para kaloszy. Dlatego wysiadłszy z samolotu, Reacher i Chang ruszyli w kierunku bardziej odległych wyjść. Tam wstąpili do kawiarni, usiedli na wysokich stołkach i zaczękali. Aż ostatni pasażerowie z Chicago wsiądą do hotelowego autobusu. Aż ci, którzy przyszli ich powitać, zrezygnują i pójdą do domu.

Potem oglądali wystawy sklepowe, niespiesznie, sprawdzając, czy nikt ich poniewczasie nie rozpoznał albo nie wszczął alarmu przez telefon, lecz nikogo

takiego nie zauważyli. Lotnisko było wielkie, ale bez tłumów, ludzie wydawali się swobodni i rozluźnieni. Po Chicago mieli wrażenie, że jest niedziela. Przystanęli przed wyjściem ze strefy przylotów i oglądali buty, bluzy oraz turkusową biżuterię, i stali tam, dopóki nie wylądował następny samolot i nie zalała ich fala pasażerów, na oko stu osób z Minnesoty z bagażem podręcznym; wtedy wślizgnęli się przed ostatnich maruderów, w rozproszonym tłumie szybko przeszli przez salę odbioru bagażu i nacieszywszy się ostatnimi powiewami klimatyzowanego chłodu, stanęli w kolejce do taksówek. Panował piekący pustynny upał, lecz czekali nie dłużej niż minutę. Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Nikt nie przebiegał nerwowo nogami, nie patrzył ani nie odwracał wzroku.

Kazali się zawieźć do lotniskowej wypożyczalni samochodów. Nikt za nimi nie jechał. Reacher nie miał prawa jazdy, więc przy ladzie stanęła Chang; wynajęła średniej wielkości chevroleta. Białego i nijakiego, żeby nie rzucał się w oczy, i z nawigacją, żeby nie krążyć bez sensu po mieście. Czekaając na dokumenty, obserwowali okolicę. Żadnych samochodów przy krawężniku. Żywego ducha. Za gorąco na przechodniów.

Przez dziesięć minut jeździli bez celu, nagle skręcając i zawracając, potem włączyli nawigację i pojechali na przedmieścia. Gdzie mieszkał lekarz, mąż siostry McCanna. Znaleźli w radiu stację z wiadomościami, ale o Chicago nie padło ani jedno słowo. Nie było na to czasu. Phoenix miało najwyraźniej własne problemy. GPS poprowadził ich najpierw na północ, potem na wschód, w kierunku Scottsdale, jeszcze potem skręcili w podmiejską ulicę, która krzyżowała się z następną, i w końcu znaleźli się na właściwym osiedlu.

Otoczonym ogrodzeniem, z portiernią przy wjeździe.

Portiernia, w bardzo ozdobnym stylu, z czterospadowym dachem, kaktusami i dwoma szlabanami w czerwone paski po lewej i prawej stronie, wyglądała jak spasiony ptak z chudymi skrzydłami.

Strzeżone osiedle. Dla bogaczy. Płatników podatku dochodowego. Wspierających finansowo partie polityczne. Każdy z nich miał pewnie w komórce prywatny numer telefonu szeryfa okręgu Maricopa.

Czekali sto metrów przed wjazdem.

Trzecia po południu. Piąta w Chicago.

Za szybą siedział ochroniarz. Jeden.

– Powinniśmy się byli domyślić – mruknął Reacher.

- Jeśli ona wie już o bracie, to za Boga tam nie wjedziemy – powiedziała Chang.
- Portier musi zadzwonić. I zadzwoni.
- Masz wizytówkę FBI.
- Wizytówka to nie odznaka. Od razu się zorientuje.
- To tylko wynajęty ochroniarz.
- I żywy człowiek. To wystarczy.
- Pani Eleanor była pod wrażeniem.
- Jest z innego pokolenia. Inaczej reaguje na nasze służby.

Reacher milczał.

- Dobrze się czujesz? – spytała Chang.
- Boli mnie głowa.
- Więc co chcesz zrobić?
- Spróbujmy tam wjechać.
- Dobrze, ale w razie jakichś problemów elegancko się wycofujemy. To nie koniec świata, powalczymy kiedy indziej. Jego siostra to ważny trop, tego mostu nie możemy spalić.

Podjechali bliżej i zatrzymali się przed szlabanem, tuż obok rozsuwanego okna. Chang opuściła szybę. Odgarnęła kosmyk włosów z czoła i z uśmiechem odwróciła głowę.

- Do państwa Lairów.

Ochroniarz okazał się starszym białym mężczyzną w szarym poliestrowym mundurze. Był w koszuli z krótkimi rękawami. I miał pokryte plamami chude ręce.

Nacisnął czerwony guzik.

- Życzę państwu miłego popołudnia.

Szlaban powędrował w górę.

Chang ruszyła. Podniosła szybę.

- To ma być ochrona? – rzuciła. – Szkoda pieniędzy.

- Za to okolica jest ładna – zauważył Reacher.

I rzeczywiście. Nie było trawników. Nie było niczego, co potrzebowało wody. Były za to pomysłowe kamienne rzeczki, z których wyrastały kaktusy z liśćmi jak noże, czerwona mgiełka kwiatów, stalowe rzeźby, wciąż błyszczące i nieskorodowane w suchym jak pieprz powietrzu. Teren był płaski, parcele duże, a domy stały pod różnymi kątami, zwrócone to w tę stronę, to w tamtą, jakby znalazły się tam zupełnie przypadkowo.

– Nasz powinien być po lewej – powiedział Reacher. – Jeszcze z kilometr.

Kilometr dalej stało mnóstwo samochodów. Różnych marek i modeli, w najróżniejszych kolorach. W większości bardzo kosztownych. Parkowały obok siebie na podjeździe, na trzeciego, prostopadle i w poprzek, zderzak w zderzak wylewały się aż na uliczkę, ściśnione, stłoczone, porzucone, z kupą wolnego miejsca przed maską i za kufrem, aby bliżej domu, jakby było w nim coś wyjątkowego i magnetycznego.

W sumie około trzydziestu wozów.

Więc to dlatego szlaban bez pytania powędrował w górę.

Ochroniarza uprzedzono.

O balandze.

Albo bankiecie z koktajlami, przyjęciu nad basenem czy innej imprezie, która przyciągnęła trzydzieści samochodów o trzeciej po południu w upalny dzień.

Na skrzynce pocztowej na końcu podjazdu widniał napis: „Lair’s Lair”<sup>1</sup>.

Chang zaparkowała za ostatnim samochodem w uliczce. Wysiedli i rozejrzeli się. Dom, elegancki, szeroki, piętrowy, ze skomplikowanym dachem, wyglądał jak dworek myśliwski z surowego drewna albo dom z suszonej na słońcu cegły i choć był wystarczająco okazały, by sugerować dobry gust, bogactwo i pewność siebie, nie rzucał się w oczy. Cokolwiek się tam działo, działo się w ogrodzie. Którego z podjazdu nie widzieli. Otaczało go sięgające do głowy ogrodzenie. Pokryte taką samą oblicówką jak dom, dokładnie w takim samym kolorze. Ot, ładny dodatek architektoniczny. Sąsiednie działki wyglądały podobnie. Od frontu były otwarte, od tyłu szczelnie osłonięte. Teren prywatny. Nie ma tu nic do oglądania. Ale Reacher słyszał odgłosy z basenu. Chłapanie i stłumione krzyki. Jak to w wodzie. Bezdech i szok z nagłego zimna. Co miało sens. Zegar wskazywał trzecią po południu. Było jak nic trzydzieści osiem stopni w cieniu, może nawet więcej. Po co innego ktoś by tu przyjeżdżał? Basen, patio, kuchnia, salon, tam i z powrotem przez rozsuwane drzwi. Puszki piwa w lodzie.

– W FBI robiliśmy badania – powiedziała Chang. – Sama trochę w tym grzebałam. Jestem jak pani Eleanor. Badaliśmy samochody. Stosunek między wartością parkujących przed domem samochodów i ilością pieniędzy, które przechodzą tam z rąk do rąk.

– Myślisz, że tu też przechodzą?

– Nie, na podstawie mojego ciężko zdobytego doświadczenia mówię tylko, że są tam bardzo zamożni goście. Nieżyły miszmasz. To nie są tylko samochody

młodych dziewczyn. Jest tu kilka wozów rodzinnych. I sporo samochodów dla dużych chłopców, którzy przyjechali tu prosto z pracy. To jest impreza wagi ciężkiej.

Podeszli bliżej.

Przy garażu, w otaczającym tylne podwórze ogrodzeniu, była furka. Szeroka na tyle, że mogła nią przejechać kosiarka traktorowa. Furka wstawiona pewnie przez architekta, który myślał, że ludzie nigdy nie zapomną o trawnikach. Teraz wykorzystywano ją jako zwykłe przejście. Prowadziła do niej ładnie zaprojektowana ścieżka. Wysypana kamykami. Z wysokimi do kolan lampami na baterie słoneczne. Furka była uchylona, na jakieś trzydzieści centymetrów. W jaskrawym słońcu dostrzegli grupki zwiewnie ubranych ludzi. Jedni się poruszali, inni nie.

Szła ku nim jakaś kobieta.

Niosła torbę do samochodu, spiesznie, żwawym krokiem, uroczyście.

Na pewno nie siostra McCanna. Raczej przyjaciółka albo sąsiadka. Współgospodyni albo współorganizatorka przyjęcia.

Szła szybko.

Była coraz bliżej.

Przystanęła.

– Dzień dobry – powiedziała z uśmiechem. – Witajcie, jak to miło, że wpadliście. Zapraszam.

I poszła dalej.



Ozdobna ścieżka, rośliny, lampy, furtka – weszli do dużego, prostokątnego ogrodu, spektakularnie zaprojektowanego i ukształtowanego na kawałku pustyni z wykorzystaniem majestatycznych kaktusów, kornej olbrzymich stojących samotnie w wysypanych żwirem donicach, cienistych drewnianych altanek, dzikiego pnącza, wielkich donic z terakoty i przewróconych amfor, z których wylewały się potoki kwiatów. Był tam również na ciemno otynkowany basen w kształcie naturalnego stawu, wyłożony na brzegach kamieniami i zasilany przez bryzgający wodą mały wodospad. Były zaimpregnowane olejem tekowe meble z grubymi, kolorowymi poduchami, parasole słoneczne i ogrodowe stoły jadalne.

I około czterdziestu osób z talerzami i szklankami w rękach, mężczyzn i kobiet, młodych, lecz głównie starszych, w jaskrawych arizońskich ubraniach, kostiumach kąpielowych i tunikach, stojących grupkami, rozmawiających i roześmianych. Jedni byli mokrzy, inni zanurzeni po szyję w wodzie, jeszcze inni pływali albo się wygłupiali. Przy stole pod baldachimem z dzikiego wina siedziała kobieta w wieku około trzydziestu lat, wysoka, gibka i złociście opalona. W cienkiej, długiej bluzce i bikini, zrelaksowana i uśmiechnięta, emanowała czymś, co powodowało, że w niewypowiedziany, lecz oczywisty sposób była w centrum uwagi. Z tyłu, po jej lewej stronie, stał mężczyzna w szortach koloru khaki i krzykliwej hawajskiej koszuli, siwowłosa, lecz dobrze zakonserwowany, a z tyłu po prawej ciemnowłosa kobieta o błyszczących oczach i szerokim uśmiechem, w luźnej jasnej lnianej sukience do kostek. Poufała swoboda, z jaką się do siebie zwracali, jednoznacznie wskazywała, że są to rodzice i córka, a wygooglowane niedawno zdjęcie w telefonie Chang podpowiadało, że mają przed sobą pana i panią Lair.

Reacher dyskretnym ruchem głowy wskazał dom.

– Spójrz.

Pod ścianą stał długi stół zavalony prezentami, w większości dużymi i kanciastymi, zawiniętymi w elegancki papier i przewiązаныmi wstążkami,

białymi lub srebrzystymi.

– To wesele – powiedziała Chang.

– Na to wygląda. Pewnie ich córki. To ta przy stole. Siostrzenica McCanna.

Pani Lair roześmiała się, uśmiechnęła, czule ścisnęła ramię córki, wstała i weszła między gości. Chodziła od grupki do grupki, gawędząc, tryskając życiem, uśmiechając się, nachylając, wymieniając pocałunki i świetnie się bawiąc.

– Ona nic nie wie – powiedziała Chang. – To niemożliwe.

Reacher milczał.

Siostra McCanna wciąż krążyła po ogrodzie między gośćmi, biorąc kieliszek z tacy przechodzącego kelnera, kładąc rękę na ramieniu znajomej czy znajomego, odstawiając kieliszek na inną tacę. Nagle zauważyła Reachera i Chang, którzy stali przy bramie samotni i zakłopotani, zbyt ubogo i grubo ubrani, bezimienni i nieznanani. Natychmiast zmieniła kurs i skierowała się ku nim, wciąż uśmiechnięta i z wciąż błyszczącymi oczami, jak przystało na szczęśliwą panią domu witającą nowych gości.

– Nie możemy jej powiedzieć – szepnęła Chang. – Nie teraz.

Kobieta podeszła bliżej i wyciągnęła do niej szczupłą, wypielęgowaną rękę.

– Czy my się znamy? – spytała. – Lydia Lair.

Wyglądała jak na zdjęciu z balu charytatywnego. Czyli jak milion dolarów. Chang uściśniła jej dłoń, przedstawiła się, a kiedy przedstawił się Reacher, Lydia Lair powiedziała:

– Zadam państwu to samo pytanie, które zadaję przez cały dzień: Czy znają państwo naszą córkę ze szkoły, czy z pracy? Nie, żeby miało to jakieś znaczenie, bo są tu tacy i tacy, to duże przyjęcie. Ale zawsze można zacząć od tego rozmowę.

– Nie, proszę pani – odparł Reacher. – Przyjechaliśmy w zupełnie innej sprawie. Wpadniemy kiedy indziej. Nie chcielibyśmy zepsuć wesela. To przynosi siedem lat nieszczęścia.

– Przecież nie zbił pan lustra! – odrzekła z uśmiechem Lydia Lair. – Poza tym... Ależ skąd, to nie wesele. Jeszcze nie. To coś w rodzaju przed-, przed-, przedprzyjęcia weselnego tylko dla gości panny młodej. Żeby wszyscy poznali się przed ślubem, nabrali sił przed głównym wydarzeniem tego weekendu. Córka mówi, że teraz wszyscy tak robią. Ale wiedzą państwo, jak dzisiaj jest. Śluby trwają dłużej niż małżeństwa. – I roześmiała się radośnie, jakby ten żart nie dotyczył jej, jakby małżeństwo córki miało trwać wiecznie.

– Czy moglibyśmy wpaść dziś wieczorem? – spytała Chang.

– A czy mogę spytać, o co chodzi?

– O pani brata, Petera.

– O Boże. Bardzo mi przykro, ale na próżno państwo przyjechali. Petera nie ma. Nie dojechał. Oczywiście spodziewaliśmy się go, dla niego to daleka wyprawa. Skąd go państwo znacie?

– Wszystko powiemy potem. Wieczorem, jeśli to pani odpowiada. Bo teraz tylko panią zatrzymujemy. I tak poświęciła nam pani dużo czasu. Goście czekają.

Siostra McCanna uśmiechnęła się ze zrozumieniem i już zaczęła się odwracać, lecz musiała o czymś pomyśleć, bo znieruchomiała i spojrzała na nich zupełnie odmieniona.

– Czy Peter ma kłopoty? – spytała. – Jesteście z policji?

Chang zrobiła jedyną rzecz, jaką kobieta z zasadami mogła zrobić, czyli puściła pytania mimo uszu i odpowiedziała enigmatycznie:

– Jesteśmy prywatnymi detektywami.

– Keever was przysłał?

– Teraz to już naprawdę musimy porozmawiać. Ale nie możemy odciągać pani od obowiązków.

– Czy Peter ma kłopoty?

Chang powtórzyła swój manewr.

– Przyjechaliśmy zasięgnąć informacji. Mamy nadzieję, że to pani nam o nim opowie.

– Chodźcie – rzuciła Lydia Lair.

• • •

Przeszli przez dom i znaleźli się w wyłożonym ciemną boazerią gabinecie ze szczelnie zamkniętymi okiennicami, klubowymi fotelami i kominkiem z rzecznych kamieni. Usiedli, kobiety kolano w kolano, Reacher swobodniej i wygodniej.

– Od czego mam zacząć? – spytała Lydia Lair.

– Proszę nam powiedzieć, co pani wie o Keeverze – poprosił.

– Nie znam go osobiście. Ale Peter lubi omawiać ze mną różne rzeczy i kiedy wybierał prywatnego detektywa, do pewnego stopnia poznałam wszystkich kandydatów.

– Ilu ich było?

- Zaczął od ośmiu.
  - Długo wybierał?
  - Prawie półtora miesiąca.
  - Długo.
  - Cały Peter.
  - Często z nim pani rozmawia?
  - Prawie codziennie.
  - Długo?
  - Bywa, że godzinę.
  - Długo.
  - To mój brat. I jest samotny.
  - Dlaczego wynajął prywatnego detektywa?
  - Chodziło o Michaela. Mojego bratanka.
  - Podobno stwarza problemy.
  - To niewłaściwe słowo. Taktowny odpowiednik określenia „jest trudny”. Co z kolei jest taktownym odpowiednikiem czegoś jeszcze gorszego. Michael nie jest trudny.
  - A jakie słowo byłoby najwłaściwsze?
  - Michael nie dojechał do końca taśmy montażowej. Nie przykręcono mu paru części. Staram się nie winić za to jego matki. Ale było z nią naprawdę źle. Zmarła niecałe dziesięć lat temu.
  - Jakich części nie przykręcono?
  - Panie Reacher, czy jest pan szczęśliwy?
  - Nie narzekam. Tak ogólnie. W tej chwili czuję się bardzo dobrze. Oczywiście nie ma to związku z tym, o czym rozmawiamy...
  - A w chwili, kiedy czuł się pan najgorzej w życiu? Gdzie umieściłby pan to na skali od jednego do dziesięciu?
  - W okolicach czwórki.
  - A kiedy był pan najszczęśliwszy?
  - W porównaniu z teoretycznie największym szczęściem w ogóle?
  - Właśnie.
  - W okolicach dziewiątki.
  - Dobrze, zatem cztery na dole, dziewięć na górze. A pani?
- Chang odpowiedziała po krótkim namyśle.

– Na dole trójka. Na górze dziewiątka. Chciałam powiedzieć ósemka, ale chyba jednak dziewiątka.

Mówiąc, znacząco zerkała na Reachera i Lydia Lair to zauważyła.

– Czy wy ze sobą sypiacie? – spytała.

Nie odpowiedzieli.

– Skarbie, jeśli ze sobą sypiacie, bez zastanowienia wybierz dziewiątkę. Tak jest zawsze bezpieczniej. Ale nie dziesiątkę. Dziesiątka stawia ich pod ścianą. Tak więc jesteście między trójką i czwórką na dole i parą dziewiątek na górze, nawet jeśli jedna z tych dziewiątek jest tak naprawdę ósemką, ale jesteście zbyt taktowni, żeby się do tego przyznać. W każdym razie rozumiecie, o co chodzi. Jesteście normalnymi ludźmi. Gdybyście uplasowali się między dwójką i siódmką, też bylibyście normalni, ale inni postrzegaliby was jako trochę ponurych i powściągliwych. Rozumiecie?

Chang kiwnęła głową.

– A teraz załóżmy, że wskazówka na waszym liczniku zacięła się na zerze. Zacięła się i ani drgnie. Zero na dole, zero na górze. To właśnie Michael. Urodził się nieszczęśliwy. Bez umiejętności bycia szczęśliwym. A nawet bez świadomości, czym jest szczęście. Nie wie, że taki stan w ogóle istnieje.

– Czy to się jakoś nazywa? – spytała Chang.

– Teraz są nazwy na wszystko. Peter i ja bez końca o tym rozmawialiśmy. Żadna z nich nie pasuje. Lubię starodawne słownictwo. I czasem nazywam to melancholią. Lecz „melancholia” jest określeniem zbyt słabym i pasywnym. Michael ma głębię uczuć. Ale nie ma zakresu. Odczuwa radość i namiętność tak samo jak my, tylko że na poziomie zerowym. I jest inteligentny. Doskonale wie, co się z nim dzieje. W rezultacie nieustannie cierpi.

– Ile ma lat?

– Trzydzieści pięć.

– Jakie są symptomy? Trudno z nim żyć?

– Przeciwnie. Prawie się go nie zauważa. Jest bardzo cichy. Robi, co mu się każe. Rzadko kiedy się odzywa. Całymi dniami siedzi i gapi się w pustkę, zagryzając usta i strzelając wokoło oczami. Albo ślęczy przy komputerze lub bawi się telefonem. Nie ma w nim ani odrobiny agresji. Nigdy się nie denerwuje. Zdenerwowanie sugerowałoby zakres uczuć.

– Może pracować?

– To właśnie część problemu. Musi pracować, żeby mieć gdzie mieszkać. Taka jest umowa. I tak, może pracować. Są rzeczy, w których jest naprawdę dobry. Ludzie uważają jednak, że jest męczący. Nie lubią z nim przebywać. Spada wydajność. A wtedy Michael zwykle odchodzi. Zaczyna, rezygnuje i tak w kółko.

– Gdzie teraz mieszka?

– Nigdzie. Zaginął.

•••

W tym momencie do gabinetu weszła panna młoda, która szukała matki. W bikini i cienkiej, długiej bluzce. Siostrzenica McCanna. Kuzynka Michaela. Chodząca doskonałość. Z bliska też była olśniewająca. Dosłownie promieniała. Opieka prenatalna, opieka postnatalna, pediatrzy, prawidłowe odżywianie, szkoła, ortodonci, wakacje, college, studia podyplomowe, narzeczony, pełen serwis. Jej taśma montażowa zadziałała idealnie. Amerykańskie marzenie. I jego spektakularne rezultaty. Robiła wrażenie szczęśliwej. Nie głupiutkiej, próżnej, rozchichotanej i nakręconej. Tylko spokojnej i błogo ukontentowanej. Z mnóstwem miejsca na ekstazę. Jej wskaźnik wahał się pewnie między szóstką i dziesiątką. Miała wszystko to, czego brakowało jej kuzynowi.

Lydia Lair wyszła z nią do ogrodu. Obiecała wrócić, kiedy tylko będzie mogła. Reacher i Chang siedzieli bez słowa w zaciemnionym gabinecie. Słyszeli odgłosy przyjęcia, przytłumione grubymi ścianami i odległością. Chłapanie, wesołe okrzyki, brzęk szkła, jednostajny gwar rozmów.

– Trzeba zadzwonić do Westwooda – powiedziała Chang. – I go poinformować. Umowa to umowa. Poza tym musimy znaleźć jakiś hotel.

– Powiedz mu, że potrzebujemy wszystkiego, co ma na temat Głębokiej Sieci. Wszystkich notatek. A może niech tu przyjedzie i sam nam o tym opowie. Notatek możemy nie zrozumieć. Każ mu złapać samolot. Chce mieć prawa autorskie, niech na nie zapracuje.

Chang przełączyła komórkę na głośnik, wybrała numer i streściła Westwoodowi wszystko to, co działo się, odkąd dzwoniła do niego z motelu w Zachodnim Hollywood. Wspomniała o bibliotece, drogerii rodzinnej, ulicy McCanna, jego domu, o Hacketcie, pani Eleanor, zabójstwie w Parku Lincoln, locie do Phoenix i o Lydii Lair. Na koniec o synu, który utknął między dwoma zerami i zaginął.

– To anhedonia – zdiagnozował go Westwood. – Niezdolność do odczuwania przyjemności.

– W ustach jego siostry brzmi to dużo gorzej.

– Keever miał go znaleźć i przywieźć do domu?

– Tak zakładamy. Jeszcze do tego nie dotarliśmy. Przerwano nam.

– Nie rozumiem, co ma z tym wspólnego Głęboka Sieć i dwieście trupów. To wygląda na sprawę dla policji, nie dla redakcji naukowej. Albo na zwyczajną ludzką tragedię.

– Albo na trzy w jednym. Jeszcze nie wiemy.

– Gdzie się zatrzymaliście?

– Tego też jeszcze nie wiemy.

– Dobra, zadzwonię, jak przyleczę.

W głośniku zapadła cisza.

– A więc Michael bawi się komputerem i telefonem – myślał głośno Reacher. – Głęboka Sieć. Może to jest właśnie to? Może przesiaduje w jakimś dziwnym chat roomie. I prowadzi życie, o którym nikt nic nie wie.

– On jest przygnębiony, nie dziwny.

– Przygnębienie to stan poniżej normalnego. Co sugerowałyby zakres uczuć. Którego Michael nie ma. Co jest dziwne. Albo, ujmując to taktownie, niezwykle. Ale siostra McCanna twierdzi, że jest inteligentny. Może są tam jakieś grupy wsparcia. Może sam taką założył.

– Tylko po co miałyby się z tym kryć?

– Pewnie ze względu na wyszukiwarki. Pracodawcy sprawdzają kandydatów w internecie. Czytałem o tym w gazetach. Prawdopodobnie nie tylko pracodawcy. Inni też, kto tylko chce. Krewni, lekarze. Nie ma już ani krzty prywatności. Zrobisz coś, i odbija ci się to czkawką. Gdyby Michael wygadał się, że nie robi postępów, mógłby stracić dach nad głową. Albo ktoś zdecydowałby, że wymaga nadzoru.

Otworzyły się drzwi i wróciła Lydia Lair. Siostra Petera McCanna, ciotka Michaela McCanna i matka panny młodej. Usiadła w tym samym fotelu i Reacher spytał:

– Jak Michael zaginął?

– To długa historia.

Trzydzieści dwa kilometry na południe od Matczynego Spoczynku ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach odebrał telefon.

– Teraz z kolei pan zawalił – powiedział łącznik.

– Jak to?

– Nie o wszystkim pan wiedział.

– To znaczy?

– Obiecałem, że nie skontaktuję się z McCannem. I dotrzymałem słowa. Z trupem nie pogadają. Ale sporo mnie to kosztowało. Straciłem Hacketta.

– Jak?

– Reacher go wyeliminował. Albo oni razem. Tak czy inaczej, nie powinno było do tego dojść. To teoretycznie niemożliwe.

– Hackett nie żyje?

– Jest w szpitalu.

– I puści im pan to płazem?

– Nie. Zrobię z tego przykład. Chodzi o nasz wizerunek. W tej branży panuje szalona konkurencja. Najważniejsza jest siła marki. Dlatego podzielę się z panem po połowie.

– Czym?

– Kosztami tego, co trzeba zrobić, żeby nie uszło im to płazem.

Ufryzowany mężczyzna w dżinsach zawahał się i powiedział:

– Nie dopuściliście ich do McCanna. Za co jestem wam wdzięczny. Dobra robota. Ale, z całym szacunkiem, na tym umowa się kończy. Jeśli ma pan coś do Reachera i tej Chang, to już pańska sprawa.

– Hackett leży w szpitalu przykuty do łóżka. Pilnuje go policja.

– Dużo wie?

– To i owo. Niczego mu nie udowodnią. Nie miał przy sobie nic, na czym mógłby się przejechać. Żadnych danych. Reacher zwinął jego telefon, a laptop został w samochodzie. Który, łącznie z kierowcą, dostarczyli nam przyjaciele z Chicago. Dlatego wciąż mamy sprzęt. Już odpaliliśmy sniffer. Chang znowu włączyła komórkę. Właśnie dzwoniła do tego z „LA Timesa”. Stąd, z przedmieść Phoenix.

– Polecili tam? Po co? Po pana?

– Tak mówi Reacher. Zadzwoił do mnie z telefonu Hacketta. Zresztą łatwo to było przewidzieć. Ale gdyby słyszał pan rozmowę Chang, nigdy by pan nie pomyślał. Przyjechali tu z zupełnie innego powodu.



- Z jakiego?
- Nie wszystko pan wiedział.
- Czego nie wiedziałem?
- Tego, za co z radością zapłaci pan połowę stawki.
- Słucham.
- Peter McCann ma siostrę. Kiedyś nazywała się Lydia McCann, teraz Lydia Lair. Wyszła za lekarza. Mieszka w Phoenix. Na przedmieściach. McCann gadał z nią przez telefon całymi dniami. Wszystko jej mówił. Chang powiedziała Westwoodowi, że rozmowa z nią to jak rozmowa z nim.
- Nie możemy do tego dopuścić.
- My?
- Zgoda, pół na pół. Oczywiście.
- Cieszę się, że widzimy to podobnie.
- Ale chcę coś ekstra.
- A konkretnie?
- Proszę mi opowiedzieć, jak umarł McCann.
- Hackett go zastrzelił.
- Więcej szczegółów.
- Hackett przyszedł do niego wcześniej rano i wyprowadził go pod bronią z domu. Do parku. W pobliżu nikogo nie było. Strzelił mu w tył głowy z wyciszonego pistoletu.
- Było dużo krwi?
- Nie wiem, nie widziałem.
- Kula wyszła pewnie przez twarz. Ale mózg był już martwy. Serce nie biło. Spadło ciśnienie. Skuteczne, ale mało widowiskowe. Zrobicie to samo temu Reacherowi i tej Chang?
- Zrobię wszystko, co zadziała. Dzielimy się pół na pół. Co może być kosztowne. Bo musimy zrobić to szybko. Oni mogą już rozmawiać, w tej chwili.

Długa historia zaginięcia młodego McCanna zaczęła się od tego, że Michael zapragnął pojechać do Oklahomy. Ogłosił to pewnego dnia, mówiąc powoli i z wahaniem, jak to on, lecz jego ojciec nie dał się wciągnąć w pułapkę i nie zaczął się zamartwiać, jeszcze nie wtedy, nie od razu, bo dobrze wiedział, że taki wyjazd jest mało prawdopodobny, jak wszystko inne. Ale potem Michael oznajmił, że zapoznał się z socjalną polityką mieszkaniową w Oklahomie, która była inna niż w Illinois, i odkrył, że praca na część etatu daje mu możliwość zdobycia miejsca w schronisku. Że mógłby się tam utrzymać.

Peter McCann miał mieszane uczucia. Przeważało oczywiście przerażenie na myśl o samotnym synu w obcym środowisku. Lecz spod przerażenia mrugała do niego iskierka optymizmu. Nareszcie komputer się na coś przydał. Michael zainteresował się polityką mieszkaniową w innym stanie. Wyciągnął nawet wnioski. Powiedział, że „mógłby się tam utrzymać”. Jakby zaczynał planować. A już na pewno wykazał konkretną inicjatywę. Przedstawił dowód motywacji wewnętrznej, która, jak wspomniał kiedyś jeden z psychologów, jest pierwszą oznaką poprawy.

Dlatego Peter McCann wytrzymał i nie załamał się.

– Potem Michael powiedział, że ma w Oklahomie przyjaciela – mówiła Lydia Lair. – Co było wielką rzeczą. Bo nigdy dotąd żadnego nie miał. Nie używał nawet tego słowa. Pomyśleliśmy, że poznał go przez internet. Co trochę nas zaniepokoiło. Ale on ma trzydzieści pięć lat. I nie jest opóźniony w rozwoju. Ma bardzo wysoki iloraz inteligencji. Wie, co robi. Jest smutny, to wszystko. Dlatego Peter wypytał go o to, co mógł, i zagryzł zęby.

– I co się stało? – spytał Reacher.

– Michael pojechał do Oklahomy. Do małego miasteczka niedaleko Tulsy. Początkowo pisał SMS-y. Potem coraz rzadziej. Ale wiedzieliśmy przynajmniej, że nic mu nie jest. Pewnego dnia napisał, że niedługo wraca. Nie powiedział, kiedy ani dłaczego. Od tej pory milczy.

– Kiedy Peter zawiadomił policję?

- Zaraz potem. I zaczął wydzwaniać. Wszędzie.
- Do Białego Domu też?
- Odradziłam mu. Ale oczywiście nikt nie chciał go słuchać. W Ameryce mieszka pół miliona bezdomnych, ludzi z różnymi zaburzeniami psychicznymi. Kto by takiego szukał? Jak? I po co? Michael nie jest agresywny i nie bierze żadnych lekarstw. Nie jest niebezpieczny.
- Skontaktowali się chociaż z tym przyjacielem?
- Na pewno wiecie, jak to jest. Z własnego doświadczenia. Nagle okazuje się, że macie tylko nazwisko, które nic nikomu nie mówi, i na wpół zapomniany adres, którego nikt nie może znaleźć.
- A więc nie zidentyfikowano go?
- Nie wiadomo nawet, czy to mężczyzna, czy kobieta.
- A to schronisko?
- Nie było żadnego schroniska. Pewnie mieszkał u tego znajomego. I prawdopodobnie nie pracował, nawet na część etatu.
- Co było potem?
- Naturalnie Peter nie chciał się poddać. Zaczął pracować to sam. Najpierw pomogli mu pracownicy firmy telefonicznej. Namierzyli komórkę Michaela. Ostatniego dnia przemieszczała się między przekaźnikami na południowy zachód, z okolic Tulsy do Oklahoma City, ze średnią prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Peter uważa, że Michael jechał autobusem. Z Tulsy do Oklahoma City.
- Po co?
- Żeby złapać pociąg do Chicago.
- Reacher kiwnął głową. Pociąg.  
Do przewidzenia.
- Można stamtąd dojechać nie tylko do Chicago – zauważyła Chang.
- Peter sądzi, że Michael wracał do domu. Jest o tym przekonany. Bo rzeczywiście, komórka przemieszczała się początkowo w dobrym kierunku i z odpowiednią prędkością. Ale potem się wyłączyła.
- Za daleko zajechał. Z nami było tak samo. Ostatnia wieża przekaźnikowa jest sto czterdzieści cztery kilometry na północ od Oklahoma City. Dalej nie ma zasięgu.
- Ale komórka już się nie włączyła.
- Czy Peter zawiadomił policję?

– Oczywiście.

– Co powiedzieli?

– Że tak intensywnie szukała sygnału, że wyczerpała się bateria. Michael nie miał gdzie jej naładować, potem ją skradziono, już w Chicago. Nie odwiedził ojca? To jeszcze nie znaczy, że nie wrócił. I tak dalej, i tak dalej. Albo że komórkę skradziono mu w Tulsie czy Oklahoma City. Złodziej wsiadł do autobusu lub pociągu, ale nie znając kodu, nie umiał jej włączyć, więc ją wyrzucił. A Michael wciąż jest w Oklahomie albo pojechał gdzieś indziej, pewnie do San Francisco.

– Dlaczego do San Francisco? – spytał Reacher.

– Tam jest dużo bezdomnych. Policja uważa, że to miasto przyciąga jak magnes. Że ludzie ciągną tam jak w sześćdziesiątym siódmym.

– Co na to Peter?

– Uważał, że to możliwe, tak jak wszystko inne.

– I wtedy wynajął Keevera?

– Wtedy zaczął szukać detektywów.

– W internecie?

– Początkowo.

– Proszę opowiedzieć nam o jego zainteresowaniu internetem.

Ale wtedy znowu przyszła córka powiedzieć mamie, że goście wychodzą, poszły więc się pożegnać. Gwar na dworze zmienił częstotliwość na niższą, bardziej leniwą i powolną, potem zaczęły trzaskać drzwi samochodów, zawarczały silniki i zapiszczwały koła.

Pięć minut później w domu zapanowała głucha cisza.

•••

Nikt nie wrócił do zacienionego gabinetu. Reacher i Chang czekali samotnie w półmroku. Jeszcze pięć minut. Nic się nie działo. Otworzyli drzwi i wyrzeli. Pusty korytarz. Na ścianie zdjęcia w srebrzystych ramkach. Chronologiczna historia rodziny. On i ona, oni z niemowlęciem, oni z małą dziewczynką, oni z dziewczynką trochę większą, oni z nastolatką. I tak kadr po kadrze, wszyscy troje z każdym kadrem trochę starsi.

I zupełna cisza.

Ani głosów, ani kroków.

Wyszli z gabinetu. Uznali, że mają prawo. Albo przyzwolenie. Że chyba nie ma w tym nic niestosownego. Goście już odjechali. Nie musieli się dłużej ukrywać. Po cichu i ostrożnie poszli przed siebie, chyba w głąb domu. Znowu zdjęcia w srebrzystych ramkach. Świeża porcja w nowym miejscu. Lecz wciąż ta sama historia. On i ona ze studentką college'u, on i ona ze studentką w zabłoconym stroju piłkarskim, z pucharem w rękę, on i ona z absolwentką.

Ani głosów, ani kroków.

Poszli dalej, mijając pokój ze ścianami wyłożonymi grubymi panelami akustycznymi, lasem stojących głośników i trzema oddzielnymi fotelami, z których każdy miał własny mechanizm regulujący odchylenie oparcia i uchwyt na kubek. Kino domowe. Reacher nigdy dotąd takiego nie widział, nie w domu.

I absolutna cisza.

Weszli do łukowatego przedsionka salonu. Tu dom z suszonej na słońcu cegły przechodził w dworek myśliwski. Oblicowany sękatymi deskami sufit tworzył na górze ostry szpic w kształcie rozplaszczonej i odwróconej litery V. Pod sufitem wisiały czarne żelazne żyrandole z imitującymi świece żarówkami. Stały tam kanapy z grubej brązowej skóry, długie, szerokie i głębokie, ze złożonymi pledami na oparciach, dla dodania koloru.

Usłyszeli warkot samochodu na podjeździe.

Przytłumiony metaliczny trzask otwieranych i zamykanych drzwi.

Chrzęst kroków na kamienistej ścieżce.

Otworzyły się frontowe drzwi.

Ciężki stukot butów w holu.

Do salonu wszedł doktor Evan Lair. Zobaczył ich i przystanął.

– O, cześć – rzucił po części przyjaźnie, po części pytająco, po części zyczliwie i przyzwalająco, lecz i trochę niecierpliwie, jakby chciał powiedzieć: „Myślałem, że już wszyscy wyszli”.

Wtedy za jego plecami pojawiła się córka, wciąż w długiej, cienkiej bluzce i bikini. Położyła mu rękę na ramieniu i powiedziała:

– Zdaje się, że chodzi o Michaela. Mama z państwem rozmawiała.

Podeszła bliżej i wyciągnęła do nich rękę.

– Hej, jestem Emily.

Uścisnęli sobie dłonie, przedstawili się, Reacher i Chang pogratulowali przyszłej paninie młodej.

W tym momencie wróciła matka.

– Przepraszam – powiedziała, otrzępując ręce. – Zanieśliśmy kawałek ciasta i herbatę ochroniarzowi z portierni. Przynajmniej tyle mogliśmy zrobić. Miał przez nas sporo pracy.

– Czy daliście mu państwo listę gości? – spytał Reacher.

– Musieliśmy.

– W takim razie powinien dostać tylko pół kawałka. Wpuścił nas bez pytania.

– Czy Michael się znalazł? – spytał doktor Lair.

– Tato, przecież wiesz, że nie – odparła Emily.

– I Peter go wreszcie szuka? O to chodzi?

– Wujek szuka go cały czas.

– Ale tu go nie ma. Ani jego, ani Michaela.

– Przepraszamy za najście – powiedział Reacher.

– Niech państwo usiądą – zachęcała Emily. – Proszę.

Skończyli na dwóch kanapach w układzie dwoje na troje, Reacher i Chang w rogach jednej, ze szklanką mrożonej herbaty w rękę i podkładkami na stoliku do kawy w kształcie starego kufra marynarskiego, a naprzeciwko nich rodzina Lairów, rządkiem, z mężem i żoną na końcach i córką pośrodku, długonogą, gibką i złociście opaloną.

– Peter świetnie rozegrał to z tymi od telefonów – powiedział Reacher. – Takie informacje trudno zdobyć.

– Mieszka w Chicago – odrzekła Lydia Lair. – Pomógł mu znajomy znajomego ze związku.

– Jest bardzo dokładny i nie zlekceważyłby natychmiast wersji z kradzieżą telefonu przed lub po podróży pociągiem. W Tulsie albo Chicago. Uznałby, że to możliwe. Ale pomyślałby, że co najmniej równie prawdopodobne jest to, że coś się stało w trakcie tej podróży.

– W pociągu? – spytała Emily.

– Niekoniecznie. Tak się przypadkiem składa, że znamy ten pociąg. W drodze do Chicago zatrzymuje się tylko raz. W małym miasteczku Matczyny Spoczynek.

Siostra McCanna nie zareagowała.

– To kompletne pustkowie. I ostatnie znane miejsce pobytu Keevera. Myślę, że pani brat doszedł do wniosku, że Michael wysiadł właśnie tam. Dlatego jego komórka nie wyszła z martwej strefy i nie złapała zasięgu. Wtedy Peter wysłał tam Keevera.

– To chyba dobrze, prawda? – spytał doktor Lair. – Jeśli Michael tam jest, Keever go znajdzie.

Reacher nie odpowiedział.

– Jak na razie nie ma szczęścia – wtrąciła Lydia. – Peter mówi, że od trzech dni się nie odzywa. Ani słowem. Chyba że ma dobre wiadomości i zaraz do mnie zadzwoni... – Pewnie dopiero teraz zdała sobie sprawę z upływu czasu, bo poklepała się po nadgarstku w poszukiwaniu zegarka, a potem zmrużyła oczy i spojrzała na zegar mikrofalówki w głębi kuchni. – W Chicago już po kolacji. – Wskazała ręką stolik. – Poda mi pan telefon?

Leżał na kufrze marynarskim, obok szklanki Reachera. Większy niż typowy, bardziej powyginany i cięższy. Z lepszego plastiku. Bezprzewodowy i nowoczesny, jak to współczesne telefony, lecz najnowszej generacji. Jeśli się nie psuje, to go nie naprawiaj. Miał przezroczyste okienko z numerami do szybkiego wybierania, a na górze numer abonenta, kierunkowy 480 i siedem cyfr elegancko wypisanych ołówkiem. Reacher podał go jej, a ona sprawdziła, czy jest sygnał.

– Jest – powiedziała. – Działa.

– To duże miasto? – spytała Emily.

– Matczyny Spoczynek? Nie, bardzo małe.

– Dlaczego tak się nazywa?

– Nie wiadomo.

– I Keever od trzech dni przeszukuje małe miasteczko?

– Wszystko zależy od tego, jak dokładnie się szuka – odparł Reacher. – Można spędzić trzy tygodnie, myszkujeć, otwierając każde drzwi i zaglądnąć pod każdy krzak, z bolącymi nogami i otartymi stopami. Taki obraz mam teraz w głowie. Staromodna policyjna robota. Ślad z firmy telefonicznej dzięki koledze ze związku, rozkład jazdy pociągów, zgadywanka „wysiadł czy nie”, fizyczne przeszukanie fizycznie istniejącego miejsca. Czas i przestrzeń. Stal i żelazo. Skórzane podeszwy i nocne wyprawy. Mądrzy ludzie powiedzieliby, że to synonimy.

– Czasem chyba tak trzeba.

– Ale słyszeliśmy, że Peter ma obsesję na punkcie internetu. Dziewiętnaście razy dzwonił do redaktora naukowego z Los Angeles, żeby z nim o tym porozmawiać. A może dzwonił w innej sprawie? Bo gdzie tu związek? Internet w małym miasteczku, w którym nie ma nawet zasięgu?

– Nie, związek jest, nie bezpośredni, ale jest – odparła Lydia Lair. – Peter uważał, że to może być wskazówka, która powie nam, gdzie jest Michael. Że

Michael czatuje z podobnymi ludźmi na ukrytych stronach internetowych. Może jechał gdzieś nie bez powodu. Może z kimś rozmawiał. Przez jakiś czas pokładaliśmy duże nadzieje w panu Westwoodzie. Liczyliśmy na to, że ma do tego klucz. Ale Peter był bardzo uporczywy. A uporczywość nie zawsze popłaca. Sam pan powiedział, dziewiętnaście telefonów. Próbowaliśmy go ostrzec.

– Czy znalazł te strony?

– Pójdę po herbatę – powiedziała Lydia Lair.

Wstała i wzięła dzbanek z marynarskiego kufra. Dzbanek potrącił telefon, który zawirował w miejscu jak leniwy bąk, prawie bez tarcia, plastik na skórze. Reacher zobaczył wykaligrafowany ołówkiem numer, obracający się powoli jak szprycha w kole od roweru. Kierunkowy 480 i siedem cyfr.

„Phoenix. Tam gdzie lecimy”.

„I już tam jedziemy”.

„Zacznij oglądać się przez ramię”.

„W takim razie powinien dostać tylko pół kawałka”.

– Evan, czy mogę zadać panu osobiste pytanie? – spytał.

Lair zareagował jak większość ludzi w takim przypadku, czyli zawahał się, spojrzął na niego pytająco, z udawaną obojętnością wzruszył ramionami i odparł:

– Oczywiście.

– Czy ma pan w domu broń?

– To ważne?

– Pytam tylko z ciekawości.

– Tak, mam.

– Mogę ją zobaczyć?

– Dziwna prośba.

Emily siedziała ze skrzyżowanymi nogami i, zwrócona bokiem do nich, patrzyła to na ojca, to na Reachera, jak na meczu tenisowym.

Chang też.

– Czy trzyma ją pan w sypialni?

– Tak, w sypialni – odparł Lair.

– Lepiej by było w holu. Do napadów w środku nocy dochodzi rzadko. Poza tym ktoś zaspany nieskutecznie się broni. Jest pan praworęczny?

– Tak.



– W takim razie powinien pan ją ukryć po prawej stronie frontowych drzwi, nie dalej niż dwa metry od nich. W komodzie czy szafce. Albo w jakiejś wazie, uchwycem do góry. Na stoliku. Tak byłoby lepiej.

– Jesteście również konsultantami do spraw bezpieczeństwa?

– Oferujemy szeroki wachlarz usług.

– Pan Reacher ma rację, tato – wtrąciła Emily. – Sypialnia jest bez sensu.

– Formalnie rzecz biorąc – odezwała się Chang – radzilibyśmy ukryć sztukę broni palnej w każdej większej strefie domu. W sypialni też, ale również w kuchni, salonie, holu wejściowym, na piętrze, jeśli dom jest piętrowy, w piwnicy, jeśli jest tu piwnica, i w garażu.

– A jeśli ma się tylko jeden pistolet? – spytała Emily.

„Jeden pistolet”, usłyszał Reacher.

– Trzeba postawić na statystykę – odrzekła Chang. – Najwięcej problemów stwarzają drzwi frontowe.

– Poważnie? – spytał Lair. – Mam go przenieść?

– Lepiej spytaj mamę – doradziła Emily.

W tej samej chwili wróciła jej matka z dzbankiem świeżo zaparzonej herbaty i ciastem na talerzu.

– Spytaj mamę o co?

– Czy tato powinien ukryć pistolet w holu – odparła Emily.

– Ale dlaczego?

– Bo tak radzi logicznie myśląca córka i dwoje konsultantów do spraw bezpieczeństwa.

– Ale dlaczego w ogóle o tym rozmawiacie? To ważne?

„Nie możemy jej powiedzieć. Nie teraz”.

– Nie, pytałem z ciekawości zawodowej, to wszystko – odrzekł Reacher i zaraz potem temat broni przebrzmiał jak ostatnia nuta koncertu, zapomniany przez wszystkich z wyjątkiem Chang, która zerknęła na niego, niemo pytając: „Co się, do diabła, dzieje?”.

Podrapał się z roztargnieniem w nos i osłoniwszy dłonią usta, bezgłośnie poruszył wargami. „Wyłącz telefon”.

– Wszystko w porządku? – spytała Lydia Lair.

– Proszę nam opowiedzieć o tych stronach internetowych Michaela.

Powiedziała, że kiedy tylko brat zaczął grzebać w komputerze syna, prawie od razu odkrył dwie rzeczy. Po pierwsze, że oprogramowanie można „zaminować”, tak aby ktoś, kto otwiera historię przeglądania, automatycznie ją wykasował. Chyba że otworzy ją właściwie, czego on oczywiście nie zrobił. Bo nie wiedział jak. Ale tak jak większość ściągniętych programów z sieci, ten też nie należał do doskonałych. Miał małą wadę. Historia przeglądania była widoczna przez pół sekundy. Potem znikała. Puf! I nie ma. Pusty ekran. Koniec pieśni.

Odkrył również, że pół sekundy to bardzo krótko. I bardzo długo. Szybka piłka bez trudu zaliczy w tym czasie trasę od miotacza do pałkarza i z powrotem. A mózg dużo zapamięta. Pod warunkiem że zamiast myśleć, zda się na wiarę. Ot, prastara sztuczka umysłu, siatkówki i tak zwanego powidoku. Lepiej odwrócić wtedy wzrok i przyjrzeć się obrazowi następczemu.

Tylko że obraz ten nic Peterowi nie mówił. Były na nim jedynie długie linie znaków, jakby ktoś przetoczył piłkę po górnej części klawiatury komputera. Kompletny chaos.

– Wtedy – mówiła dalej Lydia Lair – jak to on, dowiedział się wszystkiego, co mógł na temat tego, czemu przyszło mu stawić czoło. Okazało się, że to Głęboka Sieć. O której nikt nie napisał nic użytecznego. Odbyliśmy kilka przerażających rozmów. Myśleliśmy, że nad tym panujemy. Przynajmniej jako tako. Ale nie panowaliśmy. To był ukryty świat, cały świat, o którym nic nie wiedzieliśmy. Świat pełen rozmawiających ze sobą ludzi. Robiących dziwne rzeczy. Jak na filmie science fiction.

– Czy Westwood miał wam pomóc w czymś konkretnym, czy przeprowadzić ogólne śledztwo? – spytał Reacher.

– Nie, w czymś bardzo konkretnym. Wśród użytkowników Głębokiej Sieci narastało przekonanie, że władze pracują nad wyszukiwarką, która potrafi znaleźć ich strony. Czytając jego artykuł, odnieśliśmy wrażenie, że ta wyszukiwarka już istnieje. Peter chciał, żeby Westwood to potwierdził albo zaprzeczył, żeby pomógł mu ją zdobyć.

- To w ogóle możliwe?
- Nawet w piekle jest nadzieja, więc uznaliśmy, że trzeba poruszyć niebo i ziemię. Zaginął jego syn. Mój bratanek.
- Czy podczas tych rozmów Peter mógł coś przed panią zataić? Czy jego opowieści zawsze były spójne?
- Nie rozumiem...
- Nie słyszała pani na przykład o Matczynym Spoczynku.
- Nie, to prawda.
- A czy wspominał kiedykolwiek o dwustu ofiarach śmiertelnych?
- O dwustu ofiarach śmiertelnych? – powtórzyła Emily.
- Nie – odrzekła jej matka.
- Z Keeverem rozmawiał o tym i o tym – ciągnął Reacher. – I Keever tam pojechał. Na pewno nie bez powodu. Mimo to pani o tym nie wspomniał.
- Co się tam dzieje?
- Nie wiemy.
- Peter jest moim starszym bratem, a ja jego małą siostrzyczką. Nigdy o tym nie zapomina. Mnie też nie daje zapomnieć. Ale nie, nie robi tego złośliwie, przeciwnie. Jeśli coś przede mną zataił, to tylko po to, żeby zaoszczędzić mi przykrości.

Zapadła cisza.

Chang wstała.

- Muszę do toalety – powiedziała i Emily wskazała jej drogę.
  - Czy macie państwo plany na kolację? – spytał Reacher.
  - Jeszcze o tym nie myślałam – odrzekła Lydia Lair.
  - Moglibyśmy gdzieś pójść.
  - Kto?
  - My wszyscy.
  - Dokąd?
  - Dokądkolwiek państwo chcą. Choćby zaraz. Ja stawiam. Dajcie się państwo zaprosić.
  - Ale dlaczego?
  - Mielście ciężki dzień.
- Wróciła Chang. Przystanąła u wejścia do salonu.
- Reacher – powiedziała, gdy spotkali się wzrokiem – jeśli chcesz skorzystać, toaleta jest tutaj.

– Dobrze.

– Mogę ci pokazać.

– Kiedy nadejdzie pora, na pewno ją znajdę.

– Ona chce porozmawiać z panem w cztery oczy – szepnęła Emily.

Reacher wstał i wyszedł do holu.

– Myślisz, że wpadną tu kumple Hacketta? – spytała Chang.

– Powinniśmy być bardziej ostrożni z telefonem. Mogą mieć nasłuch w całym kraju. Jeśli tak, właśnie wydaliśmy im siostrę McCanna. Rozmawiałaś z Westwoodem, przekazałaś mu wszystkie szczegóły. Nie możemy zostawić ich samych. Nie tutaj. Nie teraz. Albo gdzieś ich wyciągniemy, albo spędzimy tu noc. Ochrona bezpośrednia. Szeroka gama usług.

– Wołałabym wyjść...

– Zaprosiłem ich na kolację.

– Ten facet w portierni jest beznadziejny.

– Gdzie jest sypialnia?

– W drugim skrzydle. Trzeba przejść przez salon.

– Ty ich zaproś. Mnie wzięli chyba za dziwaka.

– Mnie też wezmą. Nie znamy ich. Poza tym odliczają minuty do starannie zaplanowanego ślubu. A dwoje obcych przychodzi i zaprasza ich nagle na kurczaka do KFC. Pomyślą, że nam odbiło.

– Powiedziałem, gdzie chcę. Nie musimy jechać do KFC.

– Wszystko jedno.

Usłyszeli samochód na podjeździe.

Przytłumiony metaliczny trzask otwieranych i zamykanych drzwi.

Chrzęst kroków na żwirze.

•••

Zgodnie z obowiązującym w motoryzacji trendem nowoczesny samochód powinien mieć maksymalnie cztery miejsca siedzące. Niektóre sedany mają pięć, niektóre minivany siedem, ale żaden twardeł nie dorasta, marząc o tym, żeby siedzieć w wale korbowym, a w minivanie jest się mało skutecznym. Tak więc w najgorszym wypadku przyjechałoby czterech. W najlepszym – jeden. Ale najprawdopodobniej przyjechało dwóch albo trzech. Reacher odwrócił się i ruszył przez salon, planując trasę na kilka kroków naprzód, idąc najprostszą

z możliwych, ocierając się o kanty stolików i oparcia foteli, jak podczas slalomu, wyścigu z czasem. Zaskoczeni Lairowie zamarli rzędem na kanapie, Lydia, Emily i Evan, Iniana długa sukienka, bluzka na bikini, szorty i krzykliwa hawajska koszula. Gapili się na niego, nic z tego nie rozumiejąc, więc uspokoiwszy ich gestem rąk, kazał im zostać na miejscu i szybko poszedł dalej; za salonem skręcił w krótki korytarz z kolejną porcją oprawionych w srebrzyste ramki zdjęć nieznanymi mu ludzi, pewnie krewnych, w tym szczupłego mężczyzny i smutnego chłopca, możliwe, że Petera i Michaela McCannów. W końcu znalazł sypialnię.

Kobiety sypiają zwykle bliżej toalety, podpowiedziała mu tylna część mózgu, więc obszedł zawalone poduszkami wielkie łóżko i stanął przy stoliku nocnym, na którym nie było nic oprócz budzika i nieprzeczytanej książki.

Usłyszał, jak tamci próbują wyważyć frontowe drzwi.

Otworzył szufladę: okulary, tabletki od bólu głowy, chusteczki higieniczne i colt python z sześciocalową lufą. Orzechowe wykładziny na uchwycie, frezowane i na błysk polakierowane, błękitna stal potężnego szkieletu i krępe naboje w bębenku. Magnum kalibru .357. Niezła zabawka, nic, tylko obudzić się i strzelać. Z jednej strony mądry wybór. Szczyt prostoty: nic nie mogło się w nim zaciąć, nie miał nawet bezpiecznika. Z drugiej – absolutna głupota. Ważył półtora kilo. Był zbyt ciężki, żeby strzelać z niego w półśnie. Miał tak silny odrzut, że ręka przebiłaby wezglowie.

Reacher otworzył bębenek. Nabity. Sześć nabojów. Żadnego nie brakowało.

Usłyszał kroki w holu.

Byli już w środku. Półtora metra na prawo od drzwi. Dwóch. Trzeci poszedł pewnie od tyłu. Jeśli przyjechało trzech. Ładnie zaprojektowaną ozdobną ścieżką z lampami na baterie słoneczne, przez furtkę.

„Witajcie, jak to miło, że wpadliście. Zapraszam”.

Brak zapasowych nabojów w szufladzie.

Sześć w magazynku.

Reacher stanął przy drzwiach. Ciężkie kroki w holu, wciąż je słyszał. Wyszedł z sypialni i ruszył korytarzem; znowu minął po drodze zdjęcia w srebrzystych ramkach, ostrożnie, bokiem, z rewolwerem w wyciągniętych rękach, nie spuszczać z oczu muszki, wyraźnej i ostro zarysowanej, podczas gdy wszystko inne tonęło we mgle, w miękkim świetle cieniściego domu z zamkniętymi okiennicami.

Przystanął przed wejściem do salonu. Po lewej stronie siedzieli na kanapie Lairowie, wciąż bez ruchu, lecz zaczęli już reagować. Szok ustępował miejsca strachowi. A w przypadku Emily – oburzeniu. Ona ruszy do ofensywy, rodzice przejdą do defensywy. Po prawej stała kanapa, na której siedział z Chang, a dalej były częściowo zasłonięte drzwi.

I zarys poruszającego się ramienia. Sylwetka na jasnym tle. Napięte, napakowane mięśnie, nic, tylko działać.

Za rozsuwanymi drzwiami po lewej zobaczył kogoś w ogrodzie. Najpierw za stołem z prezentami. Potem na otwartej przestrzeni. Czarny podkoszulek, czarne spodnie. I ruger P-85 z tłumikiem. Wzdłuż uda, z wylotem lufy na wysokości cholewki buta. Też czarnego. Ubrali się przyzwoicie, musiał to przyznać.

Gdzie jest Chang?

Nie chciał strzelać, nie wiedząc, gdzie się podziała. Nie nabojami magnum. Nie w jej stronę. Za dużo cieni. Oślepiających kontrastów. I zwariowanych konsekwencji. Rykoszetujący na kości pocisk tego kalibru przebijał ściany. W liczbie mnogiej. Mógł przelecieć przez dom i wybić szybę u sąsiadów.

Gdzie ona jest?

Emily nabierała właśnie powietrza, żeby krzyknąć, przeraźliwie wrzasnąć, w naturalnej pierwotnej reakcji, instynktownej obronie rodziny i terytorium, do czego w jej przypadku dochodziło słuszne oburzenie, że jak to? Kto, do diabła, śmie psuć najważniejszy tydzień mojego życia, za kogo oni się uważają? Evanowi, człowiekowi bystremu, spokojnemu, przyzwyczajonemu do wszelkiego rodzaju katastrof, będącemu za pan brat z nauką, zdrowym rozsądkiem, badaniami, dowodami i starannymi diagnozami, iskrzyły wszystkie obwody, ale ponieważ jego umysł wciąż tego nie ogarniał, ciało czekało na ostateczną decyzję. Lydia, żona i matka, siostra i ciotka, wcisnęła się w róg kanapy, uciekając w głąb siebie, a może cofając się do swojej poprzedniej, być może prawdziwszej, twardszej wersji Lydii McCann, dla której trzask pękającego drewna i ciężkie kroki nigdy nie wróżyły nic dobrego.

Mężczyzna z ogrodu rozsunął drzwi, wszedł do środka i w tylnej części mózgu Reachera zamigotały neonowe strzałki, pokazując mu plan czekającej go rozgrywki, całą partię szachów, od początku do końca, w najdrobniejszych, najbardziej groteskowych szczegółach: szybki obrót w lewo, jeden strzał w pierś intruza z ogrodu, nie w głowę, tylko w pierś, ponieważ istniało mniejsze prawdopodobieństwo, że kula przeszyje ją na wylot, co – zważywszy sąsiadów za

kilkoma drewnianymi płotami – miało swoje zalety, ale gdyby ją jednak przeszyla, Lairowie skąpaliby się w gęstej różowej mgielce z krwi, włosów i całej reszty, co z kolei zalet nie miało żadnych, przeciwnie, byłoby bardzo traumatyczne, zwłaszcza w tak ważnym dla nich tygodniu, ważnym, choć w sumie już i tak zepsutym, ponieważ neonowe strzałki mówiły, że kiedy tylko ten z ogrodu zacznie osuwać się na podłogę, lufa rewolweru właściciela domu przesunie się błyskawicznie w prawo, wypływając dwie kule w miejsce, gdzie mignęła sylwetka napakowanego ramienia, które to kule mogły trafić lub nie, ale dałyby mu sekundę na skok w stronę kanapy, gdzie leżałby już ruger tego z ogrodu, czym zyskałby piętnaście nabojęw kosztem ledwie trzech wystrzelonych.

Reacher nie zrobił jednak żadnej z tych rzeczy, ponieważ właśnie odkrył, gdzie jest Chang. Pojawiła się w kadrze u wejścia do salonu, szarpiąc się z dwoma osiłkami, z których jeden przystawiał jej lufę pistoletu do głowy i zatykał usta, a drugi wykręcał ręce. Kolejny pistolet z tłumikiem i kolejny ruger. Ze względu na długość chybotliwy i nieporęczny, zwłaszcza w tej sytuacji. Ale bez wątpienia skuteczny.

Reacher położył rewolwer na podłodze, po cichu, w cieniu otulającym dolną listwę, pod ostatnim w rzędzie zdjęciem w srebrzystej ramce.

Potem wszedł do salonu.

Gdy ten z ogrodu znalazł się w środku, weszli i jego kumple, rozstawiając się w dużych odstępach po łagodnym łuku i gwałtownie popychając Chang, aż upadła na kanapę, przytrzymała się oparcia, odwróciła i przycupnęła na jej brzegu. Reacher usiadł na podłokietniku, powoli i swobodnie, nie chcąc, żeby tamci dostrzegli w nim zagrożenie; pragnął zakotwiczyć się w tej części pokoju, wiedząc, że stojącemu zawsze każą usiąść i jeszcze mówią gdzie, a rzadko kiedy czepiają się siedzącego. Tuż obok miał Evana, potem odchyłoną do tyłu Emilię, dalej pochyloną do przodu zdyszana Chang i wreszcie też odchyłoną do tyłu Lydię. Dla trojga było tam sporo miejsca, ale piątka tworzyła już tłum. I jednolity cel. Z trzech punktów mierzyły w nich trzy rugery, jak na diagramie pola ostrzału w starym podręczniku dla piechoty.

Trzy pistolety, trzech strzelców. Błada cera, czarne ubrania, ogolone na łyso łby. Byli duzi i ciężcy, ale jakby trochę zbyt kanciąści. Mieli wystające kości policzkowe. Mocne zawirowania w DNA, i to całkiem niedawne. Z Europy? Możliwe. Ze stepów na wschodzie. Wszyscy przeciwko wszystkim, i tak od tysiąca lat. Uspokoił się już, rozeznali w sytuacji, odhaczyli co trzeba i zaczęli właśnie myśleć. W normalnych okolicznościach Reacher powiedziałby, że wiedzą, co robią, ale chyba jednak nie wiedzieli. W każdym razie nie na sto procent. Już nie. Improvizowali. Albo przygotowywali się do improwizowania. A przynajmniej brali to pod rozwagę. Jakby grając w szachy, stanęli na rozdrożu. Skoczkiem w lewo czy wieżą w prawo? Dostępne opcje. Wolność wyboru. Niebezpieczna rzecz. Zawsze.

Nie poruszali się. Nie odzywali. Z cieniem uśmiechu na ustach. Ciszę przerwał ten pośrodku.

– Powiedziano nam, że znajdziemy tu mężczyznę i kobietę, którzy będą rozmawiali z inną kobietą.

Dobra angielszczyzna i niezły amerykański akcent, choć z przytłumioną słowiańską nutką. Europa Wschodnia, na pewno. Człowiek humorzysty i udręczony, ktoś, kogo życie było morzem kłopotów.



Nikt mu nie odpowiedział.

– Tymczasem znajdujemy dwóch mężczyzn i trzy kobiety – ciągnął. – W tym Chinę. Co jest bardzo mylące. Dlatego powiedzcie mi, proszę, kto z was rozmawiał z kim.

– Nie jestem Chiną, tylko Amerykanką – zaprotestowała Chang. – A rozmawialiśmy wszyscy. Każdy z każdym. My z nimi, oni z nami. A teraz ja zadam wam pytanie. Kim, do diabła, jesteście i czego tu chcecie?

– Jedna z was jest czyjąś siostrą – odparł tamten.

Nie odpowiedzieli.

– Nie wiemy, czy ten ktoś jest Chińczykiem – dodał mężczyzna. – Co by nam trochę pomogło.

Cisza.

– Która z was jest czyjąś siostrą?

– Na pewno nie ja – odrzekł Reacher.

– Masz siostrę, mądralo? Może powiesz nam, gdzie mieszka?

– Gdybym miał, tobym powiedział. Spuściłaby wam manto i miałbym to z głowy.

Mężczyzna spojrział na drugi koniec kanapy. Na trzy kobiety.

– Która z was jest siostrą?

Brak odpowiedzi.

– Która z was rozmawiała z siostrą?

Cisza.

Mężczyzna przeniósł wzrok z powrotem na nich.

– Który z was jest tym, który rozmawiał z siostrą?

Oni też nie odpowiedzieli.

– Jest wiele kombinacji – ciągnął napastnik. – Jak na egzaminie w instytucie matematyki. Ile razy muszę sięgać po omacku do szuflady, żeby dobrać parę skarpetek? Ale tutaj odpowiedź jest przynajmniej oczywista nawet dla najgłupszego studenta. Moglibyśmy wyjąć wszystkie skarpetki, czyli zastrzelić was wszystkich. To gwarantowałoby poprawny wynik. Ale wtedy zabilibyśmy pięć osób za cenę trzech. A cena została ustalona. Po odejściu od kasy reklamacji się nie uwzględnia. Nie będzie żadnych renegocjacji. Grubas ma swoje zasady.

Cisza.

Mężczyzna spojrział na Laira.

– Czym się pan zajmuje?

Evan otworzył usta raz, potem drugi, wreszcie za trzecim razem odparł:

– Jestem lekarzem.

– Pracuje pan za darmo?

– Nie, raczej nie.

– Głupie pytanie, prawda? Lekarze pracują za darmo?

– Niektórzy.

– Ale pan nie.

– Nie, ja raczej nie.

– Myśli pan, że powinienem pracować za darmo?

Lair wziął oddech i wypuścił powietrze. Zupełnie się zaplątał.

– Panie doktorze – drążył mężczyzna – to proste pytanie. Nie chodzi mi o diagnozę. Pytam tylko, czy według pana powinienem pracować za darmo. Skoro pan nie pracuje.

– Czy to ważne, co myślę?

– Chcę, żebyśmy poczuli się swobodnie. Żebyśmy się co do tego zgodzili. Każdy powinien otrzymać wynagrodzenie za swoją pracę. Proszę mnie poprzec.

– Dobrze, każdy powinien otrzymać wynagrodzenie.

– Za co?

– Za swoją pracę.

– A czy za wykonanie pięciu zadań powinien otrzymać większe niż za wykonanie trzech?

– Chyba tak.

– Ale skoro cena jest z góry ustalona, to przecież nie może, prawda? Nic więcej z tego nie wyciśnie. Niestety, dla nas to zła wiadomość. Ale dla was dobra. Zrobimy tylko to, za co nam zapłacono. Bez darmowych próbek. Macie szansę na przeżycie.

Czterdziestoprocentową, podpowiedziała Reacherowi tylna część mózgu, automatycznie i natychmiast. Jeśli będą strzelać na chybił trafił. Ale dlaczego mieliby strzelać na chybił trafił? Kazano im zabić mężczyznę i dwie kobiety. Wtedy szanse Evana wzrosłyby do pięćdziesięciu procent. A Chang spadały z czterdziestu do trzydziestu trzech.

– Oczywiście wadą tego planu jest to – ciągnął tamten – że możemy pozostawić przy życiu niewłaściwe dwie osoby. Co jest nie do przyjęcia. Pan też kieruje się na pewno określonymi standardami zawodowymi. Nie, problem trzeba rozwiązać

inaczej. Musimy pomyśleć lateralnie. Znaleźć inny sposób zapłaty. Pomoże nam pan?

– Nie trzymam pieniędzy w domu – odparł Evan.

– Panie doktorze, nie proszę, żeby zapłacił pan za swoją własną egzekucję. To byłoby okrutne. Czy w sytuacji, w jakiej się znaleźliście, jest coś, co mogłoby zrekompensować tę stratę mnie i moim partnerom?

Lair nie odpowiedział.

– Niech pan będzie kreatywny, doktorze. Niech pan pomyśli nieszablonowo. Jeśli nie pieniądze, to co?

Cisza.

Mężczyzna spojrzął na Emily.

– Jak ci na imię, skarbie?

– Nie – zaprotestował Evan.

Mężczyzna przeniósł wzrok na Chang.

– Ją też.

Emily podciągnęła kolana, otuliła się bluzką i wcisnęła w oparcie kanapy. Ojciec zasłonił ją własnym ciałem.

Tamten zmierzył go wzrokiem.

– Jeśli będzie pan grzeczny, zastrzelimy pana jako pierwszego. Jeśli nie, każemy panu patrzeć.

Stali w równych odstępach na łuku ćwiartki okręgu. Jak na bazach. Tylko znacznie bliżej. Ostatecznie byli w pokoju, a nie na stadionie baseballowym. W pokoju przestronnym, mimo to w pokoju. Ten na pierwszej bazie, po prawej, stał nieco ponad dwa metry od Reachera. Ten na trzeciej, po lewej – najdalej, bo jakieś cztery i pół metra. Ten na drugiej, ich rzecznik gaduła, w połowie odległości między nimi, na prostej biegnącej od Reachera do frontowych drzwi, niecałe cztery metry od niego.

Trzech baseballistów. Prokurator okręgu Maricopa nazwałby ich bez wątpienia napastnikami. Jak w komunikacie: „W ekskluzywnym osiedlu mieszkaniowym na północno-wschodnich przedmieściach Phoenix doszło dzisiaj do tragicznego napadu. Materiał filmowy o dwudziestej trzeciej”. Dla policji byłiby sprawcami. Dla adwokatów klientami. Dla polityków szumowinami. Dla kryminologów socjopatami. Dla socjologów ludźmi nierozumianymi.

Żandarmi ze Sto Dziesiątej Specjalnej Jednostki Dochodzeniowej nazwałby ich chodzącymi trupami.

– No to zaczynajmy – odezwał się gaduła z drugiej bazy.

Podciągnięte kolana, ręce kurczowo zaciśnięte na kostkach u nóg – Emily rozpaczliwie wciskała się w wełniany pled na oparciu kanapy. Jakby o połowę zmalała. Chang też nie zamierzała nigdzie iść. Siedziała twardo z rozpląszczonymi na kanapie dłońmi, wyprostowanymi nogami i obcasami butów dosłownie wbitymi w dywan, jak hamujący z poślizgiem Struś Pędziwiatr.

– Zaczynam tracić cierpliwość – rzucił gaduła.

Wilgotne usta.

Ruchliwe oczy.

Natarczywość w głosie.

I brak reakcji.

Reacher wypuścił powietrze, uspokajającym gestem podniósł rękę i zaczął się podnosić, powoli, ostrożnie, starając się nie stwarzać niebezpieczeństwa, bez gwałtownych ruchów, i jednym bokiem zwrócony do napastników, drugim do siedzących na kanapie, powiedział:

– Chodź, Emily, miejmy to już za sobą. I tak się do ciebie dorwę. Lepiej to sobie ułatwić.

– Co takiego?! – krzyknęła.

Reacher nachylił się, chwycił ją za rękę i pociągnął. Evan natychmiast wstał, żeby jej bronić, Chang i Lydia też, wszyscy spanikowani, bez tchu, z niedowierzaniem w oczach. W salonie wyrosła nagle grupka ludzi, ściśnionych i miotających się na dywanie między kanapami, zataczających się, wpadających na siebie i zerkających rozpaczliwie to w lewo, to w prawo.

Chwila prawdy.

Baseballiści nie zareagowali. Gdyby byli mądrzy, zrozumieliby, że na ich oczach wszystko bierze w łeb, i otworzyliby ogień, natychmiast, bez wahania. Ale oni myśleli już o swoim własnym planie, o tym, co zaraz będzie, jak to będą robili, o obietnicy niewysłowionych przyjemności fizycznych, tymczasem dwa najważniejsze źródła nadchodzącej nirwany tkwiły w rozedrganej grupce pięciu osób – mogło zaraz dojść do strat ubocznych, a nie chcieli, żeby do nich doszło. Nie tak szybko. Pragnęli, żeby były całe, świadome, żeby reagowały, gładkie i opalone, w bikini, podkoszulku i biodrówkach. Dlatego nie strzelali. Bo nie myśleli. A już na pewno nie głową.

Oby tak dalej.

Reacher pchnął Evana w jedną stronę, Chang w drugą i wyciągnął Emily z tłumu. Dziewczyna szarpała się i wrywała, tłukła go łokciami i kolanami, ale on obrócił ją i pchnął mocno w stronę holu ze zdjęciami krewnych w srebrzystych ramkach.

– Sypialnia jest tam – warknął.

Lair podbiegł bliżej i chwycił córkę za ręce, jego żona też, zaraz po nim dołączyła do nich i Chang, a za nią ruszył ten z pierwszej bazy, nagle zaniepokojony chaosem, wraz z gadułą i zawodnikiem z trójki, który zamykał pochód. Osiem szamoczących się i potykających niezdarnie osób ściśniętych niemal do pojedynczego rzędu w wąskim, ciemnym korytarzu.

Reacher pochylił się i podniósł rewolwer, obiema rękami, żeby broń nie prześlizgnęła się po wypolerowanej podłodze. Objął dłonią solidny, dodający otuchy uchwyt, wsunął palec do kabłąka, oparł go na twardym spuście, podniósł broń, półtora kilo błękitnej stali, lewą ręką pchnął Lydię w dół, aż ugięły się pod nią kolana, a gdy upadła, wymierzył ponad prawym ramieniem Chang i wypalił w środek twarzy zawodnika z pierwszej bazy.

Celność rewolweru lub pistoletu zależy od wielu czynników. Najważniejszym jest prędkość wylotowa pocisku oraz długość lufy, lecz wpływ na nią ma również aerodynamika, szczegóły takie jak choćby liczba wywołanych przez bruzdy obrotów pocisku, która może być większa lub mniejsza, zależnie od gwintu i samego pocisku. Znaczenie ma także precyzja wykonania, staranna maszynowa obróbka dobrej jakości stali zamiast podłego żeliwa. Tyle że przy strzale z dwóch i pół metra nie ma to żadnego znaczenia. Trafisz w zmarszczkę po prawej stronie czy w przyszcz po lewej, skutek będzie taki sam. Ludzka twarz jest stosunkowo dużym celem, zwłaszcza z niewielkiej odległości, a gęba tego z pierwszej bazy nie stanowiła wyjątku.

Reacher strzelał z bliska, pociskiem magnum, było więc oczywiste, że kula musi przejść na wylot. W ścianie sześć metrów za głową baseballisty natychmiast powstał krater wielkości wazy ponczowej, a koszmarny ułamek sekundy później z mokrym plaśnięciem wypełnił ją mózg, czerwono-szaro-fioletowy. Podczas gdy baseballista wciąż osuwał się pionowo na podłogę, jakby wpadł do pustego szybu windy, Reacher obrócił się minimalnie w lewo, tylko od pasa w górę, z napiętymi ramionami, szukając gracza z trzeciej bazy, tego, który był najdalej, ponieważ tylna część mózgu podpowiadała mu, że właśnie ten ma najlepszą linię strzału i nie ślini się tak bardzo jak jego kumpel z dwójki, że jest prawdopodobnie mniej

zainteresowany perspektywą rozrywki i może zacząć strzelać, nie zważając na ryzyko uszkodzenia ciał i przedmiotów.

Reacher łagodnie nacisnął spust. Obróciły się dzwignie, krzywki i trzpienie, gładko i bez wysiłku. Rewolwer wypalił, w jego umyśle dopiero po chwili, z przyzwrotną przerwą po pierwszym strzale, lecz w rzeczywistości było to szybkie, podwójne pach-pach, a raczej bum-bum, ot, robiący swoje rzemieślnik, który spokojnie wykorzystuje wrodzony dar. I znowu, co było nieuniknione, pocisk przeszedł na wylot – przebił górną wargę, i wyleciał u podstawy czaszki, roztrzaskując przy okazji rozsuwane drzwi i roznosząc w pył stertę prezentów na stole, które eksplodowały w chmurze kawałków papieru jak srebrzystobiałe confetti. Posłuszna prawu grawitacji przestrzelona szyba osunęła się w ramie jak szklany wodospad i z taką samą prędkością osunął się na podłogę zawodnik z trzeciej bazy posłuszny temu samemu prawu. Ich zsynchronizowany ruch mignął Reacherowi przed oczami, ale tylko mignął, ponieważ oczy szukały już ostatniego celu, tego, który wcześniej stał na drugiej bazie.

W tym momencie rozpoczął się prawdziwy wyścig, a on go przegrywał. Jeden przeciwnik to betka, dwóch też nie stanowiło większego problemu, ale trzeci mógł narozrabiać. Huk, a zwłaszcza widok padających jak muchy kumpli, na pewno zmusił go do skupienia, co gorsza, dał mu czas na wejście do gry, na reakcję, bo wreszcie zdał sobie sprawę, że... a tak, rzeczywiście, przecież mam w ręku broń! Podnosił ją wolniej niż zwykle, ponieważ pistolet miał tłumik i był dwa razy dłuższy od tego z pamięci mięśniowej, no i cięższy, więc mniej poręczny, co dawało Reacherowi lekką przewagę, bo skracało trawers. Lufa rewolweru dotarła prawie na miejsce, od celu dzieliły ją ledwie centymetry. A więc gra się skończyła, mimo to Reacher przesunął lufę dalej, wydawało się, że beznadziejnie wolno, jakby wpychał rękę do wiadra zgęstniałej, zimnej melasy, z lewym okiem na muszce Pythona, prawym na wylocie tłumika, wciąż eliptycznym, choć już tylko trochę.

Jeszcze trzydzieści centymetrów i...

Gwałtownie przesunął lufę w dół, ścinając kąt strzału, chlasnął nią jak biczem, głównie po to, żeby zwiększyć prędkość i moc, ale i dlatego, że baseballista był najszerszy w ramionach, a on nie mógł sobie pozwolić na luksus starannego celowania. Python to rewolwer typu *double action*, wyposażony w mechanizm samonapinania, co znaczy, że nacisk na język spustowy napina i zwalnia kurek, dlatego Reacher zaczął napinać go wcześniej, obracając bębenek, kiedy broń była

jeszcze w ruchu, widząc podnoszący się kurek, czując, jak poruszają się dźwignie, krzywki i trzpienie, zwlekając i wreszcie strzelając z wiarą w milisekundowe wycucie czasu, wielkość odchylenia, moment pędu i skomplikowane czterowymiarowe obliczenia.

Innymi słowy, z wiarą w cud.

I cud się zdarzył.

Bo tamten nie odpowiedział ogniem, a z jego szyi odpadł kawał krwistego befsztyka, którym można by nakarmić całą rodzinę.

Potrójny aut.

Bez asysty.

Baseballowa nieśmiertelność.

Kula przebiła drzwi do damskiej toalety i roztrzaskała lampę w holu. Mężczyzna osunął się z głuchym stukotem, ruger też zaklekotał chyba na podłodze, ale Reacher tego nie słyszał, ponieważ ujemną stroną strzelania nabojami magnum jest głuchota, co najmniej chwilowa, zwłaszcza gdy strzela się w zamkniętym pomieszczeniu. Pozostali znieruchomieli z szoku, zastygli bez ruchu jak oświetleni lampą stroboskopową czy błyskawicą. Siostra McCanna klęczała z szeroko otwartymi ustami, przeraźliwie krzycząc, Emily przykucnęła pod ścianą. Całkiem zrozumiałe. Wystrzał z magnum brzmi w domu jak wybuch granatu ogłuszającego. A tu wybuchły trzy.

Potem syk i przytłumiony ryk w uszach trochę przycichły i wszyscy ożyli. Chang podbiegła do Emily. Evan pomógł wstać żonie i zajrzał do salonu, lecz natychmiast zawrócił i popędził ich do sypialni, dobitnie kręcąc głową i w kółko powtarzając:

– Tam nie, tam nie, tam nie.

Reacher podejrzewał, że nie z psychicznego dyskomfortu, bo ostatecznie był lekarzem, i tak dalej, że chciał po prostu zaoszczędzić rodzinie widoku. Chociaż z drugiej strony, byli na pewno w sklepie mięsny i jakoś to przeżyli. Z tym że trzech facetów to naprawdę kupa padliny. A może bał się, że zadepczą dowody na miejscu zbrodni. Za dużo telewizji.

Rodzina usiadła na łóżku. Byli teraz jakby mniejsi, nie licząc oczu. Wszyscy ciężko oddychali, wszyscy próbowali jakoś to znieść. Chang nerwowo chodziła. Reacher wytarł rewolwer i położył go na stoliku nocnym.

– Trzeba zawiadomić policję – wychrypiał Lair. – To nasz obowiązek.

– Tak, panie doktorze – zgodziła się z nim Chang. – Tak bym radziła. Musicie zrobić to pierwszy.

– Peter nie żyje, prawda? – spytała Lydia McCann.

Chang i Reacher nie odpowiedzieli.

– Dopadli go i przyszli po mnie. Bo myślą, że wiem to co on. Wie albo wiedział. Wszyscy tak uważają. Wy też.

– Nie mamy dowodu ani nawet wiarygodnych zeznań – odrzekła Chang. – Byłoby bardzo niewłaściwe, gdybyśmy coś powiedzieli. Zresztą najpierw trzeba zawiadomić Michaela.

– On też pewnie nie żyje.

– Nie mamy żadnych informacji na ten temat.

W pokoju zapadła cisza.

– Co my teraz zrobimy? – spytał po chwili Lair.

– Z czym? – nie zrozumiał Reacher.

– Mamy w domu trzy trupy.

– Po sprawdzeniu okaże się, że to męty. Więc uznają, że działaliśmy w obronie własnej. Wtargnięcie, napad, wyciszona broń, groźba gwałtu. Do więzienia za to nie pójdziemy. Co więcej, pogłaszczą nas po głowie i pochwalą. Z tym że ja za tym nie przepadam. Wolałbym, żeby o mnie nie wspomiano. Jakby w ogóle mnie tu nie było. Cały splendor powinien spłynąć na pana, doktorze. Niech pan pobawi się rewolwerem. Zostawi na nim odciski palców. Zafunduj panu roczne członkostwo w eleganckim klubie golfowym. Nie będzie pan mógł opędzić się od pacjentów. Evan Lair, wojowniczy doktorek.

– Pan poważnie?

– Wszystko mi jedno, jak to się skończy. I tak mnie nie znajdą. Ale byłbym wdzięczny za małą przewagę na starcie. Pani Chang i ja mamy sporo roboty. Bardzo byście nam pomogli, gdybyście odczekali pół godziny i dopiero potem zadzwonili na policję. Powiedzcie im byle co. Że byliście w szoku. Stąd zwłoka.

– Pół godziny – powtórzył Evan.

– Tak, szok może tyle trwać.

– Dobrze.

– Ale kiedy już będziecie zeznawali, powiedzcie, że tylko dwóch miało broń.

– Dlaczego?

– Ponieważ jeden pistolet pojedzie z nami. A niektórzy gliniarze umieją liczyć do trzech.



– Dobrze. Pół godziny. Dwa pistolety. Jeśli tylko sobie poradzę. Z policjantami źle mi się rozmawia.

Reacher spojrział na Emily.

– Bardzo mi przykro, że zepsuliśmy pani tak ważny tydzień.

– Nie, nie, chcę wam bardzo podziękować...

– Nie ma za co.

Wyszedł, a za nim Chang, która przystanęła na chwilę, żeby objąć Lydię i w odpowiedzi na jej nieme pytania szepnąć:

– Bardzo mi przykro z powodu pani straty.

Potem zamknęli drzwi i poszli korytarzem do salonu, mijając po drodze rząd zdjęć w srebrzystych ramkach. Najpierw zobaczyli tego z pierwszej bazy, ale leżał pod dziwnym kątem i tłumik był zanurzony w kałuży krwi z resztek głowy. Tłumiki mają w środku albo specjalną wykładzinę, albo komory połączone drobnymi kanalikami, a ponieważ jedno i drugie dobrze chłonie płyny, bez końca strzelaliby krwią. Dlatego poszli dalej. Baseballista z trójki leżał trochę dalej, więc Chang przykucnęła przy gadule z dwójki. Przykucnęła i chociaż w FBI pracowała przy biurku, śmiało podniosła z podłogi rugera.

I znieruchomiała.

– Reacher – szepnęła. – Ten jeszcze żyje.

Reacher przykucnął. Chang przykłęka. Mężczyzna leżał na plecach z rozrzuconymi nogami i rękami. Nieprzytomny. W głębokim szoku albo w śpiączce. Albo w jednym i drugim. Miał rozharataną szyję. Połowy brakowało. Cuchnął brudnym ubraniem, potem i metalicznym zapachem krwi. Cuchnął śmiercią.

Ale miał słaby oddech i nitkowaty puls.

– Jakim cudem? – szepnęła Reacher. – Kula wyrwała mu kawał szyi wielkości steku dla całej rodziny.

– Widocznie steku bez kości – odszepnęła Chang.

– Co robimy?

– Nie wiem. Nie możemy wezwać karetki. Przyjadą z policją. Zawsze tak robią, kiedy chodzi o postrzał. Stracilibyśmy przewagę. Z drugiej strony, facet wygląda naprawdę kiepsko. Trzeba z nim do lekarza, jak najszybciej.

– Evan jest lekarzem.

– Ale jakim, od czego? Spójrzy na niego i sam wezwie karetkę. Natychmiast. A potem osobiście zadzwoni na policję. Też natychmiast. Te pół godziny spłoszyło go jak cholera.

– Możemy zostawić go i wyjść. Kto by się dowiedział?

– Zbyt ryzykowne ze względu na Evana. Ten tutaj może przeżyć. Wszystko by się wydało. Lekarz, który olał umierającego, żeby posiedzieć spokojnie w sypialni. Tak by o nim pisali.

Reacher przytknął czubki palców do szyi nieprzytomnego, do jej ocalałego fragmentu tuż nad raną, pod uszami, w okolicy stawu skroniowo-żuchwowego.

Przytknął je i przytrzymał.

– Co ty robisz? – spytała Chang.

– Uciskam arterie doprowadzające krew do mózgu.

– Tak nie można.

– Dlaczego? Zamordujesz gościa raz i wszystko jest cacy, zamordujesz go drugi raz i to już be?

– To nie w porządku.

– Było w porządku, kiedy ten skurwiel chciał cię zgwałcić z pistoletem w rękę. I co, nagle się zmienił? Stał się świętym męczennikiem, którego trzeba natychmiast zawieźć do szpitala? Kiedy, bo jakoś nie zauważyłem?

– Ile to potrwa?

– Chwilę. I tak kiepsko się czuł.

– To takie... niewłaściwe.

– Robimy mu przysługę. Jak koniowi ze złamaną nogą. Tej szyi nikt by mu nie zacerował.

Zadzwoniła komórka.

Głośno i wyraźnie. Przeszywająco. Chang wyjęła ją, odsunęła się, pochyliła i odebrała. Przez chwilę słuchała. Potem coś szepnęła. I rozłączyła się.

– Kto to? – spytał Reacher.

– Westwood. Już wylądował.

– Dobrze wiedzieć.

– Powiedziałam, że oddzwonimy.

– Tak będzie najlepiej.

– Lairowie słyszeli dzwonek. Wiedzą, że wciąż tu jesteśmy.

– Pomyślą, że dzwoniła komórka któregoś z tych tu. W kieszeni. Nie zwrócą uwagi.

– On ciągle żyje?

– Już niedługo. Nic nie czuje. Zasypia, i tyle. – Reacher wyprostował się i sprawdził puls. Pulsu nie było. – Chodźmy – powiedział.

•••

Samochód stał sto metrów dalej, bo kiedy przyjechali, wszystkie miejsca były zajęte i nie mogli zaparkować bliżej. Goście odjechali i chevrolet ugrzązł tam jak wystający z morza wrak. Jedyny na uliczce. Prowadziła Chang. Zawróciła na trzy i pojechali tą samą drogą. Osiedle drzemało. Otumanione upałem. Wszędzie falowało powietrze, błękitne i złociste, jak ciecz.

Oba szlabany były podniesione. Dwa pionowe słupy w czerwone paski i portiernia. Wyglądała jak tłusta gęś przybrzana do pieczenia. Otwarty wjazd, otwarty wyjazd. I brak ochroniarza w oknie.

Chang zahamowała.

– Zajrzyj – rzuciła.

Reacher wysiadł. Gorący asfalt parzył w stopy. Można by usmażyć na nim jajko. Rozsunięte okno, przez które rozmawiali z ochroniarzem. I brzęczenie much dwa metry dalej. „Życzę państwu miłego popołudnia”. Klimatyzacja przegrywała bitwę z upałem.

Leżał na podłodze. Zaplątany w nogi stołka. Koszula z krótkimi rękawami. Pokryte plamami ręce. Otwarte oczy. Przestrzelona pierś i głowa. I krew. Muchy miały ucztę. Niebieskie i opalizujące. Łaziły po nim. Już składały jajka.

Reacher wrócił do samochodu.

– To ten starszy gość. Bardziej się już nie zestarzeje.

– Współdziałal w zabójstwie to nie przelewki, ale trochę mi ulżyło – powiedziała Chang.

– Mnie też. Żałuję tylko, że nie wziąłem z kuchni noża i nie obciąłem tamtemu łba.

Wyjechali na ulicę i trochę pokluczyli. Nic. Ani wyjących syren, ani żadnego zamieszania. Tylko zwykły ruch, trzy lśniące pasy, jak toczące się leniwie wody niemającej końca rzeki.

– Dokąd teraz? – spytała Chang.

– Na kawę. I musisz zadzwonić.

•••

Zaparkowali w centrum handlowym w Paradise Valley. Przed lokalem znanej sieciówki wciśniętym między sklepik sprzedający skórzane paski ze srebrnymi klamrami i sklep z chińską porcelaną w fantazyjne wzorki. Wzięli kawę, ona mrożoną, on gorącą. Usiedli przy lepiącym się stoliku na końcu sali.

– Powiedz Westwoodowi, żeby wybrał hotel. Jaki chce, żeby nie zbankrutował. Będziemy tam za dwie godziny.

– Dlaczego za dwie? – spytała Chang.

– Macie w Phoenix biuro?

– Jasne. Mieszka tu sporo emerytowanych agentów FBI.

– Będzie nam potrzebny ktoś, kto zna miejscowy półświatek.

– Chodzi ci o tych trzech?

– O ich szefa. Ich i Hacketta. Organizatora sieci bezpieczeństwa dla szerokiego wachlarza klientów. Gospodarka usługowa w praktyce. Brzmiał jak duży facet.

Duży w sensie fizycznym. Przez telefon. A ten gaduła nazwał go grubasem. Zauważyłaś? Narzekał, że im nie zapłacą, że nie będzie żadnych renegeacji, bo grubas ma swoje zasady. Potrzebne nam nazwisko. Pochodzącego z Europy Wschodniej szefa gangu z Phoenix, który do załatwiania spraw lokalnych zatrudnia miejscowych bandziorów, też z Europy Wschodniej, a do załatwiania spraw poza granicami stanu ludzi takich jak Hackett. I którego najprawdopodobniej nazywają grubasem. Pewnie tylko za jego plecami. Przydałby się adres.

– Po co?

– Chcę mu złożyć wizytę.

– Ale po co?

– W imieniu Emily. I siostry McCanna. I tego ochroniarza z portierni. Poza tym bolą mnie plecy i głowa. Pewnych rzeczy nie można puszczać płazem.

– Zwłaszcza tych, które mogą przynieść korzyści uboczne.

– Właśnie – rzucił Reacher.

– Ci z Matczynego Spoczynku zostaną bez ochrony. Umowę szlag trafi. Bo odetniemy temu głowę. A potem tam wrócimy.

– Myślisz, że twoi znajomi mają takie informacje?

– Gdyby ktoś pytał mnie o Seattle, ja bym miała.

Chang wyjęła telefon i zadzwoniła, najpierw do Westwooda w sprawie hotelu, potem przewinęła listę kontaktów i znalazła numer koleżanki po fachu. Pewnie kolejny pokój gościnny. Gdzieś w pobliżu. W Mesie, Glandale albo Sun City. Z półkami, szafkami, biurkiem i komodą, wszystko od kompletu. Z komputerem, telefonem, faksem i drukarką. Nowa kariera zawodowa wymaga inwestycji. „Mamy przedstawicielstwa w całym kraju”.

Reacher wstał i poszedł do toalety, gdzie przejrzał się w lustrze, szukając plam krwi, własnej lub czyjejs, oraz innych śladów niedawnej potyczki. Roztropność przede wszystkim. Kiedyś aresztował gościa, któremu utkwiał we włosach ząb ofiary, dokładnie na środku głowy, jak żółtawy koralik ze sklepu na plaży. Dokładnie umył ręce, dłonie, nadgarstki i przedramiona, nie szczędząc mydła. Żeby pozbyć się śladów prochu. To też bardzo rozropne. Po co ułatwiać komuś życie?

– Pochodzi z Ukrainy i nazywa się Merczenko – powiedziała Chang, gdy wrócił.

– Jest gruby?

– Podobno gigantyczny.

- Wiadomo, gdzie prowadzi interesy?
- Ma klub na południe od lotniska.
- Chroniony?
- Nie wiadomo.
- Da się tam wejść?
- Wstęp tylko dla członków.
- Pojedźmy do niego i spytajmy, czy nie szuka ludzi do pracy. Mogą być wykidają.
- A ja?
- Zależy, co to za klub.
- Łatwo się domyślić.
- Z estetycznego punktu widzenia nie miałbym nic przeciwko temu. Trzeba się rozejrzeć. Teraz. Za dnia lepiej widać.

•••

Południowe rejony lotniska, choć jaskrawsze i bardziej pustynne od tych bliżej miasta, nie były kompletnym pustkowiem. Klub Merczenki okazał się metalowym budynkiem wielkości stadionu Jankesów. Tyle że kwadratowym. Zajmował cały kwartał, od przecznicy do przecznicy. Miał pomalowane na różowo ściany, a pudełkowatość budynku złagodzą setkami olbrzymich balonów z folii w kształcie serca i ust, również różowych i przymocowanych do oblicówki. Między balonami widać było fragmenty długiego neonu, w słońcu wyblakłego i szarego, ale nocą bez wątplenia różowego. Bo jeśli nie różowego, to jakiego? Drzwi też były różowe, z różową markizą, a lokal nazywał się Różowy.

- Zaryzykujemy i objedziemy kwartał? – spytała Chang.
- Jest wcześniej – odparł Reacher. – Nic nam nie grozi.

Skręcili za róg i pojechali wzdłuż prawej ściany. Ta sama gigantomania. Ten sam róż. Te same usta i serca. Zataczają się jak pijane, pomyślał Reacher. Lepiej na ścianę niż na ulicę.

Po chwili stwierdzili, że budynek nie zajmuje jednak całego kwartału. Może wszcz, ale na pewno nie wzdłuż. Bo nagle się kończył i zamiast ściany zobaczyli coś w rodzaju strefy dostawczej. Co miało sens. Klub tej wielkości zużywał mnóstwo produktów. Jak wielki liniowiec. I wytwarzał mnóstwo śmieci i odpadków. Które trzeba było regularnie wywozić. Teren ogrodzono siatką,

pewnie specjalną, bo tak grubą, że wytrzymałaby atak huraganu, grubą i przepłataną zasłaniającymi widok różowymi panelami. Jej szczyt zwieńczono zwojami drutu kolczastego, żeby odstraszyć ewentualnych himalaistów. Ale dwa zaopatrzone w zawiasy trzymetrowe fragmenty siatki otwierały się do środka, co też miało sens, bo jak inaczej wjeżdżałyby i wyjeżdżały te wszystkie ciężarówki z jedzeniem, pićmi i śmieciami?

Jedna brama była otwarta.

– Stań – rzucił Reacher.

Chang zahamowała i dyskretnie wycofała samochód, żeby mogli lepiej widzieć.

– Nie wierzę – szepnęła.

Za bramą stał rząd sięgających głowy pojemników na odpadki. Dalej, na betonie przed drzwiami do kuchni, był sztuczny trawnik, symboliczny płótek, biała metalowa ławka ogrodowa i wielki parasol przeciwsłoneczny. Dla kucharzy i kelnerów, żeby mieli gdzie spokojnie zapalić.

Na ławce siedział grubas.

W długim do kostek szarym kaftanie, palił grube cygare i rozmawiał z Latynosem w obcisłym podkoszulku na ramięczkach i bandanie, który stał na baczność ze wzrokiem wbitym w punkt nad głową grubasa.

Chociaż słowo „grubas” było niedomówieniem, nie oddawało tego, co widzieli. Siedzący na ławce mężczyzna nie był pulchny, nalany, grubokościsty, tęgi czy nawet otyły. Był jak góra. Olbrzymi. Ponad metr osiemdziesiąt, i to wszcz. Przytłaczał ławkę, dosłownie i w przenośni. Z rozepchniętymi przez wielki brzuch kolanami, siedział na samym brzeżku, ponieważ monstrualne cielsko nie pozwalało mu zgiąć się pod kątem prostym i zająć normalnej pozycji. Cielsko nie miało rozpoznawalnych kształtów. Było obłym trójkątem z mięsa, piersi jak piłki do koszykówki i osobliwych brylastych wybrzuszeń wielkości sporych poduszek. Ręce spoczywały na oparciu ławki i z obu stron spurchlonych łokci zwisały wielkie połacie tłuszczu.

Był naprawdę gigantyczny, i tego właśnie słowa użyła znajoma Chang. W porównaniu z resztą miał małą głowę. Małą głowę, błyszczącą od potu różową twarz i głęboko osadzone oczka, też małe, dlatego że mrużył je w słońcu i dlatego że twarz była spuchnięta, jakby ktoś włożył mu do ucha wentyl i dziesięć razy porządnie dmuchnął pompką. Fryzurę miał podobną do fryzur tych z domu Lairów.

– To może być brat albo kuzyn – powiedziała Chang. – A jak mają w rodzinie samych grubasów?

– Wygląda na szefa – odparł Reacher. – Zobacz, jak rozmawia z tym Latynosem. Opieprza go aż miło.

I rzeczywiście. Ale robił to bez teatralnych gestów. Bez krzyku. Po prostu bez przerwy mówił, swobodnym, konwersacyjnym tonem głosu, co musiało odnosić jeszcze bardziej okrutny skutek. Latynos w bandanie na pewno nie skakał z radości. Stał sztywno i gapił się w przestrzeń, próbując to znieść.

– Musimy mieć pewność – powiedziała Chang. – Może to tylko prawa ręka Merczenki. Zastępca. Brat albo kuzyn odpowiedzialny za personel.

– Twoja znajoma wspominała coś o jego rodzinie?

– Nie.

– Możesz to sprawdzić?

Zadzwoiła, a Reacher dalej obserwował. Grubas nigdzie się nie wybierał. Jeszcze nie. Wciąż mówił. Chang zadała pytanie i wysłuchiwała odpowiedzi.

– O rodzinie nic nie wiadomo.

– Wygląda na szefa – powtórzył Reacher. – Tylko nie widzę ochrony. Facetów w ciemnych okularach, z kablami w uszach. Jeden powinien pilnować bramy. To absolutne minimum. Przecież to szef. A widać go z ulicy. Siedzimy tu i gadamy. Nikt nas nie przepędza.

– Może jest pewny siebie. Albo zbyt pewny siebie. Myśli, że już nie żyjemy. Że ma problem z głową. Jest tu największym drapieźnikiem. Wszyscy się go boją.

– Jeśli to on.

– Nie możemy tak zakładać – powiedziała Chang.

– Szkoda. Mógłbym go zdjąć.

– Stąd?

– Tak mi się powiedziało. Nie z pistoletu. Musiałbym podejść bliżej.

– Wejść za siatkę?

– Byłoby idealnie.

– Za bramą może być ochrona.

– Fakt. Tacy jak on mają szmergla na punkcie wizerunku. Lubią być widziani za murem goryli. Albo być niewidzialni.

– Więc może to nie on.

– Wygląda na to, że on – obstawał przy swoim Reacher. – Jest gruby i rzadzi się.

– Musimy mieć pewność.



– Niby skąd? Chyba że poproszę go o prawo jazdy. Którego chyba nie ma. To sukienka bez kieszeni.

– Kaftan. Albo muumuu.

– Co to jest muumuu?

– To, co ma na sobie.

– Musimy go sprawdzić. To może być żyła złota. Siedzi tam jak na widelcu.

– W tym problem. Zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

– Może to zwykły przypadek. Tak jak mówiłaś. Albo utarty zwyczaj. Ochroniarze są w środku, przywykli, że szef wychodzi zapalić. Jest wcześniej, wiedzą, że o tej porze nikt się tu nie kręci. A może uważa, że sprawy z podwładnymi trzeba załatwiać w cztery oczy.

– Długo tam będzie siedział? – spytała Chang.

– Cygaro jest długie. Ale może palić je po kawałku.

– Lepszej okazji nie będzie.

– A ta zaraz przepadnie.

– Ale musimy mieć pewność.

Reacher nie odpowiedział.

Grubas wciąż mówił. Z większym ożywieniem. Kiwał głową. Potrząsał wałkami tłuszczu na szyi. Reszta ciała ani drgnęła. Nie nadawała się do gestykulowania.

– Zaraz skończy. Już podsumowuje. Wyciąga wnioski. Nie ma czasu. Musimy podjąć decyzję.

Chang milczała.

A potem nagle powiedziała:

– Zaczekaj.

Podniosła komórkę i na ekranie pojawił się obraz. Chodnik, różowe ogrodzenie, otwarta brama. Wszystko rozchwiane, jakby pływało, pod dziwnym kątem. Tryb kamery. Brama, pojemniki na odpadki, sztuczny ogródek, wreszcie grubas.

Dotknęła ekranu i rozległ się trzask migawki. Potem zaczęła coś przesuwac, pocierać i pisać, pisać, pocierać i przesuwac, aż telefon zrobił głośne „Szuuu!”.

– Poprosiłam o identyfikację wizualną – wyjaśniła.

– Oby szybką. On zaraz pójdzie.

Grubas wciąż mówił, kiwał głową i potrząsał zwałami tłuszczu. Latynos w bandanie wciąż potulnie słuchał. Po chwili grubas zaczął macać palcami po

górnym szczeblu oparcia ławki. Początek długiego, skomplikowanego procesu wstawania.

– Tracimy go – szepnął Reacher.

Grubas rzucił cygaro na ziemię.

Ding!

Chang spojrzała na ekran komórki.

– No nie...

– Co?

– Ona chce mieć zbliżenie.

– Co to jest, Sąd Najwyższy, czy co?

Chang podniosła telefon i zrobiła coś palcami – złączyła je i rozłączyła, wodząc nimi po ekraniku – i gdy grubas urósł, wypełniając cały kadr, zrobiła zdjęcie. Reacher sięgnął po pistolet na podłodze za przednimi siedzeniami. Na wszelki wypadek. Rozległo się znajome „Szuuu!”. Kolejny SMS, e-mail czy coś tam. Ostrożnie przemyślił broń między fotelami i położył ją na kolana. Kawał solidnej spluwy. Nic wymyślnego. Odpowiednik rodzinnego sedana. Tak jak ich wynajęty chevrolet. Tłumik był późniejszym dodatkiem, z robioną na zamówienie przejściówką. W magazynku brakowało dwóch naboji. Ochroniarz z portierni. Jeden w pierś, drugi w głowę. „Życzę państwu miłego popołudnia”.

Reacher czekał.

Grubas wypchnął do przodu biodra. Najwyraźniej specjalna technika. Zamierzał usiąść prosto jak deska, a potem powoli wstać, przesuując dłonie po ławce. Albo się od niej odepchnąć z nadzieją, że ławka pchnie go w przeciwną stronę i siłą rozpędu postawi na nogi. Obydwa manewry nie należały do łatwych. Ale widocznie były wykonalne. Inaczej przez całe życie musiałyby siedzieć w jednym miejscu.

– Kończy nam się czas – szepnął Reacher.

Ale wtedy Latynos przemówił.

Może pragnął wygłosić płynące z serca oświadczenie, przeprosić i wyrazić skruchę, obiecać poprawę, krótko i grzecznie, lecz grubas chciał mu najwyraźniej odpowiedzieć albo jakoś to skomentować, ponieważ zadygotał, zatrząsł się jak galareta i wykonawszy serię asynchronicznych ruchów, ponownie usiadł i zaczął mówić.

Ding!

Chang zerknęła na ekran komórki.

- To Merczenko - powiedziała. - Na sto procent.

Podjechali dwadzieścia metrów dalej, zawrócili na trzy, od chodnika do chodnika, powoli podtoczyli się bliżej i zatrzymali przy krawężniku, krok od miejsca, skąd przez otwartą bramę widać było podwórze na zapleczu klubu. Mniej więcej osiemnaście metrów od celu. Sześć do bramy, dwanaście w głąb podwórza. Skręt w prawo. Reacher otworzył drzwi i wysiadł. Pistolet z tłumikiem trudno jest ukryć, więc niósł go przy nodze, z uchwytem na wysokości uda i lufą na łydce. Broń była długa, groźna, rzucała się w oczy. Miał jednak nadzieję, że korzyści akustyczne w końcu przeważą, zwłaszcza tutaj, tak blisko centrum szóstego pod względem wielkości miasta w Ameryce, w dodatku w godzinach pracy.

Sześć kroków po chodniku i skręt. Brama, za bramą ani jednego ochroniarza. Pojemniki, dokładnie in wprost. Potem ogródek. Jeszcze potem grubas. Który wciąż gadał. Nie patrzył w jego stronę. Przynajmniej na razie. Latynos stał z podniesioną głową i z wbitym przed siebie wzrokiem potulnie słuchał. Reacher szedł dalej, szybko, lecz bez pośpiechu, z wciąż opuszczonym pistoletem, stukając obcasami o beton tak głośno, że dziwne było, iż grubas jeszcze nie spojrzał w jego stronę. Ale nie spojrzał. Ciągłe mówił, perorował monotonnym głosem, tym z telefonu, beształ podwładnego i poniżał z głową podrygującą na tłustym podgardlu.

Nagle dostrzegł obcego. Głowa odwróciła się niezależnie od nieruchomego ciała, otworzyły się usta. Reacher przestąpił trzydziestocentymetrowy płótek, wszedł na błyszczący trawnik, podniósł pistolet i zrobił jeszcze jeden krok.

W opowiadanych przy ognisku bzdurnych historyjkach zawsze dochodzi wtedy do lakonicznej rozmowy. Bo temu złemu trzeba koniecznie wytłumaczyć, dlaczego musi umrzeć – jakby wzmianka o poszkodowanych, Emily Lair, Peterze i Lydii McCannach, i o wnukach ochroniarza z portierni, mogła przywołać i pocieszyć duchy zmarłych – bo ten zły musi mieć szansę, żeby albo okazać skruchę, albo zaczepnie warknąć coś na swoją obronę, co, zależnie od reakcji głównego bohatera, mogło skończyć się tak lub inaczej, w każdym razie klasycznie.

Jednak opowieści to tylko opowieści, nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

Reacher bez słowa strzelił grubasowi w głowę, dwa razy, pach-pach, po czym zerknął na drzwi do kuchni.

Które się nie otworzyły.

Na świeżym powietrzu tłumik działał naprawdę skutecznie.

Reacher odwrócił się i przestąpił nad płotkiem.

– *Gracias, hombre* – powiedział Latynos.

Prawdziwa manna z nieba, pomyślał z uśmiechem Reacher. Facet modlił się o to od początku rozmowy. Dokładnie o to. Tymi słowami: „Dobry Boże, ześlij, proszę, kogoś, kto rozpieprzy temu skurwielowi łeb”. Cud. W niedzielę pójdzie na mszę.

Reacher przeszedł przez podwórze tą samą drogą, z taką samą prędkością, szybko, lecz bez pośpiechu. Idąc, wytarł koszulą pistolet i wrzucił go do najbliższego pojemnika na odpadki. Brama, ulica – Chang zobaczyła go, podjechała bliżej i gdy wsiadł, natychmiast ruszyła.

...

Westwood wybrał elegancki hotel w Scottsdale, a ponieważ były godziny szczytu, dojechali na miejsce o zmroku.

Znaleźli go w barze. Rozczochrane włosy, splątana broda, przewiewne ubranie z mnóstwem zamków błyskawicznych, wielka torba na podłodze – wyglądał dokładnie tak samo jak przedtem. Czytał książkę o marihuanie. Najpierw pszenica, teraz ziolo.

Chang zapoznała go z sytuacją, a Reacher poszedł zmyć kolejne ślady prochu z rąk. Gdy wrócił, Westwood spojrzał na niego i spytał:

– Uważa pan, że dziennikarze mają etykę zawodową?

– Na pewno nie wszyscy.

– Niech pan się lepiej modli, żebym ja nie miał, bo z logicznej interpretacji tego, co powiedziała mi przed chwilą pani Chang, wynika, że dopuścił się pan dzisiaj czterech zabójstw.

– Jednego zabiłem aż dwa razy – uściślił Reacher.

– To nie jest śmieszne.

– Może pan w każdej chwili wracać do domu, proszę bardzo. To pan ma prawa autorskie do książki, nie ja. Pałeczkę przejmie ktoś inny.

– A jest co przejmować?

– Oczywiście, rozwikłaliśmy prawie całą historię. Mamy tylko wątpliwości co do trzech części.

– Jakich?

– Co do początku, środka i końca.

Westwood długo milczał. Wreszcie powiedział:

– Słyszałem już to nazwisko. Merczenki. Kiedy zbierałem materiały do artykułu o Głębokiej Sieci. Miał jakoby oferować szereg usług. Gwarantował, że strona internetowa klienta będzie niewidoczna i że w razie kłopotów wszystkim się zajmie. Coś w rodzaju menu usług. Ukraińcy szybko zajęli się działalnością online. Nie napisałem o tym, bo nie miałem dowodów. Prawnicy zabronili.

– Ilu miał klientów?

– Podobno dziesięciu. Około. To było coś w rodzaju butiku.

– Niemożliwe. Ten facet nie założyłby butiku, bo w żadnym by się nie zmieścił. Miał klub ze striptizem większy niż stadion Dodgersów. Cały różowy, z setkami balonów. Lubił nadmiar. Wielkość.

– Słyszałem, że dziesięciu.

– W takim razie musiał ich nieźle doić. A oni zarabiali pewnie fortunę.

– Pewnie tak – zgodził się z nim Westwood. – Głęboka Sieć może być pięćset razy większa od jawnej. Przypuszczam, że tylko niewielu w niej zarabia, ale w tak wielkim wszechświecie niewielu musi. Robić kokosy.

– Czy władze zbudowały wyszukiwarkę, która potrafi ją przeczesać? – spytała Chang.

– Nie – oparł Westwood.

– McCann po to do pana dzwonił.

– Jeśli tak, zadał złe pytanie. Albo dobre, tylko w zły sposób. Kiedy rozmówca zaczyna mówić o władzach i rządzie, powoli się wyłączam. To jest jak papierek lakmusowy, test na zdrowy rozsądek. Bo kto buduje wyszukiwarki? Programiści, nikt inny. Spece od kodowania. Trudny projekt nie wypali bez najlepszych informatyków, a najlepsi są dzisiaj gwiazdoram. Mają agentów i menadżerów. Zarabiają krocie. Agencji rządowych na nich nie stać. Pozostają młodzi. Przyszli gwiazdorzy, głodni sławy i pieniędzy. Ale ich rząd też nie zatrudnia. Bo im nie pasują. Są zbyt ekscentryczni.

– Jak brzmiałoby dobre pytanie zadane w dobry sposób?  
– Powinien był szukać w Dolinie Krzemowej, a nie tam.  
– Ktoś z Doliny Krzemowej zbudował wyszukiwarkę, która potrafi spenetrować Głęboką Sieć?

– Nie – odparł Westwood.  
– McCann uznał, że sugerował pan to w swoim artykule.  
– Zadałem w nim pytanie, jaką motywację miałyby taki gigant jak, na przykład, Google. Oczywiście sprawa. Pomógłby władzom, ale nic by nie zarobił. Z definicji. Gdyby ci z Głębokiej Sieci chcieli się ogłaszać lub promować, przeszliby na sieć jawną. Rzecz w tym, że oni nie chcą. Nie chcą być zwykłymi klientami. Dlatego są i pozostaną w ukryciu. Ktoś zbuduje lepszą wyszukiwarkę? To zejda jeszcze głębiej. I tyle. Rozpęta się wyścig zbrojeń, na którym nikt nigdy nie zarobi. Więc po co to komu?

– McCann dzwonił do pana dziewiętnaście razy. Coś musiało go zaintrygować.  
– Napisałem, że tę wyszukiwarkę zbuduje ktoś inny. Pewnie pomyślał, że rząd. Ale mnie chodziło o kogoś innego. Giganci w rodzaju Google nie zawsze byli gigantami. Niektórzy zaczynali we dwójkę, w garażu. Albo w akademiku. Jedni od razu zostali miliarderami, inni nie. Tych drugich pochłonęło po prostu rozwiązywanie ciekawego problemu, który też miał być wart miliardy, tyle że później. Nie chodzi o problem, tylko o rozwiązanie. To kwestia osobowości. Wewnętrzny przymus. Kto wie, kiedy co kogoś dopadnie.

– Twierdzi pan, że jakiś student zbudował w akademiku wyszukiwarkę do Głębokiej Sieci?

– Niezupełnie. Nie student, nie w akademiku i nie do końca zbudował. Mówiłem już, że to jest wewnętrzny przymus. Oni nie potrafią tego wyjaśnić. Ale prędzej czy później problem zaczyna do nich przemawiać i po prostu muszą go rozwiązać. Nie dadzą się wyprzedzić. Ponieważ w dziewięciu przypadkach na dziesięć rozwiązanie nie ma zastosowania komercyjnego, idą do normalnej pracy i dotychczasowa pasja zmienia się w hobby. Ale ciągle do niej wracają. Ciągle w tym grzebią. Nigdy nie zapną tego na ostatni guzik, bo brakuje im czasu i pieniędzy. Dla hobbysty to nie problem. Bo w sumie na tym polega hobby.

– Kto to jest? – spytała Chang.  
– Pewien młody człowiek z Palo Alto. Młody, ale już weteran. Ma dwadzieścia dziewięć lat. Opracowuje komputerowe systemy płatności detalicznych i dobrze mu się powodzi. Ale kiedy był studentem, jakaś dziewczyna powiedziała mu, że

Głębokiej Sieci nie da się przeszukać. Napisała tylko tyle, nic więcej. Ale podziałało to na niego jak czerwona płachta na byka. Rozpaliło intelektualną iskrę. Wiedział, że nic nie zarobi. Ale cóż, hobby to hobby. Przyznaje, że zaczął w tym grzebać głównie z arogancji. Niektórzy maniacy komputerowi tak mają. Muszą być lepsi od innych.

– Daleko zaszedł?

– Tego nie wie. Bo i skąd? Coś tam widzi, jasno i wyraźnie. Ale czy to już wszystko, czy tylko mała część?

– Nie rozumiem, dlaczego nie napisał pan o tym w swoim artykule. Przecież to jakiś przełom, prawda? Postęp.

– Nie chciał mi pozwolić. Bał się odwetu tych z Głębokiej Sieci. Niektóre strony naprawdę wolą pozostać w ukryciu. To on powiedział mi o Mercencie. Ten facet z Palo Alto jest łatwym celem. Nie ma zespołu. Pracuje sam. I według tego, co mówicie, słusznie bał się Mercenki. Wtedy nie byłem pewny. Myślałem, że dramatyzuje. Tacy jak on żyją w swoim własnym świecie.

– Musimy się z nim spotkać – powiedział Reacher.

– To będzie trudne.

– Jak na razie mamy tylko pogłoski z drugiej ręki. Ale co do dwóch rzeczy wszyscy są zgodni: Michael McCann korzystał z Głębokiej Sieci i wysiadł z pociągu w miasteczku o nazwie Matczyny Spoczynek. Musimy sprawdzić, czy to się jakoś wiąże. Czy wysiadł dlatego, że korzystał z podziemnego internetu, czy zamierzał wysiąść i tak?

– Myślicie, że tamtejsi mieszkańcy wabią ludzi za pośrednictwem Głębokiej Sieci?

– Widzieliśmy, jak dwoje przyjechało pociągiem. Spędzili noc w motelu, a rano zabrano ich gdzieś białym cadillakiem.

– Głęboka Sieć na takim zadupiu? – wtrąciła Chang. – Tam nie ma nawet zasięgu.

Westwood zawahał się i powiedział:

– Chodźmy gdzieś, gdzie nie ma ludzi.

•••

Trzydzieści dwa kilometry na południe od Matczynego Spoczynku ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach chodził nerwowo po pokoju. Czekał na



telefon. Nie chciał się znowu wychylić. Gdy ostatnio zadzwonił, ustaloną porą, zmyto mu głowę. „Niech każdy robi to, w czym jest dobry, zgoda?”. Chociaż wcale nie są dobrzy. Bo gdzie rezultaty?

Nie, nie mógł dłużej wytrzymać.

Podszedł do telefonu.

Zadzwonił.

Ale nikt nie podniósł słuchawki.

•••

Westwood zadzwonił do hotelu, nie znając sytuacji, i zarezerwował dla nich osobne pokoje. Zrozumiawszy swój błąd, nie okazał zażenowania ani zdenerwowania tym, że zdrowo przepłacił. Po prostu wybrał pokój z najsilniejszym sygnałem Wi-Fi i urządził tam biuro. Wyjął z torby metalowego laptopa i postawił go na biurku. Reacher i Chang usiedli na łóżku.

– Wspominaliście już o tym miasteczku – powiedział. – Na samym początku. I mieliście rację. Bystry redaktor naukowy spróbowałby się temu przyjrzeć. Więc się przyjrzałem. Matczyny Spoczynek to stacja przeladunkowa i ośrodek handlowy. W archiwum znalazłem trochę informacji technicznych. Ale dobry dziennikarz woli mieć dwa źródła. Odpaliłem więc Google Earth... No i proszę, piękny obraz satelitarny, wszystko jak na dłoni, tam gdzie powinno być. I wygląda dokładnie tak jak stacja przeladunkowa i ośrodek handlowy. Tyle że leży na zupełnym pustkowiu. To tak, jakby w całym okręgu Los Angeles było tylko jedno skrzyżowanie, nic więcej. Fascynujące. Więc zacząłem się temu przyglądać. Zmniejszyłem powiększenie, żeby sprawdzić, jak daleko mają tam do cywilizacji, ot tak, dla zabawy, i trzydzieści dwa kilometry na południe od miasteczka wypatrzyłem sąsiada. Jedyne. Jeszcze bardziej odizolowanego. Co mnie jeszcze bardziej zaciekało.

Odwrócił komputer ekranem do nich.

– A oto, co zobaczyłem.

Na ekranie był dzień, chociaż za oknem zapadł już zmrok. Obrazy satelitarne nie są przekazywane na żywo. Nie muszą być również aktualne, niekoniecznie. Krajobraz może się zmieniać. Chociaż nie musi. Reacher doszedł do wniosku, że ten wokół Matczynego Spoczynku nie zmienił się od lat. Zobaczył farmę w morzu pszenicy. Dom i kilka budynków gospodarczych. Chociaż oglądał je z góry i były

pogrążone w głębokim cieniu, robiły wrażenie trwałych i zadbanych. Farma zdawała się samowystarczalna. Świnie, kury, ogród warzywny, dostrzegł nawet coś, co wyglądało na szopę z generatorem prądu. Dom był solidny. Z parkingiem na jednym końcu i czterema talerzami anten satelitarnych na drugim. Była i studnia. I linia telefoniczna.

– Potem przypomniały mi się te talerze – powiedział Westwood. – Co to za anteny?

– Telewizyjne – odparł Reacher.

– Dwie tak. Ale trzecia i czwarta są skierowane w inną stronę.

– Pewnie zagraniczna telewizja.

– Albo internet satelitarny. Wszystkie możliwe pasma, wystarczy zapłacić. Bardzo szybki. Na wszelki wypadek zdublowany. Z własnym źródłem zasilania. Serwerownia jak się patrzy.

– Da się to stwierdzić po kącie ustawienia anten?

– Musielibyśmy wiedzieć, kiedy i o której kamery Google’a zrobiły zdjęcie. Obliczyć kąt padania cieni.

– W takim razie trzeba spróbować od środka. I znaleźć tę wyszukiwarkę. Jeśli piszą stamtąd, musimy to odczytać.

– Mogę go tylko poprosić.

– Niech pan mu powie, że Merczenko nie żyje. Że kazał go pan odstrzelić dla dobra wszystkich programistów z całego świata. Że wisi panu przysługę.

Westwood milczał.

Reacher spojrział na ekran laptopa.

– Gdzie to dokładnie jest? – spytał.

– Trzydzieści dwa kilometry na południe od miasteczka. – Westwood pochylił się i zaczął przebierać palcami po ekranie. Coś przesunął, ściągał i rozsuwał, pomniejszając farmę i powiększając pole pszenicy, chcąc bez wątplenia dojść w ten sposób aż do Matczynego Spoczynku i pokazać im zależność geograficzną tych dwóch miejsc. Lecz zanim tam dotarł, dolny róg mapy przecięła długa, prosta linia i Reacher rzucił:

– Co to jest?

– Tory.

– Niech pan powiększy.

Westwood oszedł biurko i ustawił wszystko jak trzeba. Farma i tory znalazły się teraz na środku ekranu, pod odpowiednim kątem. Były od siebie oddalone

o nieco ponad kilometr. Dla większości patrzących to średni dystans.

– Pamiętam tę farmę – powiedział Reacher. – Przejeżdżałem tamtędy pociągiem. To było pierwsze ludzkie osiedle, jakie widziałem od wielu godzin. Trzydzieści parę kilometrów od miasteczka. Pracowała tam jakaś maszyna z włączonymi światłami. Traktor? O północy.

– To normalne? – zdziwił się dziennikarz.

– Nie mam pojęcia.

– Założyliśmy, że cadillac przejechał trzydzieści kilometrów – wtrąciła się Chang. – Pamiętasz? Trzydzieści w jedną stronę, trzydzieści w drugą. Teraz już wiemy, gdzie był. W promieniu trzydziestu paru kilometrów od miasteczka nie ma nic innego. Tam zabrali tych z pociągu. Mężczyznę i kobietę z bagażem. Tylko co potem?

W pokoju zapadła cisza.

– Farmerzy korzystają z Głębokiej Sieci? – rzucił Westwood.

– Ktoś korzysta – odparł Reacher. – A my musimy skorzystać z tej wyszukiwarki.

– Jemu za to płacą.

– Nikt nie lubi pracować za darmo. Czegoś się ostatnio nauczyłem.

– On tu nie przyjedzie. Będziemy musieli polecieć do San Francisco.

– Jak w sześćdziesiątym siódmym.

– Co?

– Nic – mruknął Reacher.

Dziesięć minut później został sam na sam z Chang w pokoju ze słabszym sygnałem Wi-Fi.

Obudzili się wcześniej rano. Zasłony były rozsunięte, a oni mieli na głowie kilka spraw, tak jak przed dwudziestoma czterema godzinami w Chicago. On znowu analizował swoją teorię, urzeczony jej rozwojem. Zupełnie niespodziewanym. Wprost nie do uwierzenia. Natomiast Chang szykowała się do wyjazdu. Oglądała telewizję śniadaniową, program stacji w Phoenix, w którym zamiast przepisów kulinarnych królowała zbrodnia. Jedna prezenterka opowiadała właśnie o zabójstwie, do którego doszło na zapleczu klubu ze striptizem, którego ofiarą padł podejrzany o udział w zorganizowanej grupie przestępczej. Materiał składał się z zapierających dech w piersi domniemywań i nic nieznaczących zdjęć, głównie zamkniętej bramy, różowego ogrodzenia i przesuwającego się na górze ekranu paska z napisem: „Moskwa przyjeżdża do Phoenix”, który mógł ostro wkurzyć wszystkich Ukraińców, ponieważ kraje te funkcjonowały teraz zupełnie niezależnie od siebie i były z tego dumne, przynajmniej oficjalnie.

Druga prezenterka miała coś lepszego. „Na północno-wschodnich przedmieściach Phoenix doszło dzisiaj do tragicznego napadu” straciło na świeżości, ponieważ „dzisiaj” było już wczoraj, a „tragiczny napad” działał teraz niezwykle inspirująco. Okazało się, że mieszkający tam powszechnie szanowany lekarz bez wahania sięgnął po broń dla ochrony miru domowego i zabił trzech napastników, zaoszczędzając rodzinie losu gorszego niż śmierć. Kamera pokazała nawet Evana Laira – z daleka, na granicy rozchwianego powiększenia – który nie chciał jednak odpowiadać na pytania reporterów. Tę niechęć interpretowano jako nieugiętą staromodną skromność. Wojowniczy doktorek. Legenda rosła, podtrzymywana przez ziarniste nocne obrazy wyjeżdżających z domu wózków ze skąpanymi w czerwonym świetle ciałami. Pokazano również dalekie ujęcie Emily, teraz już w dzinsach i swetrze, zamiast w bikini i bluzce, oraz Lydii ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Do akcji wkroczyła trzecia prezenterka, mówiąc, że policja podejrzewa, iż wydarzenia te mogą się z sobą wiązać, gdyż trzech zabitych w domu Lairów było

wspólnikami mężczyzny zastrzelonego na zapleczu klubu ze striptizem. Do trzeciej dołączyła czwarta z wiadomością, że według prokuratora okręgowego doktor Lair działał w obronie własnej, jeśli zaś chodzi o zabójstwo w klubie, to w pobliskim pojemniku na odpadki znaleziono broń, z której oddano strzały, nie ma na niej jednak odcisków palców, dlatego nie ma również podejrzanych i śledztwo trwa.

A teraz dziesięć potraw z kurczaka.

– Dobrze się czujesz? – spytała Chang.

– Jak młody bóg. Tylko głowa mnie boli.

– I nic nie powiesz?

– À propos czego?

Chang wskazała ekran telewizora.

– Tego.

– Wciąż dzwoni mi trochę w uszach.

– Nie o to pytam – powiedziała.

– Jeśli ktoś daje mi spokój, ja daję spokój jemu. To ich ryzyko, nie moje.

– Nie jesteś zdenerwowany?

– Ty jesteś? – odpowiedział pytaniem Reacher.

– Co ty właściwie widziałeś na tej farmie?

– Mały punkcik w oddali, jakąś maszynę. Miała światła na górze. Coś jakby kratę do osłony chłodnicy, tyle że nad kabiną. Cztery prostokątne reflektory, bardzo silne. Coś jak ciężarówka na podnośniku. Albo traktor. Silnik pracował na pełnych obrotach. Widziałem smugi spalin na tle światła.

– To mogła być koparka?

– Dlaczego?

– Tego dnia zaginął Keever.

– Nie wiem. Chyba tak.

– Dlatego jestem zdenerwowana. To mogłam być ja. Przypuśćmy, że Michael zaginął w Seattle. McCann zadzwoniłby do mnie, a ja zadzwoniłabym po wsparcie do Keevera. I teraz włóczyłbyś się z nim, szukając mnie.

– Odpędź tę myśl.

– Ale mogło tak być.

– Ty poradziłabyś sobie lepiej.

– Keever był bardzo rozgarnięty.

– Był?

- Chyba muszę się z tym pogodzić.
- Może i był, ale nie aż tak. Popełnił błąd. Ty byś go uniknęła.
- Błądu? Jakiego?
- Nie wiem, może tego, który właśnie zamierzam zrobić. Keever ich nie docenił. Jeśli pochowali go koparką na tej farmie, Merczenko nie miał z tym nic wspólnego. Nie na tym etapie. Tam byli tylko oni. Nie potrzebowali żadnej pomocy. Może są lepsi, niż myślimy.
- Nie wyglądali na takich.
- Miej nadzieję na najlepsze, ale nastaw się na najgorsze.

•••

Tego poranka w sklepie wielobranżowym w Matczynym Spoczynku zebrało się ośmiu mężczyzn. Tak jak poprzednio, właściciel już tam był, wciąż rozczochrany i w dwóch koszulach. I tak jak poprzednio jako pierwszy przyszedł sprzedawca ze sklepu z częściami zamiennymi do urządzeń irygacyjnych, potem właściciel cadillaca, jednooki kierownik motelu, hodowca tuczników, bufetowy z jadłodajni i Moynahan, ten, który oberwał w krocze i stracił pistolet.

Ósmy mężczyzna, ten ufryzowany, spóźnił się pięć minut. Tamci milczeli. Czekali, aż odezwie się pierwszy.

- Mam złe wieści - zaczął. - Zawierzyliśmy niewłaściwym ludziom. Oferowany przez nich serwis okazał się nieskuteczny. Zawiódł. Zostaliśmy sami.

Siedmiu mężczyzn niepewnie zaszurało nogami. Jeszcze się nie martwili, byli tylko oburzeni. Jak to? Kiedy wszystko szło dobrze, to był tylko jego pomysł. A teraz co? „Zawierzyliśmy” i „zostaliśmy”? Niby kto? Oni?

- Chodzi o to, co pokazywali rano w CNN - spytał hodowca świń. - O Phoenix? O tego Ruska?

- Ukraińca. Nie tylko o niego. Było jeszcze trzech.
- A ten pierwszy? Hackett, tak?
- Leży w szpitalu w Chicago. Z gliniarzem pod drzwiami.
- A więc żaden z nich nie załatwił?
- Przecież mówiłem.
- Pomoc z zewnątrz to był duży krok.
- Ale nic nas nie kosztował. Oprócz pieniędzy. Oni gdzieś tam są, tylko że zawsze byli. Wyjechali, ale wrócą. Rozprawimy się z nimi tutaj.

– Sprowadzą gliniarzy.

– Nie sądzę. Pobili Hacketta. To wiem na pewno. Ta jatka w Phoenix to prawdopodobnie też ich robota. Co znaczy, że nie mogą pójść na policję. Nigdzie, w żadnym stanie. Natychmiast by ich aresztowano i trzymano pod kluczem, dopóki sprawa nie przycichnie. Na wszelki wypadek. Nie, przyjadą sami.

Siedmiu mężczyzn zaszurało nogami jeszcze głośniej.

– Kiedy? – spytał kierowca cadillaca.

– Myślę, że wkrótce – odparł ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach. – Ale wszyscy znamy plan. Wiemy, co robić. Kiedy przyjadą, będziemy przygotowani.

•••

Kiedy zeszli na śniadanie i dołączyli do Westwooda, okazało się, że dzwonił już do Palo Alto i umówił się na *happy hour*. W Menlo Park. Z tym że maniak mógł się spóźnić. Jak to maniak. Westwood zamówił również bilety do San Francisco. Trzy miejsca w klasie biznesowej, jedyne, jakie zostały. I hotel. Tylko dwa pokoje, ale to dobrze. Co roku obcinano mu budżet. Reacher podejrzewał, że w głębi serca Westwood jest hazardzistą, co prawda trochę nerwowym, ale cóż, wkrótce miał zgarnąć całą pulę.

Kiedy nadeszła pora, pojechali taksówką na lotnisko, gdzie czekały na nich luksusowe bilety i gdzie Reacher zjadł drugie śniadanie, bo było za darmo. Wsiedli do samolotu przed innymi pasażerami i dostali drinka, zanim jeszcze maszyna pokołowała na start. Lepiej niż w tylnych rzędach. A nawet przy wyjściu ewakuacyjnym.

Lot nie był ani długi, ani krótki. Średni. Żaden tam wielki skok czy przeskok, ale i nie kawał równoleżnika. Bliżej niż z Nowego Jorku do Chicago. Taksówką też jechało się przyjemnie, bo Menlo Park leży praktycznie za miastem, co wcale nie znaczy, że dolina Santa Clara spała. Za Mountain View rozciągało się centrum świata i wszyscy pędzili tak, jakby o tym wiedzieli. Mieli spotkać się w barze przy księgarni i znaleźli go za drugim podejściem. Przyjechali przed czasem, ale nie na tyle, żeby zdążyć do hotelu i z powrotem, więc zapłacili za kurs i wysiedli.

Bar stwarzał przez chwilę problemy natury parapsychologicznej, ponieważ każdy centymetr kwadratowy jego powierzchni był pomalowany na czerwono i nazywał się Czerwony. Tylna część mózgu Reachera zaczęła natychmiast snuć

fantastyczne domysły, próbując dociec, czy Westwood nie jest przypadkiem tajniakiem albo jakimś zbirzem, który, jak u Szekspira czy Sherlocka Holmesa, dręczy go duchami z różowego klubu w Phoenix, ale szybko się uspokoiła, stwierdziwszy, że komputerowy maniak Westwooda wybrałby taki właśnie lokal, że to zupełny przypadek. Zresztą dopatrzyła się różnic. Bar miał wystrój celowo kiczowaty, lecz nie tandetny. To była czerwień posępna, z ubiegłego wieku. Czerwień wojskowa. Na ścianach roilo się od namalowanych szablonem białych sierpów i młotów, częściowo zatartych czy zeskrobanych, specjalnie postarzonych, od oprawionych w ramki nagłówków z „Prawdy” i poobijanych, mocno porysowanych hełmów żołnierzy Armii Czerwonej. Literę R na szyldzie napisano odwrotnie, żeby wyglądała na rosyjską, co wywołało u Reachera lekki atak paniki. Aluzja do Merczenki? Nie, Westwood musiał chyba wiedzieć, że Rosja i Ukraina to dwa różne kraje. Ale czy byłby na tyle pedantyczny, żeby jako wyrafinowany kat i dręczyciel poszukać typowo ukraińskiego baru? Czy też zadowoliliby się rosyjskim?

Nie, to ten maniak wybierał lokal.

– Dobrze się czujesz? – spytała Chang.

– Za dużo myślę. Zły nawyk. Taki sam jak niemyślenie.

– Zaczekajmy w księgarni.

Reacher potknął się o krawężnik. Lekko. Nie upadł. Po prostu zaczął o coś nogą. O jakąś grudkę czy inną nierówność. Obejrzał się za siebie. Może. A może i nie.

– Na pewno nic ci nie jest?

– Nie, wszystko w porządku.

Okazało się, że Westwood tę księgarnię zna. Kiedyś podpisywał tam książkę, antologię. Nagrodzoną. Z dziedziny dziennikarstwa naukowego. W środku było przyjemnie pod każdym względem, od klimatyzacji po klientów. Westwood poszedł w jedną stronę, Chang w drugą. Reacher popatrzył na leżące na stole książki. Czytał, kiedy mógł, korzystając głównie z przepastnych zbiorów biblioteki tomów zagubionych i zapomnianych. Podniszczone książki w miękkich okładkach, z oślimi uszami i wystrzępionymi kartkami, znalezione w poczekalniach, autobusach czy na werandach odległych moteli. Czytał je z lubością i zostawiał dla kolejnego amatora. Wolał beletrystykę niż literaturę faktu, ponieważ fakty często mijały się z prawdą. Tak jak większość ludzi kilka rzeczy wiedział na pewno, bo widział je z bliska na własne oczy, i kiedy o nich



czytał, wypadały fatalnie. Dużo bardziej podobały mu się historie zmyślane, bo od początku było wiadomo, że takie są. Nie przebierał w gatunkach literackich. Albo trafiał się hit, albo szajs.

Wróciła Chang, potem Westwood, więc ruszyli z powrotem do baru, nastawiając się na długie czekanie. Ponieważ przyszli wcześniej, mieli duży wybór stolików i usiedli przy oknie. Reacher wziął kawę, oni napoje gazowane.

– Boję się, że to nie będą dobre wiadomości – powiedział Westwood. – Nawet jeśli facet da się przekonać. Głęboka Sieć to nieciekawe miejsce. Podobno. Nie, żebym tam zaglądał. Ale może się wam nie spodobać.

– To wolny kraj – odrzekł Reacher. – Poza tym Michael był synem McCanna, nie moim. Wszystko mi jedno, w co się wpakował.

Wskazówka zegara ściennego dotarła do stylizowanej na cyrylicę dwunastki i cena wódki spadła o połowę. Rozpoczęła się *happy hour*. Jako pierwsza w drzwiach stanęła młoda, zarumieniona kobieta w wieku dwudziestu kilku lat, jeszcze amatorka, choć już w tym dobra.

Drugą osobą był maniak z Palo Alto.

Przyszedł punktualnie co do minuty. Wcale się nie spóźnił. Niski, błąd jak ściana, chudy jak widmo, był w ciągłym ruchu, nawet wtedy, gdy się nie ruszał. Dwudziestodwuletni weteran. Ubrany całkowicie na czarno. Zobaczył Westwooda i ruszył w ich stronę. Skinął im głową, usiadł i powiedział:

– Tu lubią ironię, ale musicie przyznać, że *happy hour* w sowieckiej świątyni to najbardziej wyrafinowana sprzeczność. A skoro mowa o byłym Związku Radzieckim... dowiedziałem się z bloga, że z rąk mafii zginął Ukrainiec, niejaki Merczenko. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności. Ale ktoś go zastąpi. Rynek nie lubi próżni. Dlatego nie zamierzam nic ujawniać.

– My też nie – odrzekł Westwood. – A jeśli już, to znacznie później, w gazecie. Do tego czasu pojawi się tyle nowego materiału, że trafisz na sam dół listy. Masz moje słowo. Nikt nie wyjawia twojego nazwiska. Chcemy tylko poszperać w sieci. Prywatnie. Poszukać zaginionego. Miejsca jego pobytu.

– Gdzie?

– Przede wszystkim w chat roomach. Może na stronach komercyjnych.

– Nie chcę robić tego dla kasy.

– Z przyjemnością ci nie zapłacę.

– Wtedy zrobię to z przyjaźni, a to jeszcze gorzej.

– Potrafiłby pan? – spytał Reacher. – Gdyby pan chciał?

– Zajmowałem się tym, kiedy Głęboką Sieć nazywano jeszcze subnetem. Albo niewidzialnym netem. Teraz jest dużo trudniej, ale i ja jestem dużo lepszy.

– Dałby pan radę rozgryźć zabezpieczenia?

– Zabezpieczenia to pestka. Gorzej ze znalezieniem.

– Potrzebujemy godziny pańskiego czasu. Czym moglibyśmy pana zachęcić?

Nie licząc pieniędzy.

– A czy poza pieniędzmi jest jeszcze jakaś inna motywacja?

– Mnie nikt nie płaci.

– To dlaczego pan to robi?

– Bo pewien gość uważa się za bardzo bystrego.

– Ale pan jest bystrzejszy, tak? I musi pan to udowodnić?

– Nie, nie muszę. Chcę. Przynajmniej od czasu do czasu. Z szacunku. Dla tych, którzy są naprawdę bystrzy. Trzeba dbać o standardy.

– Próbuje mnie pan podpuścić. Bitwa wybujałych ego. Ja kontra cała reszta. Celny strzał. Rozgryźł mnie pan, chociaż dopiero co się poznaliśmy. Ale ja mam to już za sobą. I lepiej mi tutaj niż tam. Jestem lepszy od nich. Wiem o tym. I nikt mi tej świadomości nie odbierze. Nie mam już ochoty niczego udowadniać. Nikomu. Nawet z szacunku. Nie, żebym pana nie rozumiał. Moje dawne „ja” by się z panem zgodziło.

– A z czym zgodziłoby się nowe?

– Niech pan opowie o tym zaginionym. To ciekawa postać?

– Trzydzieści pięć lat, choruje na coś, co lekarze nazywają anhedonią, a jego ciotka licznikiem szczęścia ze wskazówką, która stanęła na zerze. Normalny iloraz inteligencji. Radził sobie w życiu.

– Mieszkał sam?

Reacher kiwnął głową.

– W schronisku.

– Zniknął?

– Tak.

– Czy tuż przedtem pojawił się nagle jakiś nowy znajomy?

– Tak.

– Trzydzieści dwie sekundy.

– To znaczy? – nie zrozumiał Reacher.

– Znajdę go w trzydzieści dwie sekundy. W Głębokiej Sieci. Wiem, gdzie szukać.

– Kiedy mógłby pan to zrobić?

- Niech pan opowie mi o tej ciotce.
- Mężatka. Wyszła za lekarza. Ma piękną córkę. Ale wciąż kocha bratanka.

I chyba go rozumie.

- Podoba mi się ten licznik szczęścia.
- Ustaliliśmy, że moja wskazówka waha się między czwórką i dziewiątką.
- Moja poszła wyżej. Stoi teraz na dziesiątce. I ani drgnie.
- Pewnie dużo pan bierze.
- Czego?
- Molly, tej nowej odmiany ecstazy. Pisali o tym w gazetach.
- Nie biorę tego od dwóch lat.
- Coś zamiast?
- Co się da. Za dużo stresu.
- Tylko niech pan pamięta: *speed kills*. Tak nas kiedyś uczono.
- Nie ujawnię się. Rozumie pan?

Reacher kiwnął głową.

- Nie będzie żadnego procesu.
- To pan załatwił Merczenkę?
- Do niczego się nie przyznawaj, nawet na łożu śmierci. Możesz nagle ozdrowieć.

- Tylko jeden wieczór – ostrzegł maniak z Palo Alto. – Żadnego wracania i ponownego sprawdzania. Mam swoje życie.

- Kiedy?
- Jeśli chcecie, choćby zaraz.
- Gdzie?
- U mnie. Czujcie się zaproszeni. Wszyscy.

Maniak z Palo Alto miał w telefonie coś, co w ciągu kilku minut sprowadzało taksówkę. Ponieważ uznali, że czworo w jednej to za dużo, nacisnął guzik dwa razy i wezwał dwie. On jechał z Westwoodem, bo chcieli powspominać stare czasy, tak więc Reacher i Chang mieli dla siebie całą limuzynę. Mieszkał w pudełkowatym domu z lat pięćdziesiątych, który w latach siedemdziesiątych przerobiono na dom z lat trzydziestych. Reacher doszedł do wniosku, że dzięki tej zabawie z epokami chałupa jest warta więcej niż on zarobił przez całe swoje życie.

W środku było czysto i czarno-srebrzyście. Spodziewali się nieprzebytego gąszczu sprzętu komputerowego, jak u McCanna w Chicago, tymczasem zobaczyli jedynie szklany stolik i samotny anonimowy komputer. Wieża, monitor, klawiatura, mysz, trackball – nic do siebie nie pasowało. Z wieży wychodziło tylko pięć kabli, przyciętych do odpowiedniej długości, niesplątanych i starannie ułożonych.

– Moje dzieło – powiedział maniak. – Musiałem pokonać mnóstwo przeszkód technicznych i problemów z niekompatybilnością. To jest jak wyjazd do obcego kraju. Trzeba nauczyć się ich języka. I, co ważniejsze, poznać ich zwyczaje. Napisałem program. Na bazie Tora, bo tego wszyscy używają. Jak na ironię, Tor powstał w laboratoriach badawczych Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Jego zadaniem miało być stworzenie bezpiecznej przystani dla dysydentów politycznych i demaskatorów z całego świata. Wspaniały przykład tego, jak niezamierzone konsekwencje mogą ugryźć kogoś w tyłek. Tor to skrót od The Onion Router, rozgałęźnik cebulowy. Bo budową przypomina cebulę. Warstwa na warstwie, a na tej warstwie jeszcze jedna warstwa, w Głębokiej Sieci i na każdej ze stron.

Maniak usiadł i odpalił maszynę. Na ekranie nie było żadnych zbędnych duperelei. Ani zdjęć z kosmosu, ani ikonki. Tylko krótkie zielone napisy na czarnym tle. Treść bez formy, jak na stanowisku odprawy paszportowej czy w wypożyczalni samochodów.

– Jak nazywa się zaginiony? – spytał.

- Michael McCann – odparł Reacher.
- Numer ubezpieczenia społecznego?
- Nie wiemy.
- Adres domowy?
- Też nie wiemy.

- Kiepsko. Trzeba podjąć kilka kroków wstępnych. Muszę mieć jego internetowy odcisk palca. Napisałem specjalny algorytm. Trochę tego, trochę tamtego. Absolutne minimum niezbędne do celnego strzału. W sumie bardzo elegancka rzecz. Moglibyśmy zacząć od czegoś tak prostego jak rachunek za kablówkę. Ale są inne sposoby. Znamy jego najbliższych krewnych?

- Ojciec, Peter McCann. Matka od dawna nie żyje.
- Wiemy, gdzie Peter mieszka?

Chang podała adres. Niewyróżniający się dom przy niewyróżniającej się ulicy. Lincoln Park w Chicago. Mieszkanie trzydzieści dwa. Maniak wystukał polecenie i na ekranie pojawiło się coś w rodzaju portalu, wejścia do głównej bazy danych Rządowej Agencji Ubezpieczeń Społecznych. Mocna rzecz. Reacher zerknął na Chang, ale ta tylko skinęła głową, niemo mówiąc: „Wszystko w porządku, też taki mam”. Maniak wpisał dane Petera McCanna i błyskawicznie znalazł jego numer, który błyskawicznie doprowadził go do numeru Michaela, ponieważ byli wymienieni jako beneficjenci wzajemnych świadczeń emerytalno-rentowych. Najbliżsi krewni. Numer Michaela doprowadził z kolei do jego adresu, też w Lincoln Park w Chicago.

Maniak wyszedł z bazy danych RAUS i wszedł do innej, równie skomplikowanej. Wpisał numer ubezpieczenia młodego McCanna oraz jego adres i komputer wyświetlił długą listę kodów alfanumerycznych. Internetowy odcisk palca Michaela McCanna.

Kolejne polecenie, i na ekranie monitora ukazała się strona tytułowa, topornie sformatowana, bo składająca się tylko z zielonych napisów na czarnym tle, ale ponieważ były na niej znaki tabulatorów, spacji i centrowania, przypominała trochę produkt komercyjny. Albo prototyp. I pewnie nim była. Na swój sposób. Potencjalnie. Wyglądała dość zachęcająco. Jak jasnozielone szmaragdy w aksamitnym puzderku. Najbardziej rzucał się w oczy nagłówek: „Batyska!”.

- Chwytacie? – spytał maniak.

- Coś w rodzaju łodzi podwodnej – odrzekła Chang. – Może zejść na samo dno oceanu.

– Początkowo nazywałem ją Nemo. Od tego gościa z *Dwudziestu tysięcy mil podwodnej żeglugi*. Dowodził *Nautilusem*. Podobał mi się, bo *nemo* znaczy po łacinie „nikt”. Pomyślałem, że to pasuje. Ale potem nakręcili film o tej rybce. I wszystko zepsuli.

Jego palce zatańczyły na klawiaturze i pojawiło się okienko wyszukiwarki.

– Dobra, silniki w ruch. Stawiam na trzydzieści dwie sekundy.

Wkleił tam mnóstwo danych. Ale nie nazwisko Michaela McCanna, tylko ciąg kodów alfanumerycznych z poprzedniej bazy. Odcisk palca. Pewnie lepszy niż nazwisko.

Nacisnął klawisz i w głowie Reachera ruszył stoper.

Pięć sekund.

– Kiedyś będzie dużo szybsza. Wyszukiwanie ogólne działa nieźle, ale wyszukiwarka stron jest połączona z funkcją „znajdź i zastąp” ze starego edytora tekstów.

Dwanaście sekund.

– Nie, nie mówię, że jest wolna. Bezwzględna prędkość wyszukiwania jest dość duża. Ale Głęboka Sieć jest olbrzymia. W tym sęk. No i nie mam możliwości Google’a. Nikt o mnie nie zabiega. Zresztą oni nie szukają rozgłosu, przeciwnie. Ale ja tam jestem. Wśród nich. Już wszedłem. Ja ich widzę, a oni mnie nie.

Dwadzieścia pięć sekund.

Maniak milczał.

I nagle wyszukiwarka przestała pracować.

Na ekranie pojawiła się lista odsyłaczy.

– Jest. Dwadzieścia sześć sekund. Dużo poniżej zakładanych trzydziestu dwóch.

– Nieźle – mruknął Reacher.

– Zaryzykowałem. Zawęziłem pole. Wiedziałem, gdzie szukać.

– Czyli?

– Pan Westwood pewnie wam o mnie opowiadał. Wybór króliczej nory nie zawsze zależy od nas.

– Nie problem, tylko rozwiązanie – domyślił się Reacher.

– Przeszukiwanie Głębokiej Sieci jest pod względem warsztatowym procedurą bardzo elegancką, ale sam pobyt może być nieprzyjemny. Jest tam wszystkiego po trochu, ale można to zilustrować rysunkiem trójnożnego stołka. Jedna noga to olbrzymi nielegalny rynek, gdzie można kupić dosłownie wszystko, od numeru czyjejs karty kredytowej po morderstwo. Są strony aukcyjne, na których płatni

zabójcy licytują cenę. Najniższa wygrywa. Są strony, gdzie może pan szczegółowo opisać, jak ma zginąć pańska żona, i gdzie chętni przedstawią panu indywidualną ofertę.

– A Michael McCann? – spytała Chang. – Gdzie go pan znalazł?

– Druga noga stołka to najobrzydliwsza pornografia. Nawet mnie przewraca się żołądek, a nie należę do mainstreamowców.

– I Michael się tym interesował?

– Nie, znalazłem go w nodze numer trzy.

– Czyli?

– Łatwo było się domyślić. Wspomnieliście, że choruje na anhedonię. Że wskazówka na jego liczniku szczęścia utknęła na zerze. Trzecia noga stołka Głębokiej Sieci to samobójstwa.

• • •

– Czasem tam zaglądam. Jako antropolog, nie jako podglądacz. Czy zwiedzający ogród zoologiczny. Przypuszczam, że Michael McCann należał do najbardziej typowych przypadków. Urodził się z depresją, a jeśli jego matka od dawna nie żyje, musiała umrzeć, kiedy był dzieckiem. Fatalna kombinacja. Myślę, że chciał z tym wszystkim skończyć. Codziennie. Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo ci ludzie są zdeterminowani. To nie są chwilowe wahania nastroju. Oni nienawidzą swojego życia, głęboko i szczerze, i chcą je przerwać. Złapać autobus. Tak na to mówią. Złapać autobus i wyjechać z miasta. Ale to bardzo duży krok. Są tam również grupy wsparcia. Dlatego spytałem, czy w jego życiu nie pojawił się nagle nowy znajomy. Nazywają ich partnerami. Robią to razem. Biorą się za ręce i skaczą, dosłownie i w przenośni. Spotykają się na różnych forach. I długo sprawdzają, czy do siebie pasują. Jego znajomy też zaginął?

– Nie wiadomo – odrzekła Chang. – Nie wiadomo nawet, czy jest mężczyzną, czy kobietą. Mieszkał pod Tulsą w Oklahomie.

– O czym rozmawiają na tych forach? – spytał Westwood.

– O sposobach. Bez końca. To ich największy problem. Można tam znaleźć mnóstwo wiadomości. Analizują wszystko jak Biblię. Najlepszy sposób to strzał ze strzelby w głowę. Natychmiastowa śmierć, dziewięćdziesiąt dziewięć procent skuteczności. Strzał ze strzelby w usta daje dziewięćdziesiąt siedem procent. Strzał ze strzelby w pierś – dziewięćdziesiąt sześć, a strzał w pierś z pistoletu gwarantuje

śmierć w osiemdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto. Mniej więcej tyle samo co pętla na szyi. Podpalenie się zapewnia skuteczność rządu siedemdziesięciu sześciu procent. Podpalenie domu – siedemdziesięciu trzech. Niżej nikt nie chce zejść. Ale na przykład rzucenie się pod jadący pociąg to już dziewięćdziesiąt sześć procent, skok z dachu – dziewięćdziesiąt trzy, a zderzenie z podporą mostu – około siedemdziesięciu ośmiu. Tylko trzeba pamiętać o zapięciu pasów. Jeśli ich nie zapniesz, możesz wylecieć z samochodu. Ci bez pasów to około siedemdziesięciu procent. Kiedy silnik przebija deskę rozdzielczą i wpada do środka, kierowca musi tam być. Na koniec jak zawsze popularny sposób z samego początku listy, drugi po strzale ze strzelby: cyjanek. Ponad dziewięćdziesięciosiedmioprocentowa skuteczność w dwie minuty. Ale to dwie minuty potwornej agonii. W tym właśnie problem. Najlepsze sposoby są gwałtowne i bolesne. Niektórzy się tego boją. Kobiety i mężczyźni, bez różnicy. Poza tym nie mają odpowiednich narzędzi. Jeśli ktoś mieszka w mieście, nie może pójść do stodoły po starą pukawkę, z której wujek strzelał kiedyś do szkodników. Jeśli nie jest w stanie dowiec się do łazienki, to jak dowiec się do torów kolejowych?

– Więc co robią?

– Rozmawiają, bez opamiętania. O Świętym Graalu. O sposobie szybkim i bezbolesnym. Zasnąć i już się nie obudzić. Tego właśnie szukają. Kiedyś mieli taki sposób. Może nie oni, tylko ich rodzice. Buteleczka tabletek nasennych i szklanka whisky. Albo wąż ogrodowy włożony przez okno rodzinnego buicka. Zamykasz oczy i już ich nie otwierasz. Pełna gwarancja. Kiedyś, ale nie teraz. Teraz rodzinny buick ma katalizator. Był tlenek węgla, ale już go nie ma. W każdym razie nie w wystarczających ilościach. Budzisz się z bólem głowy i wysypką. Szkocka jest taka sama jak dawniej, ale tabletki już nie. Teraz są bezpieczne. Bierzesz kilka naraz, przesypiasz półtora dnia, ale nie budzisz się martwy. Życie chroni się dzisiaj wszelkimi sposobami. Co stwarza problemy. I te problemy zepchnęły ich do Głębokiej Sieci. Samobójcze piętno, tak, oczywiście, ale głównie dlatego, że ucieczka od życia jest coraz częściej niezgodna z prawem. Pojawiają się kwestie odpowiedzialności finansowej i społecznej, wszystkie te kruczki prawne. Bo spójrzmy: skoro stary buick już się nie nadaje, to nowym źródłem tlenu węgla jest teraz mały przenośny grill, który można kupić w każdym supermarkecie. Metalowy stelaż, węgiel drzewny na folii, wszystko ładnie zapakowane i gotowe do użycia. Stawiasz sześć czy osiem takich maleństw



na półce w sypialni i podpalasz. Tlenek węgla jest cięższy od powietrza, więc wylewa się z nich jak ciecz i zbiera na podłodze. Jego poziom podnosi się, zrównuje z poziomem łóżka, i gotowe. Szybko i bezboleśnie. Zasypiasz i nie budzisz się. Święty Graal. Z tym że od grilla zapala się ściana, z domu pozostają zgłiszcza i tego, kto zaproponował tę metodę, zalewa powódź pięciuset pozwów sądowych.

– Łamią również inne prawa? – spytała Chang.

– Zależy, ile mogą znieść. Dla niektórych nawet wąż ogrodowy jest zbyt brutalny. W garażu jest zimno, w samochodzie niewygodnie, poza tym dziwnie to wygląda. Chociaż z drugiej strony tlenek węgla gwarantuje dobry, zdrowy wygląd zwłok. Są czerwoniutkie jak wisienka. Pracownicy zakładu pogrzebowego mają ułatwione zadanie. Ale niektórzy chcą umrzeć w domu. Wygodnie. Najlepiej we własnym łóżku. Z pomocą przyszedł im inny gaz. I ciekawy fakt medyczny... Mogę o coś spytać? Kiedy wstrzymuje pani oddech, co zmusza panią do tego, żeby jak najszybciej nabrać powietrza?

– Chyba brak tlenu.

– No właśnie. Otóż nie brak tlenu, tylko obecność dwutlenku węgla. Niby to samo, ale niezupełnie. Rzecz w tym, że nasz mózg będzie zadowolony, jeśli wciągniemy do płuc jakikolwiek gaz, byle nie dwutlenek węgla. Można wypełnić piersz azotem, bez odrobiny tlenu, co załatwiłoby nas na amen, a płuca powiedzą: hej, spoko, nie widzimy tu dwutlenku węgla, więc zaczniemy pompować dopiero wtedy, kiedy się pojawi. Z tym że dwutlenek węgla wcale się nie pojawi, bo nie będziemy już oddychać. Bo nie musimy. Bo nie mamy dwutlenku węgla. I tak dalej. Dlatego ten i ów próbował wdychać azot, ale po azot trzeba pójść do sklepu ze sprzętem spawalniczym, a butle są ciężkie, więc zainteresowano się helem do napełniania baloników, ale jeśli hel, to maska i rurki, a całość wygląda idiotycznie, tak więc w końcu uznano, że najlepsza jest jednak staromodna buteleczka tabletek i szklanka whisky. Tak jak za starych dobrych czasów. Sęk w tym, że to już niemożliwe. Najpopularniejszy był kiedyś nembutal albo seconal, ale dzisiaj są to środki ściśle kontrolowane. Nie można ich dostać. Nielegalnie tak, proszę bardzo, trzeba tylko zajrzeć tam, gdzie nikt nas nie widzi. Źródła zaopatrzenia są. Święty Graal. Większość ofert to naturalnie oszustwo. Nembutal w proszku z Chin, i tak dalej. Rozpuścić w wodzie albo soku owocowym. Osiemset, dziewięćset docłów za śmiertelną dawkę. Jakiś biedny nieszczęśnik bierze pieniądze, wysyła je przez MoneyGram i czeka udręczony i zniecierpliwiony. Ale

chińskiego nembutalu nigdy nie zobaczy, bo go po prostu nie ma. Proszek na zdjęciu w sieci to zwykły talk, a buteleczka była na zupełnie inny lek. I tak pojawia się nowy rodzaj podłości: żerowanie na ostatniej nadziei samobójców.

– Ale sugeruje pan, że są i oferty uczciwe – zauważył Reacher. – Powiedział pan „większość”, nie wszystkie.

– Seconal całkowicie się wyczerpał. Ostatnią szansą jest nembutal. Teraz to Święty Graal sam w sobie. Jego jedynym legalnym zastosowaniem w USA jest usypianie dużych zwierząt. Jedni go kradną, inni przekupują weterynarzy. Czemu nie? Śmiertelna dawka dla człowieka to dwie buteleczki. Łatwe do wysłania. FedEx się tym zajmie. Dziewięć stów za coś, co wylewa się niechcący na podłogę podczas uśmiercania muła. Każdy na to pójdzie.

*Widział domy mieszkalne i domy przerobione na biura, centrale nasienne, centrale handlu nawozami sztucznymi i przychodnię weterynaryjną dla dużych zwierząt...*

– Proszę nam pokazać, gdzie dokładnie Michael pisał. Chcemy to przeczytać.

Przystawili krzesła do szklanego stolika i skupili się na ekranie monitora. Michael McCann pisał na dwóch forach. Na jednym i drugim jako Mike. Pisał bezbarwnie i mozolnie, jak ktoś odrętwiały, zmęczony dźwiganym ciężarem. Ortograficznie i z książkową gramatyką. Nienaturalnie, jakby powiedziano mu, że tu, w domenie publicznej, tak właśnie trzeba. Że to coś jak przemówienie. Wkładasz garnitur i krawat.

Pierwsze forum było zapoznawcze. Michael szukał towarzysza, kogoś, kto go zrozumie. Nie żeby potrzebował pomocy. Nie cały czas. Uważał, że sam może pomóc. Czasem. W ciągu wielu miesięcy odbył kilka krótkich rozmów z dwoma kandydatami, a potem zdecydował się na trzeciego, kogoś o pseudonimie Exit. Zaczęli korespondować.

Na drugim forum rozmawiano o sposobach, chociaż dyskusja często zbaczała z tematu. Michael czasem w niej uczestniczył, zawsze używając wyważonych słów, nigdy gniewnych czy nieprzemysłnych. Uważał, że każdy ma prawo złapać autobus, i tego prawa bronił. Zainteresował go wątek, jak brać nembutał. Szukał wskazówek. Znawcy pisali, że nembutał w formie komercyjnej jest gorzki. Dlatego najlepiej jest rozpuścić go w soku owocowym albo zapić whisky, co jeszcze bardziej zwiększa jego skuteczność. Dobrze jest również wziąć przedtem środek przeciwwymiotny, na przykład coś na chorobę lokomocyjną. Żeby nagle nie zwymiotować i nie zostać z połową dawki w żołądku. Nikt nie chciał obudzić się dwadzieścia cztery godziny później i zaczynać od początku.

Michael napisał również kilka uwag w wątku o wiarygodności dostawców nembutału. Wiele razy go oszukano. Na rynku można było ukryć się jak w dżungli. Wystarczyło, że oszust założy ładną stronę internetową. Nikt nie wiedział, kim naprawdę jest. Koszerny był podobno jakiś handlarz z Tajlandii. Potem ktoś napisał, że MS się sprawdziło, że ma dobry towar, skuteczny. Ktoś inny go poparł. Tak, ci z MS są OK. Dotrzymują słowa. „MS?” – spytał Michael. Odpowiedział mu ten pierwszy: „Matczyzny Spoczynek”.

Dzień później, już na forum zapoznawczym, Michael zawiadomił Exita, że sprawdził stronę MS i dobrze by było, gdyby zajrzał tam również on, ponieważ jest sporo rzeczy do omówienia, zwłaszcza na poziomie piątym.

Tyle. Dalszych szczegółów nie było.

– Co to jest poziom piąty? – spytał Reacher.

– Niech pan wyobrazi sobie cebulę – odparł maniak z Palo Alto. – Warstwa na warstwie, a na tej warstwie jeszcze jedna warstwa. Coraz głębiej i głębiej. Tak jest z całą Głęboką Siecią i każdą stroną. Zapisy odbywają się zwykle na poziomie drugim. Poziom czwarty to przeważnie pierwsza strona z listą artykułów. Dlatego piąty to prawdopodobnie lista artykułów specjalnych.

Exit odpisał, że tak, poziom piąty jest interesujący. Ale jego uwaga była ostatnia i na tym rozmowa się skończyła. Michael wyjechał po prostu do Oklahomy. W okolicy Tułsy, do Exita. Swojego samobójczego partnera. Żeby się przygotować. Od tej chwili rozmawiali już osobiście.

– Moglibyśmy zajrzeć na stronę Matczyngo Spoczynku? – spytał Reacher.

– Najpierw musielibyśmy ją znaleźć – odparł maniak.

– Z McCannem się panu udało. Sześć sekund przed czasem.

– Bo wiedziałem, gdzie szukać. Teraz mierzylibyśmy czas w minutach. Zakładając, że mielibyśmy szczęście.

– Więc ile minut pan obstawia?

– Dwadzieścia.

Wystukał serię poleceń, załadował dane i hasła. Nacisnął klawisz i w głowie Reachera znowu ruszył zegar. Wszyscy odsunęli się od stolika, przeciągnęli się i usiedli wygodniej. Mogli tylko czekać.

– Dwieście ofiar – zastanawiał się na głos Westwood. – Może chodzić o dwustu samobójców, którzy kupili i połknęli nembutał. Nie wiem, co o tym myśleć. Jako dziennikarz. Czy to afera? W Waszyngtonie i Oregonie eutanazja jest legalna.

– To nie to samo – powiedział maniak z Palo Alto. – Potrzeba zgody dwóch lekarzy. Poza tym musi pan mieć sto lat i być nieuleczalnie chory. Ci ludzie się nie kwalifikują. Co ich wkurza.

– No i zaczynamy debatę na temat etyki. Czy człowiek ma prawo do swoich wyborów, po prostu i zwyczajnie, czy też jesteśmy zobligowani do osądzenia jego motywacji?

– Nie motywacji – odparła Chang. – To zbyt intymne. Ale myślę, że powinniśmy osądzić stopień zaangażowania. Jest duża różnica między chwilową paniką

a stałą potrzebą. Może zaangażowanie jest dowodem motywacji. Ktoś zdeterminowany na tyle, żeby przez to wszystko przejść, musi mieć ważne powody.

– W takim razie może obecny system jest dobry. Na swój sposób. Przez przypadek. Masa przeszkód. Ci, którzy je pokonają, chyba na to zasługują.

– Dobrze – wtrącił Reacher – ale wróćmy do naszego miasteczka. Dwieście przesyłek z nembutalem po dziewięćset dolarów za sztukę to niecałe dwieście tysięcy. Przypuszczalnie od chwili, kiedy zaczęli się tym zajmować. A trzeba odjąć od tego koszty przesyłki i upust za hurt. To są marne grosze, działalność hobbystyczna. Nie wystarczyłoby im na opłacenie kogoś takiego jak Merczenko, nie takimi pieniędzmi. Tam dzieje się coś innego. Musi. Bo... – Urwał.

– Bo co? – spytała Chang.

– Bo kogoś tam zabito.

– Kogo?

– Na samym początku. Koparką.

– Keevera?

– Właśnie. Skoro to tylko hobby, po co mieliby go zabijać? Nie, to nie pasuje.

– Na poziomie piątym mogli sprzedawać coś specjalnego. Wartego dużo więcej.

Reacher zerknął na ekran monitora. Wyszukiwarka wciąż szukała. Już siedem minut.

– Próbuję sobie wyobrazić, co to by mogło być. Z czego opłacaliby Merczenkę.

– Bardzo im wszystkim współczuję – powiedział maniak z Palo Alto. – Samobójcom.

Reacher kiwnął głową.

– Ja też. Zgoda, śmierć od grilla kosztem spalonego domu nie jest fajna. Ale poza tym powinniśmy pozwolić im robić, co chcą. Nie prosili się na ten świat. To tak, jakby odnieść sweter do sklepu.

– Z tym że samobójstwo nie powinno być ani zbyt łatwe, ani zbyt trudne – dodała Chang. – Co resztę z nas zobowiązuje do ustawienia poprzeczki. Czy tak byłoby fair?

– Właśnie tego się bałem – odparł Westwood. – Etyka. Mógłbym napisać o tym, nie wychodząc z redakcji. Wypełniacz na sezon ogórkowy. I te niesprawiedliwione wydatki, koszty podróży. Łeb mi urwą.

Minęło dwanaście minut.

Maniak z Palo Alto zaproponował im drinka. Tyle że im go nie podał, musieli pójść sami. Do kuchni, bardzo zresztą retro. Przypominała trochę te, które Reacher pamiętał z dzieciństwa. Z kwater rodzinnych w rozsianych po świecie bazach. Za oknem zmieniała się pogoda, ale szafki zawsze były takie same. Niektóre matki robiły wielkie przedstawienie, zaraz po przyjeździe czyszcząc wszystko środkami dezynfekującymi, ale jego matka była Francuzką i wierzyła w nabytą odporność. I zwykle miała rację. Chociaż brat raz wymiotował. Ale pewnie złapał coś w restauracji. Chodził już na randki.

– Dobrze się czujesz? – spytała Chang.

– Tak, dobrze.

Osiemnaście minut.

Wrócili do pokoju. Zegar tykał. Dziewiętnaście minut.

– Nie ustaliliśmy stawki zakładu – powiedział maniak.

– A o co założyliśmy się za pierwszym razem? – spytał Reacher.

– O nic.

Minęło dwadzieścia minut.

– Nie chcemy nadużywać pańskiej gościnności...

– Spokojnie – odrzekł maniak. – Batyskaf zrobi swoje. Jestem od nich lepszy.

– Ile trwało najdłuższe wyszukiwanie?

– Dziewiętnaście godzin.

– I co pan znalazł?

– Harmonogram wizyt naszego prezydenta. Na stronie płatnych zamachowców.

– Harmonogram wizyt prezydenta Stanów Zjednoczonych?

– Tak. Kiedy zaczynałem szukać, był wciąż aktualny.

– Zgłosił pan to?

– Na tym właśnie polegał mój dylemat. Nie jestem instytucją publiczną. Poza tym nie znalazłem żadnych innych informacji. Strona, której szukałem dziewiętnaście godzin, miała tyle duplikatów i atrap, że serwery, na których wisiała, mogły być na Wenus czy Marsie. Poza tym ci z Secret Service nie uwierzyliby mi na słowo. Rozpirzyliby cały sprzęt i oprogramowanie. I musiałbym siedzieć z nimi przez rok, gadając i doradzając. Dlatego nic nie zgłosiłem.

– I nic się nie stało.

– Na szczęście.

Minęło dwadzieścia siedem minut.

Wyszukiwarka wciąż pracowała.

I nagle przestała.

Na ekranie pojawiła się lista odsyłaczy.

Był na niej jeden bezpośredni lokalizator strony Matczynego Spoczynku, cztery podstrony i jeden link zewnętrzny, od którego maniak z Palo Alto chciał zacząć, ponieważ uznał, że to nietypowe. Udało mu się odzyskać pojedynczy komentarz niejakiego Blooda, który napisał: „Ci z Matczynego Spoczynku mają podobno mocny towar” w chat roomie na zabezpieczonym forum, którego maniak nie znał. Brakowało dokładniejszego kontekstu. Ale to nie było forum samobójców. Należało do innej społeczności. Na pierwszy rzut oka do jakichś entuzjastów.

Poza tym nic, żadnych danych.

Ślepy zaulek.

– Cóż – rzucił maniak. – W takim razie idziemy prosto do statku matki. Bez żadnych aluzji.

Nie używał trackballa. Nie do takiego oprogramowania. Wszystkie polecenia pisał ręcznie. Chyba tak wolał. Jako weteran. Ze starej szkoły. I był szybki. Jego białe jak kość palce śmigały po klawiaturze aż miło. Prawie nie było ich widać.

Ekran monitora zakwitł kolorami. Pojawiła się na nim czynna strona internetowa.

Ze zdjęciem.

Przedstawiało szosę biegnącą prosto przez niekończące się pole pszenicy, ostrą jak igła w miejscu, gdzie znikiała za złocistą mgiełką na horyzoncie. Stary szlak. Droga na zachód.

I alegoria, jakżeby inaczej. Na górze widniał napis: „Udaj się w podróż razem z nami”. A na dole: „Matczyne Spoczynek. Nareszcie”.

Pierwszy odsyłacz zaprowadził ich do zakładki „O nas”. Tworzyli społeczność, która zapewniała wybór sposobów zakończenia życia. Solennie obiecywali najskuteczniejsze środki, obsługę i troskliwą opiekę. Gwarantowali, że są uczciwi. Nie mówiąc już, że dyskretni.

Drugi link odesłał ich na stronę logowania. Tylko dla członków. Z loginem i hasłem. Prawdopodobnie trudnym do złamania. Ale nie musieli nic łamać, ponieważ link trzeci omijał tę procedurę, kierując ich od razu na poziom czwarty.



Na pierwszą stronę z listą oferowanych artykułów.

Konkretnie trzech. Pierwszym był niesterylny roztwór nembutalu do stosowania doustnego, pięćdziesiąt mililitrów za dwieście dolarów. Drugim roztwór nembutalu do wstrzyknięcia, buteleczka o pojemności stu mililitrów za trzysta osiemdziesiąt siedem dolarów. Trzecim był roztwór sterylny, sto mililitrów za czterysta pięćdziesiąt dolarów. Nadmieniono, że dawka śmiertelna wynosi trzydzieści mililitrów w zastrzyku i dwieście mililitrów doustnie. Pacjent zasypiał w niecałą minutę, a śmierć następowała niecałe dwadzieścia minut później. Reacher pomyślał, że roztwór do wstrzyknięcia słabo się sprzedaje. Jeśli ktoś lubił igły, za jedną dziesiątą ceny mógł przedawkować heroinę. Bestsellerem był chyba roztwór do stosowania doustnego. Dziewięć stów za spokojną podróż w zaświaty. Poza tym słowo „sterylny” dobrze brzmiało, jakoś tak czysto. Święty Graal. Ale ten niesterylny miał lepszą cenę. Tylko osiemset dolarów, choć z ryzykiem, że dzień po śmierci dopadnie cię grypa żołądkowa.

Dostawa kosztowała trzydzieści dolarów, wraz z numerem trackingowym, wszystko płatne z góry za pośrednictwem Western Union albo MoneyGram. Czeków i przekazów pieniężnych nie przyjmowano. Nembutal przychodził w zwykłym opakowaniu. Zalecano, żeby nie trzymać go w lodówce, tylko w suchym, chłodnym miejscu, w szczelnie zamkniętej buteleczce.

Pod spodem widniało okienko z napisem: „Kliknij, aby zamówić”.

– Reacher miał rację – powiedziała Chang. – Na Merczenkę by tym nie zarobili.

– Spójrzmy na poziom piąty – zaproponował Westwood.

Trochę to trwało. Jak w starych modemach telefonicznych. Chociaż Reacher podejrzewał, że za kulisami wszystko odbywało się błyskawicznie. Kod maniaka z Palo Alto atakował systemy obronne jednej strony po drugiej – samotny wojownik przeciwko niezliczonym hordom, penetrujący, wyrąbujący sobie drogę, w każdej sekundzie stosujący miliony zwodów i zmyłek, przebijający się przez kolejne warstwy.

Na ekranie ukazała się strona.

Znajomy Michaela McCanna powiedział, że jest interesująca. I taka chyba była. Zależy, czego się na niej szukało. Oferowała usługę „Konsjerż”. Chętnych proszono o przyjazd do Matczynego Spoczynku, pociągami z Chicago lub Oklahoma City. Na stacji czekał na nich opiekun, który prowadził ich do luksusowego motelu, gdzie spędzali noc. Nazajutrz odwożono ich do kwatery głównej luksusową limuzyną. Tam czekał już prywatny aneks, apartament wzorowany na tych z najbardziej

luksusowych hoteli, z przytulną sypialnią, w której panowała uspokajająca atmosfera. Mogli się tam rozgościć, a gdy uznali, że już pora, asystent podawał im roztwór nembutalu i zostawiał ich samych. Albo, jeśli gość bał się, że nie da rady przełknąć gorzkiego napoju, aplikował mu tabletkę na sen, po czym naciskał guzik i odpalał silnik małego, starego chevroleta z lat siedemdziesiątych. Samochód stał dyskretnie na zewnątrz i nie było go słyszać, lecz bogate w tlenki spaliny sączyły się do pokoju i łagodnie robiły swoje.

Zainteresowanych proszono o kontakt w sprawie ceny.

Która jest pewnie wysoka, pomyślał Reacher. Przypomniał mu się mężczyzna w garniturze i koszuli z kołnierzykiem, jego skórzana torba, i kobieta w białej sukience, w której mogłaby wystąpić na garden party w Monte Carlo. Obydwoje bogaci. Obydwoje prawdopodobnie chorzy. Obydwoje pragnęli zakończyć to w godny sposób. Dwoje różnych ludzi, których połączyła ta sama reakcja. Zakurzone okno pokoju 203. I oni z szeroko otwartymi rękami i przytrzymującymi zasłony dłońmi spoglądający w zadziwieniu na poranek.

Ich ostatni.

– I oni tam pojechali? – spytała Chang. – Michael i ten znajomy.

– To jest to – powiedział Westwood. – Mój artykuł. Postawię pytanie: „Czy taka czeka nas przyszłość?”. Może jeszcze nieprędko, może dopiero za sto lat. Chaos, przeludnienie, brak wody. Takie lokale będą na każdym rogu. Jak Starbucks. Ale muszę to zobaczyć na własne oczy. Bo jeśli już wydałem tyle kasy...

– Potem – przerwał mu Reacher. – Kiedy to sprawdzimy.

– A co tu sprawdzać? Wiemy, co się tam dzieje. Wysyłają ludziom weterynaryjny nembutal i ściągają pociągami nadzianych klientów. Kto z całkowitym przekonaniem powie, że jedno czy drugie jest złe? Napiszę, że to zapowiedź przyszłości. Bo może tak musi być. Ostatecznie to ludzkie pragnienie. Nic więcej. Czyste i niekontrolowane. Na swój sposób organiczne. A książki, do której będę miał prawa, trzeba będzie szukać w dziale filozoficznym. Tak już jest. Postęp. Świat zmienia się na naszych oczach. Za sto lat to będzie zupełnie normalne.

– Keverer uważał inaczej. Mógł wzruszyć ramionami. Zmienić nazwisko na Wittgenstein i zapomnieć o postępie. Ale uznał, że coś jest nie tak.

– Pani też tak uważa?

– Nie wiem. Ale on wiedział.

– Dobrze, ale co może być nie tak?

– Moim zdaniem Michael i jego znajomy nie mogli sobie pozwolić na tak kosztowną rzecz, na tę luksusową usługę. Chyba że przez całe życie oszczędzali. Jeśli nie, to gdzie, do diabła, są?

– Skończyliśmy? – spytał maniak z Palo Alto.

– Tak – odparła Chang. – I bardzo panu dziękujemy.

– Jest pan wielki – dodał Reacher. – Zszedł pan między duchy. Pan je widzi, one pana nie.

– Przyślij mi fakturę – mruknął Westwood.

– Sprowadzę samochód – powiedział maniak i nacisnął guzik na telefonie.

Wstali, Reacher zrobił krok w stronę drzwi, jeden i drugi, a potem podłoga stanęła dęba, ruszyła na niego pod zwariowanym kątem czterdziestu pięciu stopni tak gwałtownie i nagle, popychana tak potężną siłą, że w pierwszej chwili pomyślał: rany, trzęsienie ziemi. Przewróciła go, cisnęła nim na futrynę, huknęła w pierś i szyję jak solidnym legarem, potem coś zaklekotało na podłodze, a on rozejrzał się rozpaczliwie, wypatrując Chang i tego, co miało się zaraz stać.

Nie, to nie trzęsienie ziemi.

Usiadł.

Pozostali przykucnęli.

– Nic mi nie jest – burknął.

– Upadłeś – powiedziała Chang.

– Pewnie deska się obluzowała.

– Nie.

– Albo się wypaczyła.

– Boli cię głowa?

– Tak.

– Jedziemy do szpitala.

– Bzdura.

– Zapomniałeś, jak nazywa się Keever. Powiedziałeś, że „kogoś zabito koparką”. To typowy objaw afazji. Zapominasz słowo i próbujesz zastąpić je innym. Jest niedobrze, Reacher. I potknąłeś się, kiedy szliśmy do księgarni. Ciągle odpywasz. Mówisz do siebie, jakbyś śnił na jawie.

– Naprawdę?

– Cały czas jesteś przymulony.

– A normalnie nie jestem?

– Jedziemy do szpitala.

- Bzdura. Nigdzie nie jadę.
  - Dla mnie, Reacher.
  - Strata czasu. Jedziemy do hotelu.
  - Może i strata. Ale zrób to dla mnie.
  - Nigdy nie byłem w szpitalu.
  - Zawsze jest ten pierwszy raz. Nie tylko z tym. Mam nadzieję, że ze wszystkim.
- Reacher milczał.
- Jedź, stary – rzucił maniak z Palo Alto.
- Reacher spojrział na Westwooda.
- Nie poprze mnie pan?
  - Do szpitala – rzucił Westwood.
  - Niech pan im powie, że jest pan programistą – doradził maniak. – Od razu pana przyjmą. Niektóre firmy informatyczne dają szpitalom duże darowizny.

• • •

Zrobili, jak mówił, i oświadczyli, że Reacher jest kimś, kim nie był. I pewnie nigdy nie miał być. Tak jak nigdy nie miał szyć kołder, prowadzić albumu z wycinankami albo śpiewać tenorem w chórze – prawdopodobieństwo było takie samo. Ale dzięki temu w ciągu dziewięćdziesięciu sekund zajął się nim lekarz, a dziewięćdziesiąt sekund później wieziono go już na tomografię. Oczywiście powtarzał, że to bzdura, strata czasu, że po cholere, ale Chang się uparła, więc odpalili maszynę i okazało się, że w sumie to nic takiego, ot, trochę elektronicznego buczenia, zwykłe prześwietlenie, a potem musiał poczekać na wyniki. To też była bzdura, strata czasu, i po cholere, ale Chang znowu się uparła, aż wreszcie przyszedł lekarz z kartonową teczką i czymś dziwnym w oczach. Więc zostali.

- Tomografia komputerowa to rodzaj tomografii rentgenowskiej, metoda pozwalająca na uzyskanie przekrojów badanego obiektu – powiedział Reacher.
- Wiem – odrzekł lekarz.
- Wiem, jaki jest dzisiaj dzień, wiem, kto jest naszym prezydentem. Pamiętam, co jadłem dzisiaj na śniadanie. Pierwsze i drugie. Chcę w ten sposób udowodnić, że nic mi nie jest.
- Ma pan uraz głowy.
- Niemożliwe.

– Ma pan głowę. Więc głowa może mieć uraz. Wstrząśnienie mózgu, po łacinie *contusio cerebri*, właściwie podwójne, akceleracyjne i deceleracyjne, spowodowane uderzeniem tępym narzędziem w prawą skroń.

– To dobrze czy źle? – spytał Reacher.

– Gdyby zadano panu tak silny cios w ramię, miałyby pan potężnego siniaka. I go pan ma. Tyle że nie na zewnątrz. Na zewnątrz jest za mało ciała. Siniak jest w środku. Na powierzchni mózgu. Konkretnie dwa siniaki, jeden po prawej stronie, drugi po lewej, ponieważ mózg obijał się w czaszce jak złota rybka w za małym słoiku. Nazywamy to „pingiem” i „pongim”.

– A objawy?

– Zależą od stopnia urazu i organizmu pacjenta, ale zwykle są to zawroty głowy i ból, dezorientacja, senność, utrata przytomności, mdłości, wymioty, drgawki, niepamięć wsteczna, zaburzenia wzroku, mowy, słuchu, trudności z koordynacją ruchową, opanowaniem emocji, myśleniem i koncentracją.

– Sporo tego.

– To mózg.

– A u mnie? Jakie będą symptomy?

– Nie wiem.

– Ma pan wyniki – zauważył Reacher. – Wszystkie zdjęcia.

– Nie da się ich jednoznacznie zinterpretować.

– W takim razie sprawa zamknięta. To tylko domysły. Oberwałem nie pierwszy raz. Wielkie rzeczy. Nic mi nie będzie.

– To jest uraz głowy.

– Jak brzmi dalsza część pana przemowy?

– Wyniki wskazują, że powinniśmy zatrzymać pana na noc na obserwację.

– Odpada.

– Tak trzeba.

– Gdyby ktoś przygrzał mi w ramię, powiedziałby pan: za parę dni panu przejdzie, siniak zniknie. I odesłałby mnie pan do domu. Z głową jest tak samo. Co to za różnica? Oberwałem wczoraj, więc jutro minie już parę dni. Nic mi nie będzie. Jeśli rzeczywiście jest tak, jak pan mówi. Bo może pomylił pan wyniki.

– Mózg to nie ramię.

– Pełna zgoda. Ramienia nie chroni gruba warstwa kości.

– Jest pan dorosły. A to nie jest szpital psychiatryczny. Nie mogę zatrzymać pana wbrew pańskiej woli. Niech pan wypisze się w recepcji.

Lekarz odwrócił się i wyszedł do następnego w kolejce. Może też programisty.  
Drzwi otworzyły się i zamknęły.

– To tylko siniak – powtórzył Reacher. – Już mi lepiej.

– Dziękuję, że dałeś się zbadać – powiedziała Chang. – Poszukajmy hotelu.

– Trzeba było tak od razu.

– Reacher, ty upadłeś.

Do taksówki szedł bardzo ostrożnie.

Niektórzy mówią, że San Francisco wygląda na mapie jak kciuk, który sterząc z południa na północ, chroni zatokę przed Pacyfikiem, ale on uważał, że bardziej przypomina zakrzywiony środkowy palec. Chociaż za nic nie mógł zrozumieć, dlaczego miasto jest tak wkurzone na ocean. Może przez tę mgłę. Tak czy inaczej, wybrany przez Westwoda hotel stał na samym czubku środkowego palca albo kciuka, tam gdzie rósłby paznokcie. Nad samym brzegiem. Było ciemno, więc widzieli tylko czarną otchłań, nie licząc oświetlonych jak choinka Złotych Wrót po lewej stronie i mrugających światełek Sausalito i Tiburonu daleko po prawej.

Zameldowali się, umyli i spotkali na kolacji. Restauracja była ładna, z mnóstwem białych obrusów. Przy stolikach siedzieli goście, parami lub czwórkami. Schadzki i interesy. Tylko oni przyszli we troje. Westwood włączył internet w telefonie i powiedział:

– Co roku dochodzi u nas do czterdziestu tysięcy samobójstw. Co trzysta minut jedno. Statystycznie rzecz biorąc, bardziej prawdopodobne jest to, że zabijemy siebie niż kogoś. Kto by na to wpadł?

– Jeśli co dziewięć dni pięciu samobójców korzysta z usług w Matczym Spoczynku, daje to paręset osób rocznie. Jak w notatce Keevera. Na własne oczy widzieliśmy dwoje.

– Ile byś za to zapłaciła? – spytał Reacher.

– Ani centa. Przynajmniej taką mam nadzieję.

– Jeśli chcą dziewięćset dolarów za Zosię Samosię w łóżku, to ile byłoby rozsądnie? Pięć razy więcej? Pięć tysięcy?

– Może. Za rozpieszczanie. Jakbyś pojechał do spa, zamiast zrobić sobie paznokcie w domu.

– Co dawałoby milion dolarów rocznie. Spora sumka.

– Ale?

– Tylko w tym tygodniu na ich liście znalazł się Keever, McCann, ty, ja i Laiowie. Siedem osób. Co pewnie nie jest dla nich problemem, ponieważ do

ciężkiej roboty wynajmują zbirów z Ukrainy. Ale za milion rocznie to chyba przegięcie.

– Ludzie zabijają za dolara.

– Na ulicy, w panice. Nie z nakazu strategicznego. Myślę, że chodzi o coś więcej. Tylko nie wiem o co. Ludzie nie zapłaciliby dziesięciu, dwudziestu kawałków. Albo trzydziestu. Prawda? Za te pieniądze mogliby kupić własnego chevroleta. I szopę z dziurą w ścianie.

– To nie musi być racjonalna decyzja, niekoniecznie. Cała rzecz w tym, żeby nie kupować chevroleta. O to właśnie chodzi. O pełny serwis.

– Więc ile mogliby zapłacić?

– Nie wiem. Trudno to sobie wyobrazić. Założmy, że jesteś bogaty i chcesz popełnić samobójstwo. Ostatni luksus. Dyskretna obsługa, która pilnuje, żeby wszystko poszło jak trzeba. Opieka i troska, czyjaś ręka do potrzymania. Tak, to wielkie wydarzenie. Mógłbyś zapłacić tyle co za samochód. A więc pewnie za mercedesa czy bmw. Pięćdziesiąt tysięcy. Może nawet osiemdziesiąt. Albo i więcej. Czemu nie? I tak nie zabierzesz tego ze sobą.

– Kiedy tam pojedziemy? – spytał Westwood.

– Kiedy opracujemy plan – odparł Reacher. – Zadanie jest trudne taktycznie. To tak, jak podpłynąć niezauważenie do małej wysepki na środku oceanu. Tam jest płasko jak na stole bilardowym. Elewatory są najwyższymi punktami w całym okręgu. Mają tam pewnie różne drabiny i kładki. Dla ekip konserwatorskich. Wystawią obserwatorów. Zobaczą nas, kiedy będziemy dziesięć minut jazdy od nich. A jeśli przyjedziemy pociągiem, będą czekali rzędkiem na peronie.

– Możemy pojechać nocą.

– I nasze reflektory będzie widać z dwustu kilometrów.

– To je zgasimy.

– Nic byśmy nie widzieli. Nocą jest tam ciemno jak w grobie. To wieś.

– Drogi są proste.

– No i chwilowo nie mamy broni.

Westwood nie odpowiedział.

• • •



Po kolacji Westwood wrócił do pokoju, a oni poszli przejść się nabrzeżem. Nad wodą. Było chłodno. Dwa razy chłodniej niż w Phoenix. Chang miała na sobie tylko T-shirt. Żeby się ogrzać, cały czas mocno się do niego tuliła. Wyglądali jak niezdarzy trójnożny stwór.

– Czy ty mnie podtrzymujesz? – spytał.

– Jak się czujesz?

– Ciągłe boli mnie głowa.

– Nie chcę tam jechać, dopóki nie wydobrzejesz.

– Spokojnie. Nic mi nie jest.

– Gdyby nie Keever, w ogóle bym tam nie jechała. Nie mnie ich osądzać. Mają taką potrzebę, i ją zaspokajają. Może Westwood ma rację. Może za sto lat wszyscy tak będą robili.

Reacher milczał.

– No co? – spytała.

– Chciałem powiedzieć, że na ich miejscu zaoszczędziłbym pieniądze i wybrał strzelbę. Ale byłoby dużo krwi, drastyczny widok i w ogóle, i nie chciałbym skazywać na to tego, kto by mnie znalazł. Podobnie z pistoletem. Ze sznurem na szyję i skokiem z dachu. Śmierć pod kołami pociągu jest nie fair wobec maszynisty. Nawet wypicie przyprawionego trucizną soczku w motelu jest nie fair wobec pokojówki. Może dlatego ludzie tam jeżdżą. Tak jest łatwiej dla tych, których zostawiają. Rzecz warta premii. Ale wciąż nie rozumiem, jak to się ma do kasy dla Merczenki.

– A ja wciąż nie wiem, jak się tam dostaniemy. To tak jak pokonać wysokie na dziesięć kilometrów ogrodzenie z drutu kolczastego. Z tym że ułożone na płask.

– Musimy wyruszyć z Oklahoma City.

– Chcesz tam jechać pociągiem?

– Jeszcze nie wiem, zobaczymy. Szczegóły dopracujemy później. Powiedz Westwoodowi, żeby zarezerwował bilety na samolot.

•••

Obudził się wczesnym rankiem. Chang jeszcze spała, a on wyslizgnął się z łóżka i zamknął w łazience. Skreślił swoją teorię. Raz na zawsze. Definitywnie udowodnił, że jest zła. Bo ani razu się nie sprawdziła. Nie było żadnego sufitu. Czy górnej granicy. Nie było powodu, żeby nie mogli zejść jeszcze wyżej.

Dobrze wiedzieć.

Stał przed lustrem, obracając się, wyginając i oglądając. Miał kilka nowych siniaków, od upadku. Ten stary, w miejscu, gdzie uderzył go Hackett, był jaskrawożółty i wielki jak talerz. Ale przynajmniej nie sikał krwią, ból złagodniał, mięśnie zaczynały odzyskiwać elastyczność. Skroń wciąż była wrażliwa i jakby miękka, ale niezupełnie spuchnięta. Za mało ciała, jak powiedział lekarz. Ból głowy? Umiarkowany. Nie odczuwał senności. Nic nie wirowało mu przed oczami. Stanął na jednej nodze, zacisnął powieki i nawet się nie zachwiał. Był przytomny. Nie miał drgawek ani mdłości. Nie wymiotował. Z zamkniętymi oczami przeszedł od wanny do muszli klozetowej i z powrotem i nie zбочzył z prostej na dziesięć centymetrów. Dotknął palcem czubka nosa i potarł brzuch, klepiąc się jednocześnie dłonią w głowę. Nie licząc wrodzonej i całkowicie zrozumiałej lekkiej niezdarności, zupełny brak problemów z koordynacją ruchową. Nie należał do baletmistrzów. Przymiotniki „zgrabny”, „zręczny” i „zwinny” nigdy do niego nie pasowały.

Otworzyły się drzwi i do łazienki weszła Chang. Zobaczył ją w lustrze. Była jedwabista i zasnana. Ziewnęła.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odparł.

– Co robisz?

– Szukam objawów. Lekarz dał mi listę długą jak cholera.

– Daleko zaszedłeś?

– Zostały mi: pamięć, wzrok, mowa, słuch, panowanie nad emocjami i myślenie.

– Panowanie nad emocjami już zaliczyłeś. Imponujące. Jak na faceta. I byłego żołnierza. Dobrze, a teraz wymień nazwiska trzech słynnych oklahomczyków.

– Oczywiście Mickey Mantle. Johnny Bench. Jim Thorpe. Dasz mi dodatkowe punkty za Woody’ego Guthriego i Ralpa Ellisona?

– Pamięć masz dobrą. – Chang podeszła do wanny i pokazała mu dwa palce. – Ile?

– Dwa.

– Wzrok też niezły.

– To nie jest zbyt dokładne badanie.

– Dobrze. Zostań tam, gdzie jesteś, i powiedz, kto wyprodukował tę wannę.

Reacher zmrużył oczy. Nad otworem przelewu widniał ledwo widoczny napis.

– American Standard – odparł, bo wiedział i bez tego.  
– Wzrok masz dobry – podsumowała Chang. I coś cichutko wyszeptała.  
– W samolocie? – powtórzył. – Jestem absolutnie za.  
– Słuch też. To na pewno. Jakie jest najdłuższe słowo w przemówieniu gettysburskim?

– A teraz sprawdzasz co?

– Myślenie.

Reacher zmarszczył czoło.

– Są trzy. Każde ma jedenaście liter. *Proposition*, *battlefield* i *consecrated*.

– Wyrecytuj pierwsze zdanie. Jak aktor.

– Wiesz, że Lincoln chorował wtedy na ospę?

– To nie jest pierwsze zdanie.

– Wiem. Chcę tylko zdobyć dodatkowy punkt za pamięć.

– Pamięć już badaliśmy.

– A wiesz, że gość, który założył Getty Oil, był potomkiem gościa, od którego nazwano Gettysburg?

– To ma być pierwsze zdanie?

– To jest wiedza ogólna.

– Która nie jest objawem.

– Ale ma związek z pamięcią.

– Pamięć zaliczyliśmy wieki temu.

– „Lat temu osiemdziesiąt i siedem nasi ojcowie stworzyli na tym kontynencie nowy naród, poczęty z wolności i wierny zasadzie, że wszyscy ludzie zostali stworzeni równymi” – powiedział to głośno, jak na scenie. Wyłożona marmurem łazienka rozbrzmiała echem. – „Obecnie toczymy wielką wojnę domową, która wykaże, czy naród ten, czy też jakikolwiek inny w tym duchu poczęty i tej zasadzie wierny, jest w stanie przetrwać”.

– Głowa przestała boleć? – spytała Chang.

– Powiedzmy.

– Czyli nie przestała.

– Powoli zaczyna. Nieważne.

– Lekarz powiedział, że ważne.

– Lekarze stali się ostatnio bardzo ostrożni. Bojaźliwi. A gdzie poczucie przygody? Przeżyłem noc. Nikt nie musiał mnie obserwować.

– Cieszę się, że ten był ostrożny.

Reacher umilkł.

Potem zadzwonił do nich Westwood z hotelu i powiedział, że jego ludzie od wyjazdów zarezerwowali już bilety, linia United, jedyny bezpośredni lot tego dnia. Ale bez pośpiechu, bo samolot odlatuje dopiero w południe. Zamówili więc kawę do pokoju, o którą poprosili natychmiast, i śniadanie, które mieli im przynieść dokładnie godzinę później.

•••

Gdy w San Francisco był wczesny ranek, w Matczynym Spoczynku życie toczyło się już od paru godzin. Nie dlatego, że na wsi panują inne zwyczaje, tylko z powodu różnicy czasu. Małe miasteczko wyprzedzało wielkie miasto. Sklep wielobranżowy już działał. W jadłodajni obsługiwano kilku spóźnialskich. Motelowa pokojówka ciężko pracowała. Jednooki kierownik znowu zamknął się w toalecie. Właściciel cadillaca i kierownik składu pocztowego w jednej osobie sprawdzał przekazy Western Union i MoneyGram.

Ale sklep z częściami był zamknięty. Ten z częściami zamiennymi do urządzeń irygacyjnych. A w jadłodajni nie obsługiwano gości przy bufecie. Tych dwóch mężczyzn siedziało na metalowej kładce okalającej szczyt Trójki, jak nazywano stary cementowy gigant, najwyższy elewator, jaki tam mieli. Bo ci dwaj czuwali z lornetkami przy oczach. I z prostą strategią w głowie. Niemal bezpośrednio pod nimi przecinały się dwie drogi, jedna ze wschodu, druga z zachodu, stary szlak. Ale z północy i południa do miasteczka nie prowadziła żadna. Oprócz żelaznej, czyli torów. Strategia wysoko obstawiała drogi. Mężczyźni siedzieli naprzeciwko siebie, jeden patrząc na zachód, drugi na wschód. Mniej więcej co pięć minut zerkali również na północ i południe, leniwie omiatając lornetką tory, na wypadek gdyby ktoś nimi szedł albo jechał jakąś samobieźną machiną, jak na starych westernach. Ot, taki rytuał. Okazja, żeby się leniwie przeciągnąć.

Ale nie wtedy, kiedy nadjeżdżał pociąg. Wtedy musieli się skupić. Patrzyli prawie pionowo w dół, widzieli więc drugi bok pociągu. Prawie. Ale na pewno zobaczyliby kogoś, kto wyskoczyłby z wagonu, otworzywszy na siłę drzwi po drugiej stronie, jak na szpiegowskim filmie. Jednocześnie z taką samą uwagą musieli obserwować drogi. Nie mogli przestać ani na chwilę. Uważano, że wtargnięcie do miasteczka pojazdem czterokołowym jest dużo bardziej prawdopodobne.

Dlatego system wczesnego ostrzegania kazał im spoglądać także na daleki horyzont nie tylko rano i wieczorem, ale i za dnia, przez unoszący się w powietrzu pył, drobniutki i złocisty tuż za miasteczkiem, a dalej jak lekka mgła.

Widzialność: około dwudziestu czterech kilometrów.

„Wszyscy znamy plan. Wiemy, co robić”.

• • •

Wymeldowali się, portier sprowadził im taksówkę i usiedli we troje z tyłu, niektórzy z lekkim żalem. Westwood nie żałował niczego, był tylko trochę rozkojarzony.

– Bardzo dziwny hotel – mruknął. – Tylko tutaj są takie. Kiedy brałem prysznic, ktoś recytował przemowę gettysburską przez kratkę wentylatora w łazience.

Dolecieli na miejsce bez przygód, a zarezerwowany przez redakcję „LA Timesa” hotel okazał się starym, dostojnym gmachem z trzema wieżycami, który po stu latach działalności zaczynał już trącić myszką i pewnie wypadłby z gry, gdyby przed dziesięcioma laty nie wyremontowano go i nie uratowano. Pod każdym względem zadowalający, oferował również coś, co bardzo Reacherowi odpowiadało.

– Chang, idź pogadaj z konsjerżem – rzucił. – Powiedz mu, że chciałabyś zwiedzić miasto na piechotę, ale że zależy ci oczywiście na bezpieczeństwie. Spytaj, których dzielnic masz unikać.

Dziesięć minut później Chang wróciła z turystycznym planem miasta, wydrukowanym w tysiącach egzemplarzy dla gości przyjeżdżających tu na różnego rodzaju zjazdy i konwencje i pokreślonym długopisem przez konsjerżę. Wokół kilku ubogich śródmiejskich dzielnic biegł gruby niebieski mur. Absolutny zakaz wstępu. Jak zrobiony na serwetce szkic Berlina Wschodniego z dawnych czasów. W oczy rzucał się kwartał nie tylko otoczony murem, ale i przekreślony iksem tak mocno, że długopis przebił papier.

– Mam tam nie chodzić ani w nocy, ani za dnia – powiedziała Chang.

– Świetnie, tego szukałem.

– Idę z tobą.

– Na to liczyłem.

Zjedli wieczorny odpowiednik brunchu. Proste składniki, ciekawie podane. Kawa nawet smakowała. Potem czekali godzinę, aż zajdzie słońce. Długi dzień na równinach dobiegł końca. Na ulicach zapłonęły latarnie. Samochody włączyły reflektory. W barach popołudniowy spokój ustąpił miejsca wieczornemu gwarowi.

– Chodźmy – rzucił Reacher.

Szli długo, ponieważ ojcowie miasta dobrze wiedzieli, na czym zarabia się pieniądze. Konwencje i zjazdy przede wszystkim – trzeba było zadbać o uczestników. Dlatego dzięki pogranicze rozciągało się wiele przecznic dalej. Uliczne życie powoli zamierało. Tu i ówdzie widzieli zapracowanych robotników wracających szybko do domu, tu i ówdzie grupki ludzi siedzących beczynn timer na schodach. Niektóre sklepy były już zamknięte, inne wyglądały tak, jakby ich okna zabito deskami przed laty, lecz wiele wciąż działało. Żywność, napoje, papierosy na sztuki.

– Dobrze się czujesz? – spytała Chang.

– Dobrze – odparł Reacher.

Szedł na nosa, wypatrując miejsc, gdzie mogliby gromadzić się ludzie i gdzie samochody mogłyby przez chwilę parkować na drugiego. Jedne stały przy krawężniku, inne się przemieszczały. Tuningowane japońskie dwudrzwiówki, lowridery i wielkie jak lotniskowiec stare buicki, plymouthy i pontiaki. Specjalnie „zrobione”, z szerokimi felgami ze stopów magnezu, chromowanymi rurami wydechowymi i błękitnymi światełkami pod karoserią. Jeden był mocno obniżony, a jego silnik sterczał przez dziurę w masce jak miniaturowa wieża wiertnicza z wielkim gaźnikiem o czterech przepustnicach i sięgającym powyżej dachu gigantycznym filtrem powietrza, też w chromie.

Reacher przystanął, żeby się mu przyjrzeć.

– Muszę jeszcze raz obejrzeć te zdjęcia satelitarne – powiedział.

– Po co? – spytała Chang.

– Coś jest z nimi nie tak.

– Ale co?

– Nie wiem. Coś chodzi mi po głowie. Ale nie, nie, pamięć mam dobrą. Nic mi nie jest.

– Na pewno?

– Spytaj mnie o coś.

– Kto był wiceprezydentem za Teddy’ego Roosevelta?

– Charles Fairbanks.

– Ten aktor?

– Aktor miał na imię Douglas.

Poszli dalej, mijając po drodze stojące obok siebie zapadające się domy, porośnięte chwastami podwórza za siatką, jedne puste, inne pełne śmieci, z psami na łańcuchach, jaskrawymi rowerami, rowerkami na trzech kółkach

i zabawkami. Znaleźli biegnącą na skos ulicę, która łączyła jedną nie do końca główną ulicę z drugą. Była szeroka na trzy pasy, lecz gęsto zastawiona samochodami. Długa na tyle, że zwolnili, zatrzymali się i znowu ruszyli.

– Ta powinna być dobra – ocenił Reacher.

Tu też ludzie siedzieli na schodach, ale życie kwitło nieco dalej, w połowie ulicy. Kręcili się tam młodzi dwunastoletni chłopcy, grupkami, wypatrując przejeżdżających samochodów.

– Dobra – powiedział Reacher. – Udajemy, że nagle zdaliśmy sobie sprawę, gdzie trafiliśmy, i zjeżdżamy.

Szybko zawrócili w kierunku nie do końca głównej ulicy za nimi, skręcili w prawo i poszli równolegle do tej, z której właśnie uciekli. Przystanęli dopiero wtedy, gdy uznali, że są na wysokości miejsca, gdzie widzieli dwunastoletków. Chłopcy powinni być po drugiej stronie działki w prawo, mniej więcej. Dodać do tego długość podwórza za domem, szerokość samego domu, długość podwórza przed domem i szerokość chodnika. Około stu dwudziestu metrów po ciemku.

– Zobaczmy, co dla nas mają – szepnął Reacher.



Wybrali dom z zabitymi deskami oknami i pękniętym łańcuchem na furtce. Weszli szybko i zdecydowanie, jakby tam mieszkali. Potem prześlizgnęli się ukradkiem pod ścianą, przecięli tylne podwórze i stanęli pod płotem, który biegł pod kątem do podwórza domu przy skośnej ulicy. Nie był pewnie do końca taki, jakiego szukali, ale prawie. Reacher wypchnął siatkę z ramy i poszli dalej, całkowicie niewidoczni, nie licząc twarzy bielejących w żółtawym wieczornym mroku.

Przebiegli przez tylne podwórze i zerknęli między domy. Zaszli za daleko w prawo. Handel odbywał się w sąsiednim domu po lewej. Podwórza rozdzielał płot z siatki. Pokonali go łatwo, kosztem metalicznego dzwonienia i brzęczenia. Chang była zwinna. Szybsza. Reacher był zbudowany jak buldożer, nie jak gimnastyk.

Podwórze ktoś zaniedbał. Dokładniej mówiąc, zupełnie zapuścił. Do połowy uda porosło trawą i zielskiem. W domu świeciło się tylko w jednym oknie.

– Kiedy możesz, trzymaj prawą rękę w kieszeni. Niech myślą, że masz broń.

– To działa?

– Czasem.

– Kim oni są? Dealerami?

Reacher kiwnął głową.

– Ta ulica jest jak McDrive: nie trzeba wysiadać z wozu. Ci chłopcy zanoszą klientom prochy i wracają z kasą. Są za młodzi, żeby ich aresztowano. Chociaż to mogło się już zmienić. Dzisiaj to pewnie tylko mit. Zwłaszcza w Oklahomie. Nie, sądzą ich chyba jak dorosłych.

Oświetlone okno znajdowało się po prawej stronie. Prawdopodobnie salon. Po lewej było drugie okno, ciemne, i równie ciemne drzwi. Kuchnia. Pokonali miniaturową prerię i stanęli pod drzwiami. Reacher spróbował przekręcić klamkę. Ani drgnęła. Zrobił krok w prawo i zajrzał do okna. Przyćmione światło, brudne naczynia i sterty śmieci. Okrawki pizzy i puste puszki. Red bull i piwo.

Zrobił jeszcze jeden krok, przywarł do ściany i zerknął w okno jednym okiem, pod kątem ostrym. Zobaczył dwóch mężczyzn. Leżeli rozwaleni na kanapach, gapiąc się na ekrany komórek. I intensywnie pracując kciukami. W coś grali albo pisali SMS-y. Na niskim stoliku między nimi leżały dwa worki marynarskie. Z czarnego nylonu, nowe, lecz kiepskiej jakości. Takie, jakie można było kupić za pięć dolarów w sklepie z aparatami fotograficznymi po dziesięć i teleskopami po dwadzieścia dolarów za sztukę. Na jednym z worków leżała torebka gumek recepturek ze sklepu z artykułami biurowymi.

Na drugim – pistolet maszynowy uzi.

Reacher cofnął się pod kuchenne drzwi.

– Poszukaj jakiegoś kamienia – szepnął.

– Chcesz wybić szybę?

Kiwnął głową.

– To się nada? – Chang pokazała palcem.

Szeroka na niecały metr betonowa ścieżka. A na niej coś z zaokrąglonymi rogami. Lekko wypukłego. Z dziurą pośrodku. Z jakiegoś twardego materiału. Plastik, winylu albo mieszanki. Podstawa parasola przeciwsłonecznego.

– Dasz radę tym rzucić?

– Jasne.

Wiotką sierotką to ona nie jest, pomyślał z uśmiechem Reacher.

– Sekundę po tym, jak wyważę drzwi – powiedział.

Chang dźwignęła podstawę.

Zajął pozycję i szepnął:

– OK?

Kiwnęła głową.

Jeden krok, drugi i trzeci. Reacher kopnął w zamek, drzwi wyleciały z zawiasów i wpadając do środka, usłyszał głośny trzask: okno poszło w drzazgi, a ciężka podstawa do parasola wylądowała z hukiem na podłodze. Przebiegł przez kuchnię, wparował do salonu i zobaczył, że ten po lewej wciąż trzyma komórkę, a ten po prawej sięga po uzi, sięga, lecz nie dosięga, bo słysząc głośny trzask i kątem oka widząc, jak przez pokój przelatuje coś ciężkiego, odruchowo skulił się i cofnął w deszczu odłamków szkła, które spadły mu na głowę i szyję.

Również kątem oka zobaczył prawy but Reachera, który trafił go w twarz i rzucił na podłogę jak stary płaszcz przeciwdeszczowy. I to był koniec gry, ponieważ teraz Reacher musiał tylko zgarnąć uzi, nastawić przełącznik na ogień

ciągly, odbezpieczyć broń, zaciskając dłoń na uchwycie, i wycelować w serce tego po lewej stronie.

– Siedz – powiedział i facet nie wstał.

W korytarzu panowała cisza. Lato, ciepły wieczór, wszyscy byli na ulicy.

– O co biega? – spytał handlarz.

– O spluwy i kasę – odparł Reacher.

Handlarz zerknął na worek z gumkami recepturkami. Odruchowo. Mimowolnie. Weszła Chang. Z zaciśniętą pięścią w kieszeni.

– Obszukaj ich – rzucił Reacher.

Zrobiła to szybko i wprawnie. Jak na absolwentkę Quantico przystało. Nie znalazła nic ciekawego z wyjątkiem kluczyków do audi i dwóch pistoletów, Glocka 17 i Beretty 92. Dziewięć milimetrów jeden, dziewięć milimetrów drugi. Tak jak uzi. Jeśli chodzi o amunicję, ich logistyka była całkiem zgrabna i zmysłna.

– Worki – powiedział Reacher.

Chang zajrzała do worków. Ten, na którym leżało przedtem uzi, zawierał tysiące przezroczystych torebek ciemnobrązowego proszku. Pewnie heroiny, przyprawionej, zmieszanej i znowu przyprawionej, a teraz zapakowanej i gotowej do ulicznej sprzedaży.

W worku z gumkami recepturkami były pieniądze.

Dużo pieniędzy. Brudne banknoty, piątki, dziesiątki i dwudziestki, luzem, w paczkach i zwitkach, naderwane i zmięte, wszystkie mocno upchane. Stąd gumki, pomyślał Reacher. Czytał kiedyś o księgowym jakiegoś kartelu, który wydawał pięć tysięcy dolarów miesięcznie tylko na nie, tylko po to, żeby popakować pieniądze.

– Gdzie samochód? – spytał.

– Pod domem – odparł handlarz. – Szerokiej drogi.

– Pójdiesz z nami. Weźmiesz torby.

– Takiego wała.

– Wyluzuj. Raz na wozie, raz pod wozem. Nie jesteśmy z policji. Nie chcemy wykopać was z rynku. Za parę tygodni wyjdziecie na swoje. A teraz rusz dupę.

Kiedy handlarz wziął torby, Reacher wbił mu w krzyż lułę uzi, chwycił go za kołnierz i pchnął w stronę korytarza. Chang niosła pistolety, glocka w prawej ręce, berette w lewej. Korytarz był długi i brudny, a z jego końca dochodziły uliczne odgłosy. Śmiech, wulgarne przechwałki, szuranie nogami, warkot samochodów,

wszystko jak ze studni, przytłumione przez upał, odległość i zamknięte frontowe drzwi.

– Jeszcze tylko dziesięć sekund – powiedział Reacher. – Bądź mądry, żyj długo i szczęśliwie.

Odciągnął handlarza na bok, wtedy Chang wyprzedziła ich i otworzyła drzwi. Reacher wypchnął mężczyznę na schody i wesołe rozmowy ustały. Było ich jedenaścioro, na podwórzu, chodniku i w rynsztoku, dwuletni chłopczyk, trzy kobiety przed dwudziestką, dwóch hardych zabijaków koło trzydziestki i pięciu chudych dwunastolatków, gońców od przenoszenia kasy i hery. Dudniąc basami głośników, ulicą przejechał samochód, powolutku, pewnie tylko po to, żeby zbadać sytuację. Gdy zniknął, Reacher pchnął dealera przed siebie i tamci ruszyli ku nim gotowi do walki.

– Opuśćcie – rzucił handlarz.

Chang nacisnęła guzik pilota i światłami zamrugał czarny sedan. Mniejszy niż limuzyna, ale i nie kompaktowy. Otworzyła tylne drzwi i Reacher kazał dealerowi wrzucić torby do środka. Potem odwrócił go i pchnął w stronę domu. Z wycelowaną w tłumek lufą uzi. Chang usiadła za kierownicą. Reacher obok niej. Ruszyła z piskiem opon, a on sięgnął po worek i opróżnił go przez okno. Malutkie przezroczyste paczuski pofrunęły na wszystkie strony, błyszczące i brązowe jak chmara martwej szarańczy w strumieniu zaśmigłowym startującego samolotu. Ludzie wybiegli na ulicę, zbierali je, na łeb na szyję pędzili za samochodem, wyprzedzając się, skacząc jak żaby, ci z domu też, próbując przywrócić porządek i odzyskać towar. Reacher nic więcej nie widział, ponieważ na końcu biegnącej na skos ulicy Chang skręciła ostro w lewo i stracił ich z oczu.

Porzucili samochód w garażu centrum zjazdowego w bocznej ulicy cztery przecznice od hotelu. Drzwi zostawili otwarte, z kluczykami w stacyjce, broń wrzucili do worka z pieniędzmi, worek zapięli i zanieśli do pokoju Westwooda. Gdzie na początku trochę się powyglępiali, niespiesznie demonstrując zdobycz, jak dwoje magików, którzy wyciągają króliki z kapelusza. Najpierw beretta, potem glock, wreszcie uzi, każda niespodzianka witana entuzjastycznym aplauzem, wreszcie otworzyli szeroko worek i wysypali pieniądze na łóżko.

– Zmieniłem zdanie – oświadczył Westwood. – Nie napiszę książki filozoficznej.

On i Chang zasiedli do liczenia, a Reacher sprawdził broń. Była nabita, magazynek plus nabój w komorze. W sumie sześćdziesiąt siedem sztuk w pełni kompatybilnej amunicji. Uzi było w dobrym stanie. Jak to uzi. Prosty mechanizm zbudowany do walki w terenie, a nie na papierze. Drugi kałasznikow. W przeciwieństwie do pistoletów. Zwłaszcza – według niektórych – beretty. Beretta to mechanizm precyzyjny. Pięknie wykonany, twardy i niezawodny, lecz wymagający podstawowej konserwacji. A Reacher z doświadczenia wiedział, że dealerzy zwykle to olewają. Wydawali tyle samo pieniędzy co inni, lecz ich broń czasem zawodziła. Smutna rzeczywistość. Niedostateczna pielęgnacja. Albo zupełny jej brak. Zarówno glocka, jak i beretty dawno nie czyszczono i nie oliwiono i były jak zapiaszczone. Wytrzymała broń i niemal na pewno sprawna, lecz „niemal” nie wystarczyło. Nie do tego, co każe komuś w ogóle po nią sięgnąć. Błędne koło. Pytanie z filozofii zen. Czy broń, której nie można ufać, jest w ogóle bronią?

– Spójrz – powiedziała Chang.

Reacher spojrział. Pozory mylą. Najwyraźniej. Brudne piątki, nierówno ułożone pliki dziesiątek i zwitki dwudziestek były jak najbardziej prawdziwe. Jednak na tym nie koniec. Może nawet nie początek. Te pieniądze stanowiły jedynie dodatek. Wrzucono je do worka w charakterze cienkiej warstwy przykrywającej główny ładunek. Czyli owinięte bankowymi banderolami pliki studolarówek. Świeżutkich,

nowiutkich, pachnących i szeleszczących. Pliki były grube. Po sto banknotów w każdym.

Sto setek to dziesięć tysięcy dolarów.

W każdym pliku.

A plików było mnóstwo.

– Ile? – spytał.

– Ponad dwieście trzydzieści tysięcy.

Długo milczał. W końcu poprosił:

– Pokażecie mi to zdjęcie?

Komputer Westwooda już nie spał, a ponieważ link wciąż tkwił w historii przeglądania, mimo kiepskiego Wi-Fi zdjęcie ukazało się na ekranie w ciągu kilku sekund.

Reacher przyjrzał mu się uważnie.

Tak jak przedtem, zobaczył farmę otoczoną morzem pszenicy. Płoty, ubita ziemia, prosiaki, kurczaki i ogródki warzywne. Dom i sześć zabudowań. Ledwo widoczne kable elektryczne między niektórymi budynkami i maszerująca po słupach linia telefoniczna. Studnia i jej cień. Widok lepszy niż szkic architekta, bo rzeczywisty, a nie planowany.

Zrobił to co wcześniej oni i położywszy na touchpadzie dwa zetknięte czubkami palce, rozchylił je, przesuwając i powiększając obraz. Zaczął od miejsca, gdzie parkowały samochody, i wyobraził sobie, że jeden z nich się porusza. Podążył za nim do bitej drogi, potem na wschód, w kierunku torów, by na skraju pola pszenicy skręcić na północ. Pole ciągnęło się ponad szesnaście kilometrów, potem droga skręcała na zachód, a kilka kilometrów dalej znowu na północ, prowadząc aż do miasteczka, gdzie jako wąski, mało znaczący dopływ łączyła się z szeroką drogą manewrową biegnącą do elewatorów. Było to coś w rodzaju długiego na trzydzieści dwa kilometry prywatnego dojazdu. Można nim było dotrzeć tylko tam.

Tą samą trasą wrócił do oddalonej o trzydzieści dwa kilometry farmy i zaparkował tam, skąd wyruszył. Rozwarł palce, aż farma wypełniła cały ekran, od lewej do prawej i z góry na dół. Najbliżej torów była zagroda dla świń. Miała duże zadaszenie, pewnie drewniane, i sześć razy większy wybieg mocno spulchniony i podziurawiony ciężkimi racicami. Błoto i szlam. Stała tam również stodoła nieco większa od zagrody. Ani w stodole, ani w zagrodzie nie było prądu. Szopę z generatorem rozpoznał bez trudu. Z jej ściany sterczała rura do poboru

powietrza, a z dachu osłonięta rura odprowadzająca spaliny. Duża szopa, duży silnik, pewnie diesel. Potężne ustrojstwo. Z szopy wybiegały grube jak kciuk kable i ciężko zwisając od okapu do okapu, łączyły dom i pozostałe trzy budynki.

– Załóżmy, że największym budynkiem jest ten dom – myślał na głos Reacher. – Ten tu, z samochodami i antenami. Ale w którym jest apartament dla samobójców?

Chang i Westwood przykucnęli obok niego, ona z lewej strony, on z prawej.

– Powinien być w drugim największym – odparł Westwood. – Sypialnia, salon, łazienki...

– I powinien mieć prąd do ogrzewania, klimatyzacji i przyćmionych świateł – dodał Reacher. – Cichej muzyki. I wszystkich wygod... Ten?

– Prawie na pewno.

– Więc gdzie jest chevrolet?

– W innym. Oddalonym i dźwiękoszczelnym.

Reacher kiwnął głową.

– W zachodnim Teksasie widziałem kiedyś, jak wykorzystują je do napędzania pomp irygacyjnych. Kiedy benzyna była tańsza od wody. Zwykle seryjne silniki, pewnie z wraków. Wylewali betonową podstawę i przykręcali je śrubami, jak pod maską samochodu. Potem malowali je na jasnożółto, żeby nie potrącił ich traktor czy pług. Ale na otwartej przestrzeni bardzo hałasowały. Dlatego wokół podstawy stawiali ściany i kładli dach. Od wewnątrz ściany można było czymś wyłożyć, sufit też. Materiałem dźwiękochłonnym.

– No i zasilanie – wtrącił Westwood. – Taki silnik nie pracuje cały czas. Tylko wtedy, kiedy trzeba. Byłoby głupio, gdyby nie odpalił. Musieliby mieć ładowarkę do akumulatora i stale go doładowywać. Na wszelki wypadek.

– No więc w którym budynku?

Westwood pokazał palcem.

– W tym albo w tym.

– Gdzie jest rura odprowadzająca spaliny?

Zapadła cisza.

– Może jej nie widać?

– Widać przewody elektryczne. I linię telefoniczną. Kable zasilające mają dwa i pół centymetra grubości. Może trochę mniej. Rura wydechowa w samochodzie ma co najmniej pięciocentymetrową średnicę. Czasem nawet większą, siedmioipółcentymetrową. Jest metalowa, bo się rozgrzewa, dlatego spawa się ją

z kilku fragmentów. Więc gdzie się podziała? Do apartamentu dla samobójców nie biegnie żadna rura. Z żadnego innego budynku.

– Może ją zakopali.

– Rdza przeżarłaby ją w tydzień. Rura zaczęłaby przepuszczać. Cały czas jeździliby do sklepu z tłumikami. Gdyby chcieli ją ukryć, puściliby ją w wysokości kolan, przez jakiś klomb czy krzewy. Na przykład róże. Ale nigdzie jej nie ma. Ta rura nie istnieje. Ich strona internetowa to oszustwo.

Westwood pochylił się i zaczął stopniowo powiększać obraz. Powiększał go i powiększał, aż zdjęcie wypełniło cały ekran, rozmazując się w pikselozie. Wtedy powoli i uważnie obejrzał wszystkie cztery ściany każdego z siedmiu budynków.

Rury doprowadzającej czy odprowadzającej spaliny rzeczywiście nie było. Ani jednej pary budynków nie łączyło nic poza kablami elektrycznymi.

– Mamy do wydania dwieście trzydzieści tysięcy dolarów – podsumował Reacher. – Jakbym znowu pracował dla Pentagonu. Stać nas na nowy plan.

•••

Opracowywali go powoli, starannie, dogłębnie i szczegółowo przez resztę wieczoru, część nocy i przez cały poranek. Bardzo pomogły im komputery. Plan składał się z pięciu ruchomych części, a wszystkie musieli idealnie zsynchronizować, wszystkie były ryzykowne i ważne. Ale dzięki technologii to, co kiedyś zajęłoby im kilka dni, trwało teraz ledwie kilka godzin. Westwood i Chang mieli laptopy, zajęty był nawet Reacher, który nie rozstawał się z komórką Chang i połączywszy się z internetem, klikał, przesuwał i wyszukiwał jak stary wyjadacz. A kiedy nadeszła pora, żeby tu i tam zadzwonić, i kiedy Westwood już dzwonił, a Chang zabrała mu komórkę, Reacher usiadł przy telefonie stojącym na stoliku nocnym. Dzieląc się pracą, załatwili wszystko dziesięć razy szybciej niż poprzednio.

Ostatnią częścią planu były zakupy. Na samej górze listy widniał legalny mieszkaniec stanu. Ktoś, kogo dałoby się nie tyle kupić, ile wynająć. A dokładnie mówiąc, komu mogliby wcisnąć łapówkę, żeby zechciał nabyć resztę rzeczy z listy. Czego, nie dysponując oklahomskim prawem jazdy, nie daliaby rady zrobić. W końcu na ochotnika zgłosił się hotelowy konsjerż. Uważał się za obytego w świecie kombinatora. No i bez wątplenia skusiły go pieniądze. Nie miał



żadnych skrupułów. Kasa była duża i w gotówce. Nie łamał żadnego prawa. Chroniła go Druga Poprawka.

Przyniósł towar pod wieczór, kiedy wszystko było związane na ostatni guzik. Dopracowane, przećwiczone i taktycznie przetrenowane. Badali to i sondowali, czepiając się każdego szczegółu, a czasem zaczynali od początku. Analizowali to z punktu widzenia tamtych, zastanawiając się, jak mogą zareagować. Przerzucali się pytaniami o nieprzewidziane wydarzenia. A jeśli zacznie padać deszcz? A jeśli nadciągnie tornado? Pozostało tylko jedno: Reacher musiał obejrzeć i zatwierdzić zakupy.

Szły z trzech części. To wszystko. Kusilo ich, żeby zaszałeć jak dzieci w sklepie ze słodyczami. Potem włączyła się logika i kupili tylko to, co chciał, rzeczy potrzebne i ani jednej niepotrzebnej. W pierwszej partii zakupów znalazły się produkty firmy Heckler & Koch. Pistolet P7 dla Westwooda, podobny do zapasowego pistoletu Hacketta. Z rodzaju tych „wyceluj i pociągnij za spust”. Dziewiątka. Mniejsza niż przeciętny pistolet. Wraz z kaburą na kostkę u nogi.

Pozostałe dwa produkty tworzyły zgraną parę. Dwa identyczne MP5K. Jeden dla Reachera, drugi dla Chang. Większe od zwykłego pistoletu, ale tylko trochę. Niektóre rewolwery były dłuższe. Pistoletowy uchwyt, karbowany uchwyt przedni, gruby, bulwiasty kształt. Futurystyczny wzór, tak bardzo lubiany przez SWAT i antyterrorystów na całym świecie. Ogień pojedynczy lub ciągły, dziewięćset pocisków na minutę, czyli piętnaście na sekundę.

Dlatego ostatnią częścią zakupów była amunicja. Tylko kalibru dziewięć milimetrów, naboje typu Parabellum pasujące do wszystkich trzech rodzajów broni, teraz załadowane do czterech magazynków do P7 i dwudziestu czterech do MP5. Więcej by nie udźwignęli.

Plus mała torba ze sklepu żelaznego.

Reacher rozłożył pistolety, złożył je i przestrzelał na sucho, małym palcem też, twierdząc, że tym lepiej wyczuwa niuanse mechanizmu.

Wszystkie trzy były sprawne.

– W porządku? – spytała Chang.

– Broń tak – odparł.

– A ty?

– Ja też.

– Zadowolony z planu?

– Jest świetny.

– Ale?

– W żandarmerii mieliśmy takie powiedzenie. Wszyscy mają plan, dopóki nie oberwą w mordę.

Westwood spojrział na zegarek. Skomplikowane stalowe cacko z mnóstwem tarcz. Pięta.

– Zostało siedem godzin – powiedział. – Trzeba coś zjeść. Restauracja jest pewnie otwarta.

– Niech pan idzie – odrzekł Reacher. – My zamówimy do pokoju. Kiedy nadejdzie pora, zapukamy do drzwi.

Świt, widoczny z metalowej kładki na szczycie starego betonowego giganta, był bezkresny, odległy i nieskończenie leniwy. Wschodni horyzont tonął w głębokiej czerni i pozostał taki, dopóki szeroko otwierając oczy, ostatni mieszkaniec miasteczka nie powiedział, że jest już szarówka w kolorze najciemniejszej odmiany węgla drzewnego, która długimi minutami rozlewa się powoli wzdłuż i wszerz, pełnząc również do góry, cieniutka jak wafelek, jak ostrożne palce na nieprawdopodobnie odległej zewnętrznej warstwie atmosfery, może aż stratosfery, jakby światło pędziło tam szybciej i szybciej tam docierało.

Wreszcie pokazywała się krawędź świata, przynajmniej tym z najszerzej otwartymi oczami, szara linia na szarym tle, nieskończenie rozmyta i delikatna, prawie niewidoczna, wytwór częściowo wyobraźni, częściowo nadziei. Potem blade złote palce zaczynały tę szarość leciutko muskać, eterycznie, z wahaniem. Jeszcze potem niespiesznie się rozczapierzały, molekula po moleku, lumen po lumenie, podpalając tę odległą, cieniutką warstewkę i sprawiając, że stawała się przezroczysta i zaczynała leciutko fosforyzować, jak szklana misa, niezupełnie biała i zimna, bo już odrobinę cieplejsza.

Światło wciąż było przyćmione, lecz z każdą nową minutą sięgało dalej i dalej, tak że w końcu całe niebo robiło się złociste, lecz blade, niezapewniające widoczności, zbyt jeszcze słabe, by rzucić najlżejszy cień. Po chwili pojawiały się cieplejsze smużki oświetlające sam horyzont, aż wreszcie wschodziło niepowstrzymane słońce, przez sekundę czerwone z gniewu jak o zachodzie, potem gorące, żółte i ogniste, wynurzając się ostrożnie i rzucając krótkie cienie, najpierw idealnie poziome, po chwili ledwie na kilka kilometrów długie. Warstwa po warstwie, blade złoto ustępowało miejsca blademu błękitowi i świat zyskiwało nową głębię, nieskończoną wysokość i szerokość. Pył zginął w nocnej rosie i dopóki ziemia nie wyschła, powietrze pozostawało krystalicznie czyste. W którąkolwiek spojrzeć stronę, widoczność była idealna.

Na kładce czuwał właściciel cadillaca i Moynahan, ten, który oberwał w głowę i stracił pistolet. Wciąż kiepsko się czuł, ale służba to służba. Zamiast kołnierza

ortopedycznego nosił stary skórzany kask futbolowy. Żeby chronić kość policzkową. Właściciel cadillaca siedział zwrócony twarzą na zachód i letnie słońce grzało go w kark. Siedzący plecami do niego Moynahan musiał mrużyć oczy. Obserwował drogę. Nocą nie zauważył żadnego ruchu. Żadnych reflektorów. Widział tylko pszenicę. I krzywiznę ziemi.

Podobnie na zachodzie. Nic, tylko szosa, pszenica i horyzont. Żadnego ruchu. Żadnych reflektorów. Ani odrobiny podniecenia. Już trzeci poranek. Na drodze manewrowej bezpośrednio pod nimi ranne ptaszki szły na śniadanie. Jak mrówki. Parkowały ciężarówki jak zabawki. Trzaskały drzwi. Ludzie mówili sobie dzień dobry. Odgłosy znajome, lecz przytłumione i niewyraźne ze względu na wysokość.

Po dwudziestu minutach słońce całkowicie wychynęło zza horyzontu i szykując się do porannej podróży, zaczęło skręcać na południe. Świt przeszedł w dzień. Niebo pojaśniało, zbłękitniało i stało się idealnie jednolite. Bez jednej chmurki. Nowe ciepło podgrzało powietrze i zafalowała pszenica, cicho szeleszcząc, jakby budziła się ze snu. Ze szczytu elewatora do horyzontu były dwadzieścia cztery kilometry. Kwestia wysokości, geometrii i płaskości terenu. Co znaczyło, że Moynahan i właściciel cadillaca znajdowali się w samym środku okręgu o średnicy czterdziestu ośmiu kilometrów, że unosili się nad nim, mając u stóp cały widoczny świat. Żłocisty dysk pod wysokim błękitnym niebem, przecięty pionowo na pół przez linię kolejową i poziomo przez szosę. Zarówno tory, jak i szosa były przytłoczone przez ocean pszenicy, zwłaszcza gdy patrzyło się na nie z kładki, nieuzbrojonym okiem. Wyglądały jak idealnie proste cieniutkie linie nakreślone ołówkiem przy linijce. Spotykały się na przejeździe, dokładnie pod nimi. W samym środku dysku. W centrum świata.

Właściciel cadillaca siedział z podciągniętymi kolanami, na których opierał lornetkę. Obserwował odległy koniec drogi na zachodzie. Gdyby coś stamtąd nadjeżdżało, chciał zobaczyć to jak najwcześniej. Moynahan prawą ręką osłaniał oczy przed słońcem, a lewą trzymał lornetkę. Która trochę się trzęsła. W kasku było mu trudno. Jego technika obserwacyjna polegała na tym, że przesuwał lornetkę tam i z powrotem, od przejazdu po horyzont, od horyzontu po przejazd. Chciał mieć pewność, że niczego nie przegapi.

Zasyczało walkie-talkie. Moynahan odłożył lornetkę i sięgnął po aparat.

– Tu elewator.

– Musicie tam zostać aż do porannego pociągu – powiedział ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach. – Wasi zmiennicy się spóźniają.

Moynahan spojrział na właściciela cadillaca. Ten wzruszył ramionami. Trzeci poranek. Panika przeszła w rutynę.

– Dobra – rzucił do mikrofonu.

Odłożył walkie-talkie.

Spojrzał na zegarek.

– Jeszcze dwadzieścia minut. – Przytknął lornetkę do oczu i osłonił twarz prawą ręką. – Mam coś – powiedział.

Właściciel cadillaca spojrział po raz ostatni na opustoszały zachód i odwrócił głowę. On też podniósł rękę, szukając odrobiny cienia. Lornetka wciąż trochę się trzęsła. Wschodni horyzont tonął w jaskrawym blasku. Słońce wisiało tuż nad nim i powietrze falowało. A przez szkła falowało jeszcze bardziej. Na szosie dostrzegł zarys czegoś malutkiego i kwadratowego, co kiwało się na boki, stojąc w miejscu. Na pierwszy rzut oka w ogóle nie przesuwano się do przodu. Złudzenie optyczne. To była furgonetka jadąca z prędkością sześćdziesięciu, siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Prosto na nich. Chyba biała.

– Pilnuj jej – rzucił właściciel cadillaca. – Coś może jechać z tyłu.

Odwrócił się na zachód i podciągnął kolana.

Podniósł lornetkę.

– Kurde, ja też coś mam.

– Co? – spytał Moynahan.

Właściciel cadillaca uznał, że to czerwony samochód. Ot, ledwie kropeczka, z tej odległości bardzo malutka. Z przedniej szyby mrugało do niego słońce. Dwadzieścia, dwadzieścia cztery kilometry od nich. Kiwając się na boki, stała w miejscu, tak jak ta na wschodzie. Złudzenie.

– Co u ciebie? – spytał.

– Ciągle jedzie.

– Z tyłu czysto?

– Nie wiem. Nie widać. To może być cały konwój.

– Jak u mnie.

Obserwowali. Odległe pojazdy na idealnie prostej drodze, dokładnie na wprost nich, w lornetce powiększone, lecz spłaszczone. Falujące powietrze, gwałtowne ruchy na boki, brak ruchu do przodu i tumany pyłu.

Moynahan sięgnął po walkie-talkie, nacisnął guzik i zameldował:

– Dwa pojazdy nadjeżdżające ze wschodu i zachodu. Umiarkowana prędkość. Przewidywany czas przybycia taki sam jak porannego pociągu.

– To oni – powiedział ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach. – Prosta sprawa. Chcą nas zaskoczyć z trzech stron naraz.

Ponieważ Moynahan rozmawiał, właściciel cadillaca spojrział na wschód. Furgonetka wciąż tam była. Wciąż kwadratowa, wciąż kiwała się na boki. I jakby stała w miejscu. Biała. Ale nie całkiem. Właściciel cadillaca dostrzegł teraz inne kolory.

Znajome fiolety i odcienie pomarańczowego.

– Zaczekaj – rzucił.

– Chwileczkę, szefie – powtórzył Moynahan.

– To furgonetka... FedExu. Chyba.

– Na wschodzie jest czysto, szefie – zameldował Moynahan. – To tylko FedEx. Na zachodzie nie wiadomo.

– Pilnujcie ich – rozkazał ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach.

– Tak jest.

Moynahan odłożył walkie-talkie. Zerknął na furgonetkę i odwrócił się na zachód. Co dwie głowy, to nie jedna. Samochód wciąż się zbliżał. Wciąż był daleko. Malutka plamka czerwieni, słoneczne refleksy i błyszczący chrom. Przed nią falujące nad rozgrzanym asfaltem powietrze, za nią tuman kurzu. To mogło być wszystko i nic.

Właściciel cadillaca skończył rozmowę i sprawdził tory. Na północy? Nic. Ani piechurów, ani drezyn. Ale na południowym horyzoncie mrugało coś srebrzystego. Poranny pociąg dwadzieścia cztery kilometry od miasteczka. Z Oklahoma City. Mały punkcik rozedrganego powietrza.

Spojrział na wschód. Furgonetka FedExu wciąż kiwała się w miejscu.

– No nie – mruknął. – Nie odbiorę dostawy. Utknąłem tu na amen.

– Jutro będzie miał kawał drogi do przejechania. – Moynahan ruchem głowy wskazał na zachód. – To najwolniejszy samochód w świecie.

– Nie, chcę zgrać to w czasie. Przyjechać tu razem z pociągiem. I podzielić naszą uwagę. Dlatego jadą z zachodu. Przejazd im niepotrzebny.

– Gdzie pociąg?

– Dalej niż samochód.

– Ale pociąg jest szybszy.

Właściciel cadillaca umilkł. Przypomniały mu się głupie zadania, które rozwiązywali w szkole. „Jeżeli oddalony o dziewiętnaście i pół kilometra samochód jedzie z prędkością siedemdziesięciu siedmiu kilometrów na godzinę, a oddalony o dwadzieścia cztery kilometry pociąg porusza się z prędkością dziewięćdziesięciu sześciu kilometrów na godzinę, to który z tych pojazdów przybędzie na miejsce szybciej?”

Przybędą jednocześnie. Zgrali to w czasie. Prosta sprawa.

Samochód wciąż jechał. Pociąg też. Dwa wektory. Na kursie kolizyjnym. Na drodze manewrowej było coraz więcej ludzi. Zgłaszali się na służbę, biegali jak mrówki. Wychodzili z jadłodajni. Wsiadali do samochodów. Mądry ruch. Będzie komitet powitalny. A może blokada dwa kilometry za granicami miasteczka. Zawsze lepiej jest rozwiązać problem gdzie indziej. Chyba że samochód miał ich tylko zwieść. Bo tamci mogli przyjechać pociągiem. Jak na starym westernie. Otwierają się drzwi i z wagonów wyjeżdżają na koniach wszelkiej maści szeryfowie. Na stacji czekało czterech ludzi. I jeden po drugiej stronie torów, na wszelki wypadek. Powinno wystarczyć. *Wszyscy znamy plan. Wiemy, co robić.*

Pociąg urósł na tyle, że już go widzieli. Jeden bok oświetlony, drugi zacieniony. Tak jak czerwony samochód i furgonetka, on też kiwał się na boki, ale jakby stał w miejscu. Powietrze gotowało się wokół niego świetlistym strumieniem.

Samochód wciąż jechał. Czekały na niego dwa pick-upy. Niecałe dwa kilometry dalej, obok siebie, na jednym pasie i drugim. Równiutko zaparkowane. Dumnie. Ceremonialnie. Jak kamienne lwy przed bramą rezydencji.

I nagle usłyszeli łup-łup-łup helikopterowego wirnika.

Moynahan i właściciel cadillaca zatańczyli na kładce. Kręcili się na wszystkie strony i obracali, jakby zaatakował ich rój pszczół, zadzierając głowy, wypatrując i przeczesując wzrokiem niebo. Znaleźli je w dwóch miejscach.

Bo przyleciały dwa.

Schodziły pyskiem w dół, szybko i nisko, jeden z północnego wschodu, z prawej strony, drugi z północnego zachodu, czyli z lewej. Łup-łup-łup. Obydwa pomalowane na czarno. Kabiny przeszklone, lecz przyciemnione. Pszenica oszalała, gotując się i kładąc długimi, prostymi odkosami w kształcie litery V, której czubek wskazywał miejsce, gdzie siedzieli. Wierzchołek elewatora numer trzy.

Samochód wciąż jechał. Pociąg też.

Znowu zasyczało walkie-talkie.

– Ani na chwilę nie spuszczaćcie ich z oczu – rozkazał ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach. – Chcę wiedzieć, kto z nich wysiądzie. I kiedy...

Coś im przerwało. Widzieli, jak chodzi na dole, malutki i z tej perspektywy spłaszczony. Krążył wokoło z walkie-talkie przy uchu.

Łup-łup-łup.

Samochód wciąż jechał. Pociąg też. Były coraz bliżej. Mogli już odłożyć lornetki. Wirniki śmigłowców dudniły coraz głośniejsze, każdy innym rytmem, z przeraźliwym wizgiem turbin.

Coraz bliżej i bliżej.

Została im niecała minuta, może nawet mniej.

A potem wydarzyło się kilka rzeczy naraz. Moynahan i właściciel cadillaca kręcili się w kółko, żeby wszystko zobaczyć. I nie spuszczać z oczu helikopterów. Ten z prawej wyskoczył do przodu. Leciał wzdłuż szosy na wschód, za miasteczkiem zawrócił i poleciał na południe, pełną szybkością, a więc cholernie szybko.

W kierunku farmy.



Samochód dotarł już do blokady i stanął. Czerwony sedan. Krajowy. Tani, lecz podejrzanie czysty. A więc z wypożyczalni. Dwóch chłopaków z jadłodajni rozmawiało z kierowcą przez okno.

Wtedy śmigłowiec z lewej odbił na zachód, zawisł w powietrzu, jakby na coś czekał, i po chwili zawrócił. Zawrócił i teraz z kolei zawisł tuż nad drogą manewrową. Nisko. Piekielnie nisko. U stóp betonowego giganta. Widzieli go z góry. Ryk silników i bijące w górę gwałtowne podmuchy powietrza szarpały ich ubranie. Podmuchy powietrza skierowane w dół rozrzucały wokoło ziemię i śmieci. Jakby na głównej ulicy miasteczka rozpuściła się burza piaskowa.

Furgonetka FedExu dojechała do przejazdu trzydzieści metrów przed pociągiem. Jeszcze trzydzieści metrów i ważąca tysiąc ton dżdżownica sprasowałaby ją jak stek z kostką. Ale kierowca nawet nie przyspieszył. Znał trasę. Wiedział, co robi.

Lecący na południe helikopter zniknął za horyzontem. Moynahan i właściciel cadillaca domyślili się, że podchodzi do lądowania na farmie, bo po co innego miałby tam lecieć?

I wtedy pociąg wjechał na stację, tuż pod nimi. Ale choć zgrzany i drapieźny jak zwykle syczał, stukotał, buczał, jazgotał i zgrzytał, po raz pierwszy w historii Matczynego Spokoju zagłuszył go łopot wirników i przeraźliwe zawrozdzenie turbin.

Chłopcy z jadłodajni wciąż rozmawiali z kierowcą czerwonego samochodu. Przez okno.

Otworzyły się drzwi pociągu.

Cmok-cmok-cmok.

Nikt nie wysiadł.

Z drugiej strony też nie.

Cmok-cmok-cmok.

Drzwi się zamknęły.

Pociąg ruszył, wagon za wagonem, powoli, powolutku usuwając się spod stóp tych na elewatorze.

Chłopcy z jadłodajni ciągle gadali.

Stację minął ostatni wagon, minął i zmałał, kołysząc się na zmęczonych, nierównych szynach.

Turbiny zawyły jeszcze głośniejsze i helikopter dźwignął się do góry.

Furgonetka FedExu znowu przejechała przez przejazd. Wraciała do domu. Niespiesznie. Przewidywany czas przybycia: obojętny.

Śmigłowiec skręcił i położył się na burtę tak, że podmuch powietrza uderzył prosto w szczyt elewatora, spychając dwóch mężczyzn na koniec kładki, ogłuszając hałasem i siekąc drobinami pyłu. Zza południowego horyzontu nadleciał drugi i powtórzył ten sam manewr. W dół, w górę, nad elewatorem, i do widzenia. Z opuszczonym pyskiem, nisko i szybko. Cały czas małał w oczach, układając z pszenicy nowe V ze skierowanym w dal czubkiem.

Nagle zrobiło się cicho. Słysać było tylko kojący szum bezkresnych łąnów.

Po chwili zasyczało walkie-talkie.

– Z helikoptera nikt nie wysiadł – zameldował Moynahan. – Nawet nie wylądowali. Z pociągu też nie. Ani z jednej, ani z drugiej strony.

Chłopcy zjechali na pobocze i czerwony samochód ruszył. W kierunku miasteczka.

– Co tam się dzieje? – spytał Moynahan.

– Nowy klient – odparł ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach. – Przywiózł dużo pieniędzy. Przyjrzymy mu się.

•••

Zaprowadzili go do jadalni, ale przedtem pogadali trochę o helikopterach. Przyszli wszyscy oprócz brata Moynahana. Tego, który oberwał w jaja i stracił pistolet. Dyskusja była krótka, konsensusu nie osiągnięto. Dominowały dwa tory myślenia. Albo było to ogólne rozpoznanie terenu przed przyszłym najazdem – a jeśli tak, śmigłowce miały na pokładzie kamery, kamery termowizyjne i georadar – albo też władze rozpoczęły już poszukiwania Keevera, którego, jak od początku przewidywali, będą szukać z powietrza, a więc za pomocą takiej samej aparatury, i – dzięki świniom – nieskutecznie.

Krótko i treściwie.

Bez konsensusu.

Albo wróć, albo nie.

Głosowania nie było.

Nowy wyglądał zdrowo. Jak traper z kanału National Geographic. Rozczochrane szpakowate włosy, rozczochrana broda. Czterdzieści, czterdzieści

pięć lat. Dziwaczne ubranie z mnóstwem zamków błyskawicznych. Sznurowadła jak liny do wspinaczki.

Przedstawił się jako Torrance.

Powiedział, że porzucił swoją tożsamość. Nie tylko ze względu na ubezpieczenie. Chociaż tak, w polisie były pewne zastrzeżenia. Ale głównie dlatego, żeby zmylić znajomych. Taki miał cel. Zniknąć bez śladu. Ostatni papierowy trop pozostawił za sobą ponad tysiąc kilometrów stąd, w Nevadzie. Wystarczył mały pożar w motelowej umywalce. Wszystko poszło z dymem. Żeby zminimalizować ryzyko, podróżował tylko nocą. Chciał, żeby znajomi zachodzili w głowę. Żeby nie mieli pewności. Sąd uzna go za zmarłego dopiero po siedmiu długich latach.

– Proszę nam wybaczyć, panie Torrence, ale musimy być ostrożni – powiedział ufrizowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach. Spojrzał na Moynahana, tego, który oberwał w głowę. – Gdzie się podziewa twój brat, do cholery?

– Nie wiem – odparł Moynahan.

Gońcem był zwykle ten, który przychodził na spotkanie jako ostatni, taką mieli zasadę. Kto ostatni przychodzi, ten sam sobie szkodzi. Ostatni przyszedł Moynahan. Stary betonowy gigant dał mu się we znaki. Przez tę głowę. I zachwianą równowagę.

– Dobra, pójdę go poszukać – powiedział.

I ruszył do wyjścia.

Ufrizowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach przeniósł wzrok z powrotem na Westwooda.

– Panie Torrance, najpierw musimy pana spytać, czy nie nosi pan podsłuchu.

– Nie – odparł Westwood.

– Zatem proszę rozpiąć koszulę.

Westwood zrobił, co mu kazano. Krzepka, mięsista pierś, kędzierzawe siwe włosy. Mikrofonu nie było.

– A teraz chcielibyśmy się dowiedzieć, jak pan nas znalazł – kontynuował ufrizowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach.

– Przez internet – odrzekł Westwood. – Na forum. Exit...

– Exit? Tak, znaliśmy ją.

*Ją. Znaliśmy.*

– Exit chciała tu przyjechać ze swoim kolegą, Michaelem. To też mój kumpel. Pisał jako Mike.

– I przyjechała. Mike'a też znaliśmy.

– Pomyślałem, że jeśli oni, to czemu nie ja.

– Trzecie pytanie dotyczy pańskiego samochodu. To wóz z wypożyczalni. Co pan zamierzał zrobić z tym jakże wyraźnym czerwonym tropem?

– Pomyślałem, że jeśli zapłacę coś ekstra, to się go pozbędziecie. Porzucicie go gdzieś w Wichita czy Amarillo. Tam kradną na potęgę.

– Tak, da się to załatwić. Jeśli kiedykolwiek wypłynie u Latynosów czy gdzie indziej, tym zagadka będzie trudniejsza. Albo znajomi pomyślą, że pana zamordowano.

– Właśnie.

– Jak pan wie, oferujemy kilka wariantów odejścia z tego świata. Każdemu dajemy wybór. A wybór znaczy dokładnie to, co znaczy. Nikogo nie osądzamy. Nie każemy nikomu nic wyjaśniać. Nie proponujemy rozmowy z psychologiem ani nie namawiamy do zastanowienia. Ale pan przybył tu w dość nietypowy sposób. Dlatego musimy spytać dlaczego. Wyjątkowo.

– Miałem dość – odparł Westwood. – Nie prosiłem się na ten świat. I szczerze mówiąc, życie wcale mnie nie cieszyło.

– A konkretnie?

– Jestem bardzo zadłużony. Nie dam rady tego spłacić. Wolę nie myśleć, co by mnie czekało.

– Hazard?

– Gorzej.

– Prawo?

– Popełniłem kilka błędów.

Ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach popatrzył na podwładnych. Stawili się wszyscy, nie licząc braci Moynahanów. Pięciu. Z grymasem zamyślenia na twarzy zaszurali nogami i na znak zgody enigmatycznie pokiwali głowami.

Ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach spojrział na Westwooda.

– Dobrze, pomożemy panu. Ale boję się, że będzie musiał pan zostawić nam wszystko, co pan przywiózł.

– Spaliny – powiedział Westwood. – Benzynowe. Tak chcę to zrobić.

– To bardzo popularny sposób.

– Czy benzyna jest ołowiowa?

– Już nie. Silnik ma specjalne głowice. Ale tlenek węgla się nie zmienił. To katalizator go neutralizuje, nie bezołowiówka. Poza tym zapach jest

przyjemniejszy. Dzięki obecności benzenu jest słodszy. Przyjemniej się odchodzi.

– Co wybierają inni?

– Większość jedno i drugie. Chcą mieć absolutną pewność, to dla nich najważniejsze. Dlatego analizują te wszystkie statystyki.

– Myśli pan, że ja też...

– Nie ma potrzeby. Silnik benzynowy jest stuprocentowo skuteczny. Można mu zaufać.

Ufryzowany mężczyzna zerknął w stronę drzwi.

– Gdzie się podzieli Moynahanowie?

Kto ostatni przychodzi, ten sam sobie szkodzi.

– Pójdę ich poszukać – mruknął sprzedawca ze sklepu z częściami do urządzeń irygacyjnych.

I wyszedł.

Ufryzowany mężczyzna w dżinsach spojrział na Westwooda.

– Panie Torrance, może dziwnie to zabrzmie, ale czy zechciałby pan zjeść z nami śniadanie?

Westwood zastanowił się i odparł, że tak, więc bufetowy zapomniał na chwilę o obowiązkach względem społeczności i zajął się obowiązkami zawodowymi, wracając za bufet i nastawiając świeży dzbanek kawy. Właściciel cadillaca powiedział, że musi sprawdzić, co z jego dostawą, i zaraz wróci, ale właściciel sklepu wielobranżowego, hodowca tuczników i jedynoki kierownik motelu usiedli przy stole. Kelnerka przyjęła zamówienia. Rozlano kawę i przyniesiono talerze. Właściciel sklepu wstał i powiedział, że musi wpaść po coś po sąsiedzku. Lekarstwo na zgałę, pomyśleli wtajemniczeni. On też zapewnił, że zaraz wróci.

Ale nie wrócił.

Tak jak właściciel cadillaca.

I jak Moynahanowie oraz ten, który poszedł ich poszukać.

Ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dżinsach wbił wzrok w drzwi.

– Co się, do diabła, dzieje? Wszyscy wychodzą i nikt nie wraca.

Wstał i podszedł do okna. Na ulicy nie było nic. Zupełnie nic. Tylko stężała cisza. Ani samochodów, ani przechodniów. Nic się nie poruszało. Gorące słońce i puste chodniki.

– Mamy problem – rzucił. – Tylnymi drzwiami, szybko. Pan wybacz, panie Torrance. Zajmiemy się panem później.

I kuchennymi drzwiami, wraz z hodowcą tuczników, bufetowym i jednookim kierownikiem motelu, wybiegł na uliczkę za jadalnią, gdzie parkował duży pick-up bufetowego. Wsiedli, wyjechali na plac manewrowy i na jego południowym końcu skręcili w wąską bitą drogę. Długi na trzydzieści dwa kilometry prywatny dojazd.

Westwood stał samotnie w opustoszałej jadalni. Dopóki nie otworzyły się drzwi i nie weszła Chang, a za nią Reacher.

Najwięcej poszło na helikoptery. Dwie powietrzne limuzyny obsługujące klientów korporacyjnych z Kansas City. Podniebne lincolny. Nie było mowy, żeby wylądowały. Nie na niezatwierdzonym lądowisku. Desant na linach również odpadał. Ubezpieczenie nie pozwalało. Ale powiedzieli, że chętnie przylecą i wrócą na pusto. Przydadzą trochę dramatyizmu. Ich filmowi. Dostali dokładne współrzędne GPS z Google'a. Najważniejsze było zgranie. Żeby kamery zdążyły wszystko uchwycić. Ale mieli na pokładzie komputery. Da się zrobić.

Westwood też zabrał sporo. Musiał im zaimponować. Jego komputerem pokładowym był prędkościomierz wynajętego forda i zegarek. Otrzymał zadanie na poziomie szkoły średniej, na pewno nie uniwersyteckim. „Jak szybko musi jechać samochód, żeby pokonać dwadzieścia cztery kilometry w piętnaście minut?” Oczywiście wszystko zależało od pociągu. Znalazł więc lokalną stację radiową – drogi, kolej i pogoda, trzy w jednym – podającą, które pociągi się trzymają, a które nie. Pewnie rozkładu. Nic lepszego nie mógł wymyślić.

Tymczasem Reacher i Chang jechali furgonetką FedExu. Zadzwonili do bazy w Oklahoma City i spytali, czy mogą nadać superpilną przesyłkę do miejscowości o nazwie Matczyny Spoczynek. Powiedziano im, o której mogą zgłosić się najpóźniej. Przyjechali pięć minut wcześniej. Znaleźli kierowcę, który palił papierosa w zaułku. Okazało się, że Matczyny Spoczynek leży na jego stałej trasie. Zgodził się z nimi, że pliki studolarówek w bankowych banderolach to cudowna rzecz. Zwłaszcza że dorzucili do tego trochę psychologii. „Niech pan weźmie, ile pan chce. Tak, żeby było uczciwie. Chcemy tylko załapać się na pakę”. I dojechać tam dokładnie w tym samym czasie co pociąg. Kierowca odparł, że nie ma sprawy. Żaden problem. Poradzi sobie z zamkniętymi oczami. To jego stała trasa. Jak chcą, mogą jechać z przodu, a potem przesiąść się do tyłu.

A jeszcze potem wyskoczyć – mieli nadzieję, że niezauważenie – za sklepem właściciela cadillaca, w chwili gdy helikoptery zaczną siać zamęt, gdy na stacji wybuchnie panika i gdy ku ogólnej konsternacji do miasteczka zawita Westwood. Pod warunkiem że wszyscy zgrają się w czasie. I najwyraźniej się zgrali. Chaos

rzeczywiście wybuchł straszny. To na pewno. A w sklepie nikogo nie było. Z jednej strony to dobrze, z drugiej źle. Bo musieli tam jeszcze wrócić.

Zaczęli od Moynahana, tego, który oberwał w jaja. Zobaczyli, jak kuśtyka boczną ulicą w kierunku jadłodajni albo sklepu. Mógł również iść do motelu. Bez najmniejszego trudu obezwładnili go, związali jak prosiaka pięcioma paskami do kabli ze sklepu żelaznego, zakneblowali ścierką z tego samego źródła i wrzucili do opuszczonego biura dyplomowanego księgowego po sąsiedzku z FedExem, które zaopatrzone w marny zamek.

Potem nadszedł jego brat, kuzyn czy inny pociotek w idiotycznym skórzanym kasku. Czegoś szukał, więc załatwili i jego: pięć pasków do kabli, jedna ścierka i miejsce na podłodze obok krewniaka. Jeszcze potem zobaczyli sprzedawcę ze sklepu z częściami zamiennymi. Do urządzeń irygacyjnych. On z kolei szukał dwóch tamtych. Tym razem nie rozmawiali o futbolu. Paski, ściera, gleba.

Mieszkańcy miasteczka trzymali się z daleka. Nie wychodzili z domów. Pewnie kierował nimi jakiś pierwotny instynkt. Albo wystraszyli się broni. MPŠK wyglądały kosmicznie. Jak rekwizyty filmowe. Nic, tylko brać nogi za pas. I zapomnieć o policji. Najbliższy posterunek był bardzo daleko. No i ten upał. Wygodniej jest w domu, z klimatyzacją.

Właściciel cadillaca wpadł w zasadzkę z własnej woli. Myślał, że w sklepie nikogo nie ma. Paski, ściera, gleba. Aby znaleźć tego w dwóch koszulach, musieli pójść do miasta. Wypatrzyli go, gdy tylnymi drzwiami wychodził ze swojego sklepu z buteleczką tabletek na zgagę. Paski, ściera, gleba.

Źródło wyszło, gdy zza jadłodajni z piskiem opon wyjechał pick-up bufetowego.

I kiedy Westwood został sam.

– Zgodzili się na spaliny – powiedział.

Reacher kiwnął głową.

– Będą oszukiwali do samego końca. Obojętnie jakiego.

– Pewnie pojechali na farmę.

– A gdzie indziej można tu pojechać?

– Jesteśmy gotowi?

– Zrobiliśmy, co się dało.

– Mogę was zawieźć – zaproponował Westwood.

– Wiem.

– Więc teraz mnie zostawcie, tak?



– Nie – odparła Chang. – Chyba że pan chce.

– Nie, nie chcę.

– Żałuję, że nie mogę wysłać pana przodem – powiedział Reacher. – Zamiast mnie. Naprawdę. Jest pan dorosły. Nie obchodzi mnie, co się z panem stanie. Ale jeśli pan chce, zapraszamy. Niech pan jedzie. Tylko proszę trzymać się mojej lewej strony.

– Dlaczego?

– Jestem praworęczny. Lubię mieć swobodę ruchów.

– Rozumiem. W takim razie ruszajmy.

• • •

W normalnych okolicznościach nazwaliby to jazdą próbną. Nieznany pojazd, za którego kierownicą zasiada przyszły nabywca, eksperymentalnie i na krótko. Z tym że Reacher nie zamierzał niczego nabywać. Rzadko kiedy cokolwiek kupował, ponieważ stronił od rzeczy, których nie dało się zjeść, a już na pewno od sprzętu rolniczego. Sprzedawca to zrozumiał. Poza tym Reacher nie zamierzał siadać za kierownicą, bo po prostu nie mógł. Marnie prowadził. Pierwszy problem pokonał dzięki MP5K, a drugi dzięki Westwoodowi, który znał się na rzeczy, ponieważ jako reaktor „LA Timesa” wraz z innymi redaktorami musiał czasem zasiadać w jury różnego rodzaju konkursów naukowych, jak również uszczęśliwiać na siłę innych podczas akcji społecznych i sprzątać wszelkiego rodzaju gówna, często prawdziwe, a przy sprzątaniu gówna najlepiej sprawdzają się urządzenia mechaniczne.

Była to koparko-ładowarka New Holland od dealera sprzętu rolniczego na północ od starego szlaku. Westwood usiadł za kierownicą i pojechali, najpierw na drogę manewrową, potem w kierunku motelu. Jeśli nie była to jazda próbna, to co najmniej grzecznościowe użyczenie. Może bez „grzecznościowe”. Ale na pewno użyczenie. Reacher nie miał zamiaru zatrzymywać tego pojazdu. Z tyłu miał wysięgnik z łyżką, bardzo wąską, z dwoma groźnymi zębami. Do kopania rowów. Z przodu lemiesz, szeroki i wysoki, lecz płytki. Coś jak lemiesz buldożera. Bardzo wszechstronna maszyna. Można było przykręcić do niej różne rzeczy. Prosto z fabryki, czyściutka i pomalowana na jaskrawy kolor, pachniała nowością. W kabinie mieściły się trzy osoby, ale zamontowano w niej tylko jeden fotel. Usiadł w nim Westwood, bo musiał. Żeby popychać te wszystkie dźwignie

i naciskać pedały. Chang stała bokiem po jego lewej stronie, Reacher bokiem po prawej. Ryczał silnik. Maszynę zbudowano do ciężkiej pracy i jazdy na krótkich dystansach, od rowu do kopy piachu czy ziemi – ale zafundowano jej również biegi drogowe. Dziennikarz rozpędził ją prawie do pięćdziesiątki i z tą prędkością skręcili.

Ale nie w prywatny dojazd do miasteczka.

Tylko w pszenicę.

Westwood podniósł trochę przedni lemiesz i ustawił go dolną krawędzią do przodu, tak że sterczał jak wysunięta metalowa broda. I kosił pszenicę jak tępy sierp. W górę buchały chmury pyłu i roślinne szczątki, jak podczas erupcji wulkanu, podwozie chłostały powalone łodygi, pszenica na skraju bruzdy falowała i biła w okna. Ogólnie teren był płaski, ale tam, gdzie guma stykała się z ziemią – nierówny, a nawet wyboisty. Dlatego koparka podskakiwała i kiwała się do przodu i do tyłu jak łódź. Miała miękkie opony, które rozpląszczały się i wybrzuszały na każdej większej grudzie. Podskakiwała koparka, podskakiwał i Westwood. Reacher i Chang zwisali po bokach jak pasażerowie uciekającego metra.

Stalowy lemiesz parł naprzód.

Buchał pył i zmiążdżone szczątki roślin.

Pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Trzydzieści dwa kilometry do przejechania.

Podstawówka.

Czterdzieści minut.

Ale przez pszenicę było lepiej niż prywatnym dojazdem. Dojazd mógł być zaminowany. Albo co najmniej naszpikowany gwoździami. Poza tym dziesięć kilometrów musieliby jechać zupełnie prosto, po czym dotarliby do rogu farmy, gdzie każdy zdrowy na umyśle obrońca zasadziłby się z karabinem maszynowym. Byliby jak ci z motelu, którzy wbiegli na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. *Moglibyśmy powystrzelać was jak kaczkę.* Nie, lepiej mieć swobodę ruchu. Czyli zapomnieć o samochodzie i przesiąść się na coś terenowego. Coś z taranem. Stąd przedni lemiesz. W dodatku kuloodporny, wielkości podwójnego materaca. Z ciężkiej stali do zgarniania wyszczerbionych głazów. Nad lemieszem był wąski prześwit, przez który mogli obserwować okolicę. Tyle im wystarczyło. Przynajmniej tutaj, w morzu pszenicy. Oby tak dalej. Plan działał. Z wyjątkiem

małej, zupełnie niezamierzonej drobnostki. Najprawdopodobniej skutku tego, że tak nimi rzucało.

Reachera znowu rozboleła głowa.

•••

Prawie przez całą drogę farma kryła się za pszenicą, dlatego musieli obserwować słońce. Sposób niezbyt dokładny, lecz w miarę skuteczny. Pierwszy kontakt wizualny nawiązali kilkaset metrów od miejsca, w które celowali. Dom i sześć budynków gospodarczych. Płoty i ubita ziemia. Linia telefoniczna na słupach. Rura na dachu szopy z generatorem.

I smród świńskiego gnoju.

Jak broń chemiczna.

Westwood zatoczył lekki łuk, ustawił się przodem do farmy i zatrzymał maszynę dwieście metrów od celu. Silnik zadudnił na jałowym biegu. Chmura pyłu opadła.

Cicho.

Pusto.

Reacher poczuł się jak drapieżnik u wodopoj.

I nagle wodopój zaczął strzelać.

Trzy sztuki broni. Długiej. Tego samego rodzaju. Bardzo charakterystycznej. Głośnie, płaskie warknięcie i świst kuli. Reacher stawiałby na natowskie M16. Jak dotąd, wszyscy pudłowali. Zrozumiałe. Strzał był zwodniczo łatwy. Dwieście metrów, znakomita widoczność, zupełnie płaski teren. Z tym że jako część krzywizny ziemi płaski wcale nie był. Stąd błąd celowania.

– Wycofujemy się? – spytał Westwood.

– Nie. – Reacher obliczył coś w głowie. – Niech pan podjedzie pięćdziesiąt metrów do przodu. Szybko. Trzeba ich przycisnąć. Zaraz będą zmieniać magazynki.

– Pięćdziesiąt do przodu?

– Szybko!

Westwood ruszył.

Chwila rozmemłanej ciszy. Tamci byli cholernie powolni. W piechocie to oni nie służyli. I znowu kilka strzałów na chybił trafił. Same pudła.

Wreszcie jedno trafienie.

W sam środek lemieusza. Leciutka wibracja ramy. Od uderzenia kuli. Dopiero potem odgłos, dźwięczny klang.

– Jestem pod wrażeniem – mruknął Reacher.

– Czego? – spytała Chang.

– Nareszcie trafili w cel tylko trochę mniejszy od drzwi stodoły. Który okazał się kuloodporny. Oby tak dalej.

– Zaczynamy? – spytał Westwood.

– Komu w drogę, temu czas.

– Uważaj na siebie – powiedziała Chang.

– Ty też.

Otworzyli drzwi i zeskoczyli na ziemię, ona na lewą stronę, on na prawą.

Sięgając po wyniki swoich niedawnych badań, Westwood powiedział, że „stara” pszenica rośnie na metr dwadzieścia w górę, ale że obecnie „skraca się” ją do osiemdziesięciu centymetrów, żeby była odporniejsza i miała więcej ziaren. Miejscowi farmerzy woleli tę „starą”. Najwyraźniej, bo miała metr dwadzieścia jak nic. Nie żeby Reacher chciał się w niej ukryć. Nie musiał, zwłaszcza przed kimś, kto pudłuje, strzelając do celu niewiele mniejszego od drzwi stodoły. Lecz zaskoczenie to zaskoczenie, dobra rzecz. Dlatego się czołgał. Pszenica falowała, ale tylko trochę, więc z odległości dwustu metrów trudno go było namierzyć. Nocna rosa nie zdążyła jeszcze wyparować i kolana i łokcie miał pokryte grubą warstwą błota. Czekał go zakup nowego ubrania. Bez dwóch zdań. Nawet bez błota. Poza tym cuchnęło świniami. Powietrze było gęste od smrodu. Który wsiąkał w materiał. A więc jutro do sklepu. Poszedłby tak czy inaczej ze względu na Chang.

I nagle uświadomił sobie, że dzisiaj wszystko się skończy.

Że Chang jutro nie będzie.

Pokonawszy sto metrów po linii prostej, skręcił w stronę farmy, żeby znaleźć się bliżej ogrodzenia. Jak najbliżej. Najlepiej poniżej trzydziestu metrów. Zawsze podziwiał MP5K. Ten lekko spuchnięty pistolet maszynowy, który strzelał jak zminiaturyzowany karabin. Nastawiony na ogień pojedynczy, z dużym prawdopodobieństwem trafiał w cel oddalony o trzydzieści metrów. Albo o dwadzieścia pięć. Czy dwadzieścia dwa. Co teraz bardzo by się przydało.

Po pięciu minutach zaryzykował i podniósł głowę, żeby sprawdzić, gdzie jest. A był w całkiem niezłym miejscu. Wystartował z godziny dziesiątej i czołgając się przeciwie do ruchu wskazówek zegara, dotarł do ósmej, a nawet trochę dalej. I zbliżył się do farmy. Niepewni swoich umiejętności strzeleckich obrońcy musieli podejść jak najbliżej obiektu stanowiącego główne zagrożenie, pamiętając jednocześnie o własnym bezpieczeństwie. A ponieważ uznali, że takim obiektem jest koparka, schronili się pewnie przy ogrodzeniu, za budynkiem wielkości garażu na jeden samochód. We trzech. Stali bokiem do niego. Miał ich jak na

widelcu. Klasyczny manewr oskrzydający. Wykładowcy z West Point pękaliby z dumy.

Był tam bufetowy z jadłodajni. I jednoosobowy kierownik motelu. I hodowca tuczników, który przewodniczył delegacji na schodach. Ręce jak bochny chleba, szerokie bary, uwalane ziemią ubranie.

Wszyscy uzbrojeni w karabiny automatyczne M16.

Reacher czekał. Bolała go głowa, z obu stron.

•••

Chang czołgała się z drugiej strony i zbliżała się do farmy szybciej, ponieważ nie miała zachodzić nikogo z boku. Kazano jej czekać, aż ruszy koparka, i otworzyć drugi front długą serią z MP5K. Ogień ciągle zepchnie tamtych za budynek, a wtedy Reacher wpakuje im kulę w plecy.

Taki ułożył plan. Według Chang, trochę wątpliwy. Jednak z drugiej strony, jak dotąd wszystko działało. Przewidział, że wezmą czterech jeńców, wzięli pięciu. Przewidział, że ci z farmy będą pudłowali, i pudłowali. Mimo to spytała go jeszcze raz, czy ta część planu też wypali. Nie, odparł. Tamci wycofają się do domu. Odwrót kontrolowany. Na z góry upatrzone pozycje. Muszą mieć jakiś schron. Wzmocnioną kryjówkę.

Spytała: „Dlaczego w takim razie robimy to akurat tak?”.

Odparł, że liczy na szczęście.

Więc czołgała się dalej. Musiała podejść bliżej. Wiedziała, czym dysponuje. Magazynek zawierał trzydzieści naboju, które wyparują w ciągu dwóch sekund. Chciała, żeby każdy się liczył. Żeby się jej poszczęściło. Gdyby zdjęli chociaż po jednym, byłoby dwóch mniej na później. Czyli dobrze.

Zanim się spotkali, nigdy by tak nie pomyślała.

Pełza przed siebie, zbliżając się do farmy. Smród z zagrody dla świń był nie do wytrzymania. Wyobraziła sobie swoją pozycję na zdjęciu satelitarnym. Ona była na jedenastej. Zagroda na trzeciej. I strasznie cuchnęła. Co świadczyło o dwóch rzeczach. To nie był elegancki ośrodek. Niemożliwe. Niektórzy nie daliby rady podejść bliżej. Zebrałoby im się na wymioty.

I pochowano tam Keevera. Wiedziała, że tak. W zagrodzie dla świń. Na polu nie mogli kopać. Nawet gdyby jechali dużo wolniej niż Westwood, z powietrza

dostrzeżono by ślad, bruzdę w pszenicy. Czego na pewno się spodziewali. Mieli jego portfel. Widzieli wizytówki FBI. Stare, tak jak jej, ale oni o tym nie wiedzieli.

Czuła, że jest blisko.

Podniosła głowę. Zobaczyła płot i budynek wielkości garażu. Daleko po prawej, z kołami w pszenicy, stała samotnie koparka, dudniąc na jałowym biegu. Budynek był dla tamtych jedyną osłoną. Co najmniej jeden musiał wychylić się i strzelić. Dokładnie naprzeciwko niej.

Położyła na ziemi dwa zapasowe magazynki. Obok siebie, równiutko, jeden przy drugim, gotowe do użycia.

Tak, chciała, żeby się jej poszczęściło.

Nastawiła przełącznik na ogień ciągły.

Wycelowała.

Teraz mogła już tylko czekać.

•••

Westwood dodał gazu, popchnął dźwignię, inną pociągnął, ustawił lemiesz pionowo i podniósł go tak wysoko, że przez przednią szybę nie widział nic oprócz pomalowanej tylnej strony lemiesza. Bezpieczeństwo nad widoczność. Od tej chwili jego zadanie było dość płynne. Reacher kazał mu trzymać kierownicę prosto i powoli jechać naprzód. Na ślepo. Spokojnie, niech pan po prostu jedzie. W razie czego nawet przez płot. Tylko niech się pan nie zatrzymuje. Chyba że coś nagle wyskoczy.

Płynne jak cholera.

Przyszłość dziennikarstwa. Internet wszystko zmienił. Wiadomości są teraz osobiste, z pierwszej ręki. Reporter musi brać udział w tym, co relacjonuje. Musi tę relację współtworzyć.

Blogi, ważne artykuły publicystyczne, platformy, prawa autorskie na książki.

Nacisnęła pedał sprzęgła. Zazgrzytał dźwignią zmiany biegów.

I ruszył.

•••

Reacher to usłyszał. Kręciło mu się w głowie. Był na kolanach, mimo to cały się chwiał. Podniósł wzrok. Dwa płoty. Dwa budynki. Sześć celów. Dwoiło mu się

w oczach. Nasadą dłoni uderzył się w czoło. Spróbował jeszcze raz.

Lepiej.

Po lewej stronie jechała koparka. Wielkie opony wybrzuszały się i rozpląszczały. Tamci stali plecami do siebie, za budynkiem. W postawie „prezentuj broń”. W pewnym momencie bufetowy przeturlał się po ścianie za róg i ruszył przed siebie. Dotarł do następnego rogu i ostrożnie wyrżał. Podniósł karabin.

Reacher wymierzył. Heckler & Koch to w gruncie rzeczy trzydziestocentymetrowa lufa z pistoletowymi uchwytami na końcach. Bardzo precyzyjna rzecz. Ze stalowymi przyrządami optycznymi.

Bufetowy wycelował w koparkę. Czekał. Jednooki kierownik motelu przesunął się w stronę przeciwnego rogu.

Koparka wciąż jechała. Młaskały opony. Pszenica kładła się pod lemieszem i sprężysto prostowała.

Reachera bolała głowa. Bardzo. Z obu stron.

*Wstrząśnienie mózgu, właściwie podwójne, akceleracyjne i deceleracyjne.* Czuł się tak, jakby między skroniami przesakowały mu iskry łuku elektrycznego.

I wtedy Chang otworzyła ogień.

Ciągły. Dziewięćset pocisków na minutę. Nieprawdopodobnie szybko. Krótkie, rozmyte „prrrr!”. Jak obłąkana maszyna do szycia. Dwie sekundy. Cały magazynek. Pociski ułożyły się ścięciem na ziemi, posypały się drzazgi.

Jednooki odskoczył do tyłu.

Bufetowy wychynął zza rogu jeszcze bardziej, wypatrując nowego zagrożenia. Śledziła go lufa pistoletu Reachera. Szczerbinka, muszka, cel.

I delikatny nacisk na spust. Jeden strzał. Odległość: dwadzieścia cztery metry. Dziewiątka parabellum, siedem i czterdzieści pięć setnych grama, pełny płaszcz. Prędkość wylotowa: prawie tysiąc trzysta kilometrów na godzinę. Czas do celu: mniej niż jedna piętnasta sekundy. Dosłownie natychmiast.

Pocisk trafił w środek górnej części pleców, w nasadę szyi. W kręgosłup. Ot, i fart. Reacher celował niżej, w środek masy ciała. Największą część celu. Tak jest najbezpieczniej. Same plusy. Bo środek to środek. Po jednej i drugiej stronie jest duży margines, zwłaszcza w pionie. Głowa i nogi. Nawet jeśli się spudłuje, pocisk zawsze gdzieś trafi. Bufetowy upadł. Powoli osunął się na róg budynku, który obrócił go i pchnął na ziemię.



Hodowca tuczników przykucała. Zniknęła z pola widzenia. Za pszenicą. Bystry gość. Ale jednooki kierownik zrobił krok naprzód. Podniósł karabin. Wystrzelił. Kula rozdarła w trzaskiem powietrze i skosiła pszenicę dziewięć metrów na prawo od Reachera.

Chang znowu otworzyła ogień.

Drugi magazynek. Bardzo dobrze. Zdecydowanie, z determinacją. To samo obłąkane „prrrr!”. Ścieg pocisków na ziemi i fontanna drzazg.

A potem cisza.

Jednooki cofnął się za róg i wystawił lufę, mierząc w źródło dźwięku.

Koparka była coraz bliżej.

Mała część umysłu Reachera nie chciała do niego strzelać. To biedny, starszy, niepełnosprawny człowiek. Wydawało się, że to nie fair. Tylko że teraz ten biedny, starszy, niepełnosprawny człowiek celował w Chang z groźnej broni. Dlatego wycelował i on. Około trzydziestu metrów. Skupił wzrok na muszce, ukrytym w pierścieniu cieniutkim słupku. Przyjrzał się farbie, którą go pomalowano. Obejrzał wszystkie szczegóły i mikroskopijne zagłębienia. Słupek widział bardzo wyraźnie. Szcherbinka była rozmyta. Cel też. To dobrze. Tak go uczono. Najważniejsza jest muszka. W końcu wszystko się zgra. Rozmyta szcherbinka z wyraźnym słupkiem, wyraźny słupek z rozmytą szcherbinką. I się zgrało. Złało w jedno. Ustawiło w linii. I ani drgnęło.

Pociągnął za spust.

I znowu. Trajektorია wznosząca. Tym razem dwadzieścia siedem metrów, nieco dalej. Dwanaście procent więcej czasu w powietrzu. Dwanaście procent większa poprawka. Pocisk trafił w podstawę czaszki. W rdzeń przedłużony. *Medulla oblongata*, część tylnomózgowia, niegdyś pączkujący nieśmiało ośrodek ludzkiej inteligencji. Małutkie wyrzuszenie sprzed milionów lat. Jaszczurczy mózg. Mniej więcej dwuipółcentymetrowej grubości. Kula przeszła go w ciągu jednej tysięcznej sekundy. Prawie siedem i pół grama w pełnym płaszczu. Ciśnienie hydrostatyczne rozerwało go na strzępy. Jednooki zginął, zanim huk wystrzału dotarł do ogrodzenia. Runął na ziemię jak kłoda.

Koparka była tuż-tuż.

Hodowca tuczników dał nogę.

Reacher nastawił przełącznik na ogień ciągły, wstał i wystrzelił, przesuwając lufę jak pędzlem. „Prrrr!”. Reszta magazynka, dwadzieścia osiem nabożów, jak jego własna obłąkana maszyna do szycia. Dwadzieścia osiem pocisków i wszystkie

chybiły. Poszły za nisko. Brak stabilnej pozycji. Zachwiana równowaga. Lekki zawrót głowy. Chwilowy. Otrząsnął się i wszystko wróciło do normy.

Chang znowu otworzyła ogień. I znowu ciągly. Trzeci magazynek. Ale ona z kolei strzelała za wysoko. Z dachu posypały się dachówki. Pędzący na złamanie karku hodowca zniknął z pola widzenia.

Nadjeżdżała koparka.

Reacher puścił się biegiem przez pszenicę, przebijał się przez gąszcz, brodził, kroczył, grzęznął, zmierzając w stronę Chang. Westwood zobaczył go i zatrzymał maszynę. Chang nadbiegła z drugiej strony, ale się nie zatrzymała. Okrążyła koparkę i mocno objęła Reachera.

– Trzymasz się? – spytała.

– Jakoś.

– Zdjąłeś dwóch.

– Ale dwóch zostało. A w pick-upie było czterech.

– Jak to zrobimy?

– Najpierw trzeba ich znaleźć.

– Mówiłeś coś o schronie.

Wsiedli do kabiny, ona z jednej strony, on z drugiej. Nie mieli widoczności na wprost.

– Gdzie by go zbudowali? – spytał Westwood.

– Nie musieli nic budować – odparł Reacher. – Był tu od samego początku. Jak na każdej farmie. Specjalnie utwardzony, żeby wytrzymał silne uderzenie.

– Schron przeciwhuraganowy – domyśliła się Chang.

– Właśnie. Pod domem. Z wyjściem w innym miejscu. Na wypadek gdyby dom zawalił się na główne wejście. Powinien być w każdej piwnicy. Tu też jest. Ci tam muszą być elastyczni. Pewnie wykopali tunel. Z ukrytym włazem. Najpierw trzeba znaleźć właz. I zaparkować na nim samochód.

• • •

Westwood dodał gazu i kiedy silnik ożył, znowu pociągnął za kilka dźwigni, ale odwrotnie niż poprzednio. Lemiesz odchylił się do tyłu, opadł i odzyskali widoczność. Wąski pasek nad górnym brzegiem. Mniej bezpiecznie niż przedtem, lecz był to w miarę rozsądny kompromis.

Westwood czekał.

– Komu w drogę, temu czas – rzucił Reacher.

Koparka skoczyła gwałtownie do przodu, po czym zwolniła, utrzymując umiarkowaną prędkość i szarpiąc się na grubych oponach. Sto pięćdziesiąt metrów. Sto. Prosto na ogrodzenie. Bliżej. Coraz bliżej. Przebili się przez nie, rozrzucając na lewo i prawo deski z drewna orzesznika, w fontannie drzazg pojechali dalej, minęli pierwszy budynek gospodarczy, potem martwego kierownika motelu i wpadli na ubitą ziemię podwórza. Tam zwolnili, stanęli i chwilę poczekałi. Drapieżnik odszedł od wodopoju. Na arenie pojawił się gladiator.

Nikt do nich nie strzelał.

Nic. Żadnej reakcji.

Rzeczywistość nie różniła się zbyt wiele od zdjęć z Google. Tyle tylko, że teraz oglądali ją z ziemi, nie z kosmosu. Dokładnie naprzeciwko stał dom, nieco bliżej, po prawej stronie, budynek z apartamentem dla samobójców, a po lewej szopa z generatorem i budynek, za którym ukrywało się tamtych trzech. Nieco dalej, za domem – patrząc na wschód – była zagroda dla świń i stodoła. Jakby oddzielnie. A przed nimi ciągnął się podjazd. Z linią telefoniczną na słupach.

Ani rury wydechowej.

Ani żadnego ruchu.

Westwood wyjął pistolet z nogawki buta.

– Dalej idą tylko ochotnicy – uprzedził go Reacher.

– Wiem.

– Zaczniemy od domu. Trzymajmy się razem.

Zeskoczyli na ziemię.

Nikt do nich nie strzelił.

Żadnej reakcji.

Zupełnie nic, nie licząc smrodu z zagrody dla świń.

Ruszyli tyralierą, Chang po lewej, Westwood w środku, Reacher po prawej. Ciągle bolała go głowa, jakby ktoś dłubał mu w uchu szpikulcem do lodu.

Stanął na straży na ganku, a Chang i Westwood weszli do środka. Reacher bardzo uważał. Drugie wyjście mogło być wszędzie. Niespodzianka mogła ich zaskoczyć z każdej strony. Ale nie zaskoczyła. Nic się nie wydarzyło. Dwie minuty później wróciła Chang.

– Znaleźliśmy główne wejście – powiedziała. – Westwood go pilnuje. Tam jest czysta paranoja.

Zastąpiła go na ganku, a on wszedł do domu i zobaczył Westwooda na korytarzu. Pilnował czegoś, co kiedyś było chyba dużą bieliźniarką. Teraz wypełniał ją właz nachylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni do tylnej ściany. Pewnie dlatego, że kryły się pod nim schody. Do podziemnego pomieszczenia. Był zamknięty, ale – tak jak drzwi do wszystkich schronów przeciwhuraganowych – musiał otwierać się na zewnątrz. Żeby podczas ataku tornada wiatr nie wpełchnął go do środka.

Reacher ocenił odległość, szerokość korytarza plus głębokość bieliźniarki, czyli odległość od progu do środka włazu, potem zajrzał do salonu i tam zrozumiał, co Chang miała na myśli. Pokój przypominał pokój McCanna w Chicago, tyle że był dziesięć razy bardziej zawalony sprzętem. Wszędzie stały komputerowe monitory, co najmniej dwadzieścia, dziesiątki klawiatur i wież, wysokie półki pełne buczących i mrugających lampkami urządzeń, wszędzie wałały się twarde dyski, wentylatory, złączki i listwy zasilające, ale przede wszystkim kable, kilometry kabli, splecionych, zwiniętych i pospinanych paskami.

Ale nie to było mu teraz potrzebne.

Poszedł dalej i znalazł kanapę. Dużą i starą. Na trzy osoby, jeśli nie na więcej. Z ekstrawagancko wygiętymi podłokietnikami. No i długą. To niosąc, to wlokąc ją za sobą, wytaszczył ją na korytarz, ustawił w pionie; obracając ją to w jedną, to w drugą stronę przepchnął do drzwi bieliźniarki i wcisnął do środka, klinując klapę włazu.

Jedna dziura zaszpuntowana.

Potem wyszli na ganek, żeby zastanowić się, gdzie może być druga – głównie zgadywali, pokazując palcami, gestykułując i kreśląc w powietrzu różne kształty. Dom był prostokątny, jak większość domów, co znaczyło, że taki jest i schron, że ciągnie się równoległe do dłuższej ściany. Tak nakazywała logika. Nie potrzebowali do tego architekta. A natura ludzka podpowiadała, że jeśli główne wejście jest po jednej stronie, wyjście powinno być po drugiej. Tak więc tunel musiał biec wzdłuż osi domu, prostopadle do ściany szczytowej, w kierunku szopy z generatorem albo stojącego obok niej mniejszego budynku gospodarczego.

Szopa nadawała się bardziej. Miała dobrze zaprojektowaną podstawę z lanego betonu, w której z powodzeniem można by wykuć wejście do tunelu. Na górze pracował ważny sprzęt, dlatego pewnie często tam zagląдали. Czystość, oszczędność i bezpieczeństwo. Bez stert żelastwa. Idealne miejsce na właz. Ze wszystkich właściwych powodów.

Tylko że ze wszystkich powodów niewłaściwych tamci wybraliby najpewniej budynek stojący po sąsiedzku. Ale chcieli w ten sposób oszukać nie tylko naturę ludzką. Samych ludzi też – gdyby zdarzyło się najgorsze. Bo wtedy nie byłoby sensu wychodzić w przewidywalnym miejscu.

Mniejszy budynek miał podwójne drzwi, jak garaż w starym stylu. Zardzewiały zamek był otwarty i Reacher uznał, że jest to dowód na słuszność jego rozumowania. Żaden zamek nie zapewniłby nikomu bezpieczeństwa. Bo klucze zawsze można zgubić. Otrzeć się o śmierć, uciec i spędzić noc w zamkniętej szopie? Bez sensu.

Otworzyli drzwi na oścież i zobaczyli kłębowisko rupieci. Głównie złomu, ale stały tam również puszkę po farbie. Na podłodze leżał zbryzgany farbą pokrowiec. Ani czyste, ani oszczędne, ani bezpieczne, na pewno nie było to miejsce pracy. Rzadko tu zagładano. Nie, to nie to.

Tylko że...

Kłębowisko wydawało się sprytnie ułożone. Tam, gdzie nie dopuściłaby do tego logika i siła grawitacji, ziała pustka. Takich dziur dostrzegli kilka, wyrw w jakiś sposób ze sobą połączonych, tworzących coś w rodzaju korytarza, którym można było szybko przejść i wyjść.

Największa dziura znajdowała się nad lekko wybrzuszoną pokrowcem.

Reacher odsunął go na bok i zobaczyli taki sam właz, jaki znaleźli w domu. Tym razem zamontowany nie pod kątem do ściany, tylko wmurowany bezpośrednio w podłogę i ocementowany.

I zamknięty.

– Świetnie.

Chang poszła poszukać samochodu z kluczykami w stacyjce, a Reacher i Westwood usunęli trochę złomu, żeby mogła wjechać. Wróciła w pick-upie, którym tamci uciekli spod jądłodajni. Wjeżdżała do środka i wycofywała dopóty, dopóki lewe przednie koło nie stanęło dokładnie na włązie.

Druga dziura zaszpuntowana.

Chang wysiadła i spojrzała na gąszcz metalu.

– Co to, do diabła, jest?

No właśnie. Dobre pytanie.

•••

To była stal miękka, rury o przekroju kwadratowym, lite pręty i kilkumilimetrowej grubości blacha powyginana w dziwne kształty. Wszystko zardzewiało, miejscami poplamione i czymś wysmarowane. Większość kwadratowych rur i wszystkie pręty zespawano, tak że wyglądały jak fragmenty ogrodzenia. Jedne były kwadratowe, sto dwadzieścia centymetrów na sto dwadzieścia, a inne prostokątne, sto dwadzieścia na sześćdziesiąt albo sto osiemdziesiąt na dziewięćdziesiąt. Wszystkie bezładnie rzucone na kupę.

Co nie miało sensu. Płot, który zburzyli koparką, był zrobiony z drewnianych słupów, desek i drutu kolczastego. Nie widzieli tu metalowego płotu. Metalowych ogrodzeń nie było pewnie w całym hrabstwie. Może nawet w stanie. Poza tym fragmenty nie pasowały do siebie. Różniły się wielkością. Nie dałoby się ich rozsądnie połączyć. Jaki sens budować ogrodzenie, w którym jeden element ma dziewięćdziesiąt centymetrów wysokości, sąsiedni sto osiemdziesiąt, a kolejny sto dwadzieścia? No i otwory na śruby. Jedne biegly pionowo, inne poziomo.

Do niektórych fragmentów przyspawano zawiasy.

To nie było ogrodzenie.

– Boże święty – szepnęła Chang. – To są klatki.

Grubą stalową blachę pocięto na paski, paski wygięto, skuto na gorąco, zaopatrzone w zawiasy i zespawano. One też były zardzewiałe i wysmarowane czymś czarnym, jak wszystko inne. Jedne miały osiem centymetrów szerokości i dospawane stalowe wypustki w kształcie litery U.

Kajdany.

Inne, też ośmiocentymetrowej szerokości, naszpikowano długimi, ostrymi kolcami.

Obroże niewolnika.

Były tam również toporne żelazne maski, kleszcze i gwoździe.

– Te czarne plamy... – powiedziała Chang. – To chyba krew.

Wyszli i stanęli na słońcu. Mimo to było zimno. Spojrzeli na dom. I stojący obok dom z apartamentem dla samobójców.

– Dalej idą tylko ochotnicy – powiedział Reacher.

Ruszył przed siebie. Chang też. Westwood zawahał się i potruchtał za nimi.

•••

Budynek dla samobójców był dwa razy mniejszy od domu. Stał na wysokim do kolan fundamencie, który deszcz zbryzgał pomarańczowym błotem z kałuż. Miał oblicówkę z wysmołowanych grubych desek. I kryty dachówką dach. Tradycyjna konstrukcja, solidna i wytrzymała, na lata. Spod okapu zwiisał kabel elektryczny grubości palca.

W budynku nie było okien.

Były tylko drzwi. Zamknięte.

– Gotowi? – spytał Reacher.

– Nie bardzo – odrzekła Chang słabym, zrezygnowanym głosem.

Przypomniało mu się, jak zaglądała mu przez ramię, kiedy otwierał książkę telefoniczną w sklepie właściciela cadillaca. M jak Maloney. Przypomniały mu się sterty paczek. W tym dwie bezpośrednio od zagranicznych producentów. Niemiecki sprzęt medyczny ze sterylnej stali nierdzewnej i japońska kamera wideo wysokiej rozdzielczości. Przypomniał mu się maniak z Palo Alto, którego zastanowiła wiadomość od kogoś o pseudonimie Blood. *Ci z Matczynego Spoczynku mają podobno mocny towar.* Odzyskana w chat roomie na zabezpieczonym forum, którego maniak nie znał. Należało do innej społeczności. Na pierwszy rzut oka do jakichś entuzjastów. Ukrytych głęboko w Głębokiej Sieci.

Reacher cofnął się, zrobił krok do przodu i uderzył nogą w zamek. Drzwi otworzyły się gwałtownie i odbiły od ściany. Przytrzymał je rozchyłonymi palcami i wszedł do środka.

Przedsiónek. I smród. Gorszy niż z zagrody dla świń. Na wprost mała kuchnia, kubki, butelki wody, kable, przewody, wtyczki i złączki, wszystko w stertach,

spłątane i zapomniane. Miejsce pracy. Po lewej krótki korytarz z drzwiami na końcu, po prawej stronie. Prowadziły do łazienki. Ani czystej, ani brudnej. Wygodnej. Wspólnej. Z wieszakami na ścianie. Czterema. Ale nie wisiały na nich płaszcze czy kurtki.

Tylko gumowe fartuchy.

Wysmarowane czymś czarnym i brązowym.

Reacher przekręcił klamkę drzwi na końcu korytarza.

Były otwarte.

Bolała go głowa.

– Gotowi? – spytał.

– Nie bardzo – odparła Chang. Słabym, zrezygnowanym głosem.

Reacher otworzył drzwi. Mdły zapach. Ciemno. Chłodno. Pogłos jak w dużym wnętrzu. Twarde powierzchnie. Jakieś przeszkody. Poklepał ścianę w poszukiwaniu włącznika.

Znalazł.

Nacisnął.

I zobaczył kobietę w bieli.

Nie jechała na garden party w Monte Carlo. Ani do ratusza na swój piąty ślub. Nie jechała również do zacisznego apartamentu z uspokajającą muzyką, gdzie mogłaby się rozgościć i wypić nembutał czy lec na łóżku i poczekać, aż stary silnik spalinowy łagodnie zrobi swoje.

Nic z tych rzeczy.

Przykuto ją za ręce do wyłożonej białymi płytkami ściany.

Zwisała na łańcuchach nisko i bezwładnie.

Ściana i podłoga były zbryzgane krwią.

Kobieta nie żyła.

Reacher nie był zawodowym patologiem, lecz stwierdził, że pobito ją na śmierć kijem baseballowym. Który leżał na podłodze w skorupie zakrzepłej krwi. Już prawie czarnej, jak ta na klatkach. Miała połamane kości i szkarłatne sińce na ciele. Zdeformowaną czaszkę. Posklejane krwią włosy. Jej sukienka była zalana krwią i zachłapana wymiocinami.

Przed nią stała bateria sprzętu wideo. Trzy kamery na grubych statywach i reflektory z przezroczystymi płachtami dyfuzorów. Na podłodze wiły się kable. Białe płytki tworzyły coś w rodzaju sceny. Pokrywały jedną trzecią bocznych



ścian, całą ścianę tylną i jedną trzecią podłogi. Arena. Świetnie odbijały światło. Zapewniały dobrą ostrość obrazu. Z mnóstwem szczegółów.

Białe płytki z różowymi smugami.

Nad sceną wisiały mikrofony.

Dwa.

Stereo.

Do statywu kamery ktoś przypiął kartkę. Wydrukowany e-mail. *Chcę, żebyście zatłukli jakąś sukę kijem baseballowym. Jakąś hardą dyrektorską zdziurę. Bijcie jak najdłużej. Zaczynjcie od nóg. I każcie jej powtarzać: „Przepraszam, Roger, przepraszam, Roger”. Jestem skłonny zapłacić sto tysięcy.*

Inna społeczność. Entuzjaści.

•••

Ich strona nazywała się Matczyny Spoczynek, tak jak atrapa dla samobójców. Westwoodowi i Chang udało się odpalić komputery. W dużym domu. Zarabiali na streamingu. Olbrzymie pieniądze. Płatne od każdego filmu. Za najtańszy można było kupić samochód. Najwięcej kosztował *Zagłodzony na śmierć*. Pewnie dlatego, że długo to trwało. Pochłonęło mnóstwo godzin pracy. Za *Przebitą bagnetem kobietę w ciąży* też żądali sporo. Tak jak za *Postrzał w brzuch*. Chang znalazła listę najbardziej popularnych pozycji. I tych ostatnio oglądanych. Z wszelkiego rodzaju kategorii. Mężczyźni, kobiety, pary, młodzi, starzy, czarni, biali, krojenie, dżganie, bicie, narzędzia elektryczne, ekstremalne wpychanie, eksperymenty medyczne, prąd, utopienie i zastrzelenie.

Były tam również filmy kręcone na zamówienie. Na poziomie piątym. Członkowie mogli przysyłać prośby. Nawet najbardziej szczegółowe. Gotowe scenariusze. Zapewniano ich, że realizatorzy zrobią, co w ich mocy. Wszystko zależało od tego, czy zdobędą odpowiednich aktorów. Wpłaty dokonywano dopiero wtedy, gdy uzgodniono wygląd ofiary i cenę.

Chang przewinęła katalog do ostatniej pozycji.

– Spójrz – powiedziała słabym, zrezygnowanym głosem.

Reacher spojrział. Najnowszy dodatek do biblioteki Matczynego Spoczynku, gorący i świeżutki, już dostępny. *Chudy mężczyzna z połamanymi żebrami*. Taki miał tytuł.

Mężczyzna z pociągu. W garniturze i koszuli. Z elegancką skórzaną torbą.

Szczupły.

Reachera bolała głowa.

Chang przewinęła listę do góry i zatrzymała się na pozycji *Smutna para, i nie bez powodu*.

– Michael McCann i jego przyjaciółka Exit. Prawda?

Reacher nie odpowiedział.

– Spójrzcie na to. – Westwood, który przeglądał coś, co wyglądało na katalog główny, wskazał palcem rząd liczb. – Nazwijmy je filmami. Bo to są filmy. Kategorie *snuff*. Niektóre są bardzo długie. Najkrótszy trwa dwie godziny. Najstarszy nakręcono pięć lat temu, najnowszy wrzucono na stronę wczoraj.

Przesunął palcem po ekranie, z góry na dół.

– Zgadnijcie, ile ich nakręcili, zanim zadzwonił do mnie McCann.

– Dwieście – odparł Reacher.

– Teraz mają dwieście dziewięć.

Reacher milczał.

– Chcecie obejrzeć *Śmierć od tysiąca cięć*? – spytał Westwood.

– Nie.

– Ciekawe, jak by zatytułowali film ze mną.

– *Zhakowany Westwood*. Haki tu pewnie mają.

– Ci ludzie... Jak długo dawali się zwodzić? Kiedy się orientowali? Dopiero tam, pod tą ścianą?

– Nie – odparła Chang. – Myślę, że kiedy ten z cadillaca otwierał drzwi i dochodził ich smród z zagrody dla świń. Wtedy tamci wyjmowali broń.

– Trzeba ich spytać – mruknął Reacher. – Wiemy, gdzie są.

Wyszli na korytarz i stanęli przed bieliźniarką. Z zablokowanym kanapą włazem.

– Łatwiej będzie przestawić pick-upa – stwierdził Reacher.

– Dobrze się czujesz? – spytała Chang.

– Jak na okoliczności...

Przeszli do mniejszego budynku, tego z podwójnymi drzwiami, gdzie – jak zakładali – znajdowało się wyjście z tunelu. Chang wsiadła do szoferki i podjechała pick-upem trochę dalej do przodu. Wsiadła, nie gasząc silnika. Spojrzała na właz.

– Jak to zrobimy?

– Wątpię, żeby tam siedzieli. Ale trzeba nastawić się na najgorsze. Westwood otworzy i szybko się cofnie, a my celujemy w dziurę. Może być?

Chang kiwnęła głową. Westwood też. Reacher zmienił magazynek, nastawił przełącznik na ogień ciągły i stanął na środku. Chang poszła w jego ślady i zajęła pozycję na lewo od niego.

Westwood pochylił się i zacisnął palce na uchwycie.

Gwałtownym ruchem otworzył właz i odskoczył do tyłu.

Ale dziury tam nie było.

Właz i obudowę kupiono w sklepie, przywieziono na miejsce i ocementowano na płaskiej podłodze. Pod klapą nie było ani otworu, ani schodów. Nie było nic oprócz betonu. Po lewej stronie, po prawej, na górze, na dole i pod spodem rozciągała się taka sama chropowata powierzchnia.

Ślepe drzwi.

Atrapa.

Zmyłka.

– Moja вина – powiedział Reacher. – Nie myślałem.

– Nic to – rzucił Westwood. – Ale musimy sprawdzić, gdzie jest prawdziwy.

– Nie – poprawiła go Chang. – Musimy sprawdzić, czy już z niego skorzystali.

Odpowiedzią był grom dźwiękowy, supersoniczny trzask, sykliwy, wibrujący jęk i ziarniste „pac!”. Kula przebiła drewnianą ścianę metr nad ich głowami. Dźwięk pędzi zwykle wolniej niż pocisk. Ale w tym przypadku huk usłyszeli prawie równocześnie z uderzeniem kuli. Co znaczyło, że karabin jest blisko. Trzydzieści metrów, pomyślał Reacher. Bliżej niż blisko. Jeszcze trochę i będą trafiać, nawet oni.

Gdy zaczęli się wycofywać na drugi koniec budynku, kolejna kula zrobiła w ścianie dziurę, przez którą wpadła kolejna smuga słońca. Po chwili jeszcze jedna, dwa i pół metra dalej. Cel niewidoczny, taktyka strzał przez ścianę, na chybił trafił. Drużyna A, charty, które z trzydziestu metrów bez pudła trafiają w stodołę. Mijając po drodze sterty metalu, Reacher szedł w stronę najdalszego kąta. Niewidoczny z zewnątrz. I względnie bezpieczny. Chroniony nie przez tarczę, obiekt fizyczny, lecz przez losowość oddanych na oślep strzałów. Ściany były nic niewarte, ale liczby nie kłamały.

Wybił nogą parę desek tuż nad podłogą, robiąc przejście sześćdziesiąt centymetrów na metr dwadzieścia; wybijając kilka desek więcej, powiększył je do metra pięćdziesięciu. Teraz mogli się wyczołgać. Najpierw Westwood, potem Chang. Sykliwy jęk i kolejna dziura w ścianie. Na końcu on. Wycofywali się po prostej, pod osłoną budynku. Za nimi była tylko pszenica. Z tyłu, na skos

w prawo, budynek obok rozwalonego ogrodzenia. Ten, za którym leżały dwa trupy. Koparka stała dwadzieścia metrów dalej. Z przodu, też po prawej, mieli studio filmowe i dom. Po lewej szopę z generatorem. Mnóstwo miejsc.

Sęk w tym, że wszystkie były zupełnie odsłonięte. Musieliby pokonać minimum dwadzieścia metrów. Dwadzieścia kroków. Sporo. Ale do zrobienia. Wszystko zależało od tamtych. Od tego, jak dobrze celowali. Jak dobrze ich wyszkolono. Strzelec, któremu skutecznie wbito do głowy mantrę muszka-szczerbinka-cel, mógł skupić się do tego stopnia, że tracił zdolność widzenia obwodowego. Tylko na chwilę. Wtedy można by przejść niezauważenie. Nawet w kostiumie goryla. O wszystkim decydował stopień koncentracji. Tak, jedna osoba dałaby radę.

Ale nie trzy.

– Zostańcie tu – szepnął. – Ani kroku. Wróć po was.

– Skąd? – odszepnęła Chang.

– Stamtąd.

– Przestań, to szaleństwo.

– Nie. Zobacz, jak oni strzelają. To czysta matematyka. Rachunek prawdopodobieństwa. Tam jest tak samo bezpiecznie jak tutaj.

– Zwariowałeś.

– Ściana jest duża. Jakie jest prawdopodobieństwo, że mnie trafią? Prędzej już nabawię się rzadkiej choroby serca.

– Idę z tobą.

– Dobrze, ale Westwood zostaje. Korespondenci wojenni idą z drugą falą.

– To niby ja? – spytał Westwood.

– Nie. Ale chcę, żeby lepiej się pan poczuł. Pewnie myśli pan o prawach autorskich.

– Niezupełnie.

– Wszystko jedno. Zostaje pan.

•••

Wrócili i wczłgali się do środka. Słoneczne plamki tworzyły już sporą konstelację. Głównie w górnej połowie ściany. Brat Reachera był wyższy i mógłby mieć problem. Ale Reacher nie, a Chang nie groziło nawet draśnięcie. Pac!

I metaliczny brzdęk. Pojawiła się kolejna dziura, również wysoko i kawał w lewo. Na tej loterii przegrywały jak dotąd wszystkie losy.

– Jeśli strzelają na oślep, każde miejsce jest równie dobre – powiedział. – Nawet te już ostrzelane.

Przytknął oko do słonecznej plamki.

– Musimy namierzyć rozbłyśki z luf. – Przyciskał policzek do deski i miał zniekształcony głos. – Wtedy ich wypłoszymy. Chcę, żeby zaczęli uciekać.

Pac! Słońce i brzdęk. Znowu. Wysokość idealna, ale za bardzo w prawo, ze trzy metry.

– Jednego widzę.

Chmura kurzu. Zamrugał, szorując powieką o drewno.

Czekali.

Kolejna kula. Pac, brzdęk, smuga słońca. Za wysoko i za bardzo w lewo.

Reacher oderwał się od ściany.

– Mam dwóch. Są w tym samym miejscu. Za tylnym lewym rogiem budynku ze studium. Jakies trzydzieści metrów stąd. Wyglądają na zmianę zza rogu i strzelają. Jak na filmach o piechocie morskiej. Hodowca świń i ten drugi, ufryzowany jak gość, który zapowiada pogodę w telewizji.

– Damy radę ich wykurzyć?

– Możemy poświęcić jeden magazynek, żeby się na chwilę zamknęli. Wtedy skoczylibyśmy za róg studia.

– I co dalej? Będziemy przemykali od rogu do rogu? Od frontu do tyłu? To strasznie daleko. Budynek jest prostokątny. Jak większość domów.

– Żołnierze piechoty morskiej przebiliby się przez tylną ścianę. Po to jest broń przeciwpancerna.

– No więc?

– Zaryzykujemy. Zaczekamy, aż zaczną zmieniać magazynki.

– Kiepski plan.

– Dobry by ci się nie spodobał.

– Mówisz to ze skruchą?

– Wielką.

Bolała go głowa.

– To pakt z diabłem – dodał. – Gwarantuje, że jednego zdejmemy, ale tylko jednego. Drugi ucieknie. Poza tym, będzie bardzo nieprzyjemnie.

Otworzył ogień jako pierwszy, bo Chang szybciej biegała. Stał w otwartych drzwiach, wymierzył w tylny lewy róg budynku ze studiem, w punkt leżący mniej więcej na dwóch trzecich jego wysokości, i zobaczył fontannę drzazg. Niecałe dwie sekundy, ale tamci przynajmniej ucichli. Pałeczkę przejęła Chang. Ogień ciągły, trzydzieści pocisków w dwie sekundy, a wtedy Reacher puścił się biegiem, dopadł najbliższego rogu studia, przeładował i posłał serię wzdłuż ściany, od rogu do rogu, kolejny magazynek, żeby Chang zdążyła śmignąć przez podwórze. Zdążyła i ciężko dysząc, przywarła do jego pleców.

– Gotowa? – spytał.

Nie odpowiedziała.

Wśliznęli się do studia. Przedsionek. Smród. Mała kuchnia z kubkami i butelkami wody.

Musieli poczekać.

Usłyszeli hałas. Jeden z tamtych wytoczył się na plecach zza rogu. Jak na filmie o piechocie morskiej.

Więc czekali.

Wystrzał. Gość celował teraz w pusty odległy budynek. Może trafił, może nie. Tak czy inaczej, Reacher wychylił się zza drzwi i pociągnął za spust. Pół magazynka. Bez żadnych oczekiwań. Nie było czasu na finezję. Chciał tylko wysłać im wiadomość.

Wasi przeciwnicy są już tutaj.

W waszym własnym studiu filmowym.

Poszli w głąb domu. Minęli łazienkę z gumowymi fartuchami i otworzyli drzwi na końcu korytarza. W studiu wciąż paliło się światło. Kobieta w bieli wciąż wisiała na łańcuchach. Bez ruchu. Stanęli plecami do niej, jak kamerzyści, którzy odwrócili się, żeby odpowiedzieć na pytanie.

Czekali.

Myśliwi byli teraz zwierzyną. Niedoszła zdobycz próbowała zwabić ich do przesmyku. Tamci musieli się pokazać, wejść gęsiego do oświetlonego wąskiego korytarza. Tak jak wchodzili dwójkami na schody w motelu. Nie idźcie – tak nakazywała logika. Ale Reacher wiedział, że przyjdą. Musieli. To było ich królestwo. Ich przyszłość. Oszuści, złodzieje, mordercy, zdrajcy, wszyscy, których kiedykolwiek znał, do samego końca wierzyli, że wciąż mają szansę, i wierząc,

próbowali odzyskać, co się dało. Nikt nie lubi zaczynać na nowo od zera. Trzeba ratować filmy. Trzeba ratować sprzęt. Kamery wysokiej rozdzielczości sporo kosztują.

Dlatego któryś z nich na pewno tu zajrzy. Ale tylko jeden. Niespodzianka działała tylko raz.

Więc czekali.

Nie ma to jak natura ludzka.

Przyszedł hodowca. Ręce jak bochny chleba, szerokie bary, uwalane ziemią ubranie. Bardzo ostrożnie wyjrzał zza rogu, chcąc jedynie zerknąć. Zerknął, cofnął się i przywarł do ściany. Nic nie było widać. Może tylko kawałek ramienia. Albo nos. Wyjrzał ponownie, tym razem trochę śmieiej, wychylając się parę centymetrów dalej.

Reacher trafił go w czoło. Delikatne, prawie niewyczuwalne muśnięcie spustu i prrrr! Dziesięć pocisków. Koniec gry. Ten drugi musiał słyszeć huk i wziął nogi za pas. Został sam. I nagle ogarnął go pierwotny lęk. Co więcej, mógł mu teraz ulec. Nie było świadków.

Ponieważ w kręgach wojskowych uważano, że agresywny pościg jest czymś chwalebnym i ponieważ była to okazja do ucieczki ze studia, Reacher wypadł na korytarz, tuż za nim Chang.



Przeskoczyli nad trupem hodowcy tuczników, wybiegli na dwór i skręcili w lewo, w stronę podjazdu. Bo celem tamtego był właśnie podjazd. Tak nakazywała logika. Natura ludzka. Uciec jak najdalej. Jediną możliwą drogą. Wszędzie indziej szumiało morze pszenicy.

Wyprzedzał ich o osiemnaście, dwadzieścia metrów, biegł, oglądając się przez ramię. W jednej ręce trzymał karabin, drugą miał pustą. Krępy mężczyzna o zaczerwienionej twarzy otoczonej falistymi włosami. W wyprasowanych dzinsach. Dobiegł do końca podjazdu i znowu zerknął za siebie. Reacher i Chang odskoczyli w prawo, za dom. Tamten stał samotnie na tle krajobrazu. Z tyłu miał tylko zagrodę dla świń, bo dalej, aż do Missouri, rozciągał się ocean pszenicy. A po prawej drogę, trzydzieści dwa kilometry do miasteczka.

Znieruchomiał.

– Trafisz go? – spytała Chang.

Reacher nie odpowiedział.

– Dobrze się czujesz?

– W dziewięćdziesięciu procentach. – Tak uważał. Nic mu nie było. Nic konkretnego. Nie krwawił, nie miał połamanych kości. Tylko że nic nie działało jak trzeba. Nie do końca. *Mózg to nie ramię.*

– Jak to zrobimy?

Reacher liczył. Strzały tamtych. Pac, brzdęk, smuga słońca. Ile ich było?

Pamięć.

Zrobił krok do przodu.

Ufryzowany mężczyzna w wyprasowanych dzinsach podniósł karabin.

Z M16 na osiemnaście metrów. Teoretycznie to problem. Z takiej odległości dobrze wyszkolony strzelec trafi bez trudu. Ostatecznie to mniej niż długość lufy razy czterdzieści. Na styk. Ale tamten nie był dobrze wyszkolonym strzelcem. Co już udowodnił. W mniejszym budynku. Poza tym teraz uciekał. Ciężko oddychał. Waliło mu serce. Pierś podnosiła się i opadała.

Reacher zamarł bez ruchu.

Mężczyzna wystrzelił.

I chybił. Trzydzieści centymetrów za wysoko, trzydzieści za bardzo w prawo. Świsł i odległe pac! W ścianę. Najpewniej budynku koło ogrodzenia. Tego, za którym leżeli jego koledzy.

Reacher wrócił do Chang.

– Prędzej czy później zabraknie mu amunicji.

– Zmieni magazynek.

– Ale zmiana magazynku trochę potrwa.

– Taki masz plan?

– Będziesz mi potrzebna. Na wszelki wypadek.

– Na wypadek czego?

– Co dwie głowy to nie jedna. Zwłaszcza moja teraz.

– Dobrze się czujesz?

– Niezupełnie. Ale z drugiej strony, czy naprawdę muszę być w szczytowej formie?

– Ja to zrobię.

– Odpada.

– Bo co? Bo to nie dla kobiety?

Reacher pomyślał z uśmiechem o tych, które kiedyś znał.

– Po prostu tak uważam – odparł. – Głównie z nawyku.

– Więc jak chcesz to załatwić?

– Ściągnę na siebie jego ogień. Spokojnie, ani razu nie trafi, zobaczysz. Zdejmę go, kiedy skończy mu się amunicja. Ty podbiegniesz bliżej i jeśli spudłuję...

– Nie, pójdziemy razem.

– To nierozsądne.

– Wszystko jedno. Idziemy razem.

•••

Wyszli na otwartą przestrzeń. Mężczyzna wciąż stał pod ogrodzeniem. Samotny na tle bezkresnej pustki. Dżinsy, włosy, karabin. Osiemnaście metrów. Chang zamknęła oko i wymierzyła. Reacher zadarł głowę, spojrział w niebo i z palcem w kabluku szeroko rozłożył ręce. Pistolet zwisał lufą w dół. Postaraj się, wyceluj najlepiej, jak możesz. Mężczyzna go posłuchał. Przytknął broń do ramienia, wymierzył i wystrzelił.

I znowu spudłował.

Nie trafił ani w niego, ani w nią.

Chang odpowiedziała ogniem. Pojedynczym strzałem. Pistolet wypluł łuskę. Pocisk chybił. Ale ten w dzinsach się cofnął. Niezdarnie, o pięć kroków. Potem o dziesięć.

Chang wystrzeliła jeszcze raz. Kolejna łuska zatoczyła w powietrzu błyszczący łuk. Pudło. Zafalowała pszenica, ciężko, powoli i bezgłośnie.

Mężczyzna podniósł karabin.

Lecz nie wystrzelił.

– Skończyła mu się amunicja? – spytała Chang.

Reachera bolała głowa.

– Nie wie. Przestał liczyć. Ja też. – Nagle uśmiechnął się i spytał: – Myślisz, że będziemy mieli fart?

Zacisnął palce na dwóch uchwytach, ani zbyt mocno, ani zbyt łagodnie. Muszka i rozmyty cel. Zamrugał. Wzrok miał skupiony, lecz nie do końca. I leciutko drżały mu ręce. Ramiona i całe ciało. *Trudności z koordynacją ruchową, opanowaniem emocji, myśleniem i koncentracją.*

Opuścił broń.

– Podejźmy bliżej.

Zrobili piętnaście kroków do przodu, tyle, ile tamten do tyłu. Powoli i spokojnie. Normalny rytm serca, normalny oddech. Mężczyzna znowu się cofnął. Dżinsy i ufryzowane włosy, w stronę zagrody dla świń.

Reacher i Chang podeszli jeszcze bliżej.

Potworny smród.

Ale lepszy niż ten w studiu.

Mężczyzna cofnął się jeszcze bardziej.

I oparł plecami o ogrodzenie.

Oni też stanęli.

Tamten podniósł karabin.

I go opuścił. Stał samotnie, absurdalnie mały na pszenicznym pustkowiu. Świeciło słońce. Tuczniki wyszły spod zadaszienia. Grube i gładkie, błyszczące od szlamu. Każdy wielkości volkswagena.

Reacher ruszył przed siebie. Chang ramię w ramię z nim.

Piętnaście metrów. Dwanaście. Dziewięć.

Sześć.

Ufryzowany mężczyzna podniósł rękę.

W bzdurnych opowieściach przy ognisku zawsze dochodzi wtedy do krótkiej rozmowy. Bo temu złemu trzeba wytłumaczyć, dlaczego musi umrzeć.

Reacher milczał.

Opowieści to tylko opowieści.

Ale wtedy odezwał się ten zły.

– Oni już nie żyli. Przecież to oczywiste. Już zrezygnowali. Podjęli decyzję. Więc cóż szkodziło ich wykorzystać? Zresztą w sumie dostali to, czego chcieli.

– Nie sądzę – odparł Reacher. – To nie był Święty Graal.

– To trwało tylko parę godzin. Przecież już ich praktycznie nie było. Umierali po śmierci.

– Ile godzin umierał ten, którego zagłodziście? A może ta?

Mężczyzna milczał.

– Jedno pytanie – rzucił Reacher. Ten w dżinsach podniósł wzrok. – Gdzie są ciała?

Mężczyzna nie odpowiedział. Ale zerknął za siebie. Odruchowo. Mimowolnie.

Na świnie.

– W takim razie dlaczego Keevera pochowaliście?

– Tego dnia już jadły.

Reacher umilkł.

– To było specjalne zamówienie z Japonii. Znakomity kandydat. Ja tylko zaspokajam potrzeby. Nie możecie mnie winić za gusty innych.

Reacher wciąż milczał.

Mężczyzna opuścił rękę, tylko o parę centymetrów. Chciał swobodnie poruszać ramionami, szyją i głową, chciał przemówić językiem ciała, gestykułując, przekonując i wyjaśniając. Targując się i kusząc. Tak jak wszyscy, których Reacher znał. Do samego końca. Wierzyli, że im się uda.

Chang podniosła pistolet. Rozpuszczone czarne włosy. Żywe ciemne oczy, jedno zamknięte, drugie skupione na muszce. Na osłoniętym pierścieniu słupku.

– Za Keevera. – Musiała mu to powiedzieć. – To mogłam być ja.

Dotknęła spustu. Sześć metrów. Jeden moment. Trafiła w gardło. Kula, dziewiątka w pełnym płaszczu, przeszła na wylot. Wylądowała w pszenicy, gdzie nikt jej nigdy nie znajdzie. Zagubiona i zapomniana, z czasem rozłoży się w ziemi na pierwiastki, ołów i miedź, stanie się częścią planety, z której powstała.

Mężczyzna chrapliwie zagulgotał i zakaszłał jak gruźlik. Z rany tryskała spieniona krew. Przez sekundę stał prosto, ot, zwykły farmer przy zagrodzie dla świń, a potem wszystko nagle puściło i osunął się na ziemię jak szmaciana lalka, ręce, nogi, dzinsy i ufryzowane włosy.

– Gdzie celowałaś?

– W środek masy ciała.

– Pięknie – rzucił z uśmiechem Reacher. – To najpewniejszy strzał.

Zrobił sześć kroków, jedną ręką chwycił trupa za kołnierz, drugą za pasek i przerzucił go przez ogrodzenie.

Nadbiegły świnię.

Nie chcieli wracać do miasteczka pick-upem, bo nie chcieli siedzieć tam, gdzie siedzieli tamci, więc postanowili pojechać koparką, tak jak przedtem. Westwood prowadził, Reacher i Chang stali obok niego twarzą do siebie, ale tym razem wybrali bitą drogę, wolniejszą, lecz wygodniejszą. Zaparkowali na placu przed salonem dealera. Dealer wyszedł im na spotkanie. Obejrzał koparkę. Maszyna miała trochę porysowane boki i była pokryta skorupą ziemi, choć tylko miejscami. Poza tym zmiażdżona pszenica trochę ją ubrudziła. No i lemiesz był lekko wgnieciony w miejscu, gdzie trafiła go kula. Nie, to już nie jest nowa maszyna. Niezupełnie. Reacher dał mu pięć patyków z tego, co im zostało. Łatwo przyszło, łatwo poszło.

Potem wyszli na drogę manewrową. Grzało słońce. Jakiś chłopak rzucał w ścianę piłką tenisową i gdy się odbijała, grzmocił ją kijem. Ten sam, którego widzieli przedtem. Wpadli do motelu, gdzie Westwood zamówił kilka pokoi. Dla siebie, fotografów, wszelkiego rodzaju asystentów i stażystów. Za biurkiem siedziała nastoletnia dziewczyna. Pewnie przyszła studentka college'u. Była szybka i wydajna. Bystra i wesoła.

– Dlaczego to miasto tak się nazywa? – spytał Reacher.

– Nie mogę powiedzieć.

– Dlaczego?

– Nazwa nie podoba się farmerom. Robią, co mogą, żeby nikt się nie dowiedział.

– Nikomu nie powiem.

– To w języku Indian Arapaho, stara, zniekształcona nazwa. Jedno słowo, ale brzmi jak dwa. Znaczy „miejsce, gdzie rosną złe rzeczy”.

Westwood dał Chang kluczyki do wypożyczonego auta i pożegnał się. Reacher odprowadził ją pod jadłodajnię, gdzie parkował czerwony ford.

– Jechałeś do Chicago – powiedziała.

– Tak – odparł.

– Chciałeś tam dotrzeć, zanim zrobi się zimno.

- To dobry pomysł, zwłaszcza jeśli ktoś wybiera się do Chicago.
- Możesz złapać wieczorny pociąg. Zjeść lunch i przespać na słońcu całe popołudnie. Na krześle ogrodowym. Widziałam cię. Wtedy, pierwszego dnia.
- Tak?
- Akurat przechodziłam.
- Mówiłem ci. Służyłem w wojsku. Umiem spać wszędzie.
- Ja jadę do Oklahoma City. Samochód zostawię na lotnisku. Stażyści podrzucają Westwoodowi inny. Wracam do domu.

Reacher milczał.

- Wszystko w porządku? – spytała.
- Niedawno byliśmy w Chicago. Chyba zmienię trasę.
- Jedź do Milwaukee – doradziła z uśmiechem. – Będziesz miał trzydzieści sześć kwartałów do zwiedzania.

Reacher zawahał się.

- Dobrze się czujesz? – spytała.
  - Pojedziesz ze mną?
  - Do Milwaukee?
  - Tylko na parę dni. Na wakacje. Jak zwykli ludzie. Zasłużyliśmy.
- Chang umilkła i długo milczała, pięć, sześć sekund, aż zrobiło się niezręcznie.

W końcu powiedziała:

- Tutaj ci nie odpowiem. Nie chcę. Nie w tym miasteczku. Wsiadaj.

Wsiadł i odpaliła silnik. Wrzuciła bieg, wycofała, zakręciła kierownicą i pojechali przed siebie, w kierunku głównej ulicy, potem na północ, mijając po drodze jadłodajnię i sklep, aż dotarli do starego szlaku, gdzie skręcili w lewo, na zachód, na niemającą końca drogę, której ostry jak igła czubek ginął za rozmytym żłocistym horyzontem.

1 *Lair* (ang.) – kryjówka, legowisko.